

FILM JONA STEWARTA
W ROLI GŁÓWNEJ
GAEL GARCÍA BERNAL

A POTEM PRZYSZLI PO MNIE

*Osobista opowieść
z uniwersalnym
przesłaniem o tym,
jak cenna jest wolność*

Jon Stewart

**MAZIAR BAHARI
AIMEE MOLLOY**

Prószyński i S-ka

MAZIAR BAHARI
AIMEE MOLLOY

A POTE PRZYSZLI PO MNIE

PRZEŁOŻYŁ
JAROSŁAW SKOWROŃSKI

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

THEN THEY CAME FOR ME

Copyright © 2011 by Maziar Bahari

First published in the United States by Random House,

an imprint of The Random House Publishing Group,

a division of Random House, Inc., New York.

All rights reserved.

Opracowanie graficzne okładki

Zbigniew Larwa

Materiały na okładkę

© 2014 Open Road Films, LLC.

All rights reserved.

Redaktor prowadzący

Anna Czech

Redakcja

Roman Honet

Korekta

Bożena Maliszewska

ISBN 978-83-8069-551-1

Warszawa 2015

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla Moludzun, Baby Akbara,

Marjam, Paoli i Marianny

Wąchają twój oddech,

Żebyś nie powiedział: Kocham cię.

Wąchają twoje serce:

Dziwne mamy czasy, Kochanie...

Zdzierają uśmiechy z warg

I pieśni z ust...

Dziwne mamy czasy, Kochanie...

Ahmad Szamlu, 1979

PROLOG

Poczułem go, jeszcze zanim go zobaczyłem: mieszanka zapachów potu i wody różanej – i przypomniła mi się młodość.

Gdy miałem jakieś sześć lat, często chodziłem z moimi ciotkami do pewnej kaplicy w świętym mieście Kom. Przed wejściem trzeba było, jak zawsze, zdjąć buty, a służba świątynna rozpylała wodę różaną, by stłumić odór przepoconego obuwia.

Tamtego czerwcowego poranka 2009 roku, gdy przyszli po mnie, byłem gdzieś na chwiejnym pograniczu snu i jawy. Ale poczułem ten jego zapaszek. Nie zdawałem sobie sprawy, że miałem już czterdzieści dwa lata i leżałem w swojej sypialni w Teheranie; wydawało mi się, że mam sześć lat i idę znów z ciotkami do kaplicy.

– Mazi, *džaan*, obudź się – powiedziała moja matka. – Przyszło do ciebie czterech panów. Mówią, że są z biura prokuratora. Chcą cię zabrać.

Otworzyłem oczy. Było parę minut przed ósmą, a mama stała koło łóżka. Jej krucha postać odgradzała mnie od czwórki mężczyzn stojących za nią. Spałem nago i zanim poczułem strach, zaniepokoiłem się, czy aby nie jestem nago w kaplicy. Poczułem zażenowanie i wyciągnąłem ręce, by się upewnić, że prześcieradło okrywa mnie jak trzeba.

Pan Woda Różana stał zaraz za plecami mojej matki. Z czasem dowiedziałem się o nim mnóstwa rzeczy. Miał trzydzieści jeden lat i uzyskał tytuł magistra nauk politycznych na Uniwersytecie Teherańskim. Jeszcze podczas studiów wstąpił do Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, licznej i potężniejszej wciąż fundamentalistycznej organizacji zbrojnej, powstałej na początku irańskiej rewolucji 1979 roku. Dowiedziałem się, że jego pięści biją najmocniej, gdy nie wie, co ma robić. Niemniej tamtego poranka, gdy się zjawiał w mojej sypialni, wiedziałem o nim tylko tyle, że był służbowo i miał wielką głowę. Przerazająco wielką, podobnie zresztą jak reszta jego ciała. Wysoki na co najmniej sześć stóp i dwa cale, był tłusty i miał grube szkła w okularach. Potem te jego pingle wprawiały mnie w konsternację, bo kojarzyłem okulary z profesorami, intelektualistami, a nie z takimi oprawcami.

Owinąłem się starannie prześcieradłem i wstałem z łóżka.

– Ubierz się – powiedział Woda Różana i kiwnął na trzech pozostałych mężczyzn, by wyszli z pokoju, żebym mógł się ubrać. Ulżyło mi: niezależnie od tego, jaka sprawa ich tu sprowadziła, wciąż zachowywali się z pewną dozą uprzejmości.

Trzymali jednak drzwi uchylone. Podeszedłem do szafy. Sytuacja wyglądała jakby jaśniej, ale ten zapasek wody różanej sprawiał, że moje myśli błędziły wciąż gdzieś w przeszłości, po tej kaplicy... Jak się ubrać do kaplicy? Co będzie najważniejsze? Założyłem właśnie koszulę z niebieskim kołnierzykiem i jeansy, gdy ci faceci znów wkroczyli do mojej sypialni: to znaczy Woda Różana i jeszcze jeden mężczyzna w połyskliwej sportowej kurtce i czapce z daszkiem.

Obeszli pokój, zaglądając w każdy kąt. Większość ostatnich dwóch lat spędziłem z moją narzeczoną Paolą w Londynie. Zareczyliśmy się pół roku wcześniej i szykowaliśmy się na narodziny naszego dziecka, które miały nastąpić za cztery miesiące. Tak naprawdę to nie mieszkalem na stałe w domu mojej matki. Czulem ich frustrację na widok tego bałaganu w moim pokoju. Na podłodze wznosiły się sterty książek, kaset wideo i płyt DVD, a obok leżały wstydliwie stopy jakichś rzeczy do prania. Od miesiący nie robiłem porządku na swoim biurku, pokrytym teraz starymi gazetami i notatnikami. Wszyscy dziennikarze pracujący w Iranie muszą mieć akredytację z Erszadu, czyli Ministerstwa Kultury i Czystości Islamu, i tam właśnie podałem adres matczynego domu jako miejsca pracy. Myśleli, że znajdą tu biuro – a znaleźli brudne łachy.

– Jeśli pan chce, mogę to wszystko uporządkować, a panowie wrócą jutro – powiedziałem z przeproszającym uśmiechem.

– *Zerto pek nakon* – odparł szorstko Woda Różana. – Przestań pieprzyć. Siadaj i zamknij mordę. Jeszcze jedno słowo i sprawię ci taki łomot, że twoja matka będzie cię oplakiwać!

Podrapał się gdzieś pod marynarką, odsłaniając pistolet u boku. Usiadłem, czując, że moje ciało robi się ciężkie ze strachu. Tak jak większość Irańczyków wiedziałem dobrze, że wielu, zbyt wielu ludzi – pisarzy, artystów, działaczy – zostało obudzonych w ten sposób, a potem zabranych gdzieś i zamordowanych. Pomyślałem o moim ojcu i siostrze, aresztowanych przez poprzedni reżim, pomyślałem o matce, która już dwa razy musiała przejść przez coś takiego. Usłyszałem z kuchni głos mamy i do mojego strachu dołączyło przemożne poczucie winy. Jak mama może kolejny raz przeżyć podobne rzeczy? Dlaczego nie byłem ostrożniejszy? Dlaczego nie wyjechałem z Iranu wcześniej?

– Napije się pan herbaty? – usłyszałem, jak pyta jednego z tych facetów.

– Nie, dzięki...

– Ale czemu? Wygląda na to, że zostanieie tu przez jakiś czas. Powinniście się napić herbaty...

– Nie, naprawdę. Nie chcę nadużywać pani uprzejmości.

Matka się roześmiała.

– Dobre sobie: przyszlście do mojego domu przed ósmą rano i chcecie przeszukać rzeczy mojego syna. Po waszym wyjściu będę musiała to wszystko posprzątać. I pan mi mówi o nadużywaniu uprzejmości?

Facet zignorował tę uwagę.

– Proszę pani, niech pani założy szal – powiedział.

Nie widziałem twarzy matki, ale mogłem sobie wyobrazić jej pełne politowania spojrzenie, jakim obdarzyła nieproszonego gościa.

Nieokryte szalem włosy matki były wbrew islamskiemu prawu. Wiedziałem, że jej niedbałe przestrzeganie rozkazów Strażników Rewolucji stanowiło z jej strony akt pewnego oporu. Jakby chciała powiedzieć, że mogą kontrolować jej ciało, ale nie zdołają kontrolować jej umysłu. Strażnicy całkiem słusznie uważali matkę i mnie za przedstawicieli „innego Iranu”, którego obywatele nie chcieli być poddanymi jakiegoś islamskiego władcy i woleli sami kierować swoim losem.

– Mam osiemdziesiąt trzy lata. Po co mam jeszcze zakładać szal?

Moja mama ma na imię Moluk. Gdy byliśmy dziećmi, nazywaliśmy ją Moluk *dżun*, co znaczy „kochana Moluk”. Ponieważ mój starszy brat Babak nie umiał wymawiać głoski „k”, mówił na mamę „Moludżun”. Ta wersja jakoś się przyjęła i sam teraz zawołałem do matki, próbując powstrzymać drżenie głosu:

– Moludżun, proszę, nie kłóć się z nimi.

Posłyszałem jej szybkie kroki, a chwilę potem przeszła obok mojego pokoju z błękitnym szalem w kwiatowe wzory na głowie.

– Teraz już dobrze? – spytała.

W moim pokoju stał duży regał na książki, pełen zachodnich powieści i płyt. Były tam książki z autografami wybitnych irańskich reformatorów, komplety płyt HBO DVD oraz sterty egzemplarzy „Vanity Fair”, „New Yorkera” i „Newsweeka”. Dla pana Wody Różanej był to z pewnością teren obcy. Wciąż wertował moje papiery i książki, choć z twarzy nie zniknął mu wyraz jawnej dezorientacji.

Usiadłem na łóżku i obserwowałem go aż do czasu, gdy mi powiedział, żebym poszedł do kuchni i zjadł śniadanie, a oni tymczasem przeszukają mój pokój. W kuchni mama naląła mi filiżankę herbaty i położyła kilka daktyli na porcelanowym talerzyku. Potem usiadła przy stole naprzeciwko mnie i po cichu podsunęła mi daktyle.

– *Bochor* – powiedziała z uśmiechem. – Zjedz trochę.

Wiedziałem, że chce mnie zapewnić o swojej wierze, że znajdę dość siły, by przetrwać tę ciężką próbę, niezależnie od tego, co się stanie.

Zawstydziła mnie swoją odwagą, ale nie zaskoczyła. Siła mojej matki inspirowała mnie przez całe życie. Niemniej czułem się winny, gdy pomyślałem, jak bolesny będzie dla niej widok kolejnego członka rodziny, zabieranego do więzienia za opór wobec irańskiego reżimu.

W grudniu 1954 roku przyszli po mojego ojca. W Iranie panował wtedy

prozachodni autokrata, szach Mohammad Reza Pahlawi. Mama oczywiście nie lubiła opowiadać o tym wydarzeniu – o tym, jak tamtej zimnej nocy tajna policja szacha i żołnierze królewskiej armii irańskiej najechali na ich dom. Miała wtedy dwadzieścia dziewięć lat, a mój ojciec dwadzieścia siedem. Byli małżeństwem od dwóch lat. Mieszkali w domu rodzinnym mojej mamy w Sangaladż, południowej dzielnicy Teheranu, razem z ich pierwszym dzieckiem Babakiem (wówczas dziesięciomiesięcznym) i dwiema moimi ciotkami. Podobno w czasie, gdy zbirowaty facet nazwiskiem Razwani (później przesłuchiwał ojca) obrzucał tatę wyzwiskami w obecności mamy, mojego brata i ciotek, żołnierze plądrowali dom, zabierając wszystko, co wpadło im w oko. „Przeszukiwali nawet ubrania twojego ojca – wspominała mama. – Przyłapałam jednego, jak kradł bieliznę taty”.

Ojciec był przez wiele lat członkiem Tudehu, czyli komunistycznej partii Iranu. Partia ta została parę lat wcześniej zdelegalizowana, po tym, jak jednego z jej członków oskarżono o próbę zamachu na szacha. Ojciec jednak kontynuował działalność partyjną, organizując strajki i demonstracje antyrządowe z ramienia Związku Zawodowego Metalowców. Wyszukiwał też kryjówki dla prześladowanych przywódców partii. Po wielomiesięcznym areszcie, podczas którego przeszedł tortury i był przetrzymywany w izolatce, został oskarżony o przynależność do organizacji wywrotowej i skazany na piętnaście lat więzienia.

Podczas odbywania przez ojca wyroku mama co tydzień chodziła z Babakiem pod więzienie Szezel Kal'eh albo Kasr i czekała tam godzinami na zgodę, by się zobaczyć z mężem. Zarówno ona, jak i członkowie rodzin innych więźniów politycznych byli bardzo często odsyłani z niczym. Jednocześnie – wychowując samotnie Babaka i pracując jako nauczycielka w szkole podstawowej – walczyła nieustannie o zwolnienie ojca, wykorzystując przy tym wszelkie możliwe koneksje. W końcu się udało. Obniżyli wyrok mojego ojca z piętnastu do dwóch lat. Człowiek, który wrócił do niej do domu, był jeszcze silniejszy od tego, którego jej zabrano.

Ojciec przeszedł w więzieniu ciężkie tortury – stracił wszystkie zęby, a paznokcie u nóg miał zdeformowane. A jednak te miesiące spędzone w izolatce wzmocniły tylko jego determinację. Tortury szacha złamały partię Tudeh, ale nie mojego ojca. Po uwolnieniu był równie ważną figurą dla swych przyjaciół i rodziny jak poprzednio. Wydaje mi się, że podobała mu się rola, jaką odgrywał. Był przystojnym mężczyzną, z dużymi, pięknymi oczyma i pełnymi wargami. Nie miał matury, ale znał na pamięć setki klasycznych perskich wierszy, a przemawiał tak, jakby skończył uniwersytet. Stylizował się na bohatera radzieckiej literatury socrealistycznej – tajemniczego rewolucjonistę, który mógłby odnieść sukces w każdej dziedzinie, ale zamiast tego postanowił poświęcić życie dla ideałów rewolucji komunistycznej. Pomoc wyzyskiwanym i walka o lepszą przyszłość Iranu stały się częścią tożsamości ojca.

Wkrótce jednak dojrzał i zdał sobie sprawę, że rewolucja i przemoc nie ulecą historycznej słabości Iranu. Pomimo tortur, jakich doświadczył z rąk reżimu, w lutym 1957 roku zaczął pracować w administracji państwowej, by spróbować zmienić system od środka. Dzięki połączeniu ciężkiej pracy, uroku osobistego i inteligencji został wysokim urzędnikiem w Ministerstwie Przemysłu i Kopalnictwa, a w końcu dyrektorem generalnym największej państwowej firmy budowlanej. Jako dyrektor uznał za swój priorytet dobrobyt pracowników i ich rodzin. Pomagał im w sprawach mieszkań, ubezpieczenia zdrowotnego i emerytur. Mówił z dumą, że jako dyrektor generalny zrobił dla robotników więcej niż jako działacz związkowy.

Pomimo swojej nienawiści do dyktatury szacha mój ojciec i wielu innych młodych Irańczyków z jego pokolenia popierało wysiłki monarchy na rzecz modernizacji kraju. Podczas tego dwudziestolecia, kiedy ojciec pracował dla rządu, rozwinęły się nowoczesne dziedziny przemysłu, wielu irańskich studentów zdobyło wykształcenie na Zachodzie, a irańska sztuka i kultura zostały poddane mocnemu wpływowi Europy i Ameryki. Zachodni sojusznicy szacha, zwłaszcza Amerykanie, popierali jego modernizacyjne dążenia, ale również tyranie, jaka się z tym wiązała. Szach był pod wieloma względami doskonałym partnerem dla Zachodu; wspierał kraje zachodnie dostawami taniej ropy naftowej i kupował najnowocześniejsze uzbrojenie dla swojej rozrastającej się nieustannie armii. Pozwalał także Amerykanom szpiegować swojego północnego sąsiada, Związek Radziecki.

Wielu tradycyjnie myślących, pobożnych Irańczyków czuło się wyobcowanych w wyniku tego procesu gwałtownej modernizacji. Już jako dziecko obserwowałem, że niektórzy moi krewni, pochodzący z biedniejszych i bardziej religijnych części kraju, czuli do nas pewną urazę z powodu pozycji, jaką ojciec zajmował w administracji szacha. Trudno im było znieść fakt, że mieszkaliśmy w przestronnym domu i mieliśmy kolorowy telewizor (co w latach 70. XX wieku było w Iranie dużą sprawą). Poza tym nie akceptowali naszych zwyczajów: tego, że moja siostra i matka nie chciały się modlić i nosić szala na głowie, a ojciec i jego przyjaciele wypijali parę butelek importowanej szkockiej whisky podczas cotygodniowej partii pokera.

Agenci służby bezpieczeństwa tłumili wszelką krytykę reżimu, a mimo to rozziew pomiędzy religijnymi masami i prozachodnią dyktaturą robił się coraz większy, aż w końcu uruchomił antyzachodni ruch fundamentalistyczny, prowadzony przez ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego. W latach 1965–1978 Chomeini przebywał na wygnaniu w sąsiednim Iraku i stamtąd kontaktował się ze swoimi zwolennikami za pośrednictwem nielegalnych ulotek i kaset magnetofonowych, kierując gniew ludu przeciw szachowi i jego związkom z USA. Twierdził przede wszystkim, że władca i Amerykanie współpracują zgodnie, by zniszczyć wiarę muzułmańską w Iranie. Chomeini obiecywał, że przyniesie krajowi

sprawiedliwość, niezawisłość i dobrobyt. W miarę jak rosło poparcie dla Chomeiniego, szach tracił pewność siebie i wykazywał coraz większą skłonność do desperackich posunięć. W styczniu 1978 armia szacha otworzyła ogień do tłumu zwolenników ajatollaha, co doprowadziło do jeszcze większego poparcia społecznego dla ruchu islamskiego. Po roku demonstracji i gwałtownych protestów szacha obalono, a 11 lutego 1979 roku powstała Islamska Republika Iranu. Chomeini wrócił do kraju i został „najwyższym przywódcą” – duchowym autorytetem, do którego należało ostatnie słowo we wszystkich sprawach państwa.

Chomeiniego popierali nie tylko religijni Irańczycy. Wielu zeświecczonych obywateli kraju, opowiadających się za rozdziałem meczetu od państwa, również poparło rewolucję. Mieli po prostu dość despotyzmu szacha i jego wysługiwania się Zachodowi; pragnęli demokratycznych rządów i wolności słowa, obiecanych przez Chomeiniego. Nawet mój ojciec, któremu z czasem obrzydła idea gwałtownej rewolucji i który wierzył, że reżim szacha da się zreformować od wewnątrz, cieszył się z przewrotu i usunięcia z kraju amerykańskich baz wojskowych i wywiadowczych.

– Nie jestem pewien, co będzie dalej – mówił ze łzami w oczach – ale nigdy nie wybaczę szachowi i jego amerykańskim patronom, że zabili dziesiątki moich przyjaciół.

Mój ojciec – tak jak wielu innych Irańczyków, którzy poparli rewolucję Chomeiniego, nie wiedząc, „co będzie dalej” – zapłacił za swą łatwowierność wysoką cenę. Wkrótce po dojściu do władzy ajatollah powołał fundamentalistyczny rząd, jeszcze bardziej represyjny niż reżim szacha. Rząd ten rozpoczął działalność od osądzenia i zgładzenia wielu dowódców armii królewskiej na dachu rezydencji Chomeiniego. Bywały dni, gdy dziesiątki wojskowych i „bezpieczniaków” szacha mordowano na tym dachu, a wewnątrz budynku rewolucjoniści jedli akurat śniadanie albo obiad z ajatollahem. Uznawszy, że do obrony nowo powstałego rządu islamskiego niezbędna jest jakaś siła zbrojna, Chomeini utworzył Korpus Strażników Rewolucji. Przy jego pomocy zaczął likwidować metodycznie grupy opozycyjne, które tworzyli przedstawiciele dawnego reżimu, mniejszości etniczne, a także dysydenci polityczni. Ofiarą tych czystek padło wielu ludzi, którzy pomogli wynieść Chomeiniego do władzy. Rewolucja pochłonęła wiele istnień ludzkich i uderzyła też w moją rodzinę. Mojego ojca natychmiast zwolniono z pracy, a na jego miejsce powołano jakiegoś rewolucyjnego młokosa bez doświadczenia w branży. Ojciec przez lata nie mógł znaleźć pracy i musiał w końcu przejść na bardzo skromną emeryturę. To upokorzenie dotknęło go znacznie mocniej niż tortury w więzieniu szacha. Został złamanym i zgorzkniałym człowiekiem; łatwo się zaperzał. Zaczął nienawidzić Chomeiniego i wszystkiego, co się z nim wiązało.

Drugim członkiem mojej rodziny, który trafił do więzienia, była moja siostra Marjam. W kwietniu 1983 roku, kiedy miała dwadzieścia sześć lat – a ja szesnaście – rodzice odebrali telefoniczną wiadomość, że Marjam została aresztowana w mieście Ahwaz na południu kraju. Marjam z początku popierała rewolucję islamską. Wierzyła obietnicom Chomeiniego, że obalenie starego reżimu otworzy nową erę wartości demokratycznych i wolności. Szybko jednak zrozumiała, jak ogromnie się pomyliła.

Nigdy mnie nie dziwiło, że Marjam tak gorliwie poparła rewolucję. Podobnie jak ojciec żyła swoimi ideami. Kochała lud i chciała mu pomóc. Kochała też sztukę. Brała lekcje baletu, uwielbiała rysować i malować. Marjam i ja mocno się różniliśmy: ona była cokolwiek egzaltowaną ekstrawertyczką, a ja zawsze byłem powściągliwy. Niemniej była moim najlepszym przyjacielem.

Była ode mnie dziesięć lat starsza, ale rozumieliśmy się bez słów. Wystarczyło spojrzenie, westchnienie albo ruch rąk. Jej gusty muzyczne, filmowe i literackie miały na mnie duży wpływ, a nasza miłość do sztuki wiązała nas mocno. Uwielbiała Ala Pacino, a ja widziałem wszystkie filmy z jego udziałem, począwszy od *Pieskiego popołudnia*, które zobaczyłem, gdy miałem osiem lat. Kochała muzykę i balety Strawińskiego, a ja przez całe życie starałem się oglądać wszystkie inscenizacje *Ognistego ptaka* i *Święta wiosny*, które tylko mogłem zobaczyć.

W 1979 roku dwudziestotrzyletnia wówczas Marjam poszła w ślady ojca i wstąpiła do partii Tudeh, która pomimo obietnic Chomeiniego co do tolerancji pozostała nielegalna. Dwa lata później zakochała się w Mohammadzie Sanadzadehu, inżynierze, który niedawno skończył Uniwersytet Teherański. Pobrali się w 1981 roku i przeprowadzili do Ahwazu w prowincji Chuzestan, na południu kraju, skąd pochodził Mohammad. Wkrótce urodził im się syn Chaled. Rok wcześniej wybuchła wojna iracko-irańska. Zaczęła się od ataku armii Saddama Husajna na Chuzestan. Iracko-irański spór graniczny zaczął się jeszcze za panowania szacha, ale w 1975 Reza Pahlawi zmusił rząd iracki do przyjęcia porozumienia kończącego, jak się zdawało, ten konflikt. Po rewolucji, której efektem było między innymi doszczętne osłabienie armii irańskiej przez rządy islamistów, Saddam Husajn dostrzegł nadarzającą się okazję, by załatwić spór graniczny po swojej myśli. Jednak w stosunkowo krótkim czasie zwykli Irańczycy, służący wciąż w armii, a także Strażnicy Rewolucji odparli atak iracki i na początku 1982 roku odzyskali większość zagrabionych terenów, co jednak nie zakończyło wojny.

Gdy Marjam i Mohammad przenieśli się do Ahwazu, wiele miast tego regionu było zniszczonych przez armię Saddama. Wielu ludzi zginęło, a tysiące straciły dach nad głową. Marjam i Mohammad wybrali Ahwaz, by pomagać tam

uchodźcom wojennym. Oprócz tego ciężko pracowali – ona jako nauczycielka, on jako inżynier – by zabezpieczyć byt swemu synowi Chaledowi. Marjam postanowiła nauczać w jednym z najbiedniejszych obszarów południowego Iranu, w mieście Szadgan. Dojeżdżała tam autobusem, co zajmowało jej w sumie trzy godziny dziennie. Nigdy jednak nie narzekała na fatalne warunki życia i pracy. Była dumna z tego, co robi; uważała to za swój obowiązek wobec ludu.

W Ahwazie Marjam i Mohammad wstąpili do lokalnej komórki partii Tudeh. Byli szeregowymi członkami, więc musieli jedynie uczęszczać na zebrania, kolportować „bibułę” i pomagać uchodźcom. W tym czasie Tudeh wciąż popierał Chomeiniego, a niektórzy członkowie partii pomagali nawet Strażnikom Rewolucji w prześladowaniu innych grup politycznych, przeciwnych ajatollahowi, w nadziei, że zapobiegnie to odrodzeniu się rządów prozachodnich. Niemniej na początku 1983 roku Chomeini zaczął aresztować i osadzać w więzieniach członków Tudehu. Wkrótce torturowani przywódcy partyjni – niektórzy z nich spędzili po dwadzieścia i więcej lat w więzieniach szacha, a wszyscy poparli rewolucję islamską – wystąpili w telewizji, przyznając się do szpiegostwa na rzecz ZSRR i działalności wywrotowej przeciw rządowi islamskiemu.

Mohammad został zgarnięty przez Strażników Rewolucji wiosną 1983 roku, w drugiej fali aresztowań. Tydzień później przyszli po Marjam. Skazano ją na piętnaście lat więzienia (ostatecznie wyrok obniżono do sześciu lat) w żalonym procesie przed samym tylko sędzią, bez ławy przysięgłych. Nie przyznano jej obrońcy, a kiedy próbowała kwestionować zarzuty, sędzia odebrał jej głos. Choć ten sześciolatek wyrok był kpina z sprawiedliwości, nasza rodzina i tak się cieszyła, że Marjam pozostała przy życiu. Przywódcy islamskiego reżimu zgładzili bowiem wielu więźniów politycznych, w tym pewnego młodzieńca, którego skazano na śmierć tylko za to, że w liście do przyjaciela napisał o swojej obawie, iż reżim irański jest na najlepszej drodze do faszyzmu.

Gdy rodzice Chaleda znaleźli się w więzieniu, chłopiec zamieszkał z moją matką, ojcem i ze mną w Teheranie. Był bystrym urwisem z kręconymi włosami; miał niespożytą energię i duże, ciekawskie oczy. W tym czasie miałem szesnaście lat. Z jednej strony cieszyłem się, że nagle zyskałem młodszego brata, ale już pierwszego dnia zabolalo mnie serce, gdy zobaczyłem, jak Chaled, oprowadzany przez moją matkę po domu, zagląda w każdy kąt, szukając swojej mamy i taty. Nie miał jeszcze dwóch lat.

Matka wzięła Chaleda do naszego domu z tą swoją zwykłą, cichą odwagą. Przez następne sześć lat, gdy Marjam odsiadywała wyrok za zbrodnię *moharebeh*, czyli działanie przeciw Allahowi, mama wychowywała wnuka i podobnie jak trzydzieści lat wcześniej, co miesiąc wsiadała z Chaledem do autobusu i tłukła się siedemnaście godzin do Ahwazu na widzenie z Marjam.

Marjam wyszła z więzienia w 1989 roku, gdy rząd islamski zdążył

wymordować większość przywódców Tudehu i doszedł do przekonania, że partia nie stanowi już zagrożenia dla reżimu. To, co Marjam opowiadała o biciu i torturowaniu więźniów, przeraziło nawet mojego ojca. Wielu oprawców w swoim czasie siedziało w więzieniach szacha, więc dobrze wiedzieli, jak przesłuchiwać, by złamać więźniów. „Trzeba będzie lat, żeby Marjam pozbyła się wspomnień więziennych, tego koszmaru” – powiedziała mi matka jakiś tydzień po zwolnieniu mojej siostry. Ale nie jestem pewien, czy Marjam kiedykolwiek doszła do siebie.

Myślałem, że zrobiłem wszystko, by samemu uniknąć takich doświadczeń, ale w końcu przyszli także po mnie. Od czasu, gdy w 1997 roku rozpocząłem moją pracę dziennikarską, przygotowując niezależne relacje z Iranu i pisząc do „Newsweeka”, niezmiernie się pilnowałem, a nawet sam siebie cenzurowałem, by nie podpaść władzom. Postanowiłem nie pisać o tak drażliwych kwestiach jak ruchy separatystyczne czy mniejszości etniczne i religijne. Starałem się pisać uczciwie i bezstronnie, ale nigdy nie byłem nazbyt krytyczny wobec reżimu, a już zwłaszcza najwyższego przywódcy Alego Chameneiego, który zastąpił zmarłego w 1989 roku ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego. Zachowywałem ostrożność w kontaktach towarzyskich, zwłaszcza z obcokrajowcami, którym reżim z zasady nie ufał. Rzadko też spotykałem się w Iranie z kobietami, żeby nie prowokować policji obyczajowej. Byłem świadom poziomu tolerancji władz i starałem się nie przekraczać żadnych granic.

Nie jestem zwolennikiem rewolucji; wierzę w porozumienie i reformy. Zaakceptowałem te skomplikowane – owszem, opresyjne – zasady, których musiałem przestrzegać, by nie budzić podejrzliwości władz, gdyż najważniejsze było dla mnie zachowanie możliwości pracy dziennikarskiej. Wychowawszy się w despotycznym reżimie Republiki Islamskiej – gdzie przepływ informacji był kontrolowany i mocno ograniczony – zrozumiałem, że brak informacji i komunikacji w społeczeństwie prowadzi do bigoterii, przemocy i rozlewu krwi. Spiskowe teorie na temat jakichś „onych” – Zachodu, ponadnarodowych korporacji, tajnych organizacji – knujących spiski przeciwko Iranowi, stłumiły w moim narodzie poczucie samookreślenia, a w rezultacie sprawiły, że całe pokolenie Irańczyków czuło się bezradne i pozbawione nadziei. Uważałem, że moim zadaniem jest dostarczanie rzetelnych, dobrze udokumentowanych informacji, przez co mogłem pomóc światu w lepszym zrozumieniu Iranu – i wyobrażałem sobie, że byłby to mój udział w budowaniu bardziej demokratycznej przyszłości mojego kraju.

Moi najbliżsi – zwłaszcza matka, siostra i moja narzeczona Paola – od lat obawiali się, że będę następną aresztowaną osobą z rodziny, ale wciąż im powtarzałem, że nie zamierzam ryzykować życia dla żadnej sprawy. Jednak tego

poranka, siedząc w milczeniu przy kuchennym stole z matką i obserwując, jak pan Woda Różana chodzi zły po moim pokoju z pudłem moich notatek, widziałem w oczach tych mężczyzn, że pomimo całej mojej ostrożności byłem zagrożeniem dla autorytarnych władców tego kraju, a przez to dla samej Islamskiej Republiki Iranu. Zrozumiałem, że choć tak bardzo starałem się uniknąć losu ojca i siostry, przyjdzie mi zapłacić tę samą cenę – a może i wyższą.

1 Wojna ciągnęła się do 1988 roku, między innymi dzięki zachodniej pomocy dla Iraku – przyp. tłum.

CZEŚĆ PIERWSZA

TUNEL NA KOŃCU ŚWIATŁA

ROZDZIAŁ 1

Jesteś pewna, że to ciąża? – zapytałem i pochyliłem się, by pocałować Paolę w brzuch. – Może tylko coś zjadłaś?

W jej głosie zabrzmiało zmęczenie, gdy odprowadzając mnie do drzwi, powiedziała:

– Tylko wracaj jak najszybciej...

Miała powyżej uszu moich podróży. Kilka ostatnich tygodni spędziłem w Iranie, relacjonując dla „Newsweeka” kampanię przed wyborami prezydenckimi i robiąc film dla BBC, a teraz – ledwie po tygodniu spędzonym w Londynie – znów wyjeżdżałem. Nie miała już cierpliwości dla moich kiepskich żartów. Pocałowaliśmy się długo na pożegnanie, a kiedy wreszcie się od niej oderwałem, miała oczy pełne łez.

Jadąc taksówką od naszego mieszkania w północnym Londynie na lotnisko Heathrow, nie mogłem się uwolnić od wyrzutów sumienia, że znów zostawiłem Paolę samą. Obiecałem jej, że kiedy zajdzie w ciążę, będę z nią, ale w ciągu tych pięciu miesięcy, odkąd zorientowała się, że będzie miała dziecko, zdążyłem już dwukrotnie złamać tę obietnicę. Bardzo chciałem zostać z Paolą w Londynie i przeczytać tę stertę poradników ciążowych, jakie leżały przy naszym łóżku – ale równie mocno zdawałem sobie sprawę, że muszę wracać do Iranu, by relacjonować te historyczne wybory. Czułem wewnętrzną potrzebę bycia naocznym świadkiem wyboru, jakiego ma dokonać mój naród. Stawka była ogromna.

Startowało czterech kandydatów, ale dwóch z nich – Mehdi Karrubi i Mohsen Rezaei – właściwie się nie liczyło. Prawdziwe starcie miało się rozegrać pomiędzy dotychczasowym prezydentem Mahmudem Ahmadineżadem a jego czołowym oponentem, Mir Hosejmem Musawim.

Uważałem, że lekkomyślna polityka prezydenta Ahmadineżada podprowadza Iran do ruiny. Jego bałaganiarskie zarządzanie gospodarką wywołało wysoką inflację i bezrobocie, a nieodpowiedzialne wypowiedzi przysporzyły mu – i krajowi – wielu wrogów. Ale jeszcze gorsze było to, że pod koniec jego czteroletniej kadencji – i przy jawnym poparciu ajatollaha Chameneiego – kraj zabrnął już daleko na drodze do dyktatury.

Jako dawny Strażnik Rewolucji Ahmadineżad obdarzył tę organizację niebezpiecznym zakresem władzy. Gdy powstawała w 1979 roku, była w zasadzie formacją ochotniczą, z wątym zapleczem materialnym, kierowaną przez dawnych bojowników walczących z reżimem szacha. Jednak już w pierwszych latach po rewolucji Strażnicy stali się zaufaną armią i policją nowego rządu, a ich zadaniem

było zwalczanie wszelkich grup, które przez reżim islamski zostały uznane za antyrewolucyjne. W ciągu trzydziestu lat istnienia – a szczególnie za prezydentury Ahmadineżada – polityczne znaczenie Strażników przerosło nawet siłę szyickich przywódców religijnych, którzy od dawna władali Iranem. Co więcej, Strażnicy Rewolucji stali się nie tylko najskuteczniejszą siłą militarną w kraju, ale uzyskali też kontrolę nad dużą częścią irańskiej gospodarki – a co najbardziej niepokojące, także nad programem nuklearnym. W chwili prezydenckich wyborów w czerwcu 2009 roku wydawało się, że Ahmadineżad i Strażnicy z błogosławieństwem ajatollaha Chameneiego spróbują umocnić jeszcze kontrolę nad krajem i cofnąć Iran do klaustrofobicznej epoki lat osiemdziesiątych, kiedy każdy głos niezadowolenia był brutalnie tłumiony.

Zgodnie z irańską konstytucją do najwyższego przywódcy (*rahbar*) należą ostateczne decyzje we wszystkich ważnych sprawach państwa, prezydent zaś, jako szef władzy wykonawczej, jest odpowiedzialny za bieżące kierowanie państwem. Choć prezydent musi słuchać dyrektyw najwyższego przywódcy, to mocny polityk na tym stanowisku – mający poparcie społeczne i potrafiący wykorzystywać luki systemu – może wyrobić sobie taki zakres niezależności, by konkurować z najwyższym przywódcą.

Od roku 1989, gdy został najwyższym przywódcą, aż do elekcji Ahmadineżada w 2005 roku Chamenei miał dwóch silnych prezydentów: Akbara Haszemiego Rafsandżaniego i Mohammada Chatamiego. Obaj czasami sprzeciwiali się zdecydowanie – choć nieoficjalnie – Chameneiemu, więc ajatollah dla utrzymania poparcia społecznego tolerował te różnice zdań i nie krytykował publicznie Rafsandżaniego ani Chatamiego. Obecność tych dwóch stosunkowo niezależnych prezydentów ograniczała władzę najwyższego przywódcy i powstrzymywała Iran od przekształcenia się w państwo totalitarne, choć w kraju panował wciąż brutalny reżim autorytarny.

Jednak z takim całkowicie posłusznym prezydentem jak Ahmadineżad najwyższy przywódca Chamenei mógł robić, co chciał, zyskać władzę absolutną i stłamsić każdego, kto mu się nie podporządkuje. Dla wielu Irańczyków była to perspektywa przerażająca, ale liczni zwolennicy Ahmadineżada opowiadali się za nią całym sercem. Dla nich Chamenei nie był zwykłym przywódcą państwowym, lecz namiestnikiem Allaha na ziemi, królem-bogiem, któremu słusznie przysługiwała całkowita kontrola nad życiem obywateli.

Chociaż najwyższy przywódca powinien zachować bezstronność w kwestii wyboru prezydenta, nie było wątpliwości, że Chamenei popierał Ahmadineżada. Jakiś miesiąc przed wyborami Chamenei wygłosił w Kurdystanie przemówienie, w którym skrytykował „tych, co wyolbrzymiają problemy kraju” i wezwał Irańczyków do zagłosowania na kandydata, który „żyje skromnie, nie jest zepsuty i rozumie, co naprawdę doskwiera ludowi”. Chamenei nie wymienił żadnego

nazwiska, ale dla nikogo nie było tajemnicą, że ajatollahowi chodziło o Ahmadineżada.

Korzystając z pomocy Chameneiego i Strażników, Ahmadineżad zrobił wszystko, by zapewnić sobie reelekcję. Korzystając ze zwyczki cen ropy, która daje osiemdziesiąt procent dochodów Iranu, postanowił wydać miliardy dolarów na niezabezpieczone pożyczki, byle zapewnić sobie głosy. Można więc było dostać pożyczkę na wesele czy studia albo zaciągnąć problematyczny kredyt hipoteczny. Wysokość i liczba udzielonych pożyczek rosła w miesiącach przedwyborczych, a tymczasem Ahmadineżad jeździł po kraju i ostrzegał tłumy, że po wyborach tylko on będzie dalej wspierał ubogich. Jeśli do władzy dojdzie ktoś inny, pożyczki się skończą, a biedacy znów wpadną w tarapaty. Innymi słowy, Ahmadineżad próbował sobie kupić, za państwowe pieniądze, ponowny wybór.

Musawi pod wieloma względami stanowił przeciwieństwo Ahmadineżada. W latach 1982–1989 był premierem Iranu, choć kompetencje tego urzędu nigdy nie zostały jasno określone w konstytucji irańskiej, a sam urząd zlikwidowano w 1989 roku, po śmierci Chomeiniego. Musawi był teraz jednym z przywódców ruchu reformistycznego: należał do pokolenia byłych rewolucjonistów, którzy chcieli skończyć z ekstremistyczną polityką i retoryką poprzednich lat i pchnąć kraj na drogę większego szacunku dla wolności słowa, praw obywatelskich i porozumienia z resztą świata. Musawi opowiadał się za bardziej otwartą i demokratyczną interpretacją islamu; chciał większej przewidywalności i przejrzystości polityki Islamskiej Republiki Iranu. Jego zwolennicy mieli nadzieję, że za jego prezydentury władza polityczna i religijna zaprzestanie tak dogłębnego ingerowania w życie osobiste obywateli, dając im więcej swobody w różnych sprawach – od ubioru po prowadzenie interesów. Innymi słowy, oznaczało to nadzieję – choć nikt tego głośno nie mówił – że Musawi ograniczy władzę najwyższego przywódcy.

Oczywiście wśród wielu niewiadomych w nadchodzących wyborach była kwestia, jak właściwie Musawi chce zrealizować ów cel. On sam nie wchodził w szczegóły – bo i nie mógł. Komisja wyborcza, której członków wyznaczał sam Chamenei, mogłaby bez trudu zdyskwalifikować Musawiego, gdyby odważył się otwarcie skrytykować najwyższego przywódcę. W Iranie jedynie kandydaci zaaprobowani przez najwyższego przywódcę i jego wybranych urzędników – Radę Strażników Konstytucji – mogą się ubiegać o urząd prezydencki. Tak naprawdę to Musawi był głównym kandydatem reformistów tylko „z braku laku”, bo wszyscy inni kandydaci zostali zdyskwalifikowani przez komisję wyborczą albo nawet się nie rejestrowali, wiedząc, że i tak nie zostaną dopuszczeni do kampanii.

Labirynt irańskiego systemu politycznego jest zagmatwany nie tylko dla obcokrajowców, ale też dla samych Irańczyków. To zagmatwanie bierze się stąd, że samo pojęcie „republika islamska” jest wewnętrznie sprzeczne. Z jednej strony

rząd ma się opierać na takich demokratycznych procedurach jak wybory i referenda, w których naród wybiera swojego prezydenta, członków parlamentu i innych wybieralnych urzędników. Z drugiej zaś strony najwyższy przywódca ma – zgodnie z konstytucją – decydujące słowo we wszystkich sprawach państwowych, co daje mu absolutną władzę. Jednak w tym systemie są też pęknięcia, przez które niekiedy przebija się światło.

Zgodnie z konstytucją najwyższy przywódca może zawetować projekty ustaw przyjęte przez parlament, a nawet zmusić prezydenta do ustąpienia. W praktyce jednak rzadko występuje bezpośrednio przeciw woli wybranych oficjeli, gdyż sam potrzebuje pewnego wsparcia od nich oraz od ludzi, którzy ich wybrali, by utrzymać swoją polityczną, religijną i społeczną legitymację. Bywało, że najwyższy przywódca nie dopilnował selekcji kandydatów i reformistyczni politycy wchodzili do parlamentu, a nawet sięgali po prezydenturę. W maju 1997 wybrano na prezydenta Mohammada Chatamiego, chociaż Chamenei otwarcie popierał innego, bardziej konserwatywnego kandydata. Prawie trzy lata później, w lutym 2000 roku, reformistyczni politycy zdobyli przewagę w parlamencie. Do końca prezydentury Chatamiego w 2005 roku najwyższy przywódca i jego konserwatywni zwolennicy mieli twardy orzech do zgryzienia. Wyciągnęli z tego naukę na przyszłość.

Wprowadzili zaostrzoną procedurę kwalifikacji kandydatów do wyborów parlamentarnych i prezydenckich. W 2009 roku z 476 osób, które się zarejestrowały, zaledwie czterech zakwalifikowano do wyborów prezydenckich. Wszyscy oni byli od rewolucji 1979 roku wysokimi funkcjonariuszami reżimu.

Teraz mój samolot podchodził do lądowania w Teheranie. Wybory miały się odbyć za trzy dni. Staralem się przegnać wyrzuty sumienia z powodu pozostawienia Paoli i mieć stale w pamięci, że trafiła mi się wyjątkowa okazja, by pomóc światu w zrozumieniu naszego systemu politycznego. Wydawało mi się, że mój naród, a także wielu ludzi na całym świecie czeka na wyniki tych wyborów tak samo jak ja. Zawsze opowiadałem się za pokojową zmianą systemu. Sądziłem, że wielu ludzi z irańskich sfer rządzących rozumie, że wewnętrzny ucisk obywateli i odcinanie się od reszty świata doprowadzi do katastrofy, która boleśnie dotknie naród, a równocześnie osłabi zdolność rządu do kierowania krajem. Miałem nadzieję, że Chamenei i jego ludzie zdołają zrozumieć, że młodzi Irańczycy są coraz lepiej wykształceni i wciąż się zmieniają – więc także forma rządów powinna się zmieniać. Alternatywą dla pokojowej zmiany były chaos i przemoc, dalsze potępienie na arenie międzynarodowej i sankcje ekonomiczne. Krótko mówiąc: jeszcze więcej cierpień dla mojego narodu.

Obiecałem Paoli, że „będę z powrotem tydzień po wyborach”. Siedzieliśmy wtedy przy stole, ciesząc się pierwszą od miesiąca kolacją przy świecach. „Weźmiemy ślub w lipcu. I będę z tobą co dnia aż do rozwiązania, i przynajmniej

trzy miesiące po. Nie pojedę do Iranu ani nigdzie indziej, choćby nie wiem, co się działo”. Gdy zmywaliśmy naczynia i Paola pomagała mi się pakować, czułem podniecenie tym wszystkim, co mnie czekało: spędzeniem mnóstwa czasu z Paolą, urodzinami naszego dziecka i wyborami nowego, bardziej postępowego przywódcy mojego kraju – nowej nadziei dla Iranu.

Dochodziła czwarta rano, gdy znalazłem się na międzynarodowym lotnisku im. Imama Chomeiniego. Wiedziałem już, że podjąłem słuszną decyzję. Na lotnisku panowała gorąca atmosfera. Tłumy zagranicznych reporterów blokowały punkty odprawy celnej, ciągnąc za sobą wielkie walizki z kamerami i innym sprzętem. Co charakterystyczne, rząd irański, który z zasady ograniczał liczbę wiz przyznawanych zagranicznym dziennikarzom, przed wyborami wydawał je setkami, chcąc się pochwalić otwartością islamskiej demokracji w działaniu.

Gdy opuściłem wreszcie lotnisko, na zewnątrz było jeszcze ciemnawo, a czerwcowe powietrze było ciężkie i parne. Wśród taksówek czekających na pasażerów trafiłem na pana Rustę, taksówkarza z firmy, której byłem częstym klientem, gdy przebywałem w Iranie. Pan Rusta podbiegł do mnie i wziął moją walizkę. Na jego twarzy jaśniał szeroki uśmiech, tylko częściowo przysłonięty bujnym siwym wąsem.

– *Salaam, Aghayeh Bahari* – powiedział. Czyli: „Halo, panie Bahari”. – No i co będzie z tym Musawim? Myślę, że wygramy!

Zdziwiłem się, słysząc te słowa. Gdy parę tygodni wcześniej rozmawiałem z panem Rustą, powiedział mi, że nie wybiera się na wybory. Namawiałem go wtedy, by przemyślał ponownie swoje plany.

– Wytrzyma pan jeszcze cztery lata z tym idiotą Ahmadineżadem? – spytałem go wówczas.

– Nie zniosę go ani dnia dłużej – odparł pan Rusta, a potem rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie. – Ale wie pan, panie Bahari, że nasze głosy nie będą się liczyły. *Chodeszun* – „oni” – zdecydują, kto będzie nami rządził.

Było to dość typowe myślenie Irańczyków. Iran przez dwa i pół tysiąca lat rządzony był przez tyranów, często zepsutych i skorumpowanych, a przez dwa stulecia przed rewolucją islamską Rosja, Wielka Brytania i Ameryka mieszały się, jak chciały, w wewnętrzne sprawy kraju. Mając w pamięci tę długą historię inwazji zewnętrznych i różnych dyktatur, wielu Irańczyków wierzy, że o biegu zdarzeń w ich ojczyźnie naprawdę decydują jacyś „oni” – czyli konglomerat państw zachodnich, ponadnarodowych korporacji i skorumpowanych irańskich polityków.

Nigdy nie lubiłem wyrażenia *chodeszun*. Mój ojciec zawsze uważał, że zwalając winę za wszystkie kłopoty na „onych”, ucieka się tchórzliwie przed odpowiedzialnością. „To *maa*, my, jesteśmy winni – mawiał. – To my

spieprzyliśmy sprawę, a teraz zwalamy winę na nich”. Tata lubił okraszać swoje wypowiedzi takimi soczystymi wyrażeniami.

Powiedziałem panu Ruście, że naprawdę nie wiem, kim są ci „oni”, ale musimy skorzystać z jedynej broni, jaką dysponujemy, by się „ich” pozbyć: mianowicie z naszego głosu. Przekonywałem go, że wybór Musawiego będzie dobrą nowiną z Iranu dla reszty świata, który jest, delikatnie mówiąc, zaniepokojony naszą polityką, a w gruncie rzeczy prowokowany przez nieodpowiedzialne komentarze i posunięcia Ahmadineżada. Oczywiście nikt nie mógł nazwać Musawiego demokratą w typie Jeffersona, ale przynajmniej nie kwestionował Holocaustu, nie obrażał światowych przywódców i nie groził innym państwom zniszczeniem, co Ahmadineżad robił na okrągło. To przynajmniej powinno być jakąś solidną przesłanką do właściwej decyzji. Teraz, jakieś dwa tygodnie po tamtej rozmowie, byłem uradowany, że pan Rusta zmienił zdanie i zamierzał głosować. Przykleił nawet na tylnej szybie samochodu duże zdjęcie Musawiego.

– Dał pan to zdjęcie, by już nigdy nie oglądać się wstecz ze złością – zażartowałem.

– W tym kraju, panie Bahari, dobrze jest nie oglądać się wstecz – odparł pan Rusta. – A poza tym osłania przed słońcem...

Zmęczony długim lotem, usadowiłem się wygodnie przed godziną jazdą do mieszkania mojej matki w centrum miasta, gdzie zatrzymuję się, ilekroć jestem w Teheranie. Bilbordy przy Autostradzie Zatoki Perskiej – niektóre reklamujące luksusowe towary, takie jak samochody BMW albo zegarki Tag Heuer, a inne z podobiznami Ruhollaha Chomeiniego i Alego Chameneiego – wyglądały znajomo i nie mówiły wiele o sytuacji przed nadchodzącymi wyborami. Ale już pół godziny później, gdy wjechaliśmy wreszcie na ulicę Nawab, poczułem, że dostaliśmy się do całkiem nowego Teheranu. Mury oklejone były plakatami i banerami kandydatów znacznie bardziej niż ledwie tydzień temu, gdy wyjeżdżałem z Iranu. W tych neonowych czerwieniach, bielach i zieleniach – co razem dawało barwy irańskiej flagi – miasto wyglądało jak miejscowa wersja kolażu Jaspera Johnsa. Zauważyłem zaledwie kilka plakatów marginesowych kandydatów – Mehdiego Karrubiego, byłego przewodniczącego parlamentu, i Mohsena Rezaeiego, byłego dowódcy Korpusu Strażników Rewolucji – główny pojedynek na murach toczył się między Ahmadineżadem i Musawim.

Na niektórych plakatach wyborczych Ahmadineżad ukazywał się w swojej „firmowej” beżowej marynarce i z fałszywym uśmiechem na twarzy. Trzy splecione okręgi – symbol energii atomowej – widniały na wielu jego wizerunkach. Ahmadineżad zrobił z kontrowersyjnego programu nuklearnego kwestię narodowej dumy, kreując się na kandydata, dzięki któremu Iran stanie się mocarstwem atomowym.

Podczas gdy Ahmadineżad wyglądał na swych plakatach agresywnie, Musawi sprawiał wrażenie łagodne i skromne. Ten architekt i malarz abstrakcjonista, z siwiejącą brodą, wydatnym nosem i w grubych okularach, nie wyglądał na polityka. Miał teraz sześćdziesiąt parę lat i przypominał raczej emerytowanego profesora, który chciał tylko w spokoju dożyć końca swoich dni. Jednak w istocie był to człowiek, w którym pokładaliśmy wszelkie nasze nadzieje. Mimo wszystko.

Gdy przed szóstą dotarłem do domu mojej matki, było już całkiem jasno. Miałem nadzieję, że jej nie obudzę, ale mama była już na nogach i czekała na mnie.

– Mazi *džaan* – powiedziała do mnie: Kochany Mazi. Ostatnio ścisnęła mnie jakby dłużej i mocniej.

– Co u ciebie słyhać, Moludżun? – spytałem, wręczając mamie dwie duże puszki jej ulubionych czekoladek, które kupiłem dla niej na Heathrow. Nie odpowiedziała. Poszła tylko do kuchni i położyła na stole płaski chleb *sangak* i ser.

– Jadłeś śniadanie? – spytała.

Wiedziałem, że stara się uniknąć odpowiedzi na moje pytanie. Usiadła i zaczęła w milczeniu popijać herbatę z kwaśnym dżemem wiśniowym. Wyglądała na zmęczoną, nawet na więcej niż na swoje osiemdziesiąt trzy lata. Widziałem smutek w jej oczach.

W lipcu 2005 roku umarł na udar mój ojciec. Niecałe dwa lata później, w czerwcu 2007 roku, zmarł na atak serca mój brat Babak, czternaście lat starszy ode mnie; miał wtedy pięćdziesiąt cztery lata. A w lutym 2009 roku Marjam, która była dla mamy i dla mnie najbliższą osobą, przegrała swoją krótką walkę z białaczką. Teraz z całej rodziny zostaliśmy tylko we dwoje, mama i ja, co sprawiło, że staliśmy się sobie jeszcze bliżsi.

– No to co u ciebie, Moludżun? – powtórzyłem.

Pokręciła głową i powiedziała:

– A co ma być, Mazi *džaan*? Jak ci się wydaje?

Nie odpowiedziałem. Wiedziałem, że dźwiga ciężkie brzemie smutku – tak ciężkie, że nie chciała się nim podzielić nawet ze mną. Myślała, że milcząc oszczędzi mnie.

Gdy siedzieliśmy tak w kuchni, to milczenie zaczęło mi niemiłosiernie ciążyć, ale nie wiedziałem, jak je przerwać. Nie chciałem jej denerwować. Wstałem i wziąłem z kredensu kuchennego przesznuowaną butelkę whisky Johnnie Walker. Dołałem sobie do herbaty. Miałem nadzieję, że pomoże mi usnąć.

– Zjadłbyś może *baghali ghatogh* i rybę? – spytała mama, zmieniając temat i rozwijając sreberko z czekoladki.

Baghali ghatogh to danie z północy Iranu, skąd też pochodziła moja matka.

Robi się je z bobu, różnych ziół i jajek. Mój brat nazywał *baghali ghatogh* „specjalnością Moludżun”, a wszyscy lubiliśmy to danie najbardziej z całego menu mamy.

– Musisz coś zjeść, zanim zaczniesz relacjonować gadki tego aszghala – powiedziała mama, robiąc aluzję do Ahmadineżada. *Aszghal* to po persku „śmieć”, co w ustach mojej mamy było najgorszą obelgą.

No i dobrze, pomyślałem. Moja mama radziła sobie ze złym nastrojem jak typowa Iranka: za pomocą gotowania i humoru. Wiedziałem, że nie ma sensu naciskać jej, by ujawniła przyczynę swojego smutku, więc przeszedłem do jej innego ulubionego tematu – polityki.

Mama poznała mojego ojca przez partię Tudeh, gdy była dwudziestopięcioletnią studentką chemii na Uniwersytecie Teherańskim. Partia wyznaczyła ojca do indoktrynacji studentów w kwestii walki klasowej. Jak wielu wykształconych młodych ludzi z jej pokolenia, matka wierzyła, że komunizm jest remedium na zacofanie Iranu. Czytała książki radzieckich pisarzy, takich jak Maksym Gorki czy Michaił Szołochow, i wyrobiła sobie romantyczną wizję komunizmu. Dla mojej mamy ojciec – ze swoimi szerokimi ramionami i dużymi, ciemnymi oczami – był nie tylko przystojnym i wygadany agitatorem partyjnym; zdawał się jej wręcz postacią z ulubionych książek.

W 1953 roku, gdy rząd szacha przystąpił do rozprawy z komunistami, moja mama mocno to odczuła. Wyrzucili ją z uniwersytetu i przez rok nie mogła pracować w szkole podstawowej. Od tamtego czasu Moludżun zdążyła, tak jak i ojciec, rozczarować się do idei rewolucji, ale nigdy nie przestała się interesować polityką. Pierwszymi słowami, jakie nauczyła mnie czytać, nie były wyrazy, które zazwyczaj czytają dzieci, jak stół czy ptak, ale nazwiska Jasira Arafata i Goldy Meir – przywódców Palestyny i Izraela. Za moich przedszkolnych czasów mama uczyła mnie czytać nie z książeczek dla dzieci, lecz z gazetowych komentarzy politycznych. Była zresztą dobrą nauczycielką: jeszcze zanim poszedłem do szkoły, wiedziałem, jak pisze się takie wyrażenia jak „wartość dodatkowa” czy „interwencjonizm”, choć nie miałem pojęcia, co właściwie znaczą.

– Podjęłam decyzję – odezwała się, gdy popijałem swoją herbatę z whisky.
– Niegłosowanie oznacza głos na Ahmadineżada. Będę głosować na Musawiego.

To było zaskoczenie. Podobnie jak pan Rusta moja matka była od dawna rozczarowana irańskimi przywódcami i od lat nie brała udziału w wyborach.

– A skąd ta zmiana? – spytałem.

– To przez tę debatę, a zwłaszcza sposób, w jaki Ahmadineżad personalnie zaatakował Musawiego.

Parę dni wcześniej, 3 czerwca, Ahmadineżad i Musawi wzięli udział w debacie telewizyjnej. Atakowali się mocno, podgrzewając nastroje wśród wyborców. Musawi powiedział Ahmadineżadowi, że jego rząd naraził na szwank

godność narodową. „Wywołało to poważne szkody społeczne i napięcia w stosunkach z innymi krajami” – stwierdził. W odpowiedzi Ahmadineżad parsknął śmiechem i oskarżył Musawiego o przynależność do skorumpowanych elit Republiki Islamskiej, które czerpały nielegalne korzyści ze swojej uprzywilejowanej pozycji od samych początków rewolucji.

Ahmadineżad pokazał następnie odbitkę dyplomu doktorskiego żony Musawiego, Zahry Rahnaward, i powiedział, że doktorat ten został uzyskany nielegalnie. „To jest bezprawie, a mój rząd opiera się na prawie i obowiązujących przepisach” – rzucił Musawiemu prosto w oczy.

Rodzina to w Iranie rzecz święta. Moim zdaniem Ahmadineżadowi należało się powszechne potępienie za jego grubiaństwo – był to pierwszy przypadek, by jakiś kandydat publicznie zaatakował żonę swego konkurenta – ale jego zwolennicy zachwycali się pryncypialnością Ahmadineżada, nazywając jego pomówienia niezbędnym krokiem na drodze do ujawnienia prawdziwej twarzy reformistów. Ostatecznie debata podzieliła społeczeństwo irańskie w stopniu, jakiego nie pamiętałem.

– Ta debata pokazała prawdziwą naturę Musawiego i Ahmadineżada – powiedziała matka. – Musawi mówił spokojnie i grzecznie o sprawach zasadniczych. Ahmadineżad nie ma po prostu wychowania. Był prostacki jak zawsze. *Aszghal!* Po tej debacie postanowiłam zagłosować na Musawiego.

– Podjęłaś mądrą decyzję, Moludżun – powiedziałem, a potem pocałowałem ją w policzek i poszedłem się przespać do swojego pokoju.

Gdy obudziłem się dwie godziny później, nie mogłem się doczekać spaceru po ulicach Teheranu. Zadzwoiłem do mojego przyjaciela Mazdaka, fotografa i gorącego entuzjasty Musawiego, który był zawsze pierwszą osobą, z jaką kontaktowałem się po przyjeździe do stolicy.

Powiedział mi, że poprzedniego wieczoru setki tysięcy zwolenników Musawiego utworzyły dwunastomilowy łańcuch wzdłuż alei Wali Asr, najdłuższej ulicy Teheranu. Nazwano ją „zieloną linią”, gdyż Musawi obrał zieleń za oficjalną barwę swojej kampanii. Zieleń od dawna kojarzona była z islamem: sugerowała, że islam jest religią pokoju. Zwolennicy Musawiego nosili zielone koszulki i opaski na rękę, występowali z zielonymi flagami i banerami. Ich slogan brzmiał „Zbudujemy zielony Iran”, co miało znaczyć, że kraj będzie żył w pokoju wewnętrznym i zewnętrznym.

Mazdak wziął udział w „zielonej linii” i głos miał wciąż ochrypy od krzyku. „To było jak finał pucharu świata, Maziar, tylko bardziej poruszające – opowiadał. – Musawi był naszym Pelem”. Tego dnia Mazdak miał fotografować grupę zwolenników Musawiego w Robot Karim, robotniczym osiedlu dwadzieścia mil

na południe od Teheranu. Umówiliśmy się więc tam na spotkanie. Najpierw jednak musiałem tam dotrzeć.

W warunkach kulejącej gospodarki Iranu i dużego bezrobocia wielu Irańczyków – nawet po studiach wyższych – zarabiano na życie, wykorzystując motocykle jako nieoficjalne taksówki. Ulice wokół placu Wali Asr pełne były mężczyzn stojących koło swoich motocykli i czekających na pasażerów. Wybrałem młodego człowieka imieniem Dawud i powiedziałem mu, że chcę pojechać do Robot Karim. Chciałem też zrobić kilka przystanków po drodze, przy różnych biurach wyborczych i kawiarniach, gdzie, jak się spodziewałem, ludzie będą rozprawiać o polityce, więc bez większych problemów zdołałem przeprowadzić z nimi wywiady. Tak się dobrze złożyło, że Dawud również interesował się polityką i był chętny do pomocy. Mniej chętnie respektował natomiast przepisy drogowe. Już w pierwszych sekundach naszej podróży zjechał na chodnik i zaczął się przeciskać przez tłum pieszych.

– Bardzo przepraszam, baaardzo przepraszam! – pokrzykiwał, gdy ludzie głośno się na niego oburzali. – Ach, ci młodzi, nie mają za grosz wychowania... – rzucił z sarkazmem i uśmiechnął się do mnie. Gdy nie dało się już jechać po chodniku, zaczął po mistrzowsku lawirować pomiędzy samochodami, a nawet ciężarówkami.

W sposobie, w jaki Irańczycy prowadzą samochody, da się zauważyć efekty lat chaosu, wojny i rewolucji. Ci uprzejmi na ogół ludzie przeobrażają się za kierownicą w bestie. Rzadko ustępują pierwszeństwa, a trąbią ledwie jakiś pieszki wejdzie na jezdnię. Przemoc na drodze, nawet z użyciem maczet w stosunku do innych kierowców, też nie jest w Iranie niczym wyjątkowym. Jak wyraził się pewien mój przyjaciel: „To haniebne zachowanie na drodze jest policzkiem dla dwóch i pół tysiąca lat perskiej historii, sztuki i kultury”.

Podczas jazdy Dawud opowiedział mi, jak go wyrzucili z uniwersytetu w rodzinnym Tebrizie. Zarabiał na życie, instalując talerze anten satelitarnych. Posiadanie anten satelitarnych jest w Iranie przestępstwem, ale wielu ludzi ukrywa je sprytnie na dachu albo balkonie. Dawud wpadł i został aresztowany. Skazano go na grzywnę w kwocie odpowiadającej trzem tysiącom dolarów. Policja zawiadomiła uczelnię i Dawud został usunięty. Ale i tak uważał się za szczęściarza, bo za instalowanie telewizji satelitarnej można trafić na wiele lat do więzienia.

Od tej pory Dawud próbował się utrzymać z jeżdżenia motocyklem po Teheranie, ale trudno mu było związać koniec z końcem. Nie przestał jednak dbać o wygląd: jego długie włosy były nażelowane, a kozia bródka starannie przycięta. Górne trzy guziki białej koszuli miał rozpięte. Gdyby był nieco szczuplejszy, mógłby uchodzić za irańskiego Ethana Hawke.

Gdy dojechaliśmy na plac Wanak, powiedziałem Dawudowi, że robimy przerwę. Plac wciąż był zasypany zielonymi ulotkami i banerami z poprzedniego

wieczoru. Zamiatacze ulic w pomarańczowych kombinezonach próbowali to jakoś posprzątać, ale wolontariusze z komitetu wyborczego Musawiego – w większości dwudziestolatkowie obu płci – rozdawali wciąż nowe ulotki. Wziąłem jedną z takich ulotek. Nad podobizną Ahmadineżada widniał napis: *Chodafez, Dictator* – „Do widzenia, dyktatorze”.

– Cieszy się pan z powrotu do domu? – spytał mnie Dawud, przekrzykując tłum i warkot samochodów. Wiedziałem, że gdybym mu się przyznał do mieszkania za granicą, policzyłyby mi podwójnie, więc powiedziałem mu, że byłem parę tygodni w Europie, w interesach.

– Tak, bardzo! – odparłem.

Rzeczywiście, jeszcze nigdy nie czułem takiego uniesienia, będąc w Teheranie. Po raz pierwszy wyjechałem z kraju w 1986 roku, parę miesięcy po ukończeniu szkoły średniej, i od tej pory nigdy nie chciałem zamieszkać na stałe w miejscu, gdzie się urodziłem. Kiedy opuszczałem Iran, od sześciu lat trwała wojna z Irakiem i każdy mężczyzna mógł być wzięty do wojska. Nie wierzyłem w sens tej wojny i wiedziałem, że muszę wyjechać. Przy pomocy pewnego przemytnika dostałem się do sąsiedniego Pakistanu, a stamtąd do Kanady, gdzie studiowałem film i dziennikarstwo, a w końcu dostałem kanadyjskie obywatelstwo, zachowując równocześnie obywatelstwo Iranu.

Od kiedy rozpocząłem karierę dziennikarską, spędzałem w Teheranie coraz więcej czasu i nauczyłem się kochać pracę w tym miejscu bardziej niż gdziekolwiek, ale wciąż czułem, że nie jest to miasto, w którym chciałbym zapuścić korzenie. Kolejne rządy irańskie zniszczyły wiele pięknych tradycyjnych domów z perskimi ogrodami, stawiając na ich miejscu banalne pseudonowoczesne wysokościowce. Góry wznoszące się nad miastem utrudniają przepływ powietrza – i spalin, więc ze swoją dwunastomilionową ludnością i ogromnym ruchem samochodowym Teheran jest jednym z najbardziej zanieczyszczonych miast na świecie.

Siedząc na tylnym siodełku motocykla Dawuda, czułem na twarzy te duszące dieslowskie spaliny. Ale kiedy przemykaliśmy pomiędzy samochodami, młodzi ludzie w zielonych koszulkach tańczyli na chodnikach, a nawet na jezdni – i nie chciałem być nigdzie indziej.

Ostatni raz doświadczyłem czegoś podobnego 11 lutego 1979 roku, w dniu zwycięstwa rewolucji islamskiej, gdy szach Mohammad Reza Pahlawi został odsunięty od władzy. Miałem wtedy dwanaście lat i poszedłem z Marjam na demonstrację pod Uniwersytetem Teherańskim. Moja siostra należała do pokolenia młodych Irańczyków, którzy dorastali, ucząc się o takich postępowych ideach jak demokracja i prawa człowieka. Sam szach udawał, że jest ich zwolennikiem, ale w istocie miały one jedynie służyć rozwojowi przemysłowemu kraju.

W czasie rewolucji Marjam studiowała literaturę perską na Uniwersytecie Teherańskim i należała do pierwszych studentów, którzy urządzali strajki i brali udział w demonstracjach przeciw szachowi. Chociaż nasi rodzice nie popierali idei rewolucji jako takiej, żywili głęboką urazę do szacha za to, co zrobił im i ich towarzyszom. Dlatego choć obawiali się o bezpieczeństwo córki, po cichu zachęcali ją do udziału w demonstracjach i nie sprzeciwiali się temu, bym jej towarzyszył.

Tamtego dnia, gdy szliśmy w tłumie tysięcy studentów, Marjam zaczęła się martwić, że demonstracja może się skończyć jakimiś aktami przemocy, więc powinniśmy wrócić do domu. Ale wiedziałem dobrze, że sama miała ochotę zostać, więc poprosiłem ją o pieniądze na taksówkę, zapewniając, że wrócę prosto do rodziców. Oczywiście nie miałem zamiaru dotrzymać słowa. Za pieniądze siostry kupiłem sobie hot doga – mama nie pozwalała nam tego jeść – i powoli ruszyłem pieszo w stronę domu.

Miasto było jak w gorączce. Widziałem młodych ludzi atakujących posterunki policji i zabierających z nich broń. Gdy już się zbliżałem do naszego domu, sześć przecznic na północ od kompleksu gmachów ambasady amerykańskiej zobaczyłem nastolatków wystrzeliwujących w powietrze flary. Poprosiłem syna naszego sąsiada, Gholama Alego, żeby dał mi strzelić. Wziął mnie „na barana” i strzeliłem w powietrze, czując się ważny jak jakiś dorosły mężczyzna. Trzydziestosiedmioletnia dyktatura szacha dobiegła wreszcie końca. „Tyrania się skończyła! – krzyčeliśmy. – Śmierć szachowi! Niech żyje Chomeini!”

Parę lat później, gdy Chomeini skupił już w swoich rękach całkowite panowanie nad krajem, kazał wsadzić do więzienia i stracić wielu z tych młodych ludzi, którzy ryzykowali życie, by wynieść go do władzy. Ich „przestępstwa” – karane często śmiercią – obejmowały najróżniejsze rzeczy, od posiadania „antyrewolucyjnych broszur” po spiskowanie przeciwko „świętemu” rządowi Islamskiej Republiki Iranu. Gholam Ali, na którego ramionach świętowałem rewolucję 1979 roku, zamordował jakiegoś sympatyka rządu w 1983 roku. Złapali go i stracili parę dni później.

Rewolucja 1979 roku stanowiła ważny punkt w dziejach Iranu, ale wybory prezydenckie z 2009 roku mogły się okazać równie ważne, a może nawet ważniejsze. Parę dziesięcioleci wcześniej konflikt tego rodzaju rozstrzygnąłby się za pomocą karabinów i koktajli Mołotowa. A teraz młodzi ludzie walczyli na plakaty, ulotki i dyskusje. Byli zmęczeni trzydziestoma latami restrykcyjnych rządów Republiki Islamskiej i choć rozeźleni, mieli radosne twarze, a w atmosferze ulicy odnajdywałem cierpliwość i pragnienie pokoju. W odróżnieniu od pokolenia ojców ci młodzi Irańczycy stawiali życie ponad przemocą. Popierali Musawiego, ale nie byli gotowi zabijać ani ginąć za niego. Dzięki Internetowi i telewizji satelitarnej poznawali świat zewnętrzny. Ci młodzi Irańczycy chcieli po prostu

zabrać głos, skorzystać ze swoich demokratycznych praw i żyć normalnie, jak młodzież w innych krajach świata.

Dawud zatrzymał motocykl przy większej grupie chłopaków i dziewczyn, słuchających głośnej muzyki na chodniku. Z przenośnego „kombajnu” płynął miks utworów Beyoncé, Madonny, irańskich wykonawców muzyki pop Googoosha i Mansoura, okraszonych narodowym hymnem *Iranie, klejnotów kraino*. Każdego innego dnia te dzieciaki mogłyby trafić do więzienia za naruszenie moralności publicznej. Jednak tego ranka, gdy setki zagranicznych dziennikarzy kręciły się po mieście, władze wołały nie interweniować. Reżim chciał się wykazać tolerancją i – co może jeszcze ważniejsze – zachęcić młodzież do „prawomyślnego” głosowania.

Kiedy dojechaliśmy do modnego centrum handlowego Sorche Bazaar, poprosiłem Dawuda, by zjechał na pobocze. Centrum było jednym z miejsc, gdzie przesiadywała „topowa” młodzież teherańska. W listopadzie 2008 roku urząd moralności publicznej wydał rozporządzenie zakazujące wszystkim stołecznym butikom sprzedawania „prowokacyjnych, dekadentkich strojów zachodnich”, takich jak minispódniczki, obcisłe sukienki, bluzki bez rękawów, szorty i damskie szpilki. Ale wszystkie te rzeczy można było wciąż kupić bez kłopotu na Sorche Bazaar. W Iranie prawo nie jest do przestrzegania, ale do łamania – byle po cichu.

Zsiadłem z motocykla i przeszedłem się po bazarze. Sklepy niewiele się zmieniły od czasu, gdy byłem nastolatkiem. Podszedłem do grupy młodych ludzi. Chłopcy mieli dziwne, nastroszone fryzury i nosili koszule firm Tommy Hilfiger i Diesel. Dziewczyny miały na głowach szale – ale były to podróbki Versacego albo Gucciego. Paznokcie miały pomalowane na zielono i niebiesko, a na nadgarstkach wszystkie nosiły zielone opaski.

Przedstawiłem się i powiedziałem, że piszę dla amerykańskiego magazynu. Zapewniłem też, że ich wypowiedzi nie ukażą się w żadnych mediach irańskich – bo wielu ludzi w Iranie obawia się, że reżim dobierze im się do skóry, jeśli powiedzą szczerze to, co myślą.

Powiedziałem, że i ja często przesiadywałem w tym miejscu, gdy byłem nastolatkiem.

- Nazywali nas wtedy punkami – mówiłem. – A jak was nazywają dzisiaj?
- Satanistami – odparł chłopak imieniem Farzad.
- Ale ty wyglądasz raczej, jakbyś był z Backstreet Boys niż z Judas Priest – zauważyłem żartem.
- Przecież Ahmadineżad i jego ludzie nie potrzebują żadnych podstaw, by cię nazwać, jak chcą – powiedział Farzad.
- Widzą, że wyglądamy inaczej, to robią z nas od razu satanistów – dodała dziewczyna imieniem Tina. Kosmyki jej rozjaśnionych włosów wysuwały się śmiało spod podróbki designerskiego szala.

Żaden z tych młodych ludzi nie uważał Ahmadineżada za właściwego reprezentanta tak kulturalnego i wykształconego narodu jak irański, sięgającego swoimi korzeniami wspaniałej starożytnej cywilizacji.

– Jak taka mała może być naszym prezydentem? – spytała Tina. – Rozejrzyj się wokół: widzisz tu jakiegoś flejtucha w stylu Ahmadineżada? Ale oczywiście to jego flejtuchostwo nie miałyby znaczenia, gdyby był tylko dobrym, uprzejmym człowiekiem.

Skrzywiła się, jakby przegryzła bardzo kwaśną cytrynę. Miała na sobie *hidżab* – strój, który większość Iranek woli od ceremonialnego, okrywającego całe ciało czadoru. Jest praktyczniejszy, bo choć również skrywa kobiecą sylwetkę przed wzrokiem obcych, daje swobodę ruchu. Niemniej, tak jak wiele młodych Iranek, Tina skróciła swój płaszcz – jaskraworóżowy – i przewięzała go mocno, przez co jej krągłości stały się bardziej widoczne.

Wtrącanie się islamskiego rządu w każdy aspekt życia prywatnego zrobiło z apolitycznych w zasadzie młodych ludzi politycznych aktywistów. W wielu krajach – nawet autorytarnych – młodzieży wolno manifestować swoją cokolwiek próżną odmienność poprzez modę, muzykę i sztukę. Jednak w Iranie wszystko jest pod ścisłą rządową kontrolą. Policja może aresztować każdego, kto wygląda „nieislamsko”. Kobieta ze zbyt mocnym makijażem albo pokazująca pod szalem za dużo włosów czy ciała – choćby łokieć albo kostkę – może być ukarana wysoką grzywną, chłostą albo kilkumiesięcznym więzieniem. To samo dotyczy chłopców z fantazyjnymi fryzurami albo w obcisłych T-shirtach.

Funkcjonariusze policji obyczajowej patrolują ulice, wypatrując ludzi, którym można by coś zarzucić. Policjanci trafiają do tych oddziałów tylko wówczas, gdy wykażą się odpowiednim poziomem religijności i oddania systemowi, a ponadto muszą przejść specjalne szkolenie w dziedzinie wartości islamskich i przewrotnej kampanii Zachodu, zmierzającej do zepsucia młodzieży irańskiej. Chociaż zwierzchnicy owych „stróżów moralności publicznej” zalecają powstrzymanie się od konfrontacji fizycznej, to „obyczajówka” ma rozkaz stosowania przemocy wobec osób, które się z nią wyklócają.

Dla mnie Farzad, Tina i ich przyjaciele nie byli cichymi ofiarami ciasnoty umysłowej islamskich władz; oni byli jawnymi rebeliantami. Ryzykowali surowe kary, by żyć tak, jak chcieli.

– Pamiętasz wiersz Szamlu? – spytał mnie Farzad. Potem wyrecytował strofy irańskiego poety Ahmada Szamlu, mówiące o nieobliczalnych posunięciach rządu islamskiego w porewolucyjnych latach:

Wąchają twój oddech,

Żebyś nie powiedział: kocham cię.

Wąchają twoje serce:

Dziwne mamy czasy, kochanie...

Zdzierają uśmiechy z warg

I pieśni z ust...

Dziwne mamy czasy, kochanie...

Wszyscy obecni ucichli, gdy Farzad wyzywającym tonem powtórzył refren wiersza:

– „Nasi rodzice mogli pozwolić rządowym zbirom, by zasmrodzili ich oddechy. Ale nasze pokolenie nie da sobie tego zrobić”.

Zanim opuściłem Sorche Bazaar, Tina starała się upewnić, że w moim artykule przedstawię ich poglądy właściwie.

– Proszę nie pisać, że skoro ubieramy się tak, a nie inaczej, to nie wierzymy w Boga. Nie chcemy zmienić Iranu w jakieś dekadенckie Las Vegas. Kochamy naszą religię, ale chcemy mieć trochę swobody...

Kiedy myślałem o tych wypowiedziach młodych ludzi, próbujących prowadzić normalne życie pod czujnym okiem władz, przypomniało mi się, jak to jest być młodym w Iranie. Za długie włosy i obcisłe jeansy przychodziło nieraz zapłacić. Moi przyjaciele i ja często musieliśmy uciekać przed członkami lokalnego *komiteh*, czyli komitetu. Tego rodzaju komitety, które narzucały w całym kraju „obyczajne” zachowania, były osobnymi ciałami, niepodlegającymi w zasadzie Strażnikom Rewolucji, niemniej należało do nich wielu Strażników.

Kiedyś zostałem aresztowany przez funkcjonariuszy komitetu. Za karę

musiałem sięść na chodniku i ostrzyżono mnie na zero. Mężczyzna, który mnie strzygł, opowiadał, że nienawidził europejskich i amerykańskich turystów, którzy podróżowali po Iranie za czasów szacha, ubranych w obcisłe jeansy albo minispódniczki. Nazywał wszystkich tych turystów, a także Irańczyków ubranych po zachodniemu, hippisami. „Gdyby to ode mnie zależało, to bym pościnał głowy tym wszystkim hippisowskim przydupasom szacha” – wyznał, potrząsając wielkimi, staroświeckimi nożycami.

Nie było sensu z nim dyskutować ani opowiadać, że mój ojciec spędził lata w więzieniach szacha. Miał tak wyprany mózg, że w każdym dzieciaku w jeansach i z długimi włosami widział pamiątkę dekadencji z czasów Mohammada Rezy Pahlawiego.

Gdy wróciłem wtedy do domu, ojciec stwierdził, że właściwie podoba mu się moja fryzura. „Bardziej do ciebie pasuje – powiedział. – Nigdy mi się nie podobały te twoje długie włosy”. Dopiero gdy mu wyjaśniłem, kto i w jakich okolicznościach zafundował mi to strzyżenie, zaczął pomstować na Republikę Islamską i sposób, w jaki chce wcisnąć ludziom na siłę swoją ideologię. Rodzice nie byli zachwyceni moimi preferencjami w dziedzinie mody i muzyki, ale nigdy mnie nie krytykowali. Uważali, że nosząc obcisłe jeansy z białymi skarpetkami do adidasów i słuchając Yaz i Depeche Mode, moje pokolenie wyraża swoją odmiennność. Chociaż dawno już porzucili swoje rewolucyjne sentymenty, doceniali bunt bardziej niż wszyscy inni znani mi rodzice. O ile wielu moich przyjaciół wciąż wysłuchiwało od „starych” napomnień, żeby nie prowokować władz, mój ojciec popierał moje próby życia poza normami narzucanymi przez rząd. Jak mawiali niektórzy z naszych krewnych (i tylko półzartem), nasza rodzina miała kłopoty we krwi i każdy Bahari musiał wcześniej czy później napytać sobie biedy.

Jednak nie tylko modna klasa średnia – jak te dzieciaki, które spotkałem na Sorche Bazaar – popierała Musawiego. W dziesiątkach wywiadów, które przeprowadziłem w lokalnych biurach wyborczych w południowym Teheranie i na jego biedniejszych przedmieściach, uderzył mnie fakt, że wielu ludzi o niższych dochodach popierało Musawiego z tych samych powodów co klasa średnia. Nieokiełznana korupcja rządu Ahmadineżada i status Iranu jako międzynarodowego pariasa – któremu nie ufano i którego się obawiano – to były dwa główne zarzuty, które zwolennicy Musawiego stawiali Ahmadineżadowi. Obie kwestie dotyczyły podstawowych praw obywatelskich. Trzy dni przed wyborami wielu Irańczyków myślało, że będą wreszcie mogli zdecydować jako naród o swoim losie.

Dawud wyjaśnił mi, że wielu stronników Musawiego było rozczarowanych

dawnymi rewolucjonistami. Przy posiłku – a zjedliśmy *dizi*, tradycyjne irańskie danie z jagnięciny, ziemniaków i ciecierzycy – opowiedział mi, że jego ojciec też był kiedyś zagorzałym rewolucjonistą i przez pięć lat walczył w wojnie z Irakiem. Jego oddanie krajowi przyniosło mu sztuczne oko i protezę nogi. Pozostając lojalnym obywatelem, ojciec Dawuda nie miał jednak najmniejszego szacunku dla aktualnego islamskiego reżimu. Gardził urzędnikami Ahmadineżada i miał ich za ludzi, którymi w istocie byli: za skorumpowanych, żądnych władzy hipokrytów.

– Mój ojciec był zawsze przyzwoitym człowiekiem, więc teraz musi się utrzymać z emerytury w wysokości dwóch milionów riali (około 200 USD) miesięcznie. A jego kuzyn, parszywy pies, jest milionerem, i to dolarowym.

Ten kuzyn był deweloperem w Tebrizie. Przed rewolucją ściśle współpracował z administracją szacha.

– Ale potem dorobił się, przekupując urzędników kolejnych rządów islamskich – dodał Dawud z grymasem obrzydzenia na twarzy.

Pomimo lekceważenia przez Dawuda przepisów ruchu drogowego przejechanie przez miasto zajęło nam prawie sześć godzin i dochodziła już czwarta po południu, gdy wreszcie dotarliśmy do Robot Karim, jednego z najbiedniejszych przedmieść Teheranu. Trafiłem na Mazdaka, kiedy robił zdjęcia grupie młodych zwolenników Musawiego rozdających ulotki. Jak wielu dobrych fotoreporterów starał się zwykle nie rzucać w oczy podczas pracy. Ale tego dnia w tym pięćdziesięcioletnim profesjonalście buzowało jak w nastolatku. Uściskał Dawuda i mnie, a potem przedstawił nas jakimś lokalnym aktywistom kampanii Musawiego.

Mazdak nie mógł przestać mówić o swoich przeżyciach podczas demonstracji z minionego wieczoru, gdzie w „zielonej linii” stał ramię w ramię ze swoją żoną oraz dwudziestodwuletnim synem i osiemnastoletnią córką.

– To było jak polityczny piknik! – zachwycił się. – Czegoś takiego jeszcze nie widziałem, Maziar! – powtarzał, ściskając moje ręce. – Wszystko przebiegło pokojowo. Były jakieś utarczki z ludźmi Ahmadineżada, ale nic poważnego.

Niczym pijak w „delirce” Mazdak szukał kogoś, kogokolwiek, do kogo mógłby mówić. Nie potrafił przestać opowiadać o tym, co się wokół niego działo.

– Coś się zmieniło w tym kraju, Maziar. Ludzie robią się polityczni i nie nabiorą się już na takie rządowe gówno. Ludzie Ahmadineżada wiedzą, że ich dni są policzone i pogodzili się z klęską – nawijał niestrudzenie.

Ahmadineżad wykorzystał istniejący system, by zyskać reelekcję. Był to system, który uzależniał od rządu miliony Irańczyków. Spędziłem z Mazdakiem jakąś godzinę, przechadzając się wśród tłumu. Większość stanowili młodzi, wykształceni ludzie, mający serdecznie dość sposobu, w jaki Ahmadineżad manipulował ich sąsiadami i rodzinami. Przeważająca część mieszkańców Robot Karim to ludzie ze wsi, gdzie życie zależy od rządowych dotacji, a najmniejsza

zmiana w systemie rządów może znacząco wpłynąć na poziom dochodów.

Obszary takie jak Robot Karim nazywa się *haszieh*, czyli obrzeża, peryferie, a ich mieszkańcy znani są powszechnie jako *haszieh neszin*, czyli ludzie z peryferii. Każde większe miasto w Iranie ma duże *haszieh*. Większość kandydatów ignoruje mieszkańców osiedli tego rodzaju, natomiast Ahmadineżad prowadzi na tych terenach agresywną kampanię, grożąc, że Musawi – w razie dojścia do władzy – obetnie rządowe subsydia. Od początku wojny irańsko-irackiej w 1980 roku rząd islamski dystrybuował wiele podstawowych artykułów, na przykład ryż, mąkę czy benzynę, po subsydiowanych cenach. Kosztowało to miliardy dolarów rocznie. Oficjalnie chodziło o pomoc ubogim, ale w istocie gra szła o kupienie lojalności społeczeństwa. Jednak żaden irański polityk nie wykorzystywał tego systemu tak mocno jak Ahmadineżad.

Poza tym reżim od początku rewolucji objął milion rodzin – czyli jakieś pięć milionów obywateli – pomocą Fundacji Imama Chomeiniego. Za jej pośrednictwem rodziny te otrzymują ekwiwalent około pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Skupiając się na ekonomicznych obawach ludzi i jednocześnie oferując krótkoterminowe rozwiązania, ludzie Ahmadineżada podsycali w całym kraju te obawy, głosząc, że jeśli Musawi dojdzie do władzy, biedni Irańczycy staną się jeszcze biedniejsi.

Rasul, student politechniki, którego spotkałem w tłumie, powiedział mi, że mieszkańcy Robot Karim byli mocno podzieleni na wykształconych i niewykształconych.

– Wykształceni opowiadali się za Musawim, a niewykształceni za Ahmadineżadem. Jeśli człowiek jest biedny i ciemny, łatwo nim manipulować – powiedział.

Jak na studenta inżynierii Rasul miał imponującą wiedzę o społecznych problemach Iranu:

– Nawet według oficjalnych statystyk dziesięć milionów Irańczyków – spośród siedemdziesięciu milionów – żyje w skrajnym ubóstwie – mówił.
– Mamy prawie dwa i pół miliona narkomanów. Pięć milionów młodych ludzi, według tych oficjalnych danych, jest bez pracy. Ten rząd nie chce, żeby ludzie poznali prawdę o sytuacji kraju. Chce, żeby pozostali niedoinformowani.

Byłem ciekaw, skąd Rasul to wszystko wiedział. Zabrał mnie na dach dwupiętrowego domu i pokazał talerze anten satelitarnych, wyrastające jak grzyby po deszczu na wielu domach w Robot Karim.

– Jest tu coraz więcej takich anten, coraz więcej ludzi ma dostęp do Internetu. To jedyna droga, by uzyskać prawdziwe, nieocenzurowane informacje.

Wiele stron internetowych i stacji – choćby „New York Times” i CNN – jest blokowanych i zagłuszanych, ale rodzina Rasula i jego przyjaciele, podobnie jak

wielu innych Irańczyków, potrafili dotrzeć do odpowiednich technologii, by dać sobie z tym radę. W okresie przed wyborami perskojęzyczna sekcja BBC, nadająca z Londynu, i Głos Ameryki z Waszyngtonu stały się dla wielu Irańczyków głównym źródłem informacji.

– Większość ludzi z dostępem do Internetu i TV satelitarnej zorientowała się w kłamstwach reżimu i będzie głosowała na Musawiego – stwierdził Rasul. – Ale ciemnota zagłosuje na Ahmadineżada.

Na ulicy entuzjazm zwolenników Musawiego był oszałamiający. Trudno mi było opuścić Robot Karim. Wiedziałem jednak, że muszę odwiedzić kwaterę główną kampanii Ahmadineżada w południowym Teheranie, przy alei Wali Asr, by wyrobić sobie lepszą ocenę sytuacji. Dawud zgodził się, choć bez entuzjazmu, by mnie tam zabrać. Słońce właśnie zaszło, ale wciąż panował upał.

W Teheranie występuje podział klasowy. Bogaci mieszkają w północnej części miasta, w wieżowcach stojących przy szerokich ulicach. Na południu stolicy ulice są węższe i zakorkowane, a domy zdecydowanie skromniejsze. Budynek, w którym mieściła się kwatera kampanii wyborczej Ahmadineżada, mógł należeć do zwykłego pracownika fabryki albo niższego urzędnika administracji rządowej. Znalazłem się tam już dwa razy, ale ten dom był tak niepozorny, że ledwie go odnalazłem.

Przy wejściu piętrzył się stos butów poukładanych jeden na drugim. Zgodnie z islamskim obyczajem też zdjąłem obuwie, a potem wszedłem do środka, szukając Alirezy Asadiego, studenckiego aktywisty kampanii, którego poznałem miesiąc wcześniej na wiecu wyborczym. Wewnątrz biuro wyglądało jeszcze skromniej niż z zewnątrz.

Na widok ścian oklejonych plakatami Ahmadineżada, wychwalającymi jego pobożność i skromność, trochę mnie zemdlilo. Grupki młodych popleczników Ahmadineżada dyskutowały o czymś, pochylone nad mapami i listami. Alireza zabrał mnie i Dawuda do jakiegoś kąta, skąd nie mogliśmy dosłyszeć, o czym rozmawiali młodzi ahmadineżadowcy.

Alireza studiował inżynierię i był kolegą z roku młodszego syna Ahmadineżada, noszącego również imię Alireza. Obaj należeli do islamskiego stowarzyszenia na uczelni i byli członkami Basidżu, ochotniczej formacji Strażników Rewolucji Islamskiej, która miała swoje komórki w każdej państwowej instytucji i szkole irańskiej. Mówiło się, że misją Basidżu jest obrona ideałów rewolucji. Ta dość nieokreślona i pojemna misja pozwalała dowódcom Strażników Rewolucji wykorzystywać Basidż, do czego tylko chcieli: mogło to być przeszukiwanie domów studenckich, atakowanie opozycyjnych gazet, a nawet zamachy na reformistycznych polityków.

Gdy podczas poprzedniego spotkania na wiecu spytałem Alirezę, dlaczego wstąpił do Basidżu, spojrział na mnie tak, jakbym pytał o coś oczywistego.

– Z niczego nie jestem tak dumny jak z przynależności do Basidżu – odparł bez wahania. – Basidż to podpora tego kraju!

Jedną z rzeczy, które mnie szczególnie intrygowały u Alirezy, był fakt, że nie przypominał typowego zwolennika Ahmadineżada – biednego, niewykształconego i ciasno myślącego. Jako syn dwojga lekarzy Alireza spędził dzieciństwo w Anglii. Ale gdy jego siostra podrosła, ta pobożna muzułmańska rodzina postanowiła wrócić do Iranu, gdyż uznała, że towarzystwo Brytyjczyków nie jest odpowiednie dla porządnej muzułmańskiej nastolatki.

– Większość brytyjskich dziewcząt jest zepsuta, jak pan wie – powiedział, nie mając pojęcia, że moja narzeczona, Paola, też jest Brytyjką. – Jak tylko mogą, puszczają się, z kim popadnie” – dodał z uśmiechem.

Chociaż Alireza opuścił Anglię jako ośmiolatek, wyrażał się o brytyjskim społeczeństwie z taką pewnością, jakby był profesorem socjologii London School of Economics. Z tym samym przekonaniem tłumaczył, dlaczego Irańczycy powinni wybrać ponownie Ahmadineżada. Dla niego sprawa była niezmiernie prosta. Zgodnie z konstytucją Iranu władza prezydenta jest znacznie ograniczona. Natomiast pełnia władzy spoczywa w rękach najwyższego przywódcy, który ma ostatnie słowo we wszystkich ważnych dla kraju sprawach. Dla wielu zwolenników najwyższego przywódcy nie jest on zwykłym liderem politycznym, ale także najwyższym sztyckim przywódcą religijnym, który ma prawo kontrolować wszystkie aspekty życia obywateli.

Szyizm, czyli islam szyicki, jest drugim pod względem liczby wiernych wyznaniem muzułmańskim. Większość muzułmanów to sunnici. Szyici stanowią większość jedynie w czterech krajach na świecie: w Iranie, Iraku, Bahrajnie i Libanie.

Podziały wśród muzułmanów zaczęły się po śmierci proroka Mohammada w 632 roku na tle różnic politycznych. Sunnici uważali, że prawowitym następcą proroka powinien być jeden z jego bliskich współpracowników. Szyici sądzili natomiast, że prawowitym sukcesorem proroka winien zostać jego bratanek i zięć – Ali.

Ali był pierwszym imamem, czyli świętym, szyitów. Sunnici natomiast nazywają imamami wszystkich lokalnych przywódców religijnych.

Większość szyitów wierzy w świętość dwunastu imamów: Alego i jedenastu jego bezpośrednich następców. Dwunastu imamów uważa się za „nieomylnych i nieskazitelnych”, którzy nigdy nie popełnili grzechu. Szyiccy imamowie interpretowali za życia naukę Koranu i byli odpowiedzialni za dobrobyt swoich uczniów.

Ostatni imam, Imam Mahdi, uważany jest przez szyitów za mesjasza. Wedle

szyickiej historii ukrył się w 874 roku, by uniknąć prześladowania, lecz powróci u kresu czasów, by ustanowić prawe i pokojowe społeczeństwo islamskie. Podczas nieobecności ukrytego imama szyici mają obowiązek podążać za przywódcą religijnym zwanym *mardża*, który interpretuje dla nich naukę Koranu.

Mardżowie są wybierani spośród wielkich ajatollahów, wysoko postawionych uczonych religijnych, a każdy szyita ma prawo wyboru mardży.

Większość szyitów na świecie uważa, że rola mardżów ogranicza się do wykładni islamu i dbania o słabych i potrzebujących. Jednak w latach 60. XX wieku Chomeini posunął koncepcję mardży krok dalej i wystąpił z ideą *welejat-e faqih*, mówiącą o przywództwie najwyższego prawoznaczczy. Zdaniem Chomeiniego taki najwyższy znawca prawa muzułmańskiego nie powinien jedynie nauczać swoich współwyznawców, ale też egzekwować islamskie rządy – i to w sposób absolutny, pilnując, by wszystkie sprawy w państwie toczyły się zgodnie z nauką Koranu. Biorąc pod uwagę, że ów przywódca miał być odpowiedzialny za wszystko, nietrudno zrozumieć, dlaczego wkrótce pod dojrściu Chomeiniego do władzy w 1979 roku Iran stał się dyktaturą.

Większość szyickich duchownych w Iranie i poza jego granicami nigdy nie zaakceptowała teorii Chomeiniego, opowiadając się za rozdziałem meczetu od państwa. Wszelako grając na nacjonalistycznych sentymentach Irańczyków, Chomeini zdobył szerokie poparcie i dokonał rewolucji islamskiej, która ustanowiła pierwszy rząd zgodny z ideą *welejat-e faqih* i dała Chomeiniemu pozycję pierwszego najwyższego przywódcy.

Po śmierci Chomeiniego w 1989 roku na stanowisku *walie faqih*, najwyższego prawoznaczczy czy najwyższego przywódcy, zastąpił go Ali Chamenei. Jego zwolennicy nazywają go po prostu *Aga* – „Mistrz”. Tak też nazywał go Alireza, młody ahmadineżadowiec.

– Nie jesteśmy narodem, lecz *umma* – tłumaczył mi Alireza, używając arabskiego terminu, oznaczającego islamską wspólnotę. – Jako *umma* musimy wykonywać polecenia Agi. Najważniejszą cechą Ahmadineżada jest jego oddanie Adze. Ahmadineżad to człowiek, który poświęcił swoje życie Adze i sprawie powrotu imama.

Zauważyłem, że Dawud poczuł się nieswojo, gdy Alireza wyjaśniał nam, że nasze głosy nie mają żadnego znaczenia i że o naszym przeznaczeniu i tak zadecyduje Aga. Gdy przyszedł czas, by się pożegnać, Dawud wykręcił się od ucałowania Alirezy, jak było to w zwyczaju, a nawet nie uściśnął mu ręki.

– Zaprosimy pana na świętowanie naszego zwycięstwa – powiedział Alireza i pocałował mnie w oba policzki.

– To ja już pójdę odpalić motor – rzucił Dawud i ruszył do wyjścia.

Czekał na mnie przed biurem.

– Cierpliwy z pana człowiek, Maziar. Mógłbym zabić tego gościa.

– Ostatecznie ma prawo do własnych poglądów – odparłem. – Zresztą to Chamenei ma powody, by się denerwować. Spójrz na tych wszystkich ludzi. Myślisz, że Ahmadineżad ma jakiegokolwiek szanse?

Był wieczór i setki młodych ludzi w jaskrawozielonych koszulach i szalach wciąż wypełniały ulice, śpiewając patriotyczne pieśni. Z upływem godzin wieczornych na ulicach zbierało się coraz więcej ludzi. Mnie też nie chciało się wracać do domu. Poprosiłem Dawuda, by zabrał mnie do swojej dzielnicy, robotniczego Punaku w zachodnim Teheranie. Nie dało się tam jednak przedostać, gdyż setki młodych ludzi urządziły sobie imprezę na ulicach wjazdowych. Zadzwoiłem do Paoli z mojej komórki i powiedziałem, jak bardzo za nią tęsknię, chociaż równie szczęśliwy byłem z faktu, że w tej chwili mogłem być w Teheranie.

Wiedziałem, że Paola zrozumie mój nastrój. Kiedy się poznaliśmy – a było to w marcu 2007 roku w pewnym londyńskim klubie dziennikarzy przy okazji wykładu o sytuacji na Środkowym Wschodzie – miałem właśnie wyjechać do Iraku, by zrobić dla Channel 4 i BBC dwa filmy dokumentalne o konfliktach etnicznych w tym kraju. Był to czas, gdy sporo dziennikarzy zastało porwanych albo zamordowanych w Iraku, więc moje zadanie nie należało do najbezpieczniejszych. Paola wiedziała jednak, że będę ostrożny i podzielała moją ekscytację nadchodzącą podróżą.

Teraz zaś, też buzując od podniecenia wyczuwalnego w atmosferze Punaku, powiedziałem Paoli:

– Wiesz, czuję się świadkiem historii. Nie mogę się już doczekać, żeby ci pokazać wszystko, co tu zarejestrowałem.

Przebywałem poza domem już od szesnastu godzin, ale nie czułem zmęczenia. Podobnie jak wielu Irańczyków byłem oszołomiony perspektywą zmiany. I dołączyłem się do pieśni, którą rozbrzmiewał Punak: „Ahmadineżad, bye-bye. Dyktatorze, bye-bye!”

Kiedy Dawud przywiózł mnie wreszcie do domu, była jakaś druga w nocy. Kładąc się spać, wiedziałem, że niezależnie od wyniku wyborów coś się w Iranie zmieniło podczas tej kampanii. Irańczycy z dość nieoczekiwanych miejsc zaczęli zabierać głos, a przywódcy Republiki Islamskiej stanęli przed niewygodną dla siebie prawdą: że obywatele chcą być wysłuchani.

Próbując zasnąć, wyobrażałem sobie Iran, w którym nie byłoby ludzi wierzących, że do prawdziwie muzułmańskiego życia potrzebują jakiegoś mistrza, nadzorującego każdą dziedzinę ich życia. Zdawałem sobie sprawę, że Musawi nie jest przywódcą, który dokona w kraju jakiejś nagłej i zasadniczej zmiany, ale byłem przekonany, że dzięki niemu będzie się można pozbyć Ahmadineżada, który od czterech lat ośmieszał i rujnował Iran. To i tak było dużo – jak na początek.

ROZDZIAŁ 2

Następnego dnia rano wyskoczyłem spod prysznic na głos matki, panikującej w kuchni.

– Mazi, Mazi! – krzyczała.

Pobiegłem do kuchni sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłem ją stojącą z otwartymi ustami przy oknie. Na zewnątrz Dawud siedział na swoim motocyklu. Czekał na mnie. Poprosiłem go wieczorem, żeby przyjechał po mnie o dziesiątej rano – i zjawił się punktualnie.

– Każdy wie, że ci motocykliści to wariaci – rzuciła matka. – A większymi wariatami od nich są tylko ci, którzy z nimi jeżdżą!

Chociaż miałem za sobą prawie dwadzieścia podróży po Iraku, nigdy nie widziałem, żeby mama bała się o mnie tak jak teraz.

Straciwszy w krótkim czasie męża, starszego syna i córkę, mama niepokoiła się o mnie bardziej niż kiedykolwiek. Gdy już wychodziłem, Moludżun odprowadziła mnie przed dom, przypominając o strasznych wypadkach spowodowanych przez motocyklistów. Pocałowałem ją na pożegnanie.

– Nie martw się. Podrzuci mnie tylko kawałek, do biura jednego przyjaciela.

Wiedziałem, że matka wie, iż nie mówię całej prawdy – ale rozumieliśmy się dobrze. Ufała mojej ocenie sytuacji.

Przywitałem się z Dawudem i wskoczyłem na tylną część siodełka jego motocykla. Okazało się, że Dawud zrobił tej nocy rozpoznanie terenu.

– Wygooglowałem cię – powiedział. – Nie boisz się robić tych wszystkich reportaży i filmów o irańskim reżimie?

– Nie za bardzo. Staram się być ostrożny, próbuję nie nadepnąć im za mocno na odcisk – wyjaśniłem, podczas gdy Dawud przebijał się pod prąd jednokierunkową ulicą. – Szczerze mówiąc, bardziej boję się, że to ty wpakujesz mnie w kłopoty tą swoją jazdą...

Dawud nie zareagował jednak śmiechem.

– Wiesz, kiedy wczoraj pojechaliśmy na spotkanie z twoim przyjacielem w Robot Karim, zauważyłem dwóch ludzi czekających na nas w peugeotie – powiedział. – Dzisiaj inny samochód stał przy końcu twojej ulicy. Ruszyli za nami, ale myślę, że ich zgubiliśmy. Z początku nie miałem pewności, więc nic nie mówiłem...

Pomyślałem, że chłopak dostaje paranoi.

– Dobra, Dawud. Wiesz, co robisz.

– Niech się pan nie boi, panie Maziar. Będę pana pilnował – zapewnił.

Dawud i ja spędziliśmy to przedpołudnie na odwiedzinach w kolejnych biurach wyborczych Musawiego i Ahmadineżada, a kiedy skończyliśmy ten objazd – około trzeciej po południu – zapłaciłem mu za cały dzień i odprawiłem do domu. Polubiłem Dawuda i nabrałem do niego zaufania, ale nie mogłem go zabrać na następne spotkanie.

Zamierzałem się spotkać z Amirem, moim przyjacielem, dawniej pracującym w ministerstwie spraw wewnętrznych, które odpowiada za organizację wyborów w Iranie. Teraz był już po sześćdziesiątce, a do ruchu Chomeiniego dołączył w 1963 roku, gdy miał szesnaście lat. Przez te pół wieku poznał wielu najwyższych członków władz i zrozumiał od wewnątrz funkcjonowanie irańskiego systemu rządów. Informacje, jakich przez te lata udzielił mi Amir, nie dotyczyły tajemnic państwowych, ale dzięki temu, że miał wielką umiejętność kojarzenia faktów i łączenia odpowiednich nici, potrafił odnaleźć jakiś sens w bezsensownych poczynaniach reżimu.

Poza tym, że Amir stanowił jedno z moich najpewniejszych źródeł informacji, był też, pomimo różnicy wieku, jednym z moich najlepszych przyjaciół. Jego brat pracował w firmie mojego ojca za czasów szacha i często rozmawiał z moim tatą. „Mój brat mawiał, że pan Bahari był najlepszym szefem, jakiego miał w życiu – powiedział kiedyś Amir. – Mam ogromny szacunek dla twojego ojca. Nie był może religijny w tradycyjnym rozumieniu, ale jego uczciwość i wielkie serce czyniły go jednym z najbardziej religijnych ludzi, jakich poznałem”.

Dla mnie Amir reprezentował umiarkowanie, a myśl, że w tym systemie byli też porządni ludzie – ludzie, którzy pracowali, by zmienić ten system pokojowo od wewnątrz – dawała mi nadzieję. Amir brzydził się Ahmadineżadem, uważając go za niewydarzonego prowincjonalnego urzędnika, któremu jakimś cudem udało się wybić na prezydenta. Jednak ostateczną winę za to wyniesienie Ahmadineżada przypisywał Chameneiemu. „W głowie się nie mieści, jak ludzie dają się ogłupić pochlebstwom – powiedział mi niedługo po pierwszej elekcji Ahmadineżada. – Stosunki pomiędzy Chameneim i tym człowiekiem są takie, jak między właścicielem ziemskim i jego chłopem pańszczyźnianym”.

Amir zajmował ważne stanowisko za czasów Mohammada Chatami, reformistycznego prezydenta, który opowiadał się za bardziej otwartą i demokratyczną wykładnią islamu. Gdy w 2005 roku Ahmadineżad został prezydentem, zmusił do ustąpienia wielu wysokich rangą urzędników państwowych. Amir opuścił ministerstwo spraw wewnętrznych, ale zachował bardzo dobre kontakty wewnątrz administracji Ahmadineżada.

Dwa tygodnie wcześniej Amir pokazał mi tajny sondaż wyborczy, przeprowadzony przez Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa – irański odpowiednik CIA i FBI razem wziętych – w stolicach wszystkich trzydziestu jeden prowincji Iranu. Z sondażu tego wynikało niezbicie, że Musawi wysunął się daleko

przed Ahmadineżada i zdobędzie 16–18 milionów głosów wobec 6–8 milionów głosów oddanych na Ahmadineżada. W Iranie tego rodzaju badania opinii nie są zwykle dokładne ani wiarygodne. Ludzie nie ufają ankietnikom, a wielu boi się, by wyrażając szczere zdanie, nie napytać sobie biedy. Skoro to jednak ludzie samego Ahmadineżada przeprowadzili ten sondaż, wydało mi się, że wyniki godne są zaufania, więc napisałem o tym artykuł do „Newsweeka”.

Biuro Amira było spore, ale skąpo umeblowane, tak samo zresztą jak biura większości irańskich reformistów. Dzięki temu łatwo je było ewakuować w razie potrzeby. Na biurku nie znajdowało się nic z wyjątkiem jakiejś żółtej teczki i paru fotografii, jedyną zaś dekorację ścian stanowił oprawiony plakat ze zdjęciem meczetu szajcha Lotf Allaha, cudu perskiej architektury, znajdującego się w Isfahanie.

Kurz na ramie wskazywał, że plakat wisiał tu już długo, ale nikt się nim nie zajmował. Gdy wszedłem tego dnia, poczułem słodki aromat *gaz*, jednego z najwyborniejszych deserów na świecie (i jednej z podstawowych przyczyn kłopotów Irańczyków z uzębieniem). Pewien krewny Amira miał cukiernię w Isfahanie i od czasu do czasu przysyłał mu swój *gaz*, który wprawiał mojego przyjaciela w dobry nastrój. Niemniej tego dnia ów pyszny łakość nie wywołał jakoś pożądanego efektu. Amir był wyraźnie zmartwiony i zdenerwowany. Rozmawiając ze mną, pocierał brodę z jawnym zafrasowaniem.

Ledwie zdążyłem wyciągnąć notes i długopis, zdążył mi już wyjaśnić, czego się spodziewa w związku z wyborami. Otóż o ile nie nastąpi jakaś wielka „przewalanka”, Musawi zdobędzie większość głosów i wygra. Wszystko na to wskazywało, ale było też jedno „ale” – i to wielkie.

Amir zauważył, że Ahmadineżad od dłuższego czasu przygotowywał się do tych wyborów – i niebezpieczeństwa porażki – wyznaczając właściwych ludzi na kluczowe pozycje w ministerstwie spraw wewnętrznych. Dla Ahmadineżada ludźmi „właściwymi” byli przede wszystkim członkowie nowej, mniej doświadczonej i przez to łatwiejszej do sterowania generacji Strażników Rewolucji: ludzie, którzy nie walczyli w wojnie z Irakiem.

– No bo ludzie, którzy wiedzą, co to wojna, nigdy nie poprą wojowniczej retoryki tego idioty – powiedział Amir. – Bohaterowie wojenni najbardziej nienawidzą wojny, bo wiedzą, że niesie ona tylko mord i zniszczenie. Ale to awanturnicze i zepsute pokolenie Strażników jest mięsem armatnim Chameneiego i zapleczem ekstremizmu Ahmadineżada.

Strażnicy Rewolucji od 1979 roku nieustannie zwiększali i redefiniowali swoją rolę siły zbrojnej. Po najeździe armii Saddama Husajna na Iran we wrześniu 1980 roku wielu młodych ludzi wstąpiło do Strażników, chcąc bronić ojczyzny. Podczas wojny Strażnicy Rewolucji zaczęli też rozciągać swoje wpływy na inne obszary. O ile regularna armia irańska skupiała się na swoich zadaniach

militarnych, o tyle Strażnicy zaczęli prowadzić biznesy importowo-eksportowe i przemysłowe. Po zajęciu w listopadzie 1979 roku amerykańskiej ambasady w Teheranie Stany Zjednoczone i ich sojusznicy wprowadzili gospodarcze i wojskowe sankcje przeciw Iranowi. Strażnicy kupowali nielegalnie broń na międzynarodowym czarnym rynku i stworzyli własne struktury do odbudowy infrastruktury zniszczonej przez Irakijczyków. Przywódcy Strażników utworzyli nowy front w kampanii przeciw Zachodowi i Izraelowi, szkoląc milicję Hezbollahu w Libanie. W epoce Chomeiniego Strażnicy robili praktycznie wszystko, co chcieli. Do czasu zawieszenia broni między Iranem i Irakiem w 1988 roku stali się jedną z najpotężniejszych instytucji w kraju.

Po śmierci Chomeiniego w 1989 roku – kiedy na stanowisku najwyższego przywódcy zastąpił go Ali Chamenei, a prezydentem został Akbar Haszemi Rafsandżani – wpływy Strażników jeszcze wzrosły. Rafsandżani uważał, że Iran musi się stać krajem gospodarczo rozwiniętym i że dobrobyt jest ważniejszy od praw obywatelskich i swobody wypowiedzi. W powojennym chaosie wielu Strażników Rewolucji skorzystało z nadarzającej się sposobności. Zastępując kompetencje zastraszaniem i brutalną siłą, czołowe przedsiębiorstwo Strażników, Chatam ol Anbia („Ostatni Prorok”), stało się głównym odbiorcą państwowych kontraktów w sektorach infrastruktury, wydobywczym i petrochemicznym.

Po wojnie wielu Strażników przeszło do cywila i zajęło się handlem zagranicznym. Wykorzystywali swoje koneksje w administracji państwowej do zmonopolizowania niektórych części rynku. Skorumpowanie byłych Strażników stało się wręcz legendarne: zastraszali konkurencję, unikali cel i nie płacili podatków.

Chamenei, jako najwyższy przywódca, powoływał i zwalniał wszystkich dowódców Strażników Rewolucji. Wybierając jedynie ludzi absolutnie lojalnych wobec niego, próbował zrobić ze Strażników swoją prywatną armię. Mimo to wielu dowódców nie chciało zostać sługami Chameneiego i choć ogólnie rzecz biorąc, pozostawali wobec niego lojalni, utrzymywali też dobre stosunki z innymi ważnymi postaciami reżimu, takimi jak Rafsandżani czy Chatami.

Doprowadziło to do konfliktu najwyższego przywódcy ze Strażnikami. Po 1999 roku, kiedy wielu reformistycznych członków reżimu poparło studenckie rozruchy, Chamenei rozkazał zorganizować ideologiczne kursy – pod nazwą *Basirat*, czyli Wiedza – dla wybranych młodszych członków Korpusu Strażników Rewolucji. W *Basirat* chodziło o coś więcej niż indoktrynację: był to również proces naboru potencjalnych członków służby wywiadowczej Strażników, służby, która stała się w końcu główną irańską instytucją do spraw zbierania informacji i bezpieczeństwa.

Zdaniem mojego przyjaciela Amira wywiad Strażników odegrał zasadniczą rolę w wyborach 2005 roku, gdy Ahmadineżad został prezydentem. To właśnie

podczas czterech lat jego prezydentury Strażnicy przejęli wiele centrów władzy gospodarczej w Iranie, w tym wydobywanie ropy naftowej i program jądrowy. Strażnicy stali się największymi przemysłowcami Iranu, posiadając wiele kluczowych przedsiębiorstw w kraju i za granicą, skrywających się pod mylącymi nazwami. Istniało kilka raportów mówiących o działalności byłych i obecnych Strażników, prowadzących firmy w Iranie, Dubaju i Kanadzie, które pozornie nie miały nic wspólnego z Korpusem, a których celem było pozyskiwanie funduszy dla tej organizacji. Żeby jednak utrzymać ten swój lukratywny monopol, Strażnicy potrzebowali życzliwego dla siebie rządu. Zdaniem Amira Strażnicy Rewolucji byli gotowi użyć wszystkich środków, jakie posiadali, by doprowadzić do reelekcji Ahmadineżada.

Wiadomo było, że Musawi nawet w razie zwycięstwa nie zdoła całkowicie okiełznać Strażników, ale jawność sprawowania władzy, którą obiecywał wprowadzić, byłaby niewątpliwie pewną przeszkodą w kontrolowaniu przez Strażników polityki i gospodarki Iranu.

Amir powiedział mi, że po wyborach w 2005 roku dowódca Strażników zabiegał o usunięcie Amira i jego współpracowników z ministerstwa spraw wewnętrznych.

– Wiedział, że moja ekipa nigdy nie pozwoli na manipulowanie wynikami wyborów. Więc nas wyrzucili.

Obecny minister spraw wewnętrznych Sadegh Mahsuli dobrze się obłowił na korupcji. Jako dowódca Strażników w latach 80. zmusił wielu ludzi do sprzedania mu domów za ułamek ich faktycznej wartości. Potem wraz ze swoimi kompanami wyburzył te domy, a na ich miejsce postawił wieżowce. Mahsuli wziął też miliony dolarów łapówek od kurdyjskich i szyickich uchodźców z Iraku, których reżim Saddama Husajna zmusił do emigracji do Iranu w 1991 roku, podczas I wojny w Zatoce Perskiej.

W marcu 2008 roku, gdy Mahsuli został ministrem, postanowiłem napisać o nim artykuł, ale po paru wywiadach Amir ostrzegł mnie, że powinienem bardzo uważać z publikacją swoich odkryć. „Strażnicy stali się jak mafia – powiedział. – Przejęli władzę w kraju i mogą cię bez trudu wyeliminować, jeśli tylko zechcą”.

Pamiętałem to ostrzeżenie sprzed roku, gdy obserwowałem Amira teraz, pocierającego nerwowo szczękę jedną dłonią, a drugą bębniącego o blat biurka. Słońce przebijało się przez żaluzje, rzucając dziwne linie na twarz Amira. Wyglądał, jakby był za kratkami.

– Zaczynam się obawiać, że z Mahsulim jako człowiekiem odpowiedzialnym za wybory Ahmadineżad ma niemal zapewnioną reelekcję – powiedział Amir. – Oni robią, co w ich mocy, żeby zmanipulować przed wyborami opinię publiczną, zwłaszcza że zaczęli się obawiać o swoje interesy. Mahsuli szuka już sposobów, by dopiąć swego.

Chociaż Amir był przeciwko wszystkiemu, za czym stał teraz Chamenei, miał na swoim biurku w domu kilka zdjęć z ajatollahem. Na jednym Amir siedział przy szpitalnym łóżku Chameneiego.

Kiedyś Amir zauważył, że przyglądam się tym fotografiom.

– Znam pana Chameneiego od ponad czterdziestu lat – powiedział, biorąc do ręki jedno z tych zdjęć i ścierając palcem wskazującym kurz z drewnianej ramki. – Po zamachu na jego życie w czerwcu 1981 roku dostał paraliżu prawej ręki i ledwie uszedł z życiem. Wtedy pan Chamenei był dla mnie jak brat, więc odwiedzałem go w szpitalu. Wiesz, Maziar, że to człowiek kulturalny. Od kiedy go znam, czyta jedną powieść tygodniowo. Jest poetą i lubi tradycyjną muzykę irańską. Nie sądzę, by kiedy w 1989 roku został najwyższym przywódcą, był tak bardzo zainteresowany władzą – Amir przerwał i wziął do ręki inne zdjęcie. Widać było na nim Amira, Chameneiego i grupę innych osobistości Islamskiej Republiki Iranu, siedzących na kolanach wokół Ruhollaha Chomeiniego. Nie wyglądało to na posiedzenie rządu, ale na audiencję udzielaną wiernym przez jakiegoś świętego. – Przewodzenie Republice Islamskiej to było zadanie skrojone na miarę imama Chomeiniego – zauważył Amir. – Ale przerasta ono chyba pana Chameneiego. No, ale władza uzależnia mocniej od heroiny i pan Chamenei musi ją teraz mieć za wszelką cenę.

W biurze zadzwonił telefon. Okazało się, że Amir miał towarzyszyć Musawiemu i grupie jego doradców podczas wieczornych modłów.

– Amir *dzaan* – powiedziałem i zebrałem się do wyjścia. – Jesteś zatem zdania, że Musawi na pewno zdobędzie większość, ale oni zmanipulują wyniki?

Amir uścisnął mi dłoń i przetrzymał ją przez chwilę.

– Jediną szansą uczciwych wyborów jest pan Chamenei: jeśli nie pozwoli temu gangowi szpiegów i wywiadowców Ahmadineżada sfałszować wyborów, wszystko będzie dobrze. Nam pozostaje wyłącznie modlitwa, by najwyższy przywódca podjął mądrą decyzję.

Kiedy wracałem do domu ulicami pokrytymi muralami z Chameneim, w głowie wciąż krążyły mi słowa Amira. Miałem nadzieję, że Chamenei będzie wolał zachować legitymizację swoich rządów przez wysłuchanie obywateli, a nie zezwolenie Ahmadineżadowi na sfałszowanie wyborów. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że szanse na taki obrót rzeczy są nikłe. Jak powiedział Amir, Chamenei był już uzależniony od władzy i chciał uzyskać jej jeszcze więcej dzięki sługusom, których mógłby w pełni kontrolować – takim jak Ahmadineżad.

Mijając kolejną grupę młodych ludzi ubranych na zielono i trzymających transparenty wyborcze Musawiego, wiedziałem, że naród irański, tak długo milczący, zdobył się wreszcie na głos. Pozostawało pytanie, czy Chamenei zechce go wysłuchać.

ROZDZIAŁ 3

W Iranie weekend przypada na czwartek i piątek, a piątek nazywa się Dżom'eh, co znaczy „zebranie”. Tego dnia muzułmanie mają się wspólnie modlić. Wielu jednak robi wówczas różne inne rzeczy – o ile ich stać. Na przykład wyjeżdżają nad Morze Kaspijskie, odległe od Teheranu o jakieś trzysta mil, albo wyruszają na wycieczki po górach Elburs, wznoszących się zaraz na północ od stolicy. W ten ostatni sposób spędziłem wiele moich weekendów w Iranie. 11 czerwca, w przeddzień wyborów, chciałem zrobić to samo.

Wyszedłem z domu matki o czwartej rano. Zamierzałem wejść tak wysoko, jak zdołam, a potem zjechać kolejką linową. Każdy dziennikarz modli się o szansę zrelacjonowania jakiegoś dziejowego wydarzenia. Dla mnie takim wydarzeniem były te wybory. Chciałem wędrować na tyle długo, by oczyścić umysł i zdystansować się trochę od polityki. Miałem nadzieję, że zyskam przez to lepszą perspektywę.

Muzyka i świeże górskie powietrze uspokajają mnie. „Za cztery miesiące urodzi się moje dziecko – mruczałem do siebie podczas marszu. – Za cztery miesiące będę ojcem”. Ta myśl dodawała mi sił. Szedłem rażno, a nad Teheranem wznosiło się słońce.

O dziesiątej byłem już dobrze zgrzany i zdyszany. Usiadłem, by zjeść trochę daktyli, które ze sobą zabrałem. Pode mną rozpościerał się cały Teheran. Nad miastem jak zwykle unosił się ciemny opar smogu. Nalałem sobie herbaty z termosu i powoli żułem daktyle. W moim ciele osadziło się zmęczenie z ostatnich kilku dni, ale czułem, że jestem u progu najlepszej przyszłości: mojej rodziny, mojej kariery i – o co się modliłem – mojego kraju. Czułem się krzepki i szczęśliwy.

Gdy spakowałem do plecaka swoje rzeczy i ruszyłem w stronę stacji kolejki, zaczął mi dźwięczeć w uszach jakiś głos: niemłody już, smutny i matowy jak smog wiszący nad miastem. To był Leonard Cohen śpiewający *Everybody knows*:

Każdy wie że kości są fałszywe

Każdy gracz krzyżuje palce swe

Każdy wie kto wygrał a kto nie

Każdy wie jak skończyć miał się bój2

Teksty Cohena mają jedyną w swoim rodzaju zdolność do ukazywania światła w tunelu. Przypomniały mi się słowa Amira. Nadzieja na to, że Chamenei podejmie mądrą decyzję, była raczej słaba. Tak się bowiem składa, że despoci nie mają specjalnej skłonności do gry *fair*.

Gdy wróciłem do miasta, odezwał się mój telefon komórkowy. Dzwonił Amir.

– Gdzieś ty się podziewał? – jego głos brzmiał nerwowo. – Cały dzień próbuję się do ciebie dodzwonić. Jak najszybciej przyjdź do mojego biura!

Jakąś godzinę później, gdy wchodziłem już do jego biura, podniósł palec do ust, a potem poprosił, bym usiadł.

– Jak się czuje twoja matka, Maziar? – zapytał, a jednocześnie zabrał mi telefon i wyjął z niego baterię. Krążyła plotka, że irańskie służby bezpieczeństwa potrafią podsłuchiwać rozmowy nawet przez wyłączony telefon komórkowy.

– Dziękuję, całkiem nieźle... – odpowiedziałem zdezorientowany.

Tymczasem podał mi jakąś kartkę.

– No to bardzo się cieszę – powiedział Amir.

Na kartce był list otwarty Musawiego do Chameneiego. Miał być opublikowany za parę godzin. Jeszcze nigdy kandydat na prezydenta Iranu nie napisał tak śmiałego listu do najwyższego przywódcy. Musawi wyrażał swoje zaniepokojenie faktem, że członkowie komisji wyborczych i obserwatorzy wyborów działają na rzecz Ahmadineżada, a urzędnicy ministerstwa spraw wewnętrznych stawiają różne przeszkody przedstawicielom Musawiego, którzy mają nadzorować przygotowanie urn wyborczych i samo liczenie głosów.

Musawi skarżył się też na ingerencje Strażników Rewolucji i Basidżu w procedurę wyborczą. Stwierdzał, że Ahmadineżad nielegalnie wykorzystuje fundusze publiczne na cele swojej kampanii. Musawi ostrzegł też najwyższego przywódcę, że pewne grupy próbują manipulować głosami wyborców. Żadne z tych oskarżeń nie było nowością – ale liczyło się to, że wreszcie jakiś kandydat zdobył się na odwagę i wyraził obawy obywateli.

– Nie zapomnij przekazać matce, że o nią pytałem – powiedział Amir,

podsuwając mi jeszcze jedną kartkę.

Był na niej numer jakiegoś telefonu i polecenie: „Zadzwoń jutro na ten numer z jakiegoś automatu. Nie mów o tym nikomu. Myślę, że jesteśmy obserwowani”.

2 Tłum. Maciej Zembaty.

ROZDZIAŁ 4

Przez cały piątek myślałem o ostrzeżeniach Amira, ale nie wiedziałem, co z tym zrobić. Miałem pewność, że Strażnicy i agenci ministerstwa wywiadu obserwowali niektórych dziennikarzy, ale nie było sposobu, by się dowiedzieć, czy także mnie. Mój ojciec zawsze mówił, że w dyktaturze sam strach, jaki władze budzą w obywatelach, jest gorszy od tego, co faktycznie robią. „Mogą przydzielić tajnego agenta do śledzenia każdego obywatela – mawiał ojciec – ale przede wszystkim starają się ci wmówić, że jesteś obserwowany przez cały czas”.

Miałem więc w głowie ostrzeżenie Amira, ale postanowiłem pracować jakby nigdy nic. Dzień wyborów okazał się chłodniejszy, niż to zwykle bywa o tej porze roku. Zamiast typowych dla czerwca trzydziestu stopni było niewiele ponad dwadzieścia. Bardzo się cieszyłem, że upał zelżał. Byłem jeszcze trochę obolały po wycieczce i nie mogłem znieść myśli o spędzeniu paru godzin na tylnym siodełku motocykla Dawuda. Zadzwoiłem więc po pana Rustę. Erszad, czyli ministerstwo kultury, poprosiło dziennikarzy zagranicznych, by relacjonowali wybory z jednego, określonego lokalu wyborczego, ale ja nie uważałem się za dziennikarza zagranicznego. Byłem przecież obywatelem Iranu, więc zamierzałem odwiedzić tyle lokali, ile się da. O dziesiątej rano, czekając na taksówkę pana Rusty, zadzwoniłem pod numer, jaki dostałem od Amira. Nie poznałem głosu mężczyzny, który podniósł słuchawkę:

- Nie ma go tu – rzucił.
- A mógłby mi pan powiedzieć, kiedy będzie? – spytałem.
- A kto mówi?
- Jego przyjaciel.
- To znaczy?

Rozłączyłem się.

Zacząłem się niepokoić o Amira. Wiedziałem, że już parokrotnie odbierał pogróżki od Strażników, a ich dowódcy szukali pretekstu, by go wsadzić za kratki. Wsiadłem do samochodu pana Rusty i postanowiłem zadzwonić do Amira później; miałem przecież zadanie do wykonania. Pierwszym moim przystankiem były lokale wyborcze w dzielnicy Qejtarijeh, w północnym Teheranie, gdzie mieściła się też kwatera główna kampanii Musawiego. Przed wejściami stały w kolejkach setki ludzi. Zauważyłem to samo, co w Robat Karim i na innych przedmieściach południowych. Ludzie gotowi byli stać po dwie godziny i więcej, żeby oddać swój głos. Wielu z nich mówiło, że głosują po raz pierwszy. Byli podekscytowani, a czas skracali sobie gorącymi dyskusjami politycznymi.

Turyści odwiedzający Iran są często zaskoczeni, że w miastach irańskich nie widuje się na ulicach tylu umundurowanych policjantów co w innych dyktaturach Środkowego Wschodu. Tak jest w istocie, ale wystarczy wyciągnąć kamerę albo spróbować porozmawiać z miejscowymi, a w ciągu paru minut otoczą człowieka policjanci w mundurach oraz ubrani po cywilnemu.

Udało mi się porozmawiać z dwiema albo trzema osobami przed każdym z pierwszych pięciu lokali wyborczych, zanim zostałem poproszony przez agentów bezpieczeństwa w cywilnych ubraniach o oddalenie się. Nie przedstawiali się, ale potem dowiedziałem się, że podlegali ministerstwu wywiadu. Spodziewałem się, że będzie tak przez cały dzień, więc nie byłem zaskoczony, gdy jakiś umundurowany policjant zeskokczył z motocykla i zatrzymał mnie, gdy wychodziłem z lokalu wyborczego przy ulicy Gisza w zachodnim Teheranie, gdzie sam oddałem głos na Musawiego. Najwidoczniej jakiś tajniak w lokalu wezwał policję.

– Skąd pan jest? – zapytał policjant.

Po jednej belce na jego ciemnozielonej koszuli mundurowej wywnioskowałem, że mam do czynienia z podporucznikiem teherańskiej policji. W odróżnieniu od Strażników i Basidżu policja nie była tak mocno zindoktrynowana i zajmowała się sprawami ogólnego bezpieczeństwa.

Cienkie wąsiki i zarost podporucznika były wyraźnie spocone, jakby śpieszył się do tego lokalu wyborczego. Pokazałem mu swoją legitymację prasową i wyjaśniłem, że piszę oraz filmuję dla „Newsweeka” i jego strony internetowej. Wezwał przez walkie-talkie swojego przełożonego: „Jest tu, proszę pana, taki jeden facet, który robi wywiady z ludźmi. Dla Nowej Zelandii”.

– Dla „Newsweeka” – poprawiłem go.

– Zamknij się! – wrzasnął na mnie i kazał mi się obrócić twarzą do ściany.
– Robi wywiady! – Słowo „wywiady” zabrzmiało jak „zbrodnia”. – To co, mam go aresztować?

Nie po raz pierwszy zatrzymywała mnie policja. Zwykle w takich sytuacjach dzwoniли do Erszadu i po paru minutach, rzadziej godzinach, byłem wolny. Każdy dziennikarz pracujący w Iranie dobrze wie, że osiemdziesiąt procent czasu trzeba poświęcić na użeranie się z władzami, a tylko dwadzieścia procent zostaje na właściwą pracę. Już dawno się do tego przyzwyczailem, więc posłusznie stanąłem pod ścianą i czekałem na decyzję z „góry”.

– Nie wiem, proszę pana – usłyszałem za plecami. – On wygląda na Irańczyka, ale mówi, że jest z Nowej Zelandii.

Zbliżył się do mnie.

– Hej, mówisz w farszi?

– Oczywiście, mówię w farszi – odparłem grzecznie. – Jestem obywatelem irańskim. Właśnie głosowałem.

– Podejź no tu, pan pułkownik chce z tobą porozmawiać.

– Dzień dobry, jestem Maziar Bahari z „Newsweeka” – przedstawiłem się.
– Mam akredytację Erszadu. Przyszedłem tu, by porozmawiać z ludźmi o wyborach, ale poproszono mnie, żebym opuścił lokal. Właśnie to robiłem, gdy ten oficer mnie zatrzymał.

Pan pułkownik wyjaśnił mi, że ze względów bezpieczeństwa funkcjonariusze policji wykazują tego dnia szczególną czujność. Następnie przeprosił mnie za nieprzyjemne zajście i poprosił, bym przekazał krótkofalówkę porucznikowi.

– Tak jest! To mam go aresztować? – zapytał podporucznik ochoczo. – Nie?
– Wyglądał nieswojo, gdy usłyszał odpowiedź przełożonego. Odwrócił się do mnie plecami. – Tak jest! Rozumiem!

Przypiął krótkofalówkę do pasa, tuż obok pistoletu, i zapytał mnie:

– Jest pan znajomym pułkownika? Chyba był na mnie zły... A ja tylko wykonuję rozkazy. Zadzwonili po mnie i powiedzieli, że robi pan wywiady, no to przyjechałem. Przepraszam...

– Nie ma sprawy, panie poruczniku, służba to służba – powiedziałem.
– Dobrze chociaż, że na te wybory się trochę ochłodziło. A na kogo pan będzie głosować?

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Kolejny wywiad? Ze mną?

– Nie, tak tylko pytam. Już się pan zdecydował?

– Myślę że... na Ahmadineżada.

– Myśli pan? Wybory są dzisiaj. Musiał się pan już zdecydować...

– Tak, tak. Na Ahmadineżada. Mówią, że ten drugi wstrzyma zasiłki i wyleje z policji mnóstwo ludzi...

– A kto tak mówi?

– Aghidati-Siasi...

To były ideologiczno-polityczne komórki, funkcjonujące w każdej jednostce irańskich sił zbrojnych, to znaczy w narodowych wojskach lądowych, powietrznych i morskich, a także w oddziałach Strażników Rewolucji i policji. Odpowiadały za religijną indoktrynację żołnierzy i funkcjonariuszy. Sam najwyższy przywódca wybiera dyrektora Aghidati-Siasi, który ma być jego okiem i uchem w siłach zbrojnych. Oficerowie Aghidati-Siasi to zwykle młodszy duchowni, którzy udzielają żołnierzom religijnych nauk i pilnują, by każdy modlił się i pościł jak należy. Współpracują też ściśle z jednostkami informacji wojskowej przy namierzaniu „niepożądanych elementów” w wojsku i policji.

– Mieliśmy parę spotkań z Aghidati-Siasi – opowiadał podporucznik.
– Mówili o różnych kandydatach i powiedzieli, że pan Ahmadineżad jest z nich najlepszy...

Zerknął z obawą na mój dyktafon i podszedł do motocykla.

– Mam nadzieję, że nie będę miał przez pana kłopotów. Za rozmowę

z panem mogą mnie wyrzucić z pracy.

Wróciwszy do taksówki pana Rusty, spróbowałem ponownie dodzwonić się do Amira. Tym razem odebrał, ale nie chciał dłużej rozmawiać.

– Nie dzwoń już do mnie – powiedział. – Przyjedź po prostu do mojego tymczasowego biura. Jak najszybciej!

Wczoraj brzmiał nerwowo, a dziś tak, jakby się bał.

To biuro mieściło się w Zaferanieh, ekskluzywnej dzielnicy na północy Teheranu. Jeszcze zanim tam dotarłem, zadzwoniłem do Alirezy z komitetu wyborczego Ahmadineżada. Spytałem, co słyhać.

– Pan Ahmadineżad ma już ponad dwadzieścia milionów głosów – powiedział Alireza. – Spodziewamy się, że dojdzie do dwudziestu pięciu milionów. Zadzwonię do pana później.

Poczułem w żołądku zimny ciężar strachu. W Iranie nie prowadzi się żadnych sondaży wyborczych w dniu wyborów. Było około piątej po południu, do zamknięcia lokali wyborczych zostały cztery godziny. Zastanawianie się, skąd Alireza znał już wyniki, nie miało sensu. Znów przypomniały mi się słowa Cohena:

Każdy wie że nasza łódź przecieka

Że kapitan w żywe oczy łże

Każdy to niemile zna uczucie

Jakby ojciec umarł mu lub pies

Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, czy nie powinienem pożegnać się ze swoimi nadziejami. Może Musawi toczył z góry przegraną bitwę? Przed drzwiami tymczasowego biura Amira nacisnąłem dzwonek, o którym wspomniał mi w rozmowie telefonicznej: trzeci od góry, z logo jakiejś firmy budowlanej. W interkomie wideo odezwał się bojaźliwy głos:

– Kto tam? – zapytał bezpośrednio w całkowicie nieirańskim stylu.

– Chciałbym mówić z panem Amirem – odpowiedziałem.

– A kim pan jest?

– Maziar Bahari.

– Proszę poczekać – polecił mi. Po paru sekundach znów się odezwał:
– Proszę wejść i poczekać w holu.

To był szpanerski nowoczesny budynek, wyłożony brązowym marmurem, ze złotymi poręczami. W holu stała duża brązowa kanapa obita skórą. Zanim zdążyłem usiąść, otworzyły się drzwi windy. W kabinie stał Amir i ręką dawał mi znaki, żebym podszedł.

– Czy ktoś szedł za tobą? – zapytał, wycierając białą chusteczką spoczone czoło.

– Nie, chyba nie...

Amir nie nacisnął żadnego guzika.

– No dobrze. Wracaj do samochodu i poproś swojego szofera, żeby zrobił kółko po okolicy. Wróćcie za jakieś dziesięć minut. Ja będę obserwować z okna, czy nikt za tobą nie poszedł.

– A co się właściwie dzieje? – spytałem najspokojniej, jak umiałem.

– Mamy zamach stanu... przewrót wojskowy dokonany przez Strażników Rewolucji – powiedział Amir. – No, idź już...

Słowa Amira zaniepokoiły mnie, choć jeszcze bardziej martwiłem się o przyszłość mojego kraju. Konsekwencje przejęcia władzy przez Strażników byłyby tak straszne, że nawet nie chciałem o tym myśleć. Nie chciałem sobie wyobrażać tego klaustrofobicznego społeczeństwa, jakie by wówczas powstało, ani możliwości konfrontacji zbrojnej z innym państwem – co byłoby całkiem możliwe w przypadku objęcia władzy przez Strażników Rewolucji.

Musiałem wymyślić jakiś pretekst, żeby pan Rusta objechał okolicę i nie zaczął czegoś podejrzewać. Gdy opuścił szybę, żeby spytać, czy wszystko w porządku, powiedziałem mu, że postanowiłem kupić trochę słodczy dla moich przyjaciół. W samochodzie wpatrywałem się w lusterko wsteczne, sprawdzając, czy nikt za nami nie jedzie. Ale nikogo nie zauważyłem. Jeszcze nigdy nie widziałem Amira w takim stanie. Co miał na myśli, mówiąc o zamachu stanu? Może reformiści widzieli, co się dzieje, i oskarżyli zwolenników Ahmadineżada o fałszerstwa wyborcze? Może Ahmadineżad i Strażnicy postanowili zatuszować skandal i zamknąć ludziom usta?

Nie bardzo wiedziałem, co właściwie kupuję w cukierni. Zadzwoiłem do pewnego przyjaciela. Powiedział mi, że Agencja Informacyjna Fars, kierowana przez Strażników, ogłosiła właśnie – o piątej trzydzieści, na trzy i pół godziny przed zamknięciem lokali wyborczych – że Ahmadineżad wygrał wybory, zyskując ponad dwadzieścia milionów głosów.

Kiedy piętnaście minut później podjechaliśmy znów pod biuro Amira, wychodził już z gmachu w towarzystwie innego, znanego mi doradcy Musawiego. Wyskoczyłem z samochodu.

– Słyszeliście komunikat Farsu?

– Tak – powiedział ten drugi mężczyzna. – I dlatego wychodzimy.

Wsiadł do swojego samochodu i zapalił silnik. Amir rzucił mi w pośpiechu:

– Zadzwoń do ciebie później, wieczorem. Oni dokonali zamachu. Wybory są sfalszowane, w całym kraju ginęły urny wyborcze, a do komputerów ministerstwa spraw wewnętrznych włamali się hakerzy. Nie wiemy dokładnie, co się stało. Wiemy tylko, że to był zamach stanu. Musimy już jechać. I ty też stąd spływasz. Nie sądzę, by ktoś cię śledził. Ale trzeba być w ruchu. Do mojego biura mogą wejść w każdej chwili.

Amir wsiadł do samochodu, a potem opuścił szybę.

– Musawi będzie miał wieczorem konferencję prasową – powiedział. – Ktoś do ciebie zadzwoni za jakąś godzinę.

Zaraz potem ich samochód ruszył.

Próbowałem odłożyć na bok swoje odczucia po tym, co mi Amir powiedział – moje obawy, co się stało z moim krajem – i robić dalej, co do mnie należało.

Jak wielu innych dziennikarzy planowałem spędzić część tego wieczoru, już po zamknięciu lokali wyborczych, w ministerstwie spraw wewnętrznych, gdzie zliczano głosy. Jednak o ósmej wieczorem, kiedy dotarłem pod siedzibę ministerstwa przy placu Dżihadu, ulice wokół gmachu były zablokowane przez setki policjantów i żołnierzy z jednostki wyspecjalizowanej w tłumieniu rozruchów. Mieli pistolety i pałki elektryczne. Wysiadłem z samochodu pana Rusty i podszedłem do jednego z policjantów stojących przy bramce. Pokazałem mu swoją legitymację prasową, policjant grzecznie poprosił, bym poczekał, a sam poszedł porozmawiać ze swoim zwierzchnikiem. Wrócił po chwili i przeprosił, że nie może mnie przepuścić: żaden dziennikarz zagranicznej prasy nie mógł wejść do środka.

Nagle spadł deszcz, co w czerwcu jest w Teheranie rzadkim zjawiskiem. Próbowałem jeszcze przekonać policjanta, że mam prawo wejść, że robiłem już reportaże z poprzednich wyborów i zawsze pozwalano mi wejść do ministerstwa. Wtedy podszedł do nas dowódca z plastikową tarczą, lśniąca od deszczu. Popchnął mnie w stronę samochodu pana Rusty, a potem uderzył pałką w maskę wozu.

– *Berin gomszin!* – wrzasnął na mnie i na pana Rustę. – Wynosić się! – Wyciągnął w moim kierunku pałkę. – Jak zostaniesz minutę dłużej, to *kunet mizaram, madar dżeneh* – zagroził. – „Wsadzę ci tę pałkę w dupę, ty sukinsynu!”

Wściekły i kompletnie już przemoczony, wsiadłem do samochodu i powiedziałem panu Ruście, żeby mnie odwiózł do domu mojej matki. Później byłem niezmiernie szczęśliwy, że nie upierałem się dłużej. Dowiedziałem się, że wielu protestujących aresztowano i zamknięto w podziemiach ministerstwa. Byli bici i gwałceni pałkami – dokładnie tak, jak mi obiecywał ten policjant.

Kiedy wróciłem do domu, mama siedziała przed telewizorem

w towarzystwie swojego kuzyna Dżafara. Jedli pestki słonecznika. Na talerzu przed nimi piętrzyła się spora kupka łupinek.

– I co, on znowu wygra? – spytała mnie smutno, nie odrywając oczu od telewizora.

– Na to wygląda – odparłem.

Dżafar, który był już po siedemdziesiątce i niezwykle dbał o dobre maniere, pokręcił głową z wyraźnym obrzydzeniem na twarzy.

– Chamenei nigdy nie pozwoli na wybór Musawiego – powiedział. – Jemu nie jest potrzebny prezydent, tylko sługus, taki jak Ahmadineżad. Musawi byłby zanadto samodzielny i stawiałby się Chameneiemu. Pozwolili kandydować Musawiemu wyłącznie po to, by pokazać, że są rządem ludowym.

Gdy prezenterzy w państwowej telewizji bezwstydnie kadzili Chameneiemu i wychwalali „islamską demokrację” Iranu, w małym okienku w prawym górnym rogu ekranu pokazywano wyniki poszczególnych kandydatów. Wynik Ahmadineżada rósł w oczach. Musawi i dwaj pozostali kandydaci – Karrubi i Rezaei – nie wygrali ponoć nawet w swoich rodzinnych okręgach.

Nie mogłem na to patrzeć. Położyłem się na łóżku i zadzwoniłem do Paoli. Potrzebowałem jej głosu i rozmowy o powrocie do domu, o tym jak marzę, by się położyć koło niej i pocałować ją w jej ciążowy brzuch. Ale Paola chciała rozmawiać tylko o wyborach.

– Czy to prawda? – spytała. – Czy on naprawdę wygrał?

– Niestety – odparłem.

Kiedy próbowałem jej opowiedzieć o wydarzeniach tego dnia, czułem, że przygniata mnie uczucie kompletnego wyczerpania. Dopiero potem zdałem sobie sprawę, że od przylotu do Teheranu trzy dni wcześniej prawie w ogóle nie spałem. Miałem już dość. Pożegnałem się z Paolą i zadzwoniłem po taksówkę, żeby pojechać na konferencję Musawiego.

Konferencja miała się odbyć w jakimś anonimowym budynku na tyłach ulicy Afrykańskiej. Zwykle podczas swoich wystąpień publicznych Musawi wydawał się raczej wyciszonym artystą niż charyzmatycznym politykiem. Tego jednak wieczoru był odmieniony. Poparcie milionów Irańczyków natchnęło go i dodało sił. Był stanowczy i pewny siebie. Kiedy stanął w sali pełnej dziennikarzy i operatorów (było ich prawie pięćdziesięciu), wyjaśnił, że nie uważa ogłoszenia oficjalnych wyników wyborów za koniec swojej kampanii. „Każdy rezultat niewskazujący na moje zwycięstwo będzie błędny i zmanipulowany” – oświadczył. Dziennikarze obecni na konferencji – w większości Irańczycy pracujący dla zagranicznych mediów – spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Chociaż staraliśmy się zachować profesjonalny obiektywizm, to wiedziałem, że większość z nas opowiada się – tak jak ja – za Musawim.

Rzadko czułem bardziej patriotyczny – a zarazem depresyjny – nastrój.

Martwiłem się o przyszłość mojego kraju i byłem wściekły na tych zbirów, którzy przez co najmniej następne cztery lata będą rządzić Iranem. To tak, jakby bandyci porwali jedną z moich ukochanych osób. Ale myśl o Musawim walczącym za swoich wyborców podnosiła mnie na duchu. Może uda się mu powstrzymać ahmadineżadów przed wojskowym zamachem stanu? Może potrafi zmobilizować do tego obywateli?

Tej nocy wyłączyłem swoją komórkę i telefon domowy. Wiedziałem, że będą do mnie dzwonić dziesiątki ludzi, ale pragnąłem tylko jednego: wyspać się. Następnego ranka o dziesiątej okazało się, że nie odebrałem trzynastu telefonów i czterech esemesów ze sztabu Musawiego. Jego ludzie chcieli wypowiedzieć się w zagranicznych mediach, bo irańska telewizja państwowa nie wpuszczała ich na wizję.

„Pan Musawi i jego małżonka, pani Rahnaward, będą mogli udzielić wywiadów jutro, o drugiej po południu, w siedzibie «Etela’at»” – przeczytałem w jednym z esemesów. „Etela’at” to była gazeta kontrolowana przez państwo, której wydawca był jednak przychylny Musawiemu.

W salonie moja matka czytała *Historię Bajhakię*, książkę o średniowiecznym Iranie. Mowa tam o Hasanaku Jasnowidzu, dobrym ministrze, który stracił stanowisko na rzecz nieudolnego pochlebcy.

– *Ruz az no, Ruzi az no* – powiedziała. – Takie same czasy, takie same metody.

Ten kraj od wieków ugina się pod tym samym *aszghal*, zepsuciem władców.

Wyglądała na zmęczoną. Odłożyła książkę na kolana.

– Wiem, że nie powinnam głosować. Jakbym tego nie zrobiła, pozostałabym chociaż czysta. A tak czuję się wykorzystana. Jakbym głosowała na ten system *aszghalu*.

Smętny nastrój matki udzielił się także mnie na resztę dnia. Trudności ekonomiczne, dziesięciolecia politycznych zawirowań i zanieczyszczenie powietrza uczyniły z Irańczyków naród na pograniczu depresji. W latach 90. pewien doradca burmistrza Teheranu zasugerował nawet, by dodawać Prozacu do wody w miejskich wodociągach. Ale dzień po reelekcji Ahmadineżada wielu teherańczykom nie pomogłaby nawet końska dawka antydepresantów. Ta żałość w powietrzu była trudna do wytrzymania.

Dzięki swoim kontaktom dowiedziałem się, że najwyższy przywódca Chamenei zadzwonił po południu w dniu wyborów do Musawiego i powiedział, że wedle jego wiedzy Ahmadineżad wygrał. Poprosił Musawiego, by przyjął porażkę bez goryczy w sercu, i obiecał mu nawet jakąś ważną funkcję w nowej administracji. Musawi odpowiedział, że jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek

decyzje. „To ludzie muszą zdecydować, a nie pan” – rzekł Musawi. Skończył rozmowę i odmówił spotkania z Chameneim następnego dnia.

Parę godzin później Chamenei ogłosił posłanie do narodu irańskiego, gratulując mu „historycznego osiągnięcia”. Reelekcję Ahmadineżada nazwał „znakiem od Boga”, wspierającym Islamską Republikę Iranu.

W ślad za tym Strażnicy Rewolucji otrzymali bezpośrednio z biura Chameneiego rozkaz, by podjąć odpowiednie środki zapobiegawcze uniemożliwiające reformistom podżeganie opinii publicznej do protestów przeciw wynikom wyborów. Ponieważ większość zwolenników Musawiego porozumiewała się esemesami, zablokowano tę usługę telefoniczną. Tej samej nocy włamano się do biur Musawiego i skonfiskowano znajdujące się tam komputery. Jeszcze przed wyborami teherańska policja ogłosiła, że przygotowuje się do operacji *Eghtedar* („Moc”). Oficjalnie chodziło o zagwarantowanie bezpieczeństwa podczas wyborów, a w istocie szło – zgodnie z poleceniami Chameneiego – o poradzenie sobie z groźbą ewentualnych niepokojów społecznych.

Pod kierunkiem doradcy Chameneiego do spraw bezpieczeństwa, niejakiego Aszghara Hedżazi, oraz drugiego syna ajatollaha, Modżtaby Chameneiego, Strażnicy przygotowali listę reformistycznych aktywistów, których należało aresztować. Z pewnego źródła w ministerstwie informacji dowiedziałem się, że Modżtaba Chamenei niepokoi się, kto zastąpi jego ojca jako najwyższego przywódcę. Stara się więc, by wyeliminować z awansu każdego, kogo nie zdołałby kontrolować. Później dowiedziałem się od funkcjonariuszy wywiadu, że Strażnicy – w istocie prywatna armia Chameneiego, odpowiedzialna tylko przed nim – już na parę tygodni przed wyborami przejęli wszystkie operacje dotyczące wywiadu i bezpieczeństwa w całym kraju. Innymi słowy: Strażnicy kontrolowali cały kraj.

Tego dnia, gdy jeździłem po Teheranie, próbując odwiedzić moich informatorów, ulice pełne były Strażników, umundurowanych policjantów i tajniaków z krótkofalówkami. Na wielu skrzyżowaniach stały patrole Basidżu, obserwujące ludzi. Jeśli zamach stanu oznacza przewrót wojskowy, to rzeczywiście Strażnicy dokonali takiego zamachu.

Miałem w plecaku kamerę, ale wiedziałem, że przy takiej liczbie policjantów na ulicach nie będę mógł filmować. Postanowiłem więc zabierać do swojej taksówki pasażerów „na łebka” i rozmawiać z nimi o bieżącej sytuacji. Pytałem każdego z nich, co myśli i czuje po wyborach, ale większość moich rozmówców nie paliła się do rozmowy. Jedynie zwolennicy Ahmadineżada wypowiadali się swobodnie – ale tego dnia było ich niewielu. Porzuciłem więc strategię „taksówkową” i zacząłem podsłuchiwać rozmowy na ulicy i w autobusach. Niektórzy młodzi ludzie dyskutowali o liczbie głosów zdobytych przez Ahmadineżada w poszczególnych prowincjach, wyrażając swoją zasadniczą niewiarę, by zyskał taką przewagę nad Musawim. Wciąż słyszałem utyskiwania

ludzi, którzy uważali, że ich głosy zostały ukradzione.

Kiedy dotarłem do siedziby „Etela’at”, zobaczyłem wielu przyjaciół i kolegów pracujących dla zagranicznych mediów. Był też gęstniejący tłum zwolenników Musawiego, który wydał oświadczenie na swojej stronie internetowej, w którym deklarował, że nie uznał oficjalnych wyników wyborów. Wydawało się, że teraz jego zwolennicy zebrali się, by usłyszeć to samo z jego ust – i zademonstrować swoją lojalność. Wejście do budynku było zagrodzone kordonem policji. Funkcjonariusze grzecznie prosili tych z nas, którzy pokazywali legitymacje prasowe, byśmy poszli sobie do domu, bo żadnej konferencji prasowej nie będzie, a samego Musawiego nie ma w budynku. Nie wierząc policji, większość z nas czekała dalej na parkingu, by zobaczyć jego przyjazd. W tym czasie pod budynek ścigało coraz więcej ludzi. Policjanci – którzy czuli się chyba nieswojo, wypełniając te rozkazy – zrobili się jeszcze bardziej nerwowi. Dostłyszałem, jak ich dowódca domagał się przysłania posiłków. Potem podszedł do nas i poprosił o opuszczenie terenu – tym razem już nie tak uprzejmie jak poprzednio:

– Wszyscy dziennikarze to szpiedzy! – krzyknął. – Jak się nie wyniesiecie stąd w pięć minut, to wsadzimy was do ciężarówki i wywieziemy do Ewinu!

Na samą wzmiankę o Ewinie, najbardziej osławionym więzieniu w Iranie, gdzie trzymano wielu więźniów politycznych, przeszły nas ciarki i natychmiast się wycofaliśmy.

Kilka przecznic dalej zadzwoniłem do Dawuda, żeby sprawdzić, czy jest wolny i czy może mnie obwieść po mieście. Wcześniej dzwoniło do mnie kilku przyjaciół, informując o jakichś utarczkach pomiędzy młodzieżą a Basidżem i Strażnikami. Chciałem to sprawdzić na miejscu, ale Dawud nie odpowiadał.

Postanowiłem więc wziąć taksówkę i pojechać do kwatery Musawiego na placu Wali Asr. Oczywiście nie ja jeden wpadłem na ten pomysł. Pod budynkiem zebrały się już setki ludzi, ale tu także dostępu broniła policja i Strażnicy Rewolucji. Przepchnąłem się przez tłum i krzyknąłem do jakiegoś oficera, że muszę się dostać do sklepu po drugiej stronie placu. Kazał mi się wynosić, a kiedy już się cofałem, jakiś tajniak kopnął mnie mocno w tyłek, a potem popchnął w kierunku kordonu policji. Wpadłem na jakiegoś policjanta, który natychmiast dał mi kopa w plecy i uderzył pałką po ramieniu.

– *Gomszo, madar ghahbeh!* – wrzasnął. – „Spierdalaj, gnoju!”.

Z ramieniem odrętwiałym z bólu zdałem sobie sprawę z mojej sytuacji. Nie byłem już dziennikarzem, byłem jednym ze zwykłych ludzi. Trzymając się za ramię, rozejrzałem się szybko dookoła. Policjanci mieli pałki elektryczne, a nie zwykłe. Dowiedziałem się potem, że przewidywali kłopoty po wyborach i przygotowali się solidnie. Pomyślałem o kamerze w plecaku. Gdyby ją znaleźli, zaaresztowaliby mnie od razu. Wymknąłem się ze spuszczoną głową, udając

zwykłego przechodnia porwanego przez tłum. Dowiedziałem się później, że policja otrzymała wyraźny rozkaz rozpędzania wszelkich zgromadzeń w pobliżu biura Musawiego i budynku MSW, odległego o dziesięć minut piechotą. Nie chcieli, by ludzie dzielili się informacjami albo planowali jakieś akty sprzeciwu – więc policjanci reagowali gwałtownie na widok więcej niż dwóch rozmawiających ludzi. Gdy już się trochę oddaliłem, spojrzałem na tłum i zobaczyłem policjantów pałujących zgromadzonych ludzi.

Obserwowałem ten okropny widok z drugiej strony ulicy, gdy nagle podszedł do mnie i do innych przechodniów jakiś policjant.

– No i co się tak gapicie, skurwiele? – warknął, podczas gdy jego koledzy spychali tłum plastikowymi tarczami, bijąc na prawo i lewo pałkami. Przez moment stałem jak wryty, nie mogąc uwierzyć własnym oczom, ale nagły ruch tłumu przywołał mnie do rzeczywistości. Ludzka fala odpłynęła gwałtownie spod biura Musawiego. Ja też zacząłem biec, a ludzie pokrzykiwali do siebie w biegu, nie wiedząc, gdzie uciekać. W sklepach i biurach położonych przy ulicy otwarto drzwi, by uciekający mogli się tam schronić. Myślę, że wszyscy liczyli się z tym, że policja będzie chciała rozpędzić demonstrantów, ale nikt nie przewidywał takiej brutalności.

W biegu zobaczyłem dwie matki porwane przez tłum i ściskające przy sobie desperacko dzieci. Nie miały jak się stamtąd wyrwać – wszędzie ściana ludzi, a policja zbliżała się szybko. Matki wołały o pomoc. Jakiś stary człowiek w muzułmańskiej czapeczce modlitewnej i z siwą brodą stał w drzwiach pobliskiego domu. Usłyszawszy krzyki, przedarł się przez tłum i dotarł do obu kobiet. Wziął je pod ramiona i zaczął się z nimi przepychać z powrotem do swojego domu. Jedna z tych matek, z okrągłą twarzą i dużymi ciemnymi oczami jak z perskiej miniatury, kiwała wciąż głową w geście wdzięczności, wpychając wszystkie dzieci do wnętrza domu, a potem weszła sama. Stary mężczyzna zatrzasnął drzwi przed nosem policji. Wściekli policjanci zaczęli kopać w drzwi i walić w nie pałkami, ale stary człowiek nie otwierał. Tłum, do tej pory niemy wobec policji, nagle się obudził.

– *Welesz kon, welesz kon!* – krzyczeli ludzie. – „Zostawcie go, zostawcie!”.

Zaczęli ciskać w policjantów kamieniami i kawałkami gałęzi. Policjanci, zdawszy sobie sprawę z liczebnej przewagi demonstrantów, wycofali się. W tłumie wybuchła radość, ale tylko na chwilę. Niemal natychmiast, nie wiadomo skąd, nadszedły dziesiątki policjantów na czarnych motocyklach. Gdy się zatrzymali, nikt nie wiedział, co policja planuje. Nagle pięciu czy sześciu policjantów zsiadło z motorów, wyciągnęło pękate czarne strzelby i jednocześnie wystrzeliło w tłum gaz łzawiący. Niektóre pojemniki eksplodowały w powietrzu, inne po upadku na ziemię. Dopiero po dłuższej chwili ludzie zdali sobie sprawę, czym do nich strzelają. Wszyscy rzucili się do ucieczki, ale nie wiedzieli, dokąd właściwie

uciekają.

Wzięci w dwa ognie – od północy i południa – próbowaliśmy znaleźć jakąś drogę. Całe szczęście, że chodziłem w tej okolicy do szkoły średniej, więc boczne uliczki znałem całkiem dobrze. Kiedyś uciekałem tu z przyjaciółmi przed patrolem Basidzu. Gdy Strażnicy uderzyli na tłum od południa, a policja od północy, ja skoczyłem w boczną uliczkę, która dała mi schronienie dwadzieścia pięć lat wcześniej. Biegłem i biegłem aż do utraty tchu.

Zatrzymałem się koło jakiegoś lekarza pochylonego nad szesnastoletnim chłopakiem. Jego brat powtarzał wciąż imię rannego: „Reza, Reza *dżun*”. Reza leżał półprzytomny, a jego niebieska koszula z krótkim rękawem była przesiąknięta krwią.

– *Chaar kos deh ha, madar džendeh ha!* – krzyczał brat w stronę policji. „Siostrójebymy, matkojebymy!”.

W Iranie to najgorsze wyzwiska. Ale chłopak imieniem Majsam na nic nie zważał, widząc własnego brata we krwi.

Spytałem Majsama, co się stało. Powiedział mi, że wracał z Rezą ze szkoły językowej, gdy bez żadnego powodu zostali zaatakowani przez policję i pobici pałkami. Gdy Reza upadł, jakiś tajniak kopnął go w głowę. Ten lekarz, starszy mężczyzna z siwym zarostem, wyglądał na przygnębionego, gdy opatrywał rany Rezy. Spytałem go, czy mógłbym jakoś pomóc. Gdy spojrzał na mnie, zobaczyłem, że ma łzy w oczach.

– Nie wiedziałem, że oni planują coś takiego. Nie wiedziałem... – powiedział.

Gdy spytałem, co ma na myśli, wyjaśnił, że pracuje dla irańskiego Czerwonego Półksiężyca, czyli muzułmańskiej wersji Czerwonego Krzyża. Wczorajszego wieczoru zadzwoniono do niego i jego kolegów z poleceniem, by byli przygotowani na „ostateczną rozgrywkę”.

Pożegnałem się i ruszyłem dalej, aż znalazłem człowieka z motocyklem, który zgodził się odwieźć mnie do domu. Podskakując na wybojach, czułem ostry ból w plecach i zauważyłem, że prawa ręka, w którą dostałem pałką, stała się bezwładna.

Dotarłszy do domu, połknąłem parę proszków przeciwbólowych. Miałem nadzieję, że moja ręka nie jest złamana. Rząd wydał zakaz relacjonowania powyborczych demonstracji i wiedziałem, że wielu dziennikarzy będzie się obawiało złamać ten zakaz. Niemniej moje nastawienie było odmienne. Dzięki mojej znajomości Iranu, kontaktom w sferach rządowych i powiązaniom z zagranicznymi mediami miałem szczególne możliwości, by zrelacjonować te podejrzane wybory i chaos, który po nich nastąpił.

Chciałem zadzwonić do Paoli, ale obawiałem się, że rozpozna w moim głosie ból lub strach. Poza tym musiałbym się przyznać, że nie wrócę za kilka dni, jak planowaliśmy. Jeśli wydarzenia będą nadal tak gwałtowne, będę musiał zostać i je opisać. W odróżnieniu od wielu innych spraw, o których pisałem wcześniej, przeżywałem te wydarzenia głęboko, na poziomie osobistym. Jakiś głos wewnątrz mnie – może ojca, a może Marjam – kazał mi zostać i być świadkiem tego, co zrodziło się z zamieszania, które ogarnęło nasz kraj.

Kamień spadł mi z serca, gdy przekonałem się, że mama śpi w swojej sypialni. Miałem plamy krwi Rezy na swojej koszuli i nie chciałem, by je zobaczyła. Po cichutku zamknąłem drzwi, wyprałem koszulę i włączyłem telewizor. Cały ekran wypełniało oblicze Chameneiego. Lektor czytał list ajatollaha do Ahmadineżada z okazji zwycięstwa: „Wrogowie będą może chcieli zepsuć słodycz tego wydarzenia przez jakieś brudne prowokacje...”. W miarę lektury kamera pokazywała różne ujęcia uroczystego oblicza najwyższego przywódcy.

Wyłączyłem dźwięk i oglądałem po cichu ujęcia triumfującego Ahmadineżada i zadowolonego z siebie Chameneiego. Przeniosłem laptopa do salonu i zacząłem pisać artykuł dla „Newsweeka”: *Jeśli rzeczywiście doszło do wyborczego szwindlu, równoznacznego z zamachem stanu, to większość ludzi sądzi, że stało się tak z błogosławieństwem Chameneiego...*

Tego wieczoru ministerstwo spraw wewnętrznych ogłosiło ostateczne zbiorcze wyniki wyborów: Ahmadineżad uzyskał 24 592 793 głosy, a Musawi 13 338 121. Liczba głosów oddanych na dwóch pozostałych kandydatów była bez znaczenia. Gdyby wziąć podane liczby za dobrą monetę, można by z nich wyciągnąć jedynie dwa wnioski: albo wszystkie sondaże różnych agencji rządowych były błędne, albo też Irańczycy jako naród są tak nieprzewidywalni, że ich preferencji wyborczych nie da się zawczasu oszacować. Ja jednak miałem inne wrażenie, oparte na rozmowach z Amirem i na tym, co widziałem na ulicach: otóż Strażnicy Rewolucji, działając na rozkaz Chameneiego, „pomogli” urzędnikom ministerstwa w liczeniu głosów tak, by zapewnić reelekcję Ahmadineżadowi, który jako jedyny z kandydatów mógł zagwarantować ochronę interesów Strażników Rewolucji i najwyższego przywódcy. Podejrzewam, że Chamenei dlatego tak ostentacyjnie wsparł fałszowanie wyborów, by pokazać, że tylko on rządzi naprawdę i rozdaje karty. Rozruchy, do których dochodziło w kraju przez następne dwa dni, świadczyły, że nie tylko ja tak myślałem.

Następnego dnia, w niedzielę 14 czerwca, Ahmadineżad miał konferencję prasową w kancelarii prezydenta przy ulicy Pasteura w południowym Teheranie. W dużej białej sali, wyłożonej ozdobnymi ceramicznymi płytami zasiadłem wraz z kilkudziesięcioma irańskimi i zagranicznymi dziennikarzami. Choć wzbierała

we mnie złość, skupiłem się na czynnościach zawodowych. Pierwszą część konferencji Ahmadineżad poświęcił na chęlnie się swoim zwycięstwem. Gdy dziennikarze spytali o domniemane fałszerstwa wyborcze, ledwie mrugnął okiem. Stwierdził, że „zwolennicy Musawiego są jak drużyna piłkarska, która przegrała mecz, ale wciąż utrzymuje, że była lepsza”. Uśmiechnął się złośliwie i dodał: „Przegraliście, panowie. Czas się z tym pogodzić”.

Asystenci Ahmadineżada starannie wybierali dziennikarzy, którym wolno było zadawać pytania. Większość z nich marnowała jedynie czas, wałkując wciąż te same pytania o irański program atomowy. Ahmadineżad był już o to wielokrotnie pytany i miał sprawdzoną odpowiedź: Iran potrzebuje energii atomowej do celów pokojowych i jest to jego niezbywalne prawo. Wreszcie tłumacz oddał głos Maksowi Rodenbeckowi z „The Economist”:

– Panie prezydencie, oskarżył pan zagraniczną prasę o prowadzenie oszczerczej kampanii przeciw Iranowi, ale faktycznie widzimy na własne oczy i słyszymy na własne uszy, że miliony Irańczyków nie wierzą w autentyczność wyników wyborów. Dlaczego nie ogłoszono pełnych wyników z poszczególnych obwodów? Czy sądzi pan, że zaszkodziłoby to legitymizacji pańskiego rządu Republiki Islamskiej i prestiżowi najwyższego przywódcy?

Później dowiedziałem się, że Max mógł zadać to pytanie jedynie przez nieporozumienie – ludzie Ahmadineżada byli przekonani, że dziennikarz z „The Economist” poruszy jakąś kwestię gospodarczą. Prezydent długo wpatrywał się w Maksa, zanim odpowiedział:

– A gdzie pan usłyszał, że ludzie nie ufają wynikom wyborów? Spotkał się pan z czterdziestoma milionami Irańczyków? Porozmawiał pan z paroma ludźmi – tymi, z którymi pan chciał porozmawiać. Na tym polega pański błąd. Jeśli przekaze pan te opinie swoim obywatelom i władzom, wprowadzi ich pan w taki sam błąd.

Następnie zaprosił Maksa i pozostałych dziennikarzy na wiec, który miał się niebawem odbyć. Gdy jakąś godzinę później przyjechaliśmy na miejsce, na placu Wali Asr były już setki tysięcy zwolenników Ahmadineżada. Wielu trzymało portrety Ruhollaha Chomeiniego i Alego Chameneiego. Niektórzy mieli też fotografie Musawiego, przekreślone wielkim znakiem „X”.

Ahmadineżad czuł się na scenie jak gwiazdor rocka. Otoczony ochroniarzami, gratulował ludziom, że go wybrali, i mówił o swojej uczciwej kampanii. Kiedy jego zwolennicy zdzierali z murów wokół placu plakaty Musawiego i innych kandydatów, Ahmadineżad opowiadał, że w odróżnieniu od swoich konkurentów, będących przedstawicielami ludzi bogatych i możnych, on jest prezydentem zwykłych ubogich Irańczyków. Powtórzył swoją piłkarską analogię i powiedział, że kibice przegranej drużyny próbowali zmienić wynik po meczu. „Ale to bez znaczenia, co te *chas o chaszak* – «szumowiny i śmiecie»

– mówią. Zmiecie ich zdrowy odruch prawdziwego narodu” – stwierdził.

Przemówienie Ahmadineżada zaprawiło wyzwiskami gorycz zwolenników Musawiego. Ludzie mogą znieść porażkę, ale nie upokorzenie. Po wiecu wszyscy mówili o epitecie użytym przez Ahmadineżada – *chas o chaszak*. Musawi poprosił swoich stronników, by unikali konfrontacji z siłami bezpieczeństwa i odrzucili przemoc – i jak dotąd większość ludzi hamowała swój gniew. Szybko to się jednak zmieniło. Nazwanie milionów obywateli „szumowinami i śmieciami” przepełniło czarę goryczy.

Młodzi ludzie z całego Teheranu zaczęli ścierać się z policją i Basidżem. Policja nie miała żadnych oporów, atakując demonstrantów i przypadkowych przechodniów. Wraz z narastającą frustracją ludzi policja i Strażnicy działali coraz bezwzględniej. Policja miała rozkaz, by zapobiec wszelkim ruchom zwolenników Musawiego w stolicy. Policjanci zajmowali chodniki i bili wszystkich, którzy nie zeszli im z drogi.

Objechałem motocyklem i taksówką całe miasto, a kiedy nie było innego wyjścia, ruszałem piechotą. Miasto szybko pogrążało się w chaosie. Gangi policjantów na motorach szalały na ulicach, zagrażając kierowcom i zatrzymując ruch na chybił trafił. Jakiś kierowca na alei Beheshti wcisnął klakson swojego samochodu, protestując przeciw temu bałaganowi, ale zaraz pojawiło się trzech czy czterech funkcjonariuszy, którzy pałkami rozbili mu szyby w wozie. Wydawało się, że mają jakiś osobisty uraz do lusterek bocznych, bo walili w nie tak długo, aż spadły na jezdnię. Kierowca zakrył głowę dłońmi, ale jeden z policjantów wyciągnął go z samochodu i wywłókł na chodnik, gdzie inny funkcjonariusz zaczął go policzkować.

– No i co się gapisz? – zapytał mnie policjant, odwracając ręką moją głowę. Nie widziałem jego twarzy, tylko czarną skórzaną rękawicę z obciętymi palcami i lśniący plastikowy ochraniacz na łokciu.

– Nic, nic – powiedziałem szybko i zrobiłem w tył zwrot.

Idąc tego wieczoru aleją Wali Asr, zobaczyłem czterech czy pięciu funkcjonariuszy bijących pałkami jakąś starszą kobietę za to, że zaprotestowała, gdy zablokowali jej wejście do domu. Kobieta upadła już po pierwszym ciosie. Czarna chusta opadła jej na ramiona. Widząc, jak pałka spada na jej plecy, sam poczułem ból. To była taka sama elektryczna pałka, jaką dostałem dzień wcześniej. Obserwując tę scenę, ale nie mogąc nic zrobić, poczułem się jak tchórz. Miałem kamerę w plecaku, ale bałem się ją wyjąć. Bałem się też pomóc tej kobiecie, bo nie chciałem ryzykować aresztowania i więzienia. Czulem się tak, jakby nogi wrosły mi w ziemię. Chciałem odepchnąć napastników, ale było ich zbyt wielu, żebym mógł naprawdę pomóc tej staruszce. Gdy tak się zastanawiałem, co robić, bicie dobiegło końca. Zaraz po odejściu Strażników pomogłem – wraz z dwoma innymi mężczyznami – wrócić kobiecie do domu.

– Chamenei za to zapłaci, zapłaci... – powiedziała staruszka, popłakując.

Z poczuciem kompletnej bezradności poszedłem do domu. O dziewiątej wieczorem usiadłem przed telewizorem. Na okrągło powtarzano triumfalne przemówienie Ahmadineżada i list gratulacyjny, który otrzymał od Chameneiego. Ta chęć upokorzenia własnego narodu na tak ogromną skalę była odrażająca.

Niedługo potem zadzwonił telefon – to był Dawud. Powiedział, że od czasu ogłoszenia wyników pije z kumplami.

– Ale czuję się już lepiej. Dzisiaj wieczorem daliśmy popalić lokalnemu Basidżowi. Urządziliśmy własny przewrót.

Zgodził się zabrać mnie około jedenastej wieczorem i zawieźć mnie w swoją okolicę.

Tej nocy ulice Punaku pokryte były śmieciami, a plastikowe kubły płonęły.

– Witamy w Palestynie – powiedział Dawud.

Zobaczyłem grupę młodych ludzi atakujących posterunek Basidżu. Mieli kije i kamienie.

– *Basidži bia biru!* – krzyczeli, prowokując przeciwników do wyjścia.

Dawud przedstawił mnie swoim przyjaciołom w tłumie. Powiedzieli, że poprzedniego wieczoru dziesięciu ludzi ubranych na zielono rozbijało szyby w okolicznych sklepach.

– Mieli zasłonięte twarze, więc nikt ich nie rozpoznał – powiedział jakiś młody człowiek. – Chcieli, żeby wina spadła na zielonych, ale myśmy ich dorwali, a trzech z nich miało przy sobie legitymacje Basidżu.

W milczeniu słuchałem tych historii i patrzyłem, jak Dawud i jego przyjaciele rzucają kamieniami i kawałkami płyt chodnikowych w posterunek Basidżu. Jak to się stało? To były przecież te same dzieciaki, które pokojowo demonstrowały w dniach przedwyborczych i które w piątek spokojnie głosowały. Teraz ich wszystkie marzenia legły w gruzach.

Dawud przyznał, że nie są pewni, czy w budynku ktoś jeszcze przebywa, ale i tak fajnie było obrzucać posterunek kamieniami. Mogli się przynajmniej wyżyć. Dawud zauważył moją skonsternowaną minę. Przysunął się do mnie i, przekrzykując hałas, zapytał:

– Co mam robić, panie Maziar? Wywalili mnie z uczelni, jestem bezrobotny. To co mam robić?

Zauważyłem, że ma łzy w oczach. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

– Jutro kupię sobie spluwę – powiedział. – Jeszcze im pokażemy, na co nas stać.

Podczas dorocznego hadżdżu, muzułmańskiej pielgrzymki do Mekki, wierni obrzucają kamieniami słup symbolizujący szatana. Dla tych młodych ludzi z Punaku to placówka Basidżu symbolizowała całe zło panoszące się w kraju. Zacząłem się zastanawiać, kiedy ten symboliczny atak przeobrazi się w realną

napaść na członków Basidżu – nie tylko za pomocą kamieni i gałęzi, ale pistoletów i koktajli Mołotowa.

Kiedy już wróciłem do domu, spróbowałem skontaktować się na Facebooku z paroma przyjaciółmi, by dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja w pozostałych rejonach kraju. Władze starały się zablokować Facebooka, ale wielu Irańczyków korzystało z Freegate – programu stworzonego przez chińskich dysydentów, by ominąć rządową cenzurę. Chińczycy używali Facebooka i Twittera, by komunikować się ze światem zewnętrznym i między sobą. A w Iranie jest najwięcej blogerów, oprócz USA i Chin. Jest więcej blogów pisanych po persku niż w jakimkolwiek innym języku świata, z wyjątkiem angielskiego. Długotrwały monopol informacyjny irańskiego rządu pęka nie tylko na ulicach, ale także w cyberprzestrzeni.

Facebook był najbardziej wiarygodnym źródłem informacji. Pojawiały się doniesienia o sporadycznych demonstracjach w całym kraju, ale wydawało się, że policja zdołała zastraszyć zwykłych ludzi i zniechęcić ich od wyjścia na ulice. Ostrzeżenia policji nie odniosły jednak żadnego efektu, jeśli chodzi o studentów, którzy w wielu kampusach zorganizowali demonstracje poparcia dla Musawiego i ścierali się z policją. W niektórych przypadkach policja wdzieriała się do akademików i aresztowała studentów. Z różnych wiadomości na Facebooku dowiedziałem się, że do najgorszych incydentów doszło w męskim kampusie Uniwersytetu Teherańskiego. Policję wezwała tam podobno ochrona, gdy studenci zaczęli wykrzykiwać jakieś antyahmadineżadowskie hasła. Po wkroczeniu do akademików sił policji i Basidżu ochrona pozamykała bramy, by nikt nie mógł się wydostać. Z pokojów wyciągano wszystkich studentów, niezależnie od tego, czy uczestniczyli w demonstracji, czy nie. Wypędzono ich na zewnątrz akademików i tam pobito pałkami. Wielu zostało tak skopanych, że stracili przytomność. Były przypadki, że policja gwałciła studentów pałkami. Co najmniej siedmiu studentów poniosło śmierć.

Tej nocy słyszałem we śnie odgłosy zamieszek, ale zanim się obudziłem, usłyszałem głos Amira: „Wszystko, co możemy zrobić, to modlić się, by najwyższy przywódca podjął mądrą decyzję”. Władza oślepia i przestraszyłem się, że ślepotą Chameneiego sprowadzi katastrofę na mój kraj i naród.

ROZDZIAŁ 5

Gdy obudziłem się nazajutrz rano, znalazłem e-maila od pewnego przyjaciela Amira: „Aresztowali go. Zadzwoń do mnie”.

Ów przyjaciel powiedział mi przez telefon, że Amira aresztowali dziś wczesnym rankiem, razem z kilkudziesięcioma politykami sympatyzującymi z Musawim, wśród których byli dawni ministrowie i były wiceprezydent.

– Ja też mam się bać? – spytałem.

– Na razie nie, ale uważaj na siebie – odparł.

Spróbowałem się skontaktować z moimi przyjaciółmi i informatorami w sferach rządowych, ale nikt nie odbierał telefonu. Wszyscy nagle zamilkli.

Poprosiłem Dawuda, by przyjechał o dziewiątej rano i zabrał mnie na parę spotkań, a potem na demonstrację, która miała się odbyć o czwartej po południu w alei Rewolucji. W reakcji na wczorajsze przemówienie Ahmadineżada, kiedy nazwał swych przeciwników „szumowinami i śmieciami”, zwolennicy Musawiego nazwali swój protest Demonstracją Szumowin i Śmieci. Wieści o zgromadzeniu rozpowszechniano przez Internet i telewizję satelitarną. Ale Dawud był dziwnie niepunktualny i nie odbierał telefonu. Wreszcie zadzwonił do mnie o wpół do dziesiątej.

– Gdzie ty się, do diabła, podziewasz? – spytałem rozdrażniony.

– Niech pan przyjdzie na róg Motahari i Wali Asr – odparł.

– Co jest grane?

– Niech pan po prostu przyjdzie na ten róg. Będę tam na pana czekał.

Ta instrukcja była tak dziwna, że zacząłem się coraz bardziej niepokoić. Przypomniało mi się, co Dawud mówił o jakichś ludziach w peugeocie, czekających pod domem mojej matki. Ten dom stał w ślepych końcu ulicy, więc nie było tam nigdy dużego ruchu. Przed wyjściem z domu wyszedłem na dach i rozejrzałem się po okolicy. Przy ulicy stały trzy peugeoty, ale nie było w tym nic specjalnie dziwnego. Chociaż peugeotami jeździła administracja rządowa, zwykli ludzie też korzystali z samochodów tej marki. Kilka osób wychodziło z jakiegoś biura u wylotu ulicy. Nie dostrzegłem nic podejrzanego. Byłem już spóźniony na moje spotkania i zły na Dawuda. Szedłem dziesięć minut na umówione miejsce i znalazłem go siedzącego na motocyklu.

– Co się dzieje? – spytałem.

– Paru ludzi czekało na końcu pańskiej ulicy, panie Maziar.

– No i co z tego, są tam jakieś biura...

– Ale dwóch z nich wyglądało naprawdę podejrzanie. Wiem, że to

bezpieczniacy...

Miałem już dość histerycznego zachowania Dawuda. Gdy wspiąłem się na tylne siodełko jego motocykla, wyczułem zapach potu i alkoholu. Włosy też miał w nieładzie.

– Pileś? – spytałem.

– A, troszeczkę, panie Maziar. Nie mogę spać w nocy. Po tym, jak pan poszedł, mieliśmy jeszcze jedną sprawę z Basidzem.

– *Bezan kenar!* – poleciłem. – Zatrzymaj się!

Zrobił, co mu kazałem.

– Przykro mi, Dawud, ale nie mogę pozwolić, byś jechał po alkoholu. Odpocznij sobie dzisiaj, a jak jutro będziesz czysty i trzeźwy, zadzwoń do mnie.

Wynająłem inny motocykl, spotkałem się z paroma przyjaciółmi i znajomymi, a potem wróciłem do domu.

Mama dopiero co ugotowała rybę z *torszi tareh*, lekką wegetariańską potrawkę. Miała niesamowitą zdolność zgadywania, na co będę miał apetyt. Kiedy potrzebowałem energii, gotowała *fesendzun* – kurczaka albo kaczkę z orzechami i sosem pomarańczowym – albo *margheh torsz* – kurczaka z winogronami i grochem. A takiego dnia jak ten, gdy byłem w biegu i potrzebowałem lekkiego posiłku, robiła *torszi tareh* albo *mirza ghasemi* – jajecznicę z pomidorami i bakłażanem.

Kiedy jedliśmy, opowiedziała mi, że rankiem w pobliskim sklepie słyszała, iż wielu ludzi chce wziąć udział w Demonstracji Szumowin i Śmieci.

– Ludzie chcą wyjść na ulicę, by odzyskać swoje głosy. Szkoda, że nie mogę iść z nimi. Gdybym była dziesięć lat młodsza... A tak boję się, że z moimi bolącymi plecami nie ucieknę, gdy Strażnicy zaatakują demonstrantów.

Moja matka wiedziała, co mówi. Za młodu uczestniczyła w wielu demonstracjach i wiedziała, jak szybko i niespodziewanie może pojawić się przemoc.

– Myślisz, że te *aszghale* będą siedzieć spokojnie i tolerować protesty przeciw nim? – spytała, gdy przygotowywałem kawę po turecku dla niej i dla siebie.

Lata obserwowania, jak jeden rząd po drugim znęcają się nad krajem, nauczyły matkę spodziewać się najgorszego. Nie oczekiwała po Chameneim i jego reżimie racjonalnych działań.

– Tyrani władają tym krajem, nie widząc dalej niż czubek własnego nosa. Chcą tylko rządzić i nagrabić, ile się da, jak najdłużej. Nie zastanawiają się nad tym, jakie konsekwencje przyniesie to ludziom ani nawet im samym.

– Może i masz rację, ale co z legitymizacją rządów? – spytałem. – Nie sądzisz, że Chamenei chciałby się utrzymać przy władzy jako prawowity przywódca?

Matka – może zaskoczona moją naiwnością – odwróciła się i skierowała moją uwagę na wiadomości telewizyjne. Przez cały dzień państwowe radio i telewizja ostrzegały ewentualnych demonstrantów, że ministerstwo spraw wewnętrznych nie wydało zezwolenia na żadne wiece protestacyjne. Podkreślano, że siły bezpieczeństwa będą karały demonstrantów z całą surowością dopuszczoną przez prawo.

– Legitymizacja rządów? – westchnęła matka. – Myślisz, że oni w ogóle dbają o to, co ludzie myślą?

Zgasiała telewizor, rzuciła pilota w kąt tapczanu i pomogła mi sprzątać ze stołu.

– Tylko uważaj na siebie...

Bardzo byłem ciekaw, ilu ludzi przyjdzie na Demonstrację Szumowin i Śmieci i jaka będzie reakcja władz. Spodziewałem się, że na ulice wyjdzie w najlepszym razie kilka tysięcy zwolenników Musawiego, że policja zacznie pałowanie, a większość ludzi szybko wróci do domu. Musawi w końcu pogodzi się z przegraną i wróci na państwową posadę dyrektora Akademii Sztuki.

Nie mogłem się bardziej mylić. Zjawiłem się na demonstracji około wpół do piątej.

Sceneria przypominała mi demonstracje przeciw szachowi, których świadkiem byłem w listopadzie 1978 roku, gdy miałem jedenaście lat. Teraz przyszły co najmniej dwa miliony ludzi, w większości kilkunasto- i dwudziestoletnich. Przygotowywali się do przemarszu tą samą trasą – z placu Rewolucji na plac Wolności. Wdałem się w rozmowę z Ahmadem, pięćdziesięcioczeroletnim naukowcem:

– Idziemy tą samą długą trasą, bo od tak długiego czasu po rewolucji nie możemy jakoś dojść do wolności – powiedział Ahmad, który też brał udział w marszu z 1978 roku. – Widzę wiele podobieństw pomiędzy tym, co było wtedy i teraz. W obu przypadkach mamy wyraźny mandat. Wtedy chcieliśmy obalić szacha, a dziś tego małego człowieczka – Ahmadineżada – który ukradł nam głosy.

Było tylu ludzi, że nie dało się niemal ruszyć w tłumie. Wiedząc, że będą obserwowani przez widzów na całym świecie, wielu demonstrantów miało transparenty z napisami po persku i angielsku: *Chas o chaszak toei, doszmaneh Iran toei* – „Jesteście szumowinami i śmieciami, jesteście wrogami Iranu” oraz „Gdzie jest mój głos?”.

Kiedy ruszył marsz, zdumiała mnie ta cisza, w jakiej przebiegał. Nie było skandowania żadnych haseł, żadnych złych słów – jedynie pokojowa wstęga zielonych flag, bandamek, opasek i szali, płynąca od placu Rewolucji do placu Wolności. Spokój i cisza. W trakcie marszu ta rzeka zieleni wciąż wzbierała, a siły

bezpieczeństwa obstawiające ulicę gapily się z niedowierzaniem na rosnący wciąż tłum. Jak zwykle miałem ze sobą kamerę – starą Sony PD 100, której nie używałem od lat. Wahałem się, czy ją wyjąć. Nie chciałem, żeby mi ją skonfiskowali, a jeszcze mniej, by mnie aresztowali. Jednak obserwując tysięczne tłumy, wypełniające aleje Rewolucji i Wolności, poczułem przyływ energii. Nieśmiało wyciągnąłem kamerę z plecaka i uniosłem ją wysoko, starając się sfilmować te masy ludzi. Trafiłem na wiele znajomych twarzy – kolegów, przyjaciół i znajomych, którzy przyszli na demonstrację sami albo z rodzinami. Wbrew rozporządzeniu władz zjawilo się też sporo dziennikarzy irańskich i zagranicznych. Zobaczyłem też wielu młodych operatorów filmowych, z którymi współpracowałem w ostatnich latach.

Pomimo rosnącej liczby demonstrantów starali się oni unikać konfrontacji z siłami bezpieczeństwa. Uśmiechali się do policjantów i machali wiązkami kwiatów w stronę policyjnych helikopterów, które wisiały nad tłumem. Z wyrazu twarzy niektórych funkcjonariuszy wynikało wyraźnie, że chętnie by się do nas przyłączyli.

Choć poprzedniego dnia doszło do sporadycznych starć, wielu ludzi wciąż miało nadzieję na pokój. Jednak sporo osób, zwłaszcza młodych, prześladowanych przez Basidż za nie dość islamski wygląd, miało ochotę porzucać kamieniami albo splądrować posterunki tej reżimowej organizacji. Powstrzymywali się jednak. Chcieli, by rząd powtórnie przeliczył głosy albo ogłosił nowe wybory. Ogólny nastrój był taki, że jeśli rząd wysłucha głosu obywateli, to przyzna, że doszło do wielu nieprawidłowości i zacznie wybory od nowa.

Z drugiej strony Basidż – zwykle tak buńczuczny i bojowy – jakby się zdumiał wielkością tej demonstracji. Gdy mijaliśmy ich posterunki przy alei Wolności, widziałem, jak śledzili pochód zza zaciągniętych firanek. Chociaż demonstrantom zależało na zachowaniu spokoju, czuło się napięcie w powietrzu.

Za każdym razem, gdy demonstranci mijali murale albo plakaty z najwyższym przywódcą, podnosili swoje zielone symbole albo pięści, by dać do zrozumienia, że są gotowi stawić mu czoło. Jakiś mężczyzna w średnim wieku, maszerujący koło mnie, podsumował to najlepiej, gdy powiedział swojej młodej córce: „Jeśli Chamenei ma łeb na karku, powinien pomyśleć o własnej skórze i posłuchać ludzi”.

Kiedy filmowałem marsz z estakady nad aleją Wolności, widziałem zieleń aż po horyzont. Przez całe popołudnie czułem się podniesiony na duchu pokojowym przebiegiem demonstracji, ale ledwo dotarłem na plac Wolności, zauważyłem dym wznoszący się w niebo kilka przecznic dalej na północ. Potem usłyszałem wystrzały. Z nawyku reportera wojennego zachciało mi się natychmiast dostać do miejsca, gdzie padły strzały. Jednak setki innych ludzi wpadły na ten sam pomysł.

Posuwając się w tłumie, filmowałem, trzymając kamerę nad głową. Paru młodzieńców atakowało piętrowy dom przy wąskiej uliczce, przecnicę na północ od placu Wolności. Była to dzielnica mieszkalna, z budynkami o bardzo podobnych frontonach. Dopiero gdy znalazłem się bliżej, zdałem sobie sprawę, że atakowano placówkę Basidzu.

Członkowie Basidzu wystrzelili gaz łzawiący w kierunku tłumu i oddawali ostrzegawcze strzały w powietrze. Widziałem ich na dachu budynku. Ale znaleźli się tam w pułapce, otoczeni przez młodych ludzi ciskających koktajle Mołotowa. Później dowiedziałem się od paru bezpieczeniaków, że atak na Basidz zorganizowało najprawdopodobniej opozycyjne ugrupowanie MKO (Organizacja Mudżahedinów Chalk), które jest sekciarską, marksistowo-islamistyczną formacją dążącą do obalenia irańskiego reżimu. Jego członkowie działali jako prowokatorzy wśród protestujących, podżegając do przemocy. Sfilmowałem, jak ludzie z MKO i sprowokowani przez nich demonstranci obalili ogrodzenie wokół placówki Basidzu. Wkrótce basidżowcy przestali strzelać w powietrze i zaczęli mierzyć w tłum. Tych dwóch na dachu nie zwracało przy tym uwagi, czy strzelają do atakujących, czy do zwykłych gapiów. Wielu spokojnych demonstrantów wpadło w panikę i zaczęło rzucać kamieniami w stronę budynku.

Basidżowcy odpowiedzieli strzałami do młodych ludzi, którzy przeskakiwali przez połamane ogrodzenie i biegli w stronę wejścia do budynku. Jeden mężczyzna – koło dwudziestki – został zastrzelony, gdy próbował przeskoczyć ogrodzenie. Ostrza wsporników tego ogrodzenia wyglądały jak trójzęby używane przez gladiatorów w starożytnym Rzymie. Szczupłe ciało chłopaka opadło na ogrodzenie, ledwie dosięgła go kula. Zmarł, a potem stoczył się na ziemię. Nagrałem, jak ten człowiek wspinał się i spadał. Przerażony, że sfilmowałem śmierć człowieka, nie mogłem się ruszyć aż do chwili, gdy basidżowcy zaczęli strzelać także w moim kierunku. Pobiegłem schronić się za jakimś murkiem, ale trzymałem wciąż kamerę w wyciągniętych rękach, obserwując sytuację przez wizjer. Następny młody człowiek dostał kulę w głowę, gdy próbował kopniakiem otworzyć drzwi posterunku. Ludzie podnieśli jego ciało i zanieśli na główną ulicę.

– *Mikoszum an keh baradarem koszt* – krzyтели głosami pełnymi gniewu.
– „Zabiję tych, którzy zabili mojego brata”.

Paru ludzi z tłumu zaniósł ciało tego człowieka do szpitala na końcu ulicy, przecnicę od miejsca, gdzie wciąż trwała pokojowa demonstracja. Zdawali sobie jednak sprawę, że ich wysiłki na nic się nie zdadzą. Bo on już nie żył.

Kiedy basidżowcy zaczęli strzelać do tłumu, gdy ludzie rozbiegli się w poszukiwaniu jakiejś osłony, a zwolennicy MKO krzyтели: „Śmierć Republice Islamskiej!” – ja filmowałem i filmowałem.

– Cicho! Spokój! Zmieńcie to hasło! *Allahu akbar!* Bóg jest wielki!
– krzyчала para starszych ludzi, próbując przegnać tłum z uliczki. – Nie

przyszliśmy tu, by wołać „Śmierć Republice Islamskiej”.

– Jesteśmy tu, by poprzeć Musawiego – powiedziała inna kobieta – a nie po to, by robić jakieś zadymy!

Grupka młodych mężczyzn podeszła do starszych ludzi, próbujących uspokoić nastroje.

– *Chafeh szin madar saga!* – rzucił jeden z młodzieńców i uderzył staruszkę.
– „Zamknijcie się, sukinsyny!”

Zaczęła się burda.

– Śmierć Chameneiemu! – krzyknął jakiś nastolatek i też uderzył starszego człowieka.

– *Nagir! Nagir!* Nie filmuj! – Ten szczeniak chciał wyrwać mi kamerę, ale schowałem ją pod pachą i zacząłem się wycofywać z plecami przy murze. Ta starsza para zatrzymała napastników, pomagając mi w ucieczce.

– Zmykaj jak najszybciej – powiedziała do mnie starsza pani.

Gdy się wyrwałem z tłumu, pobiegłem dalej i tak szybko, jak mogłem, zatrzymałem pierwszy motocykl, jaki się nawinął. Chciałem natychmiast pokazać moje nagrania i uświadomić światu, co się dzieje w Teheranie. Wiedziałem, że jako jedyny mam profesjonalne zdjęcia ze strzelaniny pod placówką Basidżu.

Powiedziałem motocykliście, żeby mnie zawiózł do Laleh Hotel w centrum miasta, gdzie, jak wiedziałem, zatrzymał się Lindsey Hilsum, reporter brytyjskiego Channel 4 News. Parę godzin później mój film – przedstawiony jako materiał z anonimowego źródła – został nadany w Channel 4 News, a potem w większości ważniejszych programów informacyjnych na świecie.

Jeszcze tej samej nocy jeden z moich informatorów w ministerstwie wywiadu przekazał mi, że podczas demonstracji przed placówką Basidżu zginęło siedem osób.

– Myślisz, że nic mi nie grozi za pisanie o ataku na Basidż? – spytałem.

– I tak wszyscy wiedzą, że to ty filmowałeś ten atak. Basidżowcy filmowali twoje filmowanie.

Zaniepokojony faktem, że Basidż miał mnie na oku, stwierdziłem, że najlepiej będzie, gdy publicznie przyznam się do sfilmowania tego incydentu. Moje zdjęcia były wtedy najbardziej znanym na świecie dokumentem przemocy basidżowców wobec irańskich obywateli. Wiedziałem, że władze nie były ze mnie zadowolone i zapytają mnie, jakim cudem udało mi się to nagrać. Nie chciałem ściemniać, więc postanowiłem powiedzieć, że filmowałem – jak zwykle – po prostu to, co miałem przed oczami.

Napisałem zaraz artykuł na stronę internetową „Newsweeka”, gdzie wyraziłem swoje obawy i nadzieje na przyszłość. „Zwolennicy Musawiego planują na jutro kolejną pokojową demonstrację – napisałem. – Dziś jednak trudno przewidzieć, co się zdarzy i jaki będzie efekt końcowy tego cyklu protestów”.

Amira wypuścili na drugi dzień. Niedługo potem zadzwonił do mnie. Gdy poszedłem się z nim zobaczyć, powiedział, że był w grupie polityków popierających Musawiego, których aresztowano i zamknięto w więzieniu Ewin na dwa dni.

– Ostrzegli nas, że jeśli nie uspokoimy sytuacji, to sami będziemy odpowiedzialni za wszystko, co może się z nami stać.

Według Amira Musawi bardzo się przejął tym incydentem w czasie demonstracji, ale nie miał zamiaru pozwolić, by terroryści narzucili ton „zielonemu ruchowi”. Postanowił powiedzieć swym zwolennikom, by jeszcze raz wyszli na ulice, ale unikali wszelkich konfrontacji z policją i Strażnikami Rewolucji, co mogłoby doprowadzić do eskalacji przemocy.

Gdy opowiedziałem Amirowi o wydarzeniach, których byłem świadkiem poprzedniego dnia, wyznał mi coś, co mnie zdumiało:

– Maziar *dżaan* – powiedział z pewną melancholią w głosie. – Nigdy ci tego nie mówiłem, ale zawsze miałem pewne wątpliwości co do zdolności Musawiego jako przywódcy... Ale dzisiaj... On jest innym człowiekiem. Widziałem go godzinę temu i przekonałem się, że w końcu uświadomił sobie, jak ważną rolę odgrywa w historii tego kraju. Stał się wreszcie tym, kogo chcieliby widzieć w nim ludzie: silnym liderem z jasną wizją celów, które chce osiągnąć. – Po tym, jak zaczęły się demonstracje – mówił dalej Amir – sekretarz Chameneiego, niejaki Wahid, skontaktował się z Musawim, by zorganizować spotkanie tych dwóch polityków. „Dobrze, ale na początku przeliczmy jeszcze raz głosy, a potem porozmawiamy” – odpowiedział Musawi. Powiedział też Wahidowi, by jego szef nie dzwonił więcej, jeśli nie będzie miał nic nowego do powiedzenia.

Pokojowe demonstracje trwały przez następne trzy dni, bez ingerencji terrorystów. Przez ten czas byłem bardzo dumny ze swojego narodu. Irańczycy chcieli osiągnąć coś rzadkiego w muzułmańskim świecie. Do tej pory masowe protesty w krajach islamskich opierały się bowiem na grupach fundamentalistycznych albo działały na rzecz zachodnich modeli demokracji. Natomiast celem ruchu „zielonych” było ustanowienie rodzimej, irańskiej demokracji, na której czele mógł stać człowiek religijny, jak Musawi, ale która respektowała prawa ludzkie, swobodę wypowiedzi oraz prawa kobiet.

Podczas gdy tłumy rosły w siłę, reżim popadał w coraz większą paranoję. Kiedy czwartego dnia po wyborach spróbowałem zadzwonić do pewnego przyjaciela, by dowiedzieć się więcej o planach Musawiego, okazało się, że telefonia komórkowa i Internet nie działają. Rząd zablokował bezprzewodową

komunikację między drugą po południu i dziewiątą wieczorem – na godzinę przed oraz godzinę po planowanych demonstracjach, by ludzie nie opowiadali sobie o protestach ani się na nie nie umawiali. Jednak postępując w ten sposób, władze paraliżowały własne służby, nie mówiąc już o wielomilionowych stratach (w dolarach) wynikających z tej blokady. Była to jednak cena, którą Chamenei gotów był zapłacić, by ograniczyć demonstracje.

Wtorkowym rankiem 16 czerwca otrzymałem faks z Erszadu, z ministerstwa kultury. Został on rozesłany wszystkim dziennikarzom irańskim i zagranicznym. Erszad prosił nas o zaprzestanie relacjonowania demonstracji i ostrzegwał, że jeśli tego nie uczynimy, spotkają nas przykre konsekwencje. Faks nie konkretyzował, jakie to mogą być konsekwencje, ale wszyscy spodziewaliśmy się, że może chodzić o anulowanie akredytacji prasowych albo o areszt tymczasowy. Natychmiast udałem się do biura mojego przyjaciela, by zrobić zapasowe kopie moich nagrań.

Parę minut po tym, jak zacząłem digitalizować swoje nagrania, zadzwonił do mnie pewien urzędnik z Erszadu, z którym byłem w dobrych stosunkach, i poprosił, żebym go odwiedził. W trakcie rozmowy powiedział mi, że powinienem uważać, co relacjonuję. Najwidoczniej dzień po wyborach Strażnicy Rewolucji wezwali urzędników Erszadu i przykazali im, by „ściągnęli cugle” zagranicznym mediom – bo inaczej zostaną wyrzuceni z pracy i aresztowani. Wiedząc, że jednym z filmujących zajęcia byłem ja, Erszad oficjalnie zawiadomił mnie, że Strażnicy są niezadowoleni z mojego filmu, przedstawiającego atak na placówkę Basidżu. Ciarki przeszły mi po plecach. Mówiąc to wszystko, mój przyjaciel przechadzał się wciąż po swoim gabinecie. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak zdenerwowanego.

Żeby go uspokoić, przeczytałem mu parę fragmentów z mojego ostatniego artykułu dla „Newsweeka”, *Kto stoi za przemocą w Teheranie?*, który ukazał się już na stronie internetowej tygodnika. W artykule tym obwinilem grupy terrorystyczne o wykorzystywanie pokojowych demonstracji do szerzenia przemocy. Zacytowałem jednego z demonstrantów: „Myślę, że jakieś grupki terrorystyczne zbijają swój interes na tej sytuacji. Trzydzieści lat po rewolucji i dwadzieścia po wojnie większość Irańczyków brzydzi się przemocą i terrorem. Obawiam się tylko, że jeśli rząd nie pozwoli na reformy, wpadniemy w bagno terroryzmu, jak w latach zaraz po rewolucji”.

Mój przyjaciel bawił się swoim zielonym różańcem, gdy tłumaczyłem mu swój artykuł. Powiedziałem mu, że nie mam nic do ukrycia, a nawet wspominałem w artykule, że to ja sfilmowałem atak na Basidż. Zapewniłem go, że przywykłem już jako dziennikarz do znoszenia krytyki ze wszystkich stron. Zarówno rząd islamski, jak i różne ugrupowania opozycyjne krytykowały moje filmy i artykuły za neutralność, bo wołały, żebym się wyraźnie opowiedział za jedną ze stron.

Mój przyjaciel wbił wzrok w stertę zagranicznych magazynów i gazet.

– Maziar *džaan*, wszyscy wiemy, że twoje relacje są uczciwe – powiedział

wreszcie. – I dlatego ekstremiści cię nie lubią.

Posłuchaj!

Cienie krążą wokół nas...

Musimy uciekać.

Te wersy z wiersza *Wiatr nas poniesie* współczesnej poetki perskiej Forugh Farrachzad brzmiały mi wciąż w myślach, gdy kładłem się spać tego wieczoru. Od czasu śmierci ojca korzystałem z jego gabinetu jako sypialni i słyszałem jego głos, ilekroć wchodziłem do tego pokoju. Otaczały mnie książki ojca i jego pamiątki z różnych stron świata. Ale tej nocy nie słyszałem głosu ojca, lecz mojej siostry Marjam.

Czy to widzisz?

Nasz dach trzęsie się ze strachu przed zawaleniem,

A nad tym dachem ogromna ciemna chmura,

Niczym posepny, gniewny tłum,

Czeka na czas krzyku.

W czwartek obudziłem się o czwartej rano i postanowiłem pójść znów

w góry, by oczyścić myśli. Przed wyjściem wysłałem e-maila do syna Marjam, Chaleda, który od 2008 roku mieszkał w Australii, by przekazać mu najświeższe wieści, jak to Erszadowi i Strażnikom Rewolucji nie spodobał się mój film. Parę lat temu dałem Chaledowi listę przyjaciół, z którymi miał się skontaktować, gdyby coś mi się przydarzyło – tak na wszelki wypadek.

Gdy dotarłem do podnóża gór, zadzwoniłem do Londynu, do Paoli. Była zaskoczona moim poetyckim nastrojem, gdy zacytowałem jej po persku, a potem po angielsku wiersz Forugh:

Posłuchaj!

Cienie krążą wokół nas...

Musimy uciekać.

Paola знаła ten wiersz, bo oglądaliśmy irański film inspirowany słowami Forugh.

– To piękne, Mazi, ale... przerażające. Zabukowałeś już bilet do Londynu?

– Jeszcze nie, ale zrobię to zaraz, jak się rozłączymy – powiedziałem, choć w głębi duszy wiedziałem, że muszę zostać i być świadkiem historii.

Ty,

Zielona jak dusza liści.

Muśnij ustami moje wargi

I rozkoszuj się nimi jak bukietem starego wina.

Jeśli zapomnimy,

Poniesie nas wiatr,

Poniesie nas wiatr.

Później, gdy byłem już sam w górach, zacząłem znów myśleć o Marjam. Podchodząc powoli, wspominałem czas, gdy po raz ostatni wędrowaliśmy razem tym szlakiem.

W 2007 roku, niedługo po śmierci naszego brata Babaka, zabrałem Marjam w góry. Nie była zbyt mocna fizycznie i z trudem wytrzymywała podejście.

– Brak mi tchu, Mazi *džaan*. Już nie mogę – wysapała po półgodzinnym podchodzeniu.

– Dasz radę – odparłem. – Jeszcze tylko parę minut. Bo inaczej nie spalisz ani grama tłuszczu...

Żałowałem teraz tych słów.

Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że była przy mnie teraz. Miałem szesnaście lat, gdy Marjam aresztowano, a potem przez wiele nocy leżałem w swym pokoju i przeklinałem ludzi, którzy zabrali mi siostrę.

Podczas tych sześciu lat, które Marjam spędziła w więzieniu, moi rodzice martwili się o nią codziennie. Wielu kolegów mojego ojca z więzienia było w podobnej sytuacji: ich dzieci też siedziały, chociaż nie w więzieniach szacha, ale islamskiego rządu. Często słyszałem, jak ci starsi mężczyźni starali się daremnie zrozumieć ten szydery chichot historii.

Mąż Marjam, Mohammad, wyszedł na wolność w 1988 roku, na rok przed moją siostrą. Oboje spędzili miesiące w izolatkach i doświadczyli tortur. Choć nie popierali reżimu, zachowali patriotyczne uczucia i chcieli pomóc krajowi w miarę swoich możliwości. Swojej córce dali nawet na imię Iran, co wśród dzisiejszych rodziców rzadko się zdarza.

Tak to wspominałem Marjam i dopiero wtedy, gdy zjechałem kolejką linową do miasta, poczułem się częścią tego, czym był właśnie Teheran. Wyciągnąłem komórkę i zobaczyłem, że nie odebrałem pięciu telefonów od Mohammada. Natychmiast oddzwoniłem.

– Chaled powiedział mi, co się wczoraj stało w Erszadzie – powiedział szwagier. – Możesz załatwić sobie bilet na lot do Londynu jeszcze dziś wieczór? Tu nie jesteś bezpieczny.

Pojechałem jak najszybciej do domu matki, poganiany obawą w głosie Mohammada. On wiedział aż za dobrze, do czego zdolny jest irański rząd. Mohammad był dla mnie jak brat od czasu, gdy ożenił się z Marjam. Właściwie to pod wieloma względami był mi bliższy niż mój własny brat, który większość swojego dorosłego życia spędził w USA. Mohammad martwił się o mnie tak, jak martwiłaby się Marjam.

Ale choć bardzo chciałem być znów w Londynie z Paolą – na co nalegał też Mohammad – to czułem, że nie mogę wyjechać. Na odpowiedź czekała najważniejsza kwestia: co zrobi Chamenei? Ogłoszono, że najwyższy przywódca poprowadzi piątkowe modły na Uniwersytecie Teherańskim. Takie piątkowe modły prowadzili różni imamowie z całego kraju, wybrani przez najwyższego przywódcę. Ich zadaniem było głównie przekazywanie jego słów; z nielicznymi wyjątkami działali jak propagandyści przywódcy: mówili o aktualnych sprawach wewnętrznych i zagranicznych, przypominając wiernym, jak ważne jest postępowanie wedle wskazówek ajatollaha. Jeśli Chamenei postanowił sam wygłosić kazanie, to znaczy, że chodziło o coś niezmiernie ważnego.

Chociaż Chamenei wspierał reelekcję Ahmadineżada i wzywał innych kandydatów do powstrzymania się przed krytyką swego protegowanego, nie zniechęciło to wielu ludzi, w tym mnie, do snucia marzeń, że ajatollah znajdzie dość odwagi, by wezwać do powtórnego przeliczenia głosów.

Wiedziałem, że Mohammad ma rację i że powinienem poważnie potraktować wszelkie sygnały ostrzegawcze. Jednak jednocześnie czułem, że trzeba to wszystko widzieć w należywym kontekście; że mam obowiązek zostać.

– Rozumiem – powiedział Mohammad – ale nie śpij tam, gdzie cię mogą znaleźć.

Tak więc tej nocy spałem w domu pewnego przyjaciela.

ROZDZIAŁ 6

Następny dzień, a był to piątek 19 czerwca, okazał się jednym z najważniejszych dni w najnowszej historii Iranu. Zjawiłem się na piątkowe modły w kampusie Uniwersytetu Teherańskiego o wpół do jedenastej. Ceremonia miała się zacząć o pierwszej, ale gdy dotarłem na miejsce, okazało się, że bramy były zamknięte. Urzędnicy z Beite Rahbari, kancelarii przywódcy – tak się nazywało biuro Chameneiego – zabronili wstępu dziennikarzom. Skierowano mnie do biura ochrony, gdzie pozwolono dziennikarzom oglądać Chameneiego w telewizji.

Wystąpienie ajatollaha w tym dniu było najważniejsze w okresie jego władzy i miało określić, jaką drogą pójdzie Iran: ku militaryzacji i modelowi państwa autorytarnego czy też w stronę quasi-islamskiej demokracji. Fakt, że słowa jednego człowieka mogą przesądzić o rezultacie wyborów, znaczył, że Iran już zrobił wyraźny krok w stronę totalitaryzmu. Niemniej tego dnia, siedząc w gronie dziennikarzy, między innymi mojego kolegi z „Newsweeka” Babaka Dehghanpisheka i Marie Colvin z londyńskiego „Sunday Timesa”, wiedziałem, że wszyscy żywiliśmy cichą nadzieją, iż Chamenei podejmie jednak decyzję mądrą – i dobrą dla kraju.

Szybko się okazało, jak bardzo byliśmy naiwni. Chamenei rozpoczął od oskarżenia mediów o podżeganie do rozruchów po wyborach. Ostrzegł Musawiego i jego stronników, że jeśli będą kontynuowali demonstracje, to poniosą odpowiedzialność za swoje działania.

– Jeśli elita polityczna ignoruje prawo albo je naciąga do swoich potrzeb, to staje się odpowiedzialna za rozlew krwi, przemoc i chaos, jaki nastąpi w wyniku jej akcji – oświadczył Chamenei.

Przełykając te słowa, siedzieliśmy w zupełnym milczeniu. Jego groźby dawały *de facto* wolną rękę Strażnikom Rewolucji. Mieliśmy wrażenie, jakby w pokoju pociemniało. Nie było wątpliwości: wybory nie zostaną powtórzone. Chciałem kogoś za to obwinić. Ale kogo? Czy winny był Chamenei, czy też ludzie, którzy nazywali go swoim mistrzem?

Następnego dnia życie w Teheranie wydawało się wracać do normalności. Telefony komórkowe znów działały, ludzie załatwiali codzienne sprawy, sklepy były otwarte, a na targowiskach panował ruch. Gdy jednak przemierzałem ulice stolicy, przygotowując się do powrotu do Londynu, wyczuwałem jakieś podskórne napięcie. Zdawało mi się, że ludzie nie potrafili rozmawiać o niczym innym, jak

tylko o wyborach, a zwłaszcza o piątkowym wystąpieniu Chameneiego oraz o tym, co ono znaczyło dla zaplanowanej na dziś demonstracji. Fakt, że demonstracja miała się jednak odbyć pomimo ostrzeżeń ajatollaha, sprawiał wrażenie, że najwyższy przywódca utracił swoją legitymację do panowania. Był już tylko kolejnym tyranem, a co najmniej trzynaście milionów Irańczyków – tych, którzy głosowali na Musawiego – powiedziało tyranii „nie”. Wiedziałem, że wieczorem będę świadkiem wielu tragicznych scen.

Gdy rano wychodziłem z domu, przybiegł do mnie znajomy miejscowy grafik i poprosił, żebym mu pomógł wypełnić kanadyjski formularz imigracyjny. Podobnie jak wielu Irańczyków z klasy średniej, postanowił opuścić kraj. Niepewność życia w Iranie była już dla niego nie do zniesienia.

– To już nie jest miejsce do życia – powiedział. – Postanowiłem sprzedać swoją firmę i wyjechać do Kanady.

Gdy go spytałem, co zamierza tam robić, okazało się, że nie miał jasnej odpowiedzi.

– Mnie już nie chodzi o siebie. Mogę nawet szorować podłogi. Chodzi mi tylko o przeszłość moich dzieci.

Rozmawiałem z nim, stojąc na chodniku, gdy zauważyłem konwój opancerzonych samochodów do tłumienia rozruchów, z armatkami wodnymi i składanymi barierkami do kontrolowania tłumu. Jechały w kierunku alei Rewolucji i Wolności, gdzie miała odbyć się dzisiejsza demonstracja. Za kolumną pojazdów ciągnęły tysiące Strażników i policjantów w czarnych kaskach na czarnych motocyklach. Na chodnikach wszyscy przystawali i przyglądali się tej złowieszczej kawalkadzie.

– Mam nadzieję, że się w tych hełmach uduszą – rzekł mój przyjaciel.

Po posiłku u mamy szykowałem się do wyjścia na demonstrację. Widziałem niepokój w jej oczach i wiedziałem, że nie chce, bym tam poszedł. Oboje jednak rozumieliśmy, że nic nie powstrzyma mnie od obserwowania i zrelacjonowania wydarzeń, które mogły określić przyszłość mojego kraju. Parę minut przed wyjściem odebrałem telefon od Dawuda.

– Pewnie wybiera się pan na demonstrację? Mam podjechać?

Nie rozmawiałem z Dawudem od czasu, gdy zmyłem mu głowę parę dni wcześniej. Spytałem, czy jest trzeźwy, a on na to, że od czasu, gdy go opieprzyłem, wyładowywał swoją wściekłość na Ahmadineżada, grając w piłkę nożną.

– Przywiozę swoją piłkę, żeby pan wiedział, że nie kłamię!

Rzeczywiście, gdy spotkałem się z Dawudem, miał ze sobą futbolówkę.

– Widzi pan? Jestem sportowcem i już nie piję! – zadeklarował dumnie, a potem mnie uścisnął. – Pomyślałem sobie, że dzisiaj rozpęta się niezłe piekło, więc chciałbym być z panem Maziarem, zanim go aresztują.

– To miłe z twojej strony – powiedziałem. – A teraz schowaj tę piłkę i ładuj

tyłek na motocykl!

Dawud zasalutował:

– Tak jest, sir!

Wzdłuż alej Wolności i Rewolucji widzieliśmy na każdym rogu członków Basidżu. Wielu z nich było pracownikami państwowymi i nie wyglądali na zachwyconych powierzonym im zadaniem. Większość basidżowców stanowili rezerwiści, korzystający jedynie ze skromnych przywilejów, takich jak dodatkowe przydziały podstawowych artykułów. W każdym jednak urzędzie powiedziano członkom Basidżu, że mają obsadzić wyznaczone punkty albo zostaną wyrzuceni z pracy. Plac Rewolucji, który miał być – jak sądzono – centrum protestów, wypełniono Strażnikami i armatkami wodnymi. Ale ten pokaz siły nie odstraszył ludzi. W odróżnieniu od poprzednich dni demonstranci nie gromadzili się jednak na głównych ulicach, a raczej w bocznych uliczkach przylegających do alej Rewolucji i Wolności. Uliczki te zapęłniły się wkrótce do tego stopnia, że ludzie stopniowo zaczęli wychodzić na plac Rewolucji.

Choć demonstranci chodzili po prostu wokół placu, bez żadnych okrzyków, śpiewów ani transparentów, dla Strażników nawet to było nie do zniesienia: zaczęli bić i aresztować wszystkich, u których zauważyli zielony szal albo opaskę. Niedługo potem policja zaczęła wystrzeliwać pojemniki z gazem łzawiącym w ludzi zgromadzonych na bocznych ulicach, a kawalkady Strażników ubranych na czarno wjeżdżały w tłum, wymachując elektrycznymi pałkami. Ludzie wiedzieli jednak, że dopóki będą trzymali się razem, w większych grupach, Strażnicy nie zdołają ich aresztować. Zresztą Strażnicy też trzymali się razem, wycofując się po każdej szarży, bo bali się, że tłum ich pochłonie. Zobaczyłem jakiegoś chłopaka, który oderwał się od demonstrantów – Strażnicy zaraz się na niego rzucili i zabrali ze sobą. Przy głównych ulicach stały już setki czarnych ciężarówek-więźniarek.

Po ostrzeżeniach z Erszadu wiedziałem, że napisanie czegokolwiek o tej demonstracji albo filmowanie jej kamerą będzie zbyt ryzykowne. Mogłem jednak filmować swoją komórką i przesłać zdjęcie do mediów z zastrzeżeniem, by nie ujawniały autora. Niedaleko alei Wolności zsiadłem z motocykla Dawuda i zacząłem nagrywać sceny rozpędzania przez policję tłumy za pomocą gazu łzawiącego, a także ludzi podpalających kosze na śmieci.

Pozostałem z grupą demonstrantów, nagrywając, jak skandują „Śmierć Chameneiemu”, za co teoretycznie sami mogli zostać skazani na śmierć. Jeden z pojemników z gazem łzawiącym eksplodował zaraz koło Dawuda i mnie. Natychmiast poczułem w oczach palący ból i zacząłem kręcić głową, by poruszyć powietrze wokół twarzy. Jeszcze w czasie demonstracji z 1979 roku nauczyłem się, że przemywanie oczu wodą jeszcze pogarsza sprawę, ale zanim zdążyłem powiedzieć o tym Dawudowi, ten chlusnął sobie w oczy wodą z butelki. Krzyknął z bólu, a ja, próbując go uspokoić, zdałem sobie sprawę, że muszę go natychmiast

zabrać w jakieś ustronne miejsce. Strażnicy, wymachując pałkami, szykowali się do kolejnej szarży na tłum.

Wskoczyłem na przednie siedzenie motoru Dawuda. Jako chłopak wiele razy jeździłem motocyklem po Teheranie, ale było to dawno. Jak najszybciej odjechałem z rejonu demonstracji i dotarłem do alei Republiki Islamskiej. Za plecami wciąż słyszałem pojękiwania Dawuda. Wpadłem do biura przyjaciela. Zgodził się przesłać jak najszybciej moje zdjęcia do Channel 4 News w Londynie.

Gdy Dawuda przestały już tak mocno palić oczy, wróciliśmy w rejon alei Wolności. Nie pozostało tam już wielu demonstrantów, za to zobaczyłem chmary policjantów. Nie znaczyło to jednak, że protestujący poszli sobie do domów – po prostu rozproszyli się po mieście. Grupy młodych ludzi skryły się w bocznych uliczkach, szukając okazji, by zaatakować mundurowych. Bojąc się pojedynków z młodymi mężczyznami, Strażnicy i policja uderzali razem, atakując izolowane grupki demonstrantów.

Gdy skręciliśmy z alei Wolności na autostradę Dziedzictwa Imama, żaden z nas nie spodziewał się widoku, który ujrzeliśmy. Jakichś trzydziestu Strażników wyskoczyło z pięciu opancerzonych pojazdów. Zablokowali ruch i otoczyli grupę mężczyzn i kobiet skandujących: „Walczymy, umieramy, ale nie zniesiemy upokorzenia!”. Strażnicy wyciągnęli elektryczne pałki i zaczęli okładać nimi protestujących. Jeszcze nigdy nie widziałem tak rozwścieczonych Strażników. Każdy, kto się napatoczył w ich pobliże, był narażony na przemoc. Ludzie zaczęli krzyczeć z oburzeniem – najpierw jeden do drugiego, a potem razem. Przeklinali Strażników i rząd. Strażnicy zwrócili się teraz ku zatrzymanym pojazdom, a paru z nich oddało w powietrze strzały ostrzegawcze. Wrzeszczeli na kierowców, by zawracali, ale policja ustawiła już barierki w sąsiednich ulicach, więc nie było jak stamtąd wyjechać.

Niedaleko nas jakiś człowiek w białym hatchbacku wcisnął klakson. Obok siedziała jego żona; zamachała do Strażnika stojącego obok.

– *Agha mariz darim* – powiedziała. – Mamy tu pacjenta, proszę pana.

Nie miałem szansy, by się przekonać, czy rzeczywiście ktoś był na tylnym siedzeniu ich wozu, bo zaraz trzech Strażników otoczyło samochód i zaczęło walić w niego pałkami. Dwóch biło w maskę, a trzeci wskoczył na przód samochodu, rozbił przednią szybę i kopnął swoim ciężkim wojskowym buciosem kierowcę w twarz. Potem pałką obłamał resztki szyby i wyciągnął na zewnątrz nieprzytomnego kierowcę. Trzymając go wciąż za włosy, zeskoczył z maski. Gdy wywlekał pokrwawione ciało swojej ofiary, inny Strażnik Rewolucji wskoczył na maskę i zaczął kopać żonę tego człowieka.

– *Chafeh szo zanikeh!* – wrzeszczał. – Zamknij się, babo!

Gdy wznowiono ruch, musieliśmy stamtąd odjechać. Strażnik wciąż znęcał się nad kobietą z samochodu. Jego ostatnie polecenie, które usłyszałem, brzmiało:

„*Daseto bendaz!*”. Te słowa prześladowały mnie przez następne miesiące. Strażnik żądał, by kobieta opuściła ręce – i nie dotykała go, bo to nie po islamsku dotykać mężczyznę, który nie jest mężem, ojcem ani bratem. Nawet bita i kopana, ta nieszczęsna kobieta musiała podlegać religijnym zasadom swojego oprawcy.

Widok tej katowanej kobiety był ostatnią kroplą goryczy. Kręciło mi się w głowie i ledwie stałem na nogach. Poprosiłem Dawuda, żeby mnie odwiózł do domu. W głowie dudniły mi słowa tego draba: „Opuść ręce!”. W ciągu ostatnich paru dni przekonałem się, że nic tak nie wykańcza człowieka jak bezradność. Nie mogłem nic zrobić, by pomóc tej kobiecie, ale nie zdołałem zapomnieć jej krzyków – i to wyciągało ze mnie całą energię. Musiałem się pozbyć tych głosów.

W domu włączyłem komputer i sprawdziłem pocztę. Znalazłem dziesiątki doniesień o pewnym zabójstwie, do którego doszło parę godzin wcześniej. Jakaś kobieta o nazwisku Neda Agha-Soltan została zabita przez członka Basidzu. Nie było jasne, czy zabito ją rozmyślnie, czy był to przypadek; w każdym razie mogła być jedną z tysięcy Iranek, które chciały wyrazić swój gniew z powodu sfałszowanych wyborów. Jej twarz, zalana niewinną krwią, stała się ikoną brutalnych represji irańskiego reżimu wobec własnych obywateli.

Obraz jej śmierci przed obiektywem kamery przypomniał mi wszystkie tragiczne sceny, których świadkiem byłem w ostatnich dniach. Miałem już dość. *Chodaa, Czeraa?* – „Boże, dlaczego?”. Wyciągnąłem butelkę Johnnie Walkera i nalałem sobie szklankę, potem drugą i trzecią. Poczułem się prawie pijany. Poszedłem zajrzeć do matki, sądząc, że może jeszcze nie spać. Od śmierci Marjam miała kłopoty ze snem. Zobaczyłem ją płaczącą po cichu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Objąłem ją, nie chciałem jej uspokajać. Chciałem tylko zrozumieć, przez co przechodzimy i dlaczego. Ale nic nie mówiłem, bo wiedziałem, że nie ma odpowiedzi. Gdy mama wyszeptala imię Marjam, zobaczyłem wszystkie skrzywdzone i znieważone tego dnia kobiety. Trzymałem moją matkę w ramionach, czułem jej serce trzepoczące jak uwięziony ptak.

Tragedia, która pochłaniała nasze życie, była nie do zniesienia. Pocałowałem Moludzun na dobranoc i usiadłem nad laptopem. Otworzyłem Facebooka. Miałem nadzieję, że oderwę się jakoś od tego fatalnego nastroju. Zobaczyłem, że ktoś przesłał link do strony „Time’a” z serią fotografii ciężarnych kobiet z pomalowanymi brzuchami. Na jednym brzuchu był miś, a na innym jakaś podwodna scena z ośmiornicą. Uśmiechnąłem się. Musiałem się tym podzielić z Paolą. Musiałem się już z nią zobaczyć.

Zadzzwoniłem do niej, żeby powiedzieć, że podjąłem decyzję: wracam do domu za dzień czy dwa, pobędę z nią przez jakiś tydzień, a potem może wrócę do Teheranu na jeszcze parę dni, zależnie od okoliczności. Ale ona nie odebrała telefonu. Zamiast wysłać jej esemesa, posłałem jej e-mailem link do fotografii. „Zobaczymy się wkrótce” – napisałem.

Johnnie Walker uderzył mi do głowy. Poszedłem do swojego pokoju, położyłem się do łóżka i zanim się zorientowałem, już spałem.

CZEŚĆ DRUGA

NI TO ŻYCIE, NI TO ŚMIERĆ

ROZDZIAŁ 7

Niedziela, 21 czerwca 2009 roku

Pan Woda Różana zapukał nazajutrz przed ósmą rano. Gdy zjawił się w towarzystwie tych trzech innych facetów, powiedział mojej matce, że ma do mnie jakiś list. Otworzyła drzwi, a oni wdarli się do środka.

Gdy tak nade mną stali, a ja próbowałem się lepiej przykryć, czułem się zmieszany, ale jakoś udało mi się zebrać myśli na tyle, by ich spytać, czy mają nakaz aresztowania. Pan Woda Różana wyciągnął jakieś papiery z kieszeni swojej taniej brązowej marynarki, chyba o numer za małej na niego. Zakrył swoim grubym kciukiem miejsce na dole strony, gdzie zapisano przyczynę aresztu, ale zauważyłem, że nakaz podpisany był przez teherańskiego prokuratora generalnego, sędziego Saida Mortazawiego.

To była fatalna wiadomość. Mortazawi słynął z aresztowania ludzi, którym potem przedstawiano jakieś bzdurne, dęte zarzuty. Mając na koncie zamknięcie ponad sześćdziesięciu gazet, nazywany był „katem prasy irańskiej”. Kiedyś nawet zamknął pewną gazetę za „szerzenie zgnilizny moralnej”, gdyż wydrukowała zdjęcie jakiegoś staruszka tańczącego w parku. Mój ojciec mawiał, że najgroźniejszy ze wszystkich stworzeń jest osioł, a to ze względu na swoją głupotę i nieprzewidywalność.

– Niebezpieczniejszy jest tylko osioł, który ma do ciebie urazę albo kompleks na twoim punkcie – dodawał. – Przez to staje się jeszcze bardziej nieprzewidywalny. Nigdy nie wiesz, kiedy cię kopnie.

Nieprzewidywalność Mortazawiego budziła we mnie strach. Zawsze starałem się trzymać od niego jak najdalej.

Pozwolili mi się ubrać, a potem wrócili do mojego pokoju: Woda Różana i jakiś drugi facet, gładko ogolony, co było zaskakujące. Według licznych uczonych muzułmańskich mężczyzna nie powinien golić zarostu, więc większość irańskich agentów miała większy czy mniejszy zarost. Siedziałem na łóżku i przyglądałem się im. Czułem ich frustrację, gdy przeszukiwali stopy moich rzeczy. Przetrzęsali moje książki i filmy, myśląc chyba, że znajdą coś nielegalnego. Może kałasza, może sprzęt do podsłuchiwania. Tak się jednak dla nich nieszczęśliwie składało, że nie trzymałem w domu matki niczego zabronionego. Woda Różana wyciągnął ze stosu płyt DVD film Piera Paola Pasoliniego *Teorema* z 1968 roku. Na okładce była sylwetka aktorki Silvany Mangano, nagiej

i zasłaniającej dłonią prawą pierś.

– To pornos? – zapytał Woda Różana.

– Nie, to włoski film artystyczny.

– Konfiskujemy go – powiedział do wygolonego mężczyzny, który odłożył płytę na osobną kupkę na podłodze.

Inny facet, chudy, z pociągłą twarzą i brodą, zapisywał wszystko, co trafiało na tę kupkę.

– Po co ci tyle filmów? – zapytał Woda Różana tonem, w którym przez chwilę zdawało się pobrzmiwać autentyczne zaciekawienie.

– Interesuję się filmem od dziecka – odparłem.

Spojrzał na mnie surowo i dalej przeszukiwał moje rzeczy. Nie wiedział, że przetrząsa też rzeczy mojego ojca. W jednej z szaf było pełno papierów, książek i fotografii ojca. W połowie lat siedemdziesiątych mój ojciec zachorował w Wiedniu, podczas podróży służbowej, i leżał tam w szpitalu przez dwa tygodnie. Zachował całą swoją dokumentację medyczną, spisaną po niemiecku. Woda Różana kartkował jedną z tych teczek. Znalazł papier datowany na 1976 rok.

– Co to jest?

– Nie wiem.

– Jak nie wiesz, skoro to jest w twoim pokoju?

– Ale to są rzeczy mojego zmarłego ojca...

– Niech Bóg go błogosławi... – odparli natychmiast i jednogłośnie Woda Różana i Ogolony. Obydwaj pochylili głowy, jakby mieli wyrecytować fatihę, muzulmańską modlitwę za zmarłych. Kiedy podnieśli głowy, przyjrzeni się podejrzanemu papierowi ponownie.

– Powiedz mi, co to właściwie jest!

– Ale ja nie znam niemieckiego, skąd mogę wiedzieć!

– To nie jest po niemiecku! – orzekł Woda Różana. – To jest po angielsku! Bierz to! – polecił swojemu partnerowi.

Zabrali się do dalszego przetrząsania moich rzeczy.

– A to co? – Miał w ręku pudełko z *Rodziną Soprano*. – Pewnie pornosy?

Pamiętałem, jak ojciec opowiadał mi o pewnym klawiszu z więzienia, który uważał, że każda nazwa z „sz” odnosi się do haszyszu – w tym „Chicago” i „szampan”. Może pan Woda Różana uważał, że wszystko, co nosi tytuł zawierający głoski „p”, „o” i „r” musi mieć coś wspólnego z pornografią.

– Nie, to nie porno – wyjaśniłem. – *Rodzina Soprano* to taki serial telewizyjny o mafii.

Ta ekipa miała obsesję na punkcie pornografii. W ciągu następnych trzech godzin pytali mnie wielokrotnie, czy mam pornosy. Pomyślałem, że może naprawdę szukali pornografii, za której posiadanie można trafić do więzienia albo dostać siedemdziesiąt cztery baty. Pornografii nie miałem, ale zdałem sobie

sprawę, że w lodówce leżało kilka butelek wódki.

W 1983 roku, niedługo po aresztowaniu Marjam za przynależność do Tudehu, Strażnicy Rewolucji wdarli się do naszego domu i aresztowali rodziców. Strażnicy mieli podejrzenia co do niektórych przyjaciół rodziców, którzy też byli w Tudehu, więc aresztowali i przesłuchiwali bliskich im ludzi. Schowałem się wtedy w jakimś zakamarku, a gdy wreszcie zebrałem się na odwagę i wyszedłem z mojej kryjówki, zobaczyłem pod ścianą salonu parę butelek wódki należących do ojca. Nie oskarżyli taty o działalność polityczną, ale dostał wyrok za trzymanie w domu alkoholu.

Woda Różana wyszedł z pokoju na parę minut. Miałem cichą nadzieję, że nie zajrzy do naszej lodówki. Wtem odezwał się pan Ogolony.

– A kto to jest Soheila? – spytał. Trzymał w ręku płytę DVD z napisem „Soheila”, którą zostawiłem w odtwarzaczu. Było to nagranie ośmiogodzinnego wywiadu, który przeprowadziłem z pewną irańską damą. Powiedziałem, że Soheila to moja kuzynka, a na płycie jest film z jej wesela.

– Czyli jest to nagranie rodzinne? – zapytał.

Odłożył płytę na miejsce i przeszedł do następnego kąta pokoju.

– A to co jest?

– Stare książki francuskie.

Wuj mojego ojca studiował we Francji w latach 30. i zostało mi po nim dużo książek.

– A o czym?

– Ta? Muszę spojrzeć...

Pokazał mi książkę zatytułowaną *Lancer du Javelot*. Na okładce był jakiś olimpijski atleta, ciskający oszczepem. Wyjaśniłem, że to książka o tematyce sportowej.

– Taaak? Nie sądzę... – wtrącił się pan Woda Różana, wróciwszy do pokoju.
– Skonfiskujemy to!

Byli podejrzliwi wobec wszystkiego, czego nie znali, a nie znali prawie wszystkiego, co u mnie znaleźli. Paranoja Chameneiego i jego przekonanie, że wszyscy knują przeciw niemu, przeniknęły cały system i ogarnęły ludzi, którzy oddali mu swoje życie. Widziałem to w oczach Wody Różanej. Zawsze sądziłem, że dla kogoś, kto poświęca czemuś swoje życie, nie ma większego niebezpieczeństwa niż paranoja, a kiedy patrzyłem, jak Woda Różana przetrząsa niezgrabnie moje rzeczy, zrozumiałem, że mogę zostać jednym z tych niezliczonych ludzi, których znałem albo o których słyszałem, a którzy nagle zniknęli, natomiast ich ciała znaleziono długo potem w jakimś rowie. Poczulem, że się pocę.

Siedziałem i obserwowałem go w milczeniu, zdając sobie powoli sprawę, że tak jak ja nie byłem przygotowany na niego, tak samo on nie był przygotowany

na mnie czy raczej na to, co u mnie znajdzie. To było istotą tej ciężkiej próby, jaką miałem przejść. Strażnicy Rewolucji aresztowali na ogół religijnych reformistów – ludzi, którzy praktykowali islam, ale też wierzyli w demokrację i rzucali wyzwanie autorytarnej wykładni islamu, stosowanej przez Chameneiego. Strażnicy wiedzieli, jak sobie poradzić z takimi ludźmi. Ale u mnie obok egzemplarza Koranu stała figurka Mina, egipskiego bożka urodzaju ze sterzącym penisem, a dalej francuskie książki z lat trzydziestych, jakiś wietnamski instrument muzyczny i pudełka płyt z serialami z HBO.

Znalazł mój paszport i przekartkował go. Trafił na wizę kambodżańską. Paola i ja byliśmy tam na wakacjach kilka miesięcy wcześniej. To właśnie tam zorientowała się, że jest w ciąży.

– Skąd to jest? To po hebrajsku?

– To jest z Kambodży, na drugim końcu Azji...

– Pewien jesteś? A mnie się wydaje, że to pieczętka izraelska...

– Nie, proszę pana – odparłem, robiąc, co mogłem, by w moim głosie zabrzmiało jak najwięcej szacunku. – To jest wiza kambodżańska, jestem tego pewien.

Rzucił paszport na podłogę i podszedł do mnie.

– Nie odpowiadaj mi nigdy w ten sposób. Odpowiadaj po prostu: „tak” albo „nie”.

– Dobrze, już panu powiedziałem, że to jest wiza kambodżańska.

– Mów tylko „tak” lub „nie” – powtórzył gniewnie. Dostrzegłem pot na jego czole.

Im bardziej starałem się zachowywać tak, jakbym się niczego nie obawiał, tym bardziej bałem się w środku. Chciałem nawiązać jakąś rozmowę z tymi ludźmi: powiedzieć im, że niezależnie od tego, czego szukają, trafili na niewłaściwą osobę. Gdy rozmawiałem z irańskimi urzędnikami, zawsze starałem się im wytłumaczyć, że w istocie rząd irański miał szczęście, iż to ja pracowałem dla zachodnich mediów. Znałem się na swojej robocie i znałem swój kraj. W dodatku byłem patriotą. Gdyby mnie skasowali, zastąpiłby mnie ktoś inny, prawdziwa antyreżimowa żyleta. Niemniej kiedy patrzyłem, jak Woda Różana kartkuje na ślepo dokumentację medyczną mojego ojca, zrozumiałem, że się z nimi nie dogadam – nie było nawet sensu próbować. Bo jaki jest sens dogadywania się z człowiekiem, który na własne oczy widzi wyraz „Kambodża” i myśli, że to po hebrajsku?

– Chyba powinniśmy ściągnąć jakiegoś vana – powiedział Ogolony.

– Trzeba zabrać te wszystkie manele.

Podszedł do rosnącego stosu moich skonfiskowanych rzeczy. Płyty DVD, kasyety VHS, laptop, parę kamer i aparatów fotograficznych...

Musiałem pójść do toalety. Gdy spytałem Wodę Różaną, czy mogę,

powiedział, że tak. Kiedy zamknąłem za sobą drzwi, natychmiast usłyszałem łomotanie.

– Nie zamykać drzwi!

No więc je otworzyłem. Okazało się, że do toalety dobijał się jeden z mężczyzn, którzy czekali w salonie.

– Ale ja muszę skorzystać – powiedziałem.

– Rozumiem, ale zostaw drzwi otwarte.

– A mogę je chociaż trochę przymknąć?

– Tak – odparł z uśmiechem. – Tylko nie próbuj uciekać, bo i tak cię znajdziemy.

Ten najmłodszy członek ekipy był wysoki i szczupły; miał sympatyczną twarz. Przyszedł mi na myśl Józef K. z *Procesu* Kafki, którego aresztowano – jak myślał – dla kawału. Ja też miałem jakąś słabą nadzieję, że moi „goście” wybuchną w pewnym momencie śmiechem i powiedzą, że to wszystko dla kawału.

Kiedy wyszedłem z łazienki, zobaczyłem, że matka rozmawia z Wodą Różaną. Facet strasznie się pocił, na jego koszuli pod pachami widać było ciemne plamy.

Mama też to niewątpliwie zauważyła, bo spytała, czy Woda Różana nie chce chusteczek higienicznych.

– Nie, nie, dziękuję bardzo.

Mama spojrzała znacząco na jego koszulę i powiedziała:

– A może jednak...

Woda Różana jakby się zakłopotał.

– W porządku, poproszę...

Wziął od matki torebkę chusteczek i wytarł sobie pot z czoła, ale oczy miał wciąż utkwione we mnie. To było spojrzenie łowcy, który chciał mnie zabić zatrutą strzałą.

Kiedy skończyli rewizję, powiedzieli, że mam iść z nimi.

– Gdzie go zabieracie? – zapytała matka. Próbowwała ukryć lęk w głosie, ale ja słyszałem go aż za wyraźnie.

– Niech się pani nie obawia – powiedział Woda Różana, uśmiechając się do niej. – Będzie naszym gościem.

Uścisnąłem mamę i ucałowałem ją w oba policzki. Nie miałem pojęcia, co dla mnie szykowali. Nie chcieli powiedzieć ani mnie, ani mojej matce, o co będę oskarżony. „Dobra – pomyślałem. – Potrzebują przedstawienia. Chcieli mnie zastraszyć w domu i zabrać do swojej placówki. Będą mnie przesłuchiwać przez parę godzin i wypuszczą pod wieczór, a w najgorszym wypadku za parę dni. Zrobią ze mnie pokazowy egzemplarz dla innych dziennikarzy i fotoreporterów”. Byłem przekonany, że choć wielu działaczy politycznych i reformistów, takich jak Amir, zostało aresztowanych, to po wyborach nie wsadzą do więzienia żadnych

dziennikarzy, a już na pewno z mediów zachodnich.

– W porządku, Moludzun – powiedziałem czule do mamy. – Wkrótce sprawa się wyjaśni. To wszystko nieporozumienie. Niedługo wrócę do domu.

Kiedy ci faceci wyprowadzali mnie do wyjścia, miałem nadzieję, że powiedziałem jej prawdę. Ale ledwie mama zamknęła za nami drzwi, zakuli mnie w kajdanki.

ROZDZIAŁ 8

Przed domem stały cztery peugeoty. Woda Różana wsiadł do jednego, w którym już czekał kierowca, a ja do drugiego, z tym facetem, który spisywał moje skonfiskowane rzeczy, oraz z tym młodziakiem, który pilnował, żebym nie uciekł z toalety. Pan Ogolony zasiadł za kierownicą. Przy jednym z samochodów zauważyłem dwie kobiety, okryte całkowicie czadorami. Jedna z nich trzymała pistolet maszynowy. Ponieważ Strażnicy Rewolucji ostrzegali Erszad już parę dni przed moim aresztowaniem, domyślałem się, że to właśnie oni po mnie przyszli. A gdy zobaczyłem te kobiety, byłem już niemal pewien, gdyż Strażnicy zatrudniali kobiety do radzenia sobie z członkiniami rodzin, z których pochodzili aresztowani. Poczulem pod tyłkiem i plecami rozgrzany winyl siedzenia, a ręce bolały mnie od ciasnego skucia kajdankami. Facet obok mnie, ten młodziak z sympatyczną twarzą, zauważył mój problem i poprawił kajdanki.

– No i co się gapisz!? Nie patrz na zewnątrz! – wrzasnął Woda Różana z fotela pasażera, kiedy jego samochód przetoczył się obok nas. Jego duża twarz była niemal purpurowa z wściekłości. Odwróciłem się. Gdzie miałem patrzeć, jeśli nie na zewnątrz? Na wszelki wypadek wbiłem wzrok w kolana.

Wóz ruszył i skierował się na północ, do autostrady kurdystańskiej – i wtedy zrozumiałem, że wiozą mnie do Ewinu. Położone u stóp gór Elburs, na północ od Teheranu, więzienie to powstało pod koniec lat sześćdziesiątych jako pilnie strzeżone miejsce odosobnienia dla politycznych przeciwników szacha. Złą sławę zyskało na początku lat siedemdziesiątych, gdy trzymano tam członków różnych marksistowskich i islamistycznych bojówek. Byli tam torturowani i wykonywano na nich wyroki śmierci. Przez całe lata siedemdziesiąte krążyły plotki o dziejących się tam okrucieństwach i o tym, jak to oficerowie izraelskiego Mosadu i amerykańskiej CIA pomagali oficerom irańskim w przesłuchiowaniu i torturowaniu więźniów; podobno zdzierano im paznokcie, rażono prądem ich genitalia, a kobiety gwałcono.

Zła sława Ewinu wzrosła jeszcze po rewolucji 1979 roku, gdy wsadzono tam tysiące więźniów politycznych, a naczelnikiem więzienia został Assadollah Ladżewardi. Uosabiał on ducha islamskiego reżimu w jego wczesnym stadium: był brutalny i mocno zideologizowany. Jako więzień polityczny za czasów szacha sam doświadczył tortur i odosobnienia. Wiedział, kiedy tortury przynoszą spodziewany efekt, a kiedy nie potrafią złamać więźniów, często wzmacniając tylko ich wolę oporu. Kiedyś przeprowadziłem wywiad z pewnym islamistycznym partyzantem, który potem został ministrem. Powiedział, że słabą stroną tajnej policji szacha było

jej przekonanie, że złamie więźniów samą presją fizyczną. „Tymczasem po rewolucji nasi bracia doszli do mistrzostwa w łamaniu ludzkiej duszy bez zbędnej przemocy wobec ciała” – stwierdził z szerokim uśmiechem.

Ewinem zarządzało w zasadzie ministerstwo sprawiedliwości rządu islamskiego, jednak poszczególne bloki podlegały różnym organom bezpieczeństwa i wywiadu: policji, ministerstwu wywiadu, Strażnikom Rewolucji. Byłem ciekaw, czy trafię pod kuratelę tych ostatnich.

– Gdzie jedziemy? – spytałem pilnującego mnie faceta.

– A czemu pytasz?

– Tak sobie, lubię wiedzieć... Do Ewinu?

– Może tak, a może nie...

To była typowa odpowiedź irańskiego urzędnika: chodziło o utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy i podsycanie niepewności obywatela. Parę minut później kierowca zerknął w lusterko wsteczne i skinął na potwierdzenie tego, co mówił mój sąsiad.

– No dobra – powiedział młodzieniec o sympatycznej twarzy, wręczając mi opaskę na oczy. Zdejmij okulary, załóż opaskę i pochyl głowę.

Zrobiłem, co mi kazał. Naciągnąłem opaskę na oczy i schyliłem głowę. Światło słoneczne zgasło.

Okolo dziesięciu minut później usłyszałem, jak kierowca rozmawia z kimś przez telefon komórkowy; śmiał się.

– Spraw sobie lepszą komórkę, żeby się wyświetlał mój numer, Sejjed. Nie będziesz musiał za każdym razem pytać, czy to ja.

„Sejjed” było określeniem potomka Proroka, ale z czasem dowiedziałem się, że sejjedami nazywano wszystkich pracowników Ewinu, by ukryć ich tożsamość; był więc Sejjed Kucharz, Sejjed Gruby, Sejjed Fryzjer i tak dalej. Usłyszałem zgrzyt otwierających się dużych metalowych drzwi i samochód znów ruszył.

Miałem wciąż opaskę na oczach, gdy wyciągnęli mnie z samochodu. Ktoś zaprowadził mnie do jakiegoś pokoju i posadził na stołku. Czekałem tam parę minut, a potem przeprowadzili mnie do innego pokoju, gdzie mogłem już zdjąć opaskę. Jakiś człowiek wręczył mi szary kombinezon więzienny i parę białych plastikowych kłapek.

– Załóż to! – polecił mi inny mężczyzna.

Stałem sam w tym pokoju, zastanawiając się, czy powinienem zdjąć też mój T-shirt i majtki. Postanowiłem je zatrzymać, bo koszulka Sunspel i bokserki przypominały mi londyńskie czasy z Paolą; czułem się w nich bezpieczniej.

Zaprowadzili mnie do następnego pokoju, gdzie stał aparat fotograficzny na trójnożnym statywie, a za nim jakiś mężczyzna.

– Spójrz w obiektyw!

Błysnął flesz, a twarz tego człowieka na parę chwil została mi w oczach. Pamiętam, jak byłem jeszcze chłopcem i grałem z moją siostrą w badminton. Patrzyłem wtedy zbyt długo pod słońce, a potem na Marjam, i zamknąłem oczy. Przez opuszczone powieki widziałem wciąż sylwetkę Marjam z jej długimi ciemnymi włosami, jakby ktoś mi ją wypalił w umyśle.

A twarz tego fotografa była ostatnią, jaką miałem zobaczyć przez wiele kolejnych dni.

Założyli mi znów opaskę na oczy i przekazali mnie innemu strażnikowi, mówiącemu z azerbejdzańskim akcentem:

– Witamy w Abu Graib, Guantánamo czy coście tam jeszcze, Amerykańcy, wykombinowali...

– *Ghardasz* – odparłem, nazywając go „bratem”. – Ja nie jestem Amerykaninem, tylko Irańczykiem.

– Niech będzie, ale pracujesz dla nich, więc jesteś jednym z nich – powiedział z niewzruszoną wiarą, że wie o mnie wszystko, co wiedzieć powinien. Ciekawe, co by mój ojciec powiedział temu człowiekowi. Tata był mistrzem w dziedzinie komunikacji, i to w każdych okolicznościach. Teraz znów usłyszałem jego słowa: „Porozmawiaj z nim, Mazi *džaan*. W najbliższej przyszłości będziesz w jego rękach, więc pogadaj z nim”. Nawet chciałem, ale nie wiedziałem, co powiedzieć. Zanim zdążyłem cokolwiek wykombinować, wyprowadzono mnie ciemnym korytarzem. Odgłos stalowych drzwi, zamykających się za mną, wypełnił echem całe wnętrze.

– Oddaj mi opaskę na oczy – powiedział strażnik. W drzwiach mojej celi były dwa otwory: jeden mniejszy, kwadratowy na górze i jeden szerszy na dole. Podąłem mu opaskę przez ten otwór na górze.

Rozejrzałem się po celi. Była mała, jakieś dwanaście na pięć stóp. Znajdowały się w niej dwie lampy wmurowane na stałe, ale tylko jedna działała, i małe okienko pod sufitem. Poza tym w celi były tylko egzemplarz Koranu i koc. Żadnej toalety, żadnego łóżka. Usiadłem na podłodze i oceniłem sytuację. W Montrealu, na Concordia University, gdzie ukończyłem wydział komunikacji i filmu, przeszedłem kurs analizy komunikacyjnej. Jednym z naszych zadań była analiza różnych przestrzeni – chodziło o to, by poczuć emocje, jakie budziły. Ta przestrzeń była jednak nieprzenikniona. Mury pokryte płytkami imitującymi marmur wyglądały jak cementowe bloki. Wszędzie było pełno kurzu. Brudny zielony dywanik, na którym siedziałem, sfastrygowany był niedbale z trzech kawałków. Ta cela przypominała wizerunek, jaki chciał prezentować islamski rząd: silny, zwarty i władczy.

Dostrzegłem jakiś napis na ścianie. Zabrali mi okulary, więc musiałem wstać i podejść bliżej. Były tam trzy wersy, dwa po persku i jeden po arabsku:

Mój Boże, zgrzeszyłem,

Mój Boże, zmiłuj się nade mną.

Boże mój, pomóż mi!

Usiadłem znów na podłodze, zamknąłem oczy i wyszeptalem te słowa do siebie. Zmartwiałem.

Musiałem zasnąć, a kiedy się obudziłem i dostrzegłem pajęczyny na suficie, pomyślałem o Zahrze Kazemi, irańsko-kanadyjskiej fotografce. Zahra, dla przyjaciół Ziba, była ambitną, pełną zapału dziennikarką. Pewnego razu zadzwoniła do mnie, by zapytać o specyfikę pracy w Iranie. Poradziłem jej, by uważała niezależnie od tematu, nad jakim będzie pracować: „Pamiętaj, że nigdy nie wiadomo, co może urazić władze”.

Parę dni po tej rozmowie Ziba została aresztowana, gdy robiła zdjęcia rodzinom więźniów czekającym pod murami Ewinu. Później słyszałem, że szef ochrony więzienia, niejaki Elias, wyszedł na zewnątrz i próbował zabrać jej aparat. Kiedy się wzbraniała, uderzył ją w głowę. Elias miał na palcu kamienny pierścień Akik Jamani, do którego noszenia namawiał sam Prorok, bo miał chronić muzułmanów przed niebezpieczeństwami. Uderzenie sprawiło, że pierścień zrobił jej w czaszce dziurę. Ziba upadła i uderzyła głową o bruk. Według człowieka, który opowiadał mi tę historię, Elias nie miał zamiaru jej zabić, ale gdy zawlekli ją do więzienia, nie otrzymała tam żadnej pomocy medycznej i zmarła po niedługim czasie z powodu wewnętrznego krwotoku.

Sędzia Mortazawi – ten sam, który podpisał nakaz aresztowania mnie – stwierdził, że Ziba była szpiegiem, a jej śmierć nastąpiła w wyniku udaru. Później oskarżono go o osobisty udział w śmierci Ziby, bo gdy na terenie więzienia próbowała jeszcze protestować przeciw aresztowaniu, kopnął ją wielokrotnie w głowę. Ciało Ziby pochowano w największej tajemnicy. Elias nie stanął nigdy przed sądem i podobno wciąż pracował w Ewinie. Do tej pory nikt nie poniósł odpowiedzialności za tę śmierć.

Chodziłem wzdłuż i wszerz celi, myśląc o tragicznej śmierci Ziby. Wiedziałem, że ten sam człowiek, który się nią „zajął”, może zająć się także mną. Nie ustawałem w marszu: sześć kroków wzdłuż, dwa i pół kroku wszerz. Sześć kroków z powrotem. Dwa i pół wszerz. Sześć kroków naprzód... Zacząłem liczyć swoje kroki. Doszedłem prawie do tysiąca, gdy otworzyło się górne okienko w drzwiach. Jakiś człowiek podał mi opaskę na oczy.

– Załóż to – polecił. – Chce cię zobaczyć specjalista od twojej sprawy.

Może to dziwne, ale w tamtym momencie najbardziej obawiałem się jakiejś infekcji oczu. „Ilu ludzi nosiło tę opaskę?” – pomyślałem, dotykając wytartego czarnego aksamitu. Chciałem ją wyprać, ale w celi nie było wody.

– Na co czekasz? – zapytał niecierpliwie strażnik. Przez otwór w drzwiach widziałem kawałek jego twarzy. Miał głęboko niebieskie oczy. – Zakładaj!

Naciągnąłem opaskę na głowę.

– Ale nie tak! Założyłeś odwrotnie. Załóż jak należy! – Zacząłem ściągać opaskę. – Ale nie patrz na mnie! Obróć się twarzą do ściany. Twarzą do ściany! Nie umiesz założyć opaski?

– Nie mam wprawy. Jestem pierwszy raz w więzieniu.

Właściwie to nie mówiłem całej prawdy. W 1984 roku, gdy miałem siedemnaście lat, aresztowano mnie za obrazę moralności publicznej. Byłem z moją dziewczyną, Anitą, w kawiarni. Piliśmy herbatę. W Islamskiej Republice Iranu nie wolno spotykać się sam na sam z kobietą *namahram* – czyli niebędącą twoją żoną, matką czy siostrą. Policjanci, którzy tego dnia zrobili nalot na kawiarnię, przesłuchali Anitę i puścili ją wolno, ale mnie zabrali do więzienia Kasr. W tym samym więzieniu siedział mój ojciec trzydzieści lat wcześniej. Robiło to na mnie wrażenie. Już sobie wyobrażałem, jak opowiadam o mojej przygodzie rodzinie i przyjaciółom. Wkrótce po przybyciu do Kasr stanąłem w kolejce do przesłuchania przez jakiegoś pracownika socjalnego. Przedemną stało dwóch mężczyzn. Jeden obrabował bank, a drugi zgwałcił ciężarną kobietę.

– A ty za co gwarantujesz? – spytali mnie.

– No, spotkałem się na herbacie z moją dziewczyną...

Cztery noce spędziłem w zbiorowej celi z czterdziestoma mniej więcej facetami. Byli tam kieszonkowcy, przemytnicy narkotyków oraz – pamiętam to dobrze – ośmiu mężczyzn oskarżonych o uprawianie seksu z jednym młodym chłopcem, którego nazywali „Brzoskwinia”. Mój ojciec załatwił przez swoje znajomości, że sędzia dał mi siedemdziesiąt cztery bity w zawieszaniu – i wyszedłem. Mama czekała na mnie przy drzwiach frontowych domu. Na twarzy miała świeże zmarszczki.

– Siedemdziesiąt cztery bity za picie herbaty z przyjaciółką! – rzuciła

z nienawiścią, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem w jej głosie. – To co mają robić młodzi ludzie? Całymi dniami modlić się i powtarzać „Śmierć Ameryce”? – Spojrzała na ojca. – Mazi naprawdę powinien w przyszłym roku wyjechać z tego kraju.

Mijał wówczas czwarty rok wojny z Irakiem. Wszyscy absolwenci szkół średnich musieli iść do wojska, chyba że znakomicie wypadli na państwowym egzaminie na uczelnię wyższą i mieli list polecający od dyrektora szkoły, potwierdzający ich wysokie „kwalifikacje moralne”. Ponieważ wyleciałem z ośmiu szkół za złe zachowanie, wiedziałem, że nie dostanę się na żaden uniwersytet w Iranie. Zresztą od wczesnej młodości miałem zamiar wyjechać z kraju zaraz po ukończeniu szkoły średniej. Mój ojciec niezbyt chętnym okiem patrzył na te plany – wolał, bym został z rodziną w Teheranie – ale wkrótce po wypuszczeniu mnie z Kasru cała rodzina zgodziła się, że liczy się już wyłącznie moje bezpieczeństwo.

Czternaście miesięcy później wyjechałem – najpierw do Pakistanu, a potem do Kanady, gdzie wstąpiłem na uniwersytet w Montrealu.

– Tak jest dobrze – wyszeptała mama, gdy uścisnąłem ją na pożegnanie rankiem tamtego dnia, gdy wyjeżdżałem do Pakistanu. – Dobrze ci to robi, jak spędzisz trochę czasu poza Iranem. A potem wrócisz.

Pocałowała mnie w oba policzki i pomachała ręką, kiedy wsiadałem do taksówki. Wiedziałem, że będzie płakać, ale powstrzymywała się od łez do czasu, gdy odjechałem.

Gdy naciągnąłem znów opaskę na oczy, miałem nadzieję, że to moje drugie doświadczenie więzienne okaże się równie krótkie i bez konsekwencji jak pierwsze. Na pewno spotkanie ze „specjalistą” da mi możliwość zrozumienia, o co jestem oskarżony, i wykazania mojej niewinności. Błękitnooki strażnik prowadził mnie jakimś korytarzem. Kątem oka zdołałem dostrzec jedynie czerwone płytki chodnika. Przy wejściu do drugiego budynku czekał na mnie mój specjalista. Zdałem sobie sprawę, że „specjalista” to eufemistyczne określenie śledczego, tak samo jak zwykłych alfonsów nazywa się „stręczycielami”.

– Dziękuję, Sejjed – powiedział specjalista do strażnika.

Po specyficznym zapachu i tonie głosu domyśliłem się, że to Woda Różana. Wziął mnie pod ramię i przeprowadził przez kilka korytarzy. Wydawało mi się, że przechodzimy przez parę budynków. W końcu wprowadził mnie do jakiegoś pokoju. Zamknął drzwi i posadził mnie na krześle. To było takie krzesło z pulpitem do pisania, jakie miałem kiedyś w szkole. Klimatyzacja pracowała pełną parą i w pokoju było naprawdę chłodno.

Czułem, że jest blisko mnie.

– Panie Bahari – powiedział mi prawie do ucha. – To już pański koniec. Już

się pan nie wywinie. Musi pan wyjawic wszystko, co pan wie.

Czułem się nieswojo, mówiąc do kogoś z zasłoniętymi oczyma.

– Może mi pan powiedzieć, dlaczego tu jestem?

– Dobrze wiesz. Bo jesteś agentem zagranicznej organizacji wywiadowczej – zaczął.

Zamurowało mnie. Jakiej organizacji?

– Może mi pan powiedzieć, o jaką organizację chodzi? – wykrztusiłem.

– Mów głośniej i wyraźniej! – krzyknął. Pochylił się jeszcze bliżej, jego twarz była może cal od mojej. – Co powiedziałeś?

– Czy byłby pan tak uprzejmy i powiedział mi, o jaką organizację chodzi? – powtórzyłem.

– O CIA, Mossad, MI6 i „Newsweek”.

W pierwszej chwili pomyślałem, że żartuje.

– Chodzi panu o magazyn „Newsweek”?

– Tak. Ten twój „magazyn” to część amerykańskiego aparatu wywiadowczego.

Zastanawiałem się, czy w pokoju był jeszcze ktoś inny, ktoś odpowiedzialny za tego niesłychanego ignoranta.

– Niech mi pan pozwoli wyjaśnić – odezwałem się. – Pracuję jako dziennikarz dla magazynu „Newsweek”, który ukazuje się już od prawie osiemdziesięciu lat. I nie jest częścią amerykańskiej sieci wywiadowczej. Gdyby tak było, ludzie wiedzieliby o tym. Ujawniłyby to inne tygodniki amerykańskie. Mogę o tym pana zapewnić, gdyż pomiędzy firmami medialnymi na Zachodzie panuje bezlitosna konkurencja.

– Niech mi pan tu nie robi wykładów o mediach, panie Bahari. My wszystko wiemy. I wiemy, co pan robił.

Woda Różana krążył wokół mnie. Zapach jego potu przebijał się przez woń jego pachnidła.

– Jestem pewien, że to wszystko nieporozumienie. Jestem akredytowanym dziennikarzem. Rząd Islamskiej Republiki Iranu dawał mi akredytację od dwunastu lat.

– No i co z tego?

– Znaczy to, że rząd Islamskiej Republiki Iranu wiedział przez dwanaście lat, czym się zajmuję, i nie widział żadnego problemu w mojej pracy. Gdyby tak nie było, cofnęliby mi legitymację prasową.

Woda Różana chodził wokół mnie przez chwilę w milczeniu. Wreszcie zatrzymał się i klepnął mnie lekko po ramieniu.

– Ludzie, którzy przyznali ci tę legitymację prasową, skończą na tym samym krześle – powiedział. – Popelnili jeszcze poważniejsze przestępstwo, dając akredytację takim ludziom jak ty. – Każde zdanie akcentował klepieniem mnie po

ramieniu. – Mamy tu też wszystkich twoich kolegów. Wszystkich twoich irańskich współpracowników. Wszyscy są w tym więzieniu. Nie wyobrażaj sobie, że możesz nas wykiwać. Wiemy o tobie wszystko. Wiemy, że jesteś główną wtyką zachodnich mediów w Iranie.

Te słowa tak mnie zaskoczyły, że nie mogłem się opanować.

– Ja?

– Nie, nie ty, tylko moja ciocia – odparł z sarkazmem. – To ona jest najważniejszym macherem zagranicznych mediów w Iranie.

Siedziałem bez ruchu na krześle, niezdolny wydusić z siebie słowa. Nie chciałem dopuścić do siebie myśli, że mój pobyt w Ewinie nie okaże się tak krótkotrwały, jak się lubiłem.

„Nie – pomyślałem. – Ten człowiek próbuje mnie po prostu zastraszyć, żebym – kiedy mnie za parę dni wypuszczą – przestał pisać o demonstracjach”. Staralem się przekonać samego siebie, że nie zrobiłem nic złego i niedługo pozwolą mi stąd wyjść.

W końcu Woda Różana mnie zostawił, a zjawił się jakiś strażnik. Kątem oka dostrzegłem, że miał brązowe sandały.

– Możesz teraz iść do łazienki – powiedział.

Strażnik Brązowe Sandały zaprowadził mnie na miejsce. Zamknął za mną drzwi i powiedział, że mogę zdjąć opaskę. Było tam pięć kabin. Na trzech widniał napis „Toaleta dla gości”, na dwóch pozostałych napisano: „Nie wchodzić” z dodatkowym ostrzeżeniem: „Osoby nieupoważnione będą karane za skorzystanie z tej toalety”. Posłusznie więc skorzystałem z toalety „dla gości”.

Po pewnym czasie Woda Różana wrócił do pokoju przesłuchań. Dopóki byłem jeszcze sam, miałem wielką ochotę zdjąć opaskę z oczu i rozejrzeć się dookoła, ale wolałem nie ryzykować. Zauważyłem jedynie jakieś napisy na pulpicie przy moim krześle. Niektóre wyglądały na zrobione przez poprzednich więźniów, a inne – ręką dziecka.

„Hassan to zdechły koń” – przeczytałem. Obok był niewyraźny rysunek uśmiechniętej głupkowato twarzy. A dalej: „Boże, miej nade mną miłosierdzie!” – ten napis był po arabsku, a nie persku.

Irańskie ministerstwo sprawiedliwości, które sprawowało nadzór nad Ewinem, kupowało używane sprzęty od ministerstwa edukacji. Na początku rewolucji 1979 roku Chomeini zadeklarował, że więzienia będą odtąd jak szkoły, a wszyscy antyislamscy działacze, którzy trafili za kratki, wyjdą na wolność jako zwolennicy nowego rządu. Jak widać, władze Ewinu potraktowały tę szkolną metaforę ajatollaha całkiem dosłownie.

Wreszcie Woda Różana wrócił do pokoju. Jego kroki były teraz cichsze niż wcześniej. Gdy podszedł do mojego krzesła, dostrzegłem, że nie ma na nogach butów, tylko czarne skórzane pantofle, założone na jasnoszare skarpetki. To mnie

zaniepokoiło, bo sugerowało, że zjawiał się na dłużej. Chodził wciąż po pokoju, a za każdym razem, gdy mnie mijał, przyglądałem się jego pantoflom i skarpetkom. W Iranie funkcjonariusze niższego szczebla chodzą często w tandetnych plastikowych sandałach i mają zwykle dziurawe skarpetki. Miałem nadzieję, że dojrzę dziury także w skarpetkach Wody Różanej, co by świadczyło, że władze nie traktują mojej sprawy zbyt poważnie. Ale w jego skarpetkach nie było żadnych dziur, a pantofle wyglądały jak wyglansowane.

Usłyszałem, że do pokoju wchodzi jeszcze jedna osoba. Miałem nadzieję, że to jego szef albo ktoś, z kim będę mógł rozsądnie porozmawiać. Ten nowy człowiek zadał mi parę pytań, na które już odpowiadałem, ale był uprzejmniejszy i cierpliwszy od Wody Różanej. „Dobry gliniarz i zły gliniarz” – pomyślałem.

– Panie Bahari, jak pan wie, większość redaktorów naczelnych amerykańskich gazet i magazynów wyznacza bezpośrednio CIA... – zaczął nowy.

„Głupi i głupszy” – pomyślałem.

W tej chwili musiałem przyznać, że to jednak Woda Różana był bardziej na poziomie. Grałem w szachy z gorylem. Mógł w każdej chwili połknąć moje figury. Ale musiałem grać dalej.

– Przykro mi, panowie, ale obawiam się, że sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż sądzicie. Nie uważam, by CIA chciała wyznaczać redaktorów naczelnych gazet... – czekałem na reakcję, ale jej nie było. – Gdyby chcieli wpłynąć na jakieś medium, to postaraliby się raczej o dobrze zorganizowaną kampanię *public relations*.

Woda Różana wyszedł z pokoju bez słowa. Gdy wrócił, położył dłonie na oparciu mojego krzesła.

– Nie ufam ani jednemu pańskiemu słowu, panie Bahari – szepnął mi do ucha. – Od tej pory większość naszej konwersacji będzie się odbywać na piśmie. Zapiszę swoje pytania, a pan napisze odpowiedzi. Jasne?

– Tak.

Uważałem, że to korzystne. Nowe instrukcje oznaczały, że ktoś inny – może nie taki ignorant jak Woda Różana – nadzoruje całą sprawę.

– Obróć się do ściany i zdejmij opaskę! – polecił. Postawił mnie i odsunął krzesło. – Trzymaj głowę pochyloną tak długo, jak tu jesteś. – A potem, jakby wyczuwał, o co chcę zapytać, dodał: – A jak długo tu będziesz, to zależy od ciebie. Ludzie, którzy nie współpracowali, zestarzelili się tu, i to bardzo.

Myśl o spędzeniu w Ewinie choćby jednej nocy więcej już mnie przerażała. „On blefuje” – powiedziałem sobie i postarałem się skupić na odpowiedziach na jego pytania. Były bardzo ogólne i proste: gdzie mieszkałem, gdzie studiowałem, jak się nazywają członkowie mojej rodziny. Skończyłem i oddałem kartkę bez odwracania wzroku od ściany.

– Nie mogę tego przeczytać! – usłyszałem za plecami odgłos dartego

papieru. Cisnął we mnie skrawkami, jakby to było confetti. – Pisz wyraźniej!

– Przykro mi, ale nie umiem. Zawsze tak niewyraźnie pisałem.

– Ale do „Newsweeka” piszesz wyraźnie! – Nazwę pisma wypowiedział tak, jakby to był wyjątkowo brzydki wyraz.

– Owszem, ale piszę na komputerze. Ostatnio rzadko piszę długopisem...

Zignorował moje wyjaśnienia i dał mi nową kartkę. Siedziałem na tym krześle parę godzin, odpowiadając na jego pytania. Orientowałem się w upływie czasu po wezwaniach na modlitwę. Szyjci modlą się trzy razy dziennie: rano, w południe i wieczorem. Strażnik Brązowe Sandały przyszedł zabrać mnie do celi zaraz przed wieczorną modlitwą.

Nie jadłem nic od śniadania w domu mojej matki. Gdy w celi zdjąłem opaskę, zobaczyłem, że czekał tam na mnie posiłek. Składały się na niego chleb i ghajmeh – perski gulasz z jagnięciny, łuskanego grochu, suszonej cytryny i ryżu. Zawsze uwielbiałem smak ghajmehu, zwłaszcza takiego, jaki robiła moja mama, z bakłazanem. Brakowało mi gorzkawego i kwaśnego posmaku suszonej cytryny. Sięgnąłem więc od razu po talerz, ale spostrzegłem, że danie stało już tak długo, że prawie zakrzepło. Bijący od niego zapach przyprawił mnie o mdłości.

Mój ojciec nie znosił ghajmehu, ale nie tyle z racji smaku, co pewnej jego funkcji – mianowicie potrawę tę podawano tradycyjnie ubogim podczas ceremonii religijnych, a on nie cierpiał instytucjonalnej religii i wszelkich związanych z nią obrzędów. Usiadłem na brudnym zielonym dywaniku i pomyślałem o ojcu i jego rodzinie.

Tata, czyli Akbar Bahari, urodził się w 1927 roku w Baharze, małym miasteczku w górzystej części zachodniego Iranu – i od tego miasta wzięło się nasze nazwisko. W czasach narodzin mojego ojca większość Irańczyków mieszkała na wsi albo prowadziła koczowniczy tryb życia. Mieszkańcy Baharu utrzymywali się na ogół z uprawy pszenicy, maku i owoców. Ale rodzina mojego ojca była inna. Dziadek taty, Samad Roghani, którego nazwisko znaczyło tyle, co „sprzedawca oleju”, zajmował się handlem olejem jadalnym i wedle rodzinnych podań był najbogatszym człowiekiem w okolicy. W przeciwieństwie do większości mężczyzn ze swojego pokolenia Samad miał tylko jedno dziecko, a kiedy zmarł pod koniec XIX wieku, zostawił cały majątek jednemu synowi: był nim Hossejn Bahari, mój dziadek.

Hossejn Bahari był mężczyzną wysokim i przystojnym, z cienkim wąsikiem. Na zdjęciach, które po nim zostały, wygląda jak hollywoodzki gwiazdor z epoki kina niemego. Dzięki pieniądзом z handlu olejem Hossejn mógł się cieszyć przyjemnościami życia. Urządzał w swoim domu huczne przyjęcia, na których goście raczyli się miejscową wódką i opium. Poza rodzinną fortuną odziedziczył

też jednak po ojcu pobożność i próbował być dobrym szyitą. Obchodził przykładowo święta szyickie, a w czasie ramadanu żył w niemal całkowitej zgodzie z nakazami Księgi. Pościł i budził się przed świtem, by się modlić, a służba przygotowywała w tym czasie wielkie śniadanie dla ubogich – z jajek, mleka i miodu. Wieczorem, gdy mijał czas zakazany, przerywał post i raczył się wódką. Picie wódki jest oczywiście zakazane w islamie, ale dziadek najwyraźniej uważał, że Allaha bardziej interesuje dobroczynność niż kilka kropeł – czy butelek – alkoholu.

Jakby nie dosyć było tych sprzeczności, mój dziadek podczas II wojny światowej został komunistą. W 1941 roku alianci obalili Rezę Szacha, despotycznego i nacjonalistycznego władcę Iranu. Uważali, że Reza zbyt zbliżył się do Niemiec, a oni chcieli z terytorium Iranu wspierać wschodni front w Rosji. Osadzili więc na tronie jego dwudziestodwuletniego syna, Mahammada Rezę Pahlawiego, zwanego krótko szachem. Sowieci (z późniejszym udziałem Amerykanów) kontrolowali północną część kraju, a Brytyjczycy zasobne w ropę południe. Mój ojciec, który miał wówczas czternaście lat, często opowiadał o gniewie i upokorzeniu, odczuwanych przez mieszkańców Baharu na widok maszerujących ulicami żołnierzy brytyjskich. „To wyglądało tak, jakby nasz kraj należał do Brytyjczyków” – mawiał, wspominając z nieskrywaną przyjemnością, jak skrzykiwał kolegów ze szkoły, by obrzucać kamieniami obcych żołnierzy.

Upadek Rezy w 1941 roku dał ujście historycznej frustracji Irańczyków, wywołanej przez despotycznych władców i obcą interwencję. W wojennym chaosie partie polityczne wyrastały jak grzyby po deszczu, a co wybitniejsi politycy tworzyli własne ugrupowania, obiecując wolność i niezawisłość. Z pomocą Związku Radzieckiego, który miał od dawna na oku naturalne bogactwa Iranu, powstała partia Tudeh. Sowieci mocno ją wspierali finansowo, organizacyjnie i wywiadowczo, tak że Tudehowi udało się trafić do różnych grup irańskiego społeczeństwa. Tudeh stworzył też swoją oficjalną i podziemną strukturę w całym kraju. W połowie lat czterdziestych wielu wybitnych intelektualistów, artystów i pisarzy zostało członkami partii. A z drugiej strony Tudeh, jako przedstawiciel proletariatu, był atrakcyjny dla robotników i bezrobotnych.

Sądzę, że podobnie jak wielu komunistów z owych lat, mojego dziadka nie przyciągnęły do tego ruchu wyraźnie skrytalizowane poglądy polityczne. Właściwie to mocno wątpię, czy kiedykolwiek przeczytał *Manifest komunistyczny* Marksa i Engelsa albo *Co robić?* Lenina. Miał raczej dość szalejącej korupcji we władzach, nie mógł patrzeć na okupację swojego kraju i współczuł ubogim. Wierzył, że partia komunistyczna będzie najlepszym remedium na to zło. Wtedy jeszcze Tudeh nie przedstawiał się otwarcie jako organizacja ateistyczna, a część jego przywódców była rzeczywiście praktykującymi muzułmanami.

Być może jednak mój dziadek szukał po prostu wyjścia z własnych kłopotów. W tym czasie niewiele mu już zostało ze schedy po ojcu. Matka mojego ojca, pierwsza żona Hossejna, zmarła, gdy mój tata miał pięć lat, a wkrótce potem Hossejn znów się ożenił. Dla tej drugiej żony nie był zbyt dobrym mężem, podobnie jak ojcem dla czworga swoich dzieci. Według mojego taty dziadek miał zwyczaj bardzo późno wracać z politycznych zebrań, a po drodze do łóżka bił swoją żonę i dzieci. Potem spał do południa. Myślę, że tata tak często wspominał o dziadku właśnie dlatego, że chciał się upewnić, iż jego dzieci nie pójdą w ślady Hossejna. „Bo co to za człowiek, który tak okropnie traktuje swoją rodzinę? – pytał. – Co to za człowiek, który nie bierze odpowiedzialności za swoje czyny?”.

Tata uwielbiał kuchnię mamy, a podczas posiłków – zwłaszcza takich jak smażona białorybica z ryżem, plus jogurt z czosnkiem i marynowane warzywa – wpadał czasem w ton pompatyczny. „Musicie wypełniać swe powinności niezależnie od przeszkód” – powtarzał. I dodawał dosadnie: „Bo inaczej będziecie g... warci”.

Po tym, jak mój dziadek wstąpił do Tudehu, jego życie zyskało trzeci wymiar, poza folgowaniem swoim słabościom i pobożnością: były to dyskusje polityczne o równości i niezależności. Mój ojciec musiał uczestniczyć w tych zebraniach i podawać gościom herbatę. „To wyglądało jak jakieś obrzędy religijne – mówił mój tata podczas posiłków. – W trakcie ceremonii religijnych mułła opowiada o islamskich świątobliwych mężach i o bitwach z czasów Proroka. A na zebraniach partii komunistycznej słuchaliśmy opowieści o wielkiej rewolucji październikowej 1917 roku i bohaterstwie radzieckich żołnierzy walczących z nazistami”.

W ślad za dziadkiem mój ojciec wstąpił do Tudehu w 1945 roku. Miał wtedy siedemnaście lat. Przynależność do partii dawała mu możliwość zaspokajania własnych skłonności: ilekroć zechciał, mógł uczestniczyć w ulicznych rozróbach. Tata był niewątpliwie utalentowanym młodzieńcem, ale wolał się bić, niż studiować. Po wstąpieniu do partii mógł organizować młodych członków Tudehu i atakować zwolenników innych partii politycznych. „Gdybym nie został komunistą, stałbym się bandziorem” – mawiał.

Po zakończeniu wojny tata stwierdził, że ma już dość Baharu. Przez kilka miesięcy pracował w warsztacie mechanicznym, by zarobić trochę pieniędzy, a potem pojechał do Teheranu. Tu pierwsze kroki skierował do siedziby miejscowej komórki Tudehu. Dzięki partyjnym układom dostał pracę w małej fabryce. Wkrótce stał się wykwalifikowanym metalowcem. W 1949 roku jego bojowość, ale także umiejętność władania piórem pomogły mu stać się jednym z przywódców Związku Metalowców Iranu. Związek ten zasłynął z umiejętności organizowania strajków i rozprawiania się z oponentami za pomocą metalowych prętów.

Ojciec był fanatycznym komunistą. Większość religijnych ludzi, których poznałem, szła za wskazaniem swojej religii (a w każdym razie za tym, co uważali za wskazania swojej religii) bez większego namysłu. Uczestniczyli w nabożeństwach i grupach religijnych, bo czuli się wygodniej w towarzystwie ludzi podobnie myślących. Podobnie było z wieloma członkami Tudehu, w tym z moim ojcem. Zawsze powtarzał, że dla niego partia była jak rodzina. Gdy przyjechał do Teheranu, miał puste kieszenie, a po persku mówił z wiejskim akcentem. Partia dała mu tożsamość, wykształciła go i dała emocjonalne i intelektualne wsparcie, którego nie otrzymał nigdy od swojego ojca.

Mój ojciec nigdy nie zakwestionował żadnej błędnej czy nawet zdradzieckiej decyzji Tudehu. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak razem z wieloma irańskimi komunistami mógł popierać sowiecką okupację części Iranu w 1945 roku, już po wycofaniu się Brytyjczyków i Amerykanów. Sowieci zajęli irański Azerbejdżan na północnym zachodzie kraju i powołali tam marionetkową Ludową Republikę Azerbejdżanu. Dla mojego ojca i wielu jego przyjaciół fakt, że Sowieci bezwstydnie zawłaszczyli kawałek Iranu, nie miał większego znaczenia. Bo przecież Tudeh należał do sił międzynarodowego komunizmu, a Związek Radziecki był Wielkim Bratem, który zawsze wiedział lepiej. Dopiero w 1946 roku, po sprytnych negocjacjach irańskiego ministra spraw zagranicznych i pogrózkach amerykańskiego prezydenta Trumana, Stalin nakazał swoim wojskom wycofać się z irańskiego Azerbejdżanu. Mój ojciec opłakiwał za to śmierć tysięcy komunistów, których wymordował potem reżim szacha.

Dla irańskich komunistów zaczęły się gorsze czasy. W 1949 roku doszło do próby zamachu na życie Mahammada Rezy Pahlawiego. Ochroniarze szacha natychmiast zabili domniemanego zamachowca, ale wciąż dyskutuje się na temat jego politycznych afiliacji. W każdym razie o zamach oskarżono komunistów, a partia Tudeh została zdelegalizowana. Wielu jej przywódców aresztowano, inni zbiegli do Związku Radzieckiego. Niemniej szeregowi działacze wciąż prowadzili działalność i zwoływali publiczne zgromadzenia pod różnymi „sztyldami”, a przede wszystkim pod sztandarami związków zawodowych. Komunistyczne związki zawodowe urządzały nielegalne zebrania w mieście i przygotowywały się na ataki policji i wojska. Jak wspominał jeden z przyjaciół mojego ojca: „Zawsze mieliśmy na podorędziu kije albo pałki, którymi mogliśmy godnie powitać policję”. W latach 1949–1953 ojca aresztowano kilkakrotnie, głównie podczas starć z policją.

Pobyty mojego ojca w więzieniu działały podobnie do rytuałów inicjacyjnych mafii. W zamknięciu spotkał przywódców Tudehu, którzy nie szczędzili mu indoktrynacji, tak że więzienie opuszczał za każdym razem coraz bardziej „uświadomiony”. Tudeh dysponował rozległą podziemną siatką zbrojną, do której należeli nawet niektórzy ochroniarze szacha. „Pewne więzienia były w rzeczywistości kierowane przez naszych towarzyszy – opowiadał ojciec.

– Mogliśmy swobodnie spotykać się z innymi członkami partii; mieliśmy wykłady z historii komunizmu i wieczory czytania poezji”.

Mój ojciec, otoczony takimi ludźmi, chłonał jak gąbka to wszystko, co oni mówili. Właśnie w więzieniu nawiązał wiele przyjaźni, które przetrwały aż do jego śmierci. Ci ludzie byli dla mnie jak wujkowie. Nie było dla mnie niczym niezwykłym, gdy wracając ze szkoły, zastawałem przy rodzinnym stole jakiegoś słynnego irańskiego pieśniarza albo pisarza. Był wśród nich pan Hossejnspur, poeta, którego długie włosy i cienkie wąsiki przywodziły na myśl jakiegoś radzieckiego intelektualistę. Przez wiele miesięcy dzielił z moim ojcem jedną celę. Z panem Bankim zaś, inżynierem, którego obfite policzki trzęsły się za każdym razem, gdy wspominał tortury, jakich doświadczył, mój ojciec recytował wiersze podczas codziennych przechadzek po więziennym spacerniaku. Natomiast pan Abdollah, przemysłowiec, dzielił pokój z moim tatą, gdy wyszli już z więzienia i partia dała im mieszkanie.

Gdy zeszło się ich trzech czy czterech, zaczynały się opowieści. Ci starsi już mężczyźni wspominali z dumą swoje więzienne czasy; opowiadali o torturach, które przeszli, i o sytuacjach, gdy byli blisko śmierci, tonem, jakim niektórzy opowiadają o kulinarnej podróży po Francji albo górskiej wyprawie do Peru. Dla kogoś obcego – albo takiego jak ja – opowieści te były równie fascynujące jak przerażające. Jako młody chłopak byłem zaszokowany językiem taty i jego przyjaciół, kiedy wspominali swoje więzienne przeżycia – jakby ta bolesna przeszłość dawała im prawo do tak ostrych, nieraz sprośnych czy obrzydliwych wyrażen. „Ten matkojeb pierdolnął mnie w łeb, jakbym był workiem bokserskim” – powiedział kiedyś pan Banki. „No bo te skurwysyny nie miały litości” – dodał pan Abdollah. „To więzienie było jak dziura w sraczu i śmierdziało jak chlew” – dorzucił pan Hossejnspur.

Mój ojciec tak podsumował te uwagi: „Te zbiry chciały nas złamać, ale tylko nas wzmocniły”. Ci ludzie – a także wielu innych, którzy nie mieli tyle szczęścia, by przeżyć – cierpieli więzienie i tortury dlatego, że opowiadali się za wolnością. To, co działo się w Iranie w czerwcu 2009 roku, było kontynuacją tamtej walki.

Mój ojciec i jego przyjaciele uwielbiali recytować wiersz *Koniec gry* Ahmada Szamlu, mówiący o szachu:

Jak można się cieszyć

Drzewami i ogrodami,

Skoro rozmawia się z jaśminem

Nożycami?

Gdzie postawisz krok,

Tam rośliny

Powstrzymują się przed wyrośnięciem.

Bo ty

Nigdy nie wierzyłeś

W godność

Gleby i wody.

Gdy po rewolucji reżim islamski się umocnił, wiersz ten nie odnosił się już tylko do szacha, lecz do wszystkich despotów, jacy władali moim krajem. Siedząc w więzieniu Chameneiego, myślałem właśnie o ajatollahu, powtarzając ten wiersz:

Niestety, nasze przeznaczenie

Było smętną balladą twoich żołnierzy,

Wracających z podboju fortecy nierządu.

Zobacz, celem jakich przekleństw

Staleś się

Dla rozpaczających matek

– płaczących po najpiękniejszych dzieciach słońca i wiatru –

Które jeszcze nie podniosły głów

Znad modłów.

Pisałem reportaże z Islamskiej Republiki Iranu przez dwanaście lat. Wiedziałem, jak niebezpieczny i nieprzewidywalny potrafi być ten reżim. Im dłużej siedziałem w celi, czekając na kogoś, kto mi wreszcie wytłumaczy, co się dzieje, tym bardziej się martwiłem. W lepszych chwilach mówiłem sobie, że dla mnie jako dziennikarza te doświadczenia, łącznie z przesłuchaniami, są niezwykle cennym materiałem. Ostatecznie nie tak wielu dziennikarzy miało okazję przekonać się „od środka”, jak funkcjonuje to osławione więzienie.

Chciałem zapamiętać każdy szczegół na potrzeby artykułu, który miałem nadzieję napisać: *Siedemdziesiąt dwie godziny w więzieniu Ewin.*

Tej nocy zamknąłem oczy i próbowałem zasnąć. Sen przyszedł natychmiast. Byłem z Paolą w Hampstead Heath w mglisty londyński poranek. Leżeliśmy na szczycie jakiegoś pagórka. Paola miała na sobie białą pidżamę i biały bezrękawnik. Całowałem jej brzemienny brzuch i smarowałem go oliwką dla niemowląt. Opowiadałem jej o absurdach mojego siedemdziesięciogodzinnego pobytu w Ewinie; śmiałyśmy się z idiotycznych oskarżeń Wody Różanej. Później znaleźliśmy się z powrotem w naszym londyńskim mieszkaniu, a jej ciemne włosy rozsypywały się na poduszce obok mnie. I wtedy ktoś zaczął się dobijać

do naszych drzwi.

– Zbieraj się! Zaraz idziesz do swojego specjalisty!

Wpółspiący, nie mogłem zrozumieć sensu tych słów.

– Wstawaj! Idziesz za pięć minut!

– A która godzina? – spytałem, czując ból w plecach i zeszywniałych nogach.

– Jakbyś miał wiedzieć, która godzina, to byśmy ci założyli zegar w celi – odparł strażnik. Poznałem go po głosie: to był Niebieskooki Sejjed. – No już, zbieraj się!

Znów powędrowałem z opaską na oczach przez długie korytarze. Kalkulowałem sobie, że była jakaś czwarta rano. Gdy Woda Różana wszedł do pokoju przesłuchań, usłyszałem jego ziewnięcie. Powiedział mi, żebym zdjął opaskę i usiadł twarzą do ściany. Potem zaczął coś jeść. Słyszałem, jak gryzie i przeżuwa.

– Chcesz trochę? – zapytał.

– A co to takiego?

– Solony ogórek.

– Nie, dziękuję.

Chyba go uraziłem.

– Coś takiego! Myślisz, że śledczy nie myją rąk?

Ostatecznie wziąłem kawałek tego ogórka. Woda Różana dał mi kolejną kartkę.

– Chcę, żebyś podał nazwiska wszystkich twoich przyjaciół i kraje, w których byłeś.

Zacząłem od listy krajów, w których byłem. Kiedy miałem dziewięć lat, zwiedzałem Europę z Marjam i mamą. W latach 70., w czasach boomu naftowego, gospodarka Iranu miała się dobrze, a nasza waluta była mocna. Odwiedziliśmy dwanaście miast w dziewięciu krajach. Ta podróż otworzyła mi oczy na inne narody i kultury. Zaszczepiła mi też miłość do podróży, którą czuję do dziś. Gdy Woda Różana krążył koło mnie, ja przypominałem sobie wizytę w londyńskim Parlamencie. Wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się, co to takiego demokracja – i z tego też powodu zakochałem się w Londynie. Jako dziecko wiedziałem o polityce tylko tyle, że szach – czy jak go nazywali w telewizji: Jego Królewska Wysokość Szach Szachów – ma całą władzę w kraju, a obywatele – żadnej.

– A dlaczego nie mamy parlamentu w Iranie? – zapytałem Marjam.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziała, że owszem, mamy.

– To dlaczego o nim nie słyhać? – spytałem.

Marjam i mama wymieniły zakłopotane spojrzenia. Nie wiedziały, jak wyjaśnić chłopcu w moim wieku, że irański parlament był w tym czasie zwykłą farsą, a nikt, kto odważyłby się choćby najdelikatniej skrytykować szacha, nie

mógł liczyć na karierę.

– No cóż, w Iranie jest inaczej – powiedziała Marjam. – Parlament nie jest tak aktywny...

– A dlaczego?

Moja mama powoli traciła cierpliwość.

– Mazi *džaan* – powiedziała. – Nie powtarzaj tego żadnemu ze swych kolegów w szkole. W Iranie mamy szacha i wszyscy muszą go słuchać. Wszyscy: ministrowie, członkowie parlamentu... Po prostu każdy.

– A jak jest tutaj?

– Ludzie głosują na tych, którym ufają, na swoich przedstawicieli. Spośród nich wybiera się premiera – wyjaśniła mama, mając na pewno nadzieję, że nic z tego nie zapamiętam. – W Anglii też jest królowa, ale nie ma żadnej faktycznej władzy i musi sama słuchać ludzi. To się nazywa demokracja. Natomiast w Iranie to ludzie nie mają żadnej władzy i muszą słuchać szacha.

– No, ale dlaczego... – dopytywałem się, ale cierpliwość mamy już się wyczerpała.

Uśmiechnęła się i rzuciła:

– To co, idziemy teraz do Madame Tussauds?

Spisując nazwy wszystkich krajów, które odwiedziłem, uśmiechałem się do swoich wspomnień. Gdy skończyłem, zacząłem powoli zapisywać nazwiska moich przyjaciół, unikając jednak podawania nazwisk znajomych Irańczyków. Nie chciałem, by Strażnicy wypytywali mnie o kogokolwiek, kogo mogli namierzyć i aresztować.

– Panie Bahari – odezwał się Woda Różana chwilę po tym, jak mu wręczyłem kartkę. – Dlaczego nie podałeś tu pan nazwisk swoich irańskich przyjaciół?

– Bo nie mam właściwie przyjaciół w Iranie, proszę pana – odparłem. – Większość czasu spędzam poza krajem. Przyjeżdżam tu tylko do pracy, a wtedy nie nawiązuję raczej znajomości.

Wiedział, że kłamałem. Wziął swoją kartkę i zaczął czytać głośno listę moich przyjaciół, zarówno zagranicznych, jak irańskich. Domyśliłem się, że zebrali te nazwiska z moich e-maili i telefonów. Gdy przywieziono mnie do Ewinu, strażnicy kazali mi zaraz podać hasła do moich kont na poczcie elektronicznej i Facebooku. Skonfiskowali mi też obie komórki – tę z Londynu i z Teheranu. Nawet nie protestowałem, bo nie miałem niczego do ukrycia.

– Chcę całego *tak newisi* o tych ludziach – powiedział Woda Różana.

Chodziło mu o wyjaśnienie, w jakich okolicznościach poznałem każdego z tych ludzi i jakiego rodzaju związki nas łączą. Właściwie to tak jak przy poprzednich przesłuchaniach nie wydawał się zainteresowany zdobywaniem nowych wiadomości. Miał już wyrobiony pogląd na mnie i na moją pracę. Chciał

tylko potwierdzenia swoich opinii.

– Im więcej nam powiesz o antyrewolucyjnej działalności każdego z tych ludzi, tym więcej znajdziesz u nas zrozumienia. A to znaczy, że będziesz miał łatwiejsze życie w więzieniu – oświadczył.

Przerywał mi pisanie pytaniami, po co jeździłem do pewnych krajów i jak poznałem niektóre osoby. Szczególnie interesowali go ludzie noszący imiona Jonathan i Mary. Dał mi ich listę.

– Napisz dokładnie, gdzie i kiedy ich poznałeś – polecił.

Spojrzałem na listę. Znałem czterech Jonathanów: trzech dziennikarzy TV i jednego operatora. Natomiast kobiet o imieniu Mary w różnych okresach mojego życia poznałem ponad tuzin. Nie miałem pojęcia, dlaczego właśnie ci ludzie tak go zainteresowali. Nie mieli ze sobą nic wspólnego. Zacząłem od mojego przyjaciela Jonathana Millera z angielskiego Channel 4 News. Wyjaśniłem, że współpracowaliśmy przy kilku programach o Iranie i Iraku.

– Dobrze – odezwał się Woda Różana zza moich pleców. – A teraz napisz, dla jakiej agencji szpiegowskiej on pracuje.

– Słucham?

– Czy ja mówię po turecku? – zapytał szorstko. – Podaj, dla jakiej agencji wywiadowczej pracuje ten Jonathan.

– Przepraszam pana – rzekłem rozpaczliwie – ale on nie jest szpiegiem... Robi filmy.

– Pan kłamie, panie Bahari!

– Nie, naprawdę nie! Nie sędzę, żeby był szpiegiem... – przerwałem na chwilę. – A zresztą, nawet gdyby był, to by mi o tym nie powiedział.

Wyjaśniłem, że pracowaliśmy razem nad serią programów o naruszaniu praw człowieka w Iraku po inwazji amerykańskiej i przy kilku filmach o Iranie. Wydawało się, że Woda Różana wszystko to wiedział. Wspomniał o programie na temat Hosejna Alego Montazeriego, ajatollaha nastawionego krytycznie wobec reżimu islamskiego. W filmie były sekwencje pokazujące, jak Montazeri kwestionuje legalność władz irańskich. Faktycznie robiłem ten film z Millerem.

– Rzeczywiście ciekawe... – powiedział Woda Różana. – Pracowaliście razem przy antyrewolucyjnych programach telewizyjnych. On ma na imię Jonathan. I mówisz, że nie jest szpiegiem.

– Nie widzę związku – przyznałem.

Jednym z moich ulubionych przedmiotów w szkole była logika. Zawsze myślałem, że potrafię podążać za rozumowaniem innych ludzi, nawet jeśli było pokrętne. Ale tym razem nie miałem bladego pojęcia, o co chodzi Wodzie Różanej.

– Mając takich przyjaciół i robiąc takie filmy, wmawiasz mi, że nie jesteś prowodyrem zagranicznych dziennikarzy w Iranie...

Choć od lat śledziłem irańską politykę i absurdalne posunięcia irańskich

władz, teraz naprawdę osłupiałem. Pozostało mi tylko wyciągnąć logiczne wnioski ze znanych mi już przesłanek:

Moje życie jest w rękach tych ludzi.

Są oni ignorantami i głupcami o wypranych ideologicznie mózgach.

Zostałem wkręcony.

Wróciwszy do celi, położyłem się na zielonym dywaniku i zacząłem rozmawiać w myślach z moim ojcem. Słyszałem, jak mi mówi: „Mazi *džaan*, bez względu na okoliczności nie podawaj żadnych nazwisk”. Ojciec zawsze powtarzał, że więzień, który sygnie jednego towarzysza, sygnie także pozostałych. „Uważaj, Mazi. Wymienisz jedno nazwisko, a będą cię przesłuchiwać bez końca”.

Przez dwa następne dni starałem się pomiędzy przesłuchaniami przypomnieć sobie wszystkie dawne rozmowy z ojcem – i prowadziłem nowe. Tymczasem Woda Różana dawał mi jasno do zrozumienia, że stara się być wobec mnie uprzejmy i cierpliwy:

– Proszę mi łaskawie odpowiedzieć jeszcze na to – mówił z sarkazmem, wręczając mi kolejne kartki z pytaniami o różnych irańskich dziennikarzy, pracujących dla zagranicznych mediów. Było jasne, że chodzi mu o skojarzenie mnie z całym wachlarzem zachodnich agencji informacyjnych, by udowodnić, że to ja nadaję ton zachodnim mediom działającym w Iranie.

Odpowiadałem obszernie i solennie, ale było to zwykłe lanie wody. Na przykład: „Wyjaśnij swoje związki z Nazilą Fathi z «New York Timesa»”:

Pani Fathi jest dziennikarką pracującą dla „New York Timesa”. „NYT” to międzynarodowa gazeta, której centrala mieści się w Nowym Jorku, w rejonie Times Square i 42 Ulicy na Manhattanie. Gazeta jest prywatną własnością rodziny Sulzbergerów. Ma wydania codzienne, a także popularne wydanie niedzielne...

Po napisaniu wszystkiego, co wiedziałem o „NYT”, dodałem na kolejnych kartkach wszystko, co wiedziałem o historii mediów zachodnich w ogólności, a czego nauczyłem się na Concordia University. Na drugi dzień Woda Różana zaczął mi dawać dodatkowy papier, zanim jeszcze przeczytał to, co już napisałem, i wychodził. Z początku miałem nadzieję, że konsultuje się z kimś, kto nadzorował

to przedstawienie. Wkrótce jednak zdałem sobie sprawę, iż moje „wypracowania” zabiera tylko dlatego, że w sąsiednim pokoju przesłuchiwał kogoś innego.

– *Mardak!* – usłyszałem przez ścianę, jak krzyczał do jakiegoś więźnia, którego nazywał „małym człowieczkiem”. Skończę tu z tobą. Myślisz, że zrobisz ze mnie durnia?

Po tych słowach doszły mnie odgłosy siarczystych policzków.

Słyszając to, poczułem, że pot spływa mi po plecach. Próbowałem jednak pisać dalej, możliwie pewną ręką. Wkrótce pojawił się Woda Różana i zaproponował mi przekąskę:

– Proszę poczęstować się orzeszkami, panie Bahari – powiedział, stawiając na pulpicie mojego krzesła talerzyk z pistacjami i nerkowcami.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziałem.

– Bardzo proszę. – Oddychał ciężko. – Czy wy, Amerykanie, traktujecie tak swoich więźniów w Abu Ghraib czy Guantánamo?

Nie odpowiedziałem.

– Wie pan co, panie Bahari? W pana interesie leży skończyć to wszystko i przyznać się, że to pan pociągał za sznurki zachodnich mediów w Iranie. Tylko to musi pan zrobić. Niech nam pan o tym opowie. Niech nam pan opowie o swoich metodach sterowania mediami... – Wziął orzeszek nerkowca z talerzyka. – Szczerze mówiąc, jesteśmy pod pańskim wrażeniem. Wiemy, że działa pan w przemyślany sposób. Dość tajemniczy, prawie niezauważalny... – Ton jego głosu był nienaturalnie opanowany. Nie byłem pewien, czy wierzy w to, co mówi, czy chce mnie zrobić. – Jesteśmy przy panu od miesiący. Nie wiedział pan? Ale to prawda, więc lepiej niech pan niczemu nie zaprzecza. Znamy odpowiedzi na większość pytań, które zadaliśmy. Chcemy po prostu wiedzieć, do jakiego stopnia jest pan skłonny mówić nam prawdę.

Próbowałem zachować spokój w głosie.

– Myślę, że sprowadziliście tu niewłaściwego człowieka. Żaden z atrybutów, o których pan wspominał, nie pasuje do mnie. Robi pan ze mnie Jamesa Bonda!

Woda Różana roześmiał się serdecznie.

– Ależ James Bond powinien brać lekcje u pana, panie Bahari. A różnych sztuczek mógłby się u pana uczyć sam diabeł. – Wydawał się rozbawiony własnymi konceptami. – Pan mnie zaskakuje, panie Bahari. Niech mi pan powie coś, o czym nie wiem.

– Nie mam nic do ukrycia – powiedziałem. – Cieszę się, że wszystko o mnie wiecie, bo tym samym wiecie, że jestem niewinny.

– Doprawdy? – westchnął Woda Różana. – To dlatego kręciłeś się po Teheranie motocyklem?

„Więc jednak! – pomyślałem – Dawud miał rację. Byliśmy śledzeni”.

– Wie pan, jakie korki są w Teheranie. Zawsze korzystam z takich

motocyklowych taksówek.

– I zawsze jeździ pan z tym samym człowiekiem? Panie Bahari, już aresztowaliśmy tego pańskiego osobistego motocyklowego szofera, czy raczej... kuriera. Opowiedział nam o wszystkim.

Nie przejąłem się tym, co Dawud mógł powiedzieć śledczym, bo w istocie nic nie wiedział. Ale obawiałem się o niego. W co ja go wpakowałem? Ten chłopak przyjechał do Teheranu, by trochę zarobić tym swoim motocyklem i pomóc rodzinie, a teraz... Przypadkowe spotkanie ze mną może zrujnować mu życie. Staralem się nie myśleć, co teraz przeżywał.

– Ależ ten biedny chłopak jest tylko motocyklowym taksiarzem! – zaprotestowałem. – Woził mnie z miejsca na miejsce, a ja mu płaciłem na koniec dnia.

– Dobrze, dobrze, panie Bahari. Wiemy, że należy do pańskiej rozległej siatki. Wygląda na to, że ma wiele do powiedzenia na pański temat. – Postukał palcami o oparcie mojego krzesła. – No, dobrze. Niech pan teraz opowie o obiedzie w domu Nazili Fathi, 28 kwietnia...

Długopis zadrżał mi w dłoni. Po raz pierwszy zapytał mnie o coś, co się naprawdę zdarzyło. Chodziło o obiad, w którym brałem udział wraz z ośmioma innymi dziennikarzami i fotografikami w teherańskim domu mojej przyjaciółki Nazili kilka tygodni przed wyborami.

Było to spotkanie towarzyskie i zdziwiłem się, że Woda Różana o nim wiedział. Nazila była korespondentem „New York Timesa” w Teheranie. Ona i jej mąż, Babak, powiedzieli mi, że ich zdaniem dom był pod obserwacją, ale nie wiedzieli dokładnie, jaka służba ma ich na oku.

– To był po prostu obiad. Nic szczególnego – powiedziałem najobojętniejszym tonem, na jaki było mnie stać.

– A kim byli goście?

Wymieniłem nazwiska wszystkich gości z wyjątkiem dwóch: hiszpańskiej dziennikarki, o której naprawdę już zapomniałem, i mojego kolegi z „Newsweeka”, Babaka Dehghanspisheha. Nie wymieniłem Babaka, by sprawdzić Wodę Różaną – chciałem wiedzieć, czy rzeczywiście ma tak dobre informacje, jak mówi. Poza tym martwiłem się o Babaka i chciałem wiedzieć, czy jego również aresztowali.

– I kto jeszcze?

– To by byli wszyscy... – odparłem.

– Gra pan w bardzo niebezpieczną grę, panie Bahari – mruknął mi do ucha Woda Różana. – Bardzo niebezpieczną. – Przerwał, a potem podstawił mi pod nos kartkę papieru. – Zapomniał pan o swoim drogim koledze Babaku Dehghanspishehu i pewnej tajemniczej pani z zagranicy...

A więc wiedział wszystko.

– A rzeczywiście, zapomniałem wymienić Babaka. Oczywiście był tam...

I zupełnie zapomniałem o tej Hiszpance. Nie pamiętam jej nazwiska.

– Czyżby? Jest pan przecież częścią amerykańskiej siatki, panie Bahari. A właściwie powinienem się wyrazić inaczej: kieruje pan tajną amerykańską siatką, grupą, w której skład wchodzi osoby obecne na tamtym obiedzie.

– To był całkiem zwykły obiad...

– To nie był obiad! To był *mahfel*!

Słowo to, oznaczające „klikę” czy „spisek”, sugerowało, że należałem do grupy wyrotowych reformistów i dziennikarzy spiskujących przeciw Islamskiej Republice Iranu.

– Prawdziwy amerykański obiad – ciągnął Woda Różana. – Prawdziwy amerykański *mahfel*. Mógłby się odbyć w... New Jersey!

Dziwaczność tej tezy była porażająca. W New Jersey?

– Był pan w New Jersey, nieprawdaż, panie Bahari? – Zdaje się, że ta myśl wprawiała go w furję.

Najgorsze, co się może zdarzyć w kontaktach z funkcjonariuszami Republiki Islamskiej, to sprawić wrażenie, że patrzy się na nich z góry. Kontrolowałem więc ton głosu:

– Tak, proszę pana, ale New Jersey to nie jest jakieś wyjątkowo atrakcyjne miejsce... – powiedziałem, starając się, by to zabrzmiało przyjaźnie.

– Nie obchodzi mnie, czy jest atrakcyjne. Ja tylko wiem, że jest to miejsce bezbożne, takie, jakie wy chcecie zrobić z naszego kraju. Z nagimi kobietami i muzyką Michaela Jacksona!

To przesłuchanie wyczerpało mnie. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Ostatkiem sił starałem się odpowiadać na jego pytania.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

– Planujecie wykorzenić w tym kraju czystą religię Mohammada i zastąpić ją „amerykańskim islamem”. Islamem z New Jersey. Powiedz mi, czy którakolwiek z kobiet na tym obiedzie miała szal na głowie?

– Nie.

– To nie opowiadaj mi, że nie masz tajnej amerykańskiej siatki. Siatki New Jersey.

Absurdalność jego fascynacji Stanem-Ogrodem była tak wielka, że mało nie wybuchnąłem śmiechem. Jednocześnie przerażała mnie myśl, że moje życie spoczywa w rękach kogoś takiego. Pomyślałem o Paoli: „Ona jest specjalistką od najdziwniejszych teorii na temat ludzkich zachowań. Ciekawe, jak by wyjaśniła tę fascynację oprawcy na usługach Republiki Islamskiej Iranu miejscem urodzin Franka Sinatry i Jona Bon Joviego?”.

– Mam dla ciebie wiadomość – zaczął znów Woda Różana, już

spokojniejszym głosem. – Otóż nigdy nie pozwolimy ludziom takim jak ty zmienić naszego kraju, zrobić z niego drugie New Jersey. Szkoda, że twoi amerykańscy szefowie nie mogą mnie teraz słyszeć. W każdym razie to się *nigdy* nie stanie.

Milczałem. Ta niesamowita mieszanka fascynacji Stanem-Ogrodem i ideologicznego zapachu islamskiego wyczerpała moje zmysły.

– Teraz wracaj do celi – polecił Woda Różana, kładąc dłoń na moim ramieniu – i przemyśl to, co ci powiedziałem.

Ojciec i Marjam opowiadali mi, jak płakali w więzieniu nad tym, co się stało z naszym krajem. Nie brałem tego dosłownie, ale gdy tego wieczoru strażnik zamykał za mną drzwi celi, nie mogłem powstrzymać łez. W tej chwili nie tęskniłem za Paolą ani matką. Płakałem nad swoim krajem. Czułem się tak, jakby Iran, mój kraj, został najechany przez armię potworów – ludzi w rodzaju Chameneiego i jego bandy. Przypomniały mi się pierwsze linijki wiersza *Zima* irańskiego poety Mehdiego Achwana Salesa:

Ani myślą odpowiadać na twoje pozdrowienia,

Twarze schowali w kołnierzach.

Nikt nie zamierza podnieść głowy,

By odpowiedzieć na jakieś pytanie albo dostrzec przyjaciela.

Wzrok nie sięga dalej niż do własnych stóp.

Droga jest ciemna i śliska...

Achwan Sales napisał ten wiersz po przewrocie z 1953 roku, gdy szach zdławił wszelkie głosy niezadowolenia. Był to jeden z ulubionych wierszy

Chameneiego i przed rewolucją deklamował go członkom swojej świty. Byłem ciekaw, czy wciąż to robi.

Oddechy są jak obłoki, ludzie zmęczeni i smutni.

Drzewa jak skamieniałe szkielety, ziemia zmartwiała.

Nieboskłon wisi nisko.

Słońce i księżyc świecą mgliście.

Zima.

Czwartego pełnego dnia mojego pobytu w Ewinie pozwolono mi zadzwonić do matki.

– Masz dokładnie jedną minutę – powiedział rano Woda Różana i wręczył mi mój telefon. – Powiedz jej tylko, że czujesz się dobrze, i koniec.

Gdy mama odebrała, ciężko mi było kontrolować głos. Na pewno siedziała przy telefonie przez cały ten czas, czekając na jakąś wiadomość ode mnie. W jej głosie usłyszałem ulgę.

– Mazi *džaan*, jak się czujesz?

Woda Różana pochylił się nade mną, by dosłyszeć, co mówi moja matka. Oparł się nawet na moim ramieniu. Próbowałem nie zdradzać niepewności w głosie.

– W porządku, Moludżun...

Przechodziła przez takie rzeczy już wcześniej i wiedziała dobrze, co powiedzieć w podobnej sytuacji.

– Wzięliśmy dla ciebie adwokata. To jest pan Saleh Nikbakht. Stara się o widzenie z tobą.

Nikbakht był jednym z najodważniejszych prawników w kraju. Słynął ze swojego uporu, wręcz upierdliwości, byle sędziowie wydali wyrok na korzyść jego klientów.

– Chaled rozmawiał z Paolą – powiedziała mama, gdy Woda Różana dawał już znaki, by kończyć. Natychmiast poczułem ulgę. Dręczył mnie niepokój o samopoczucie Paoli i poczułem się raźniej, wiedząc, iż moja narzeczona nie ma już wrażeń, że tak po prostu zniknąłem. Znaczyło to także, że Chaled zrobił, o co go prosiłem. W niedatowanym liście, który do niego wysłałem parę dni przed aresztowaniem, wymieniłem nazwisko Paoli. Jeżeli Chaled się z nią skontaktował, to znaczy, że porozumiał się też z pozostałymi osobami, które tam podałem. Miałem więc nadzieję, że Paola, Chaled i inni narobią hałasu wokół mojej aktualnej sytuacji.

– Paola czuje się dobrze – zapewniła mnie mama. – Tylko martwi się o ciebie...

To były ostatnie słowa matki, zanim Woda Różana odebrał mi telefon i przerwał połączenie.

– Znasz tego adwokata? Tego Nikbakhta? – Woda Różana wydawał się zaniepokojony.

Ale ja myślałem wtedy głównie o Paoli. Czy była z nią jej siostra Barbara? Czy skontaktowała się z redakcją „Newsweeka”?

– Właściwie to nie... – odparłem z roztargnieniem.

Robiło mi się niedobrze od rozmów z Wodą Różaną. Miałem dość jego pytań.

– To mięczak – powiedział Woda Różana, chcąc mnie chyba przekonać, że nadzieje mojej matki są płonne.

Wyjaśnił, że ponieważ wciąż jestem przesłuchiwany, nie dostanę zezwolenia na widzenie z adwokatem. Zmieni się to dopiero po zakończeniu śledztwa.

– Niech mi pan pozwoli coś sobie doradzić, panie Bahari – powiedział, wychodząc z pokoju. – W naszym systemie prawnym to śledczy podejmuje ostateczne decyzje. Lepiej współpracować z nami, niż polegać na kimś z zewnątrz. Na razie jest pan tu, a tutaj jedyną osobą, która zdecyduje o pańskim życiu, jestem ja.

ROZDZIAŁ 9

Gdy wróciłem do celi, znów czekał na mnie posiłek. Ale nie mogłem jeść. Wziąłem tylko kawałek chleba.

Myślałem o rozmowach z Marjam, kiedy dzwoniła do nas z więzienia. Zawsze zazdrościłem siostrze jej poczucia odpowiedzialności i oddania rodzinie. Ona z kolei zawsze chciała się włóczyć po świecie tak jak ja. Mieliśmy takie same gusty, jeśli chodzi o muzykę i filmy. Oboje uwielbialiśmy serial HBO *Sześć stóp pod ziemią*. Wiele razy późnym wieczorem, gdy wszyscy poszli już spać, oglądaliśmy go razem, a potem godzinami gadaliśmy o powikłanych losach bohaterów kolejnych odcinków. Podobnie jak serialowa rodzina Fisherów czuliśmy wciąż obecność ojca w naszym codziennym życiu. My też toczyliśmy z nim boje, a zarazem ceniliśmy wyznawane przez niego wartości. Śnił się nam nawet pod postacią Richarda Jenkinsa, aktora grającego ducha zmarłego ojca rodziny Fisherów.

Ojciec odgrywał jednak większą rolę w życiu Marjam, gdyż oboje doświadczyli długoletniego więzienia. Teraz, gdy obserwowałem kolumnę mrówek wspinających się do talerza z ghajmehem, wspominałem moje długie rozmowy z Marjam i miałem nadzieję, że wywołane z pamięci dyskusje dodadzą mi sił i nadziei.

Przez całe sześć lat pobytu Marjam w więzieniu mogłem ją odwiedzić zaledwie dwa razy, bo rodzeństwu z zasady nie udzielano zgody na widzenie z więźniem. Po raz pierwszy zobaczyłem się z nią dwa lata po jej aresztowaniu, gdy miałem osiemnaście lat. Jednak kiedy wraz z matką i Chaledem dotarłem na miejsce – po siedemnastogodzinnej podróży autobusem – strażnik nie pozwolił mi wejść do środka. „Na widzenie mogą wejść wyłącznie rodzice i dzieci więźniów” – powiedział. Ten strażnik nie był właściwie prawdziwym „klawiszem”, lecz „tawabem”, czyli „skruszonym” więźniem, i dlatego miał w więzieniu szczególne przywileje i obowiązki. W tamtych czasach rodziny więźniów traktowały określenie „tawab” jak obelgę. „Tawabem” nazywano człowieka bez zasad moralnych, gotowego donieść na przyjaciela, byle ocalić własną skórę. Oczywiście zacząłem protestować, ale tawab powtórzył po prostu przepis, zgodnie z którym nie mogłem wejść na widzenie. Klapnąłem więc na krzesło w poczekalni i – choć nie byłem z tego dumny – zacząłem szlochać w dłonie.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne? – zapytał tawab, gdy reszta rodziny weszła już do środka.

– To moja siostra!

Czy musiałem mówić coś więcej?

– Poważna sprawa – powiedział. – Ale i tak nie mogę się zgodzić.

Wezbrał we mnie gniew. Spojrzałem temu człowiekowi prosto w oczy.

– Jak wyjdiesz z pierdła, będę wiedział, co z tobą zrobić. Lepiej uważaj na siebie!

Tawab wyszedł z poczekalni, a po chwili wrócił i powiedział, że chce się ze mną widzieć naczelnik więzienia.

Bąłem się, ale nie miałem wyboru. Wstałem z krzesła i poszedłem za tawabem do gabinetu naczelnika.

– Za kogo ty się masz, że straszysz tego człowieka? – odezwał się szorstko naczelnik, podniósł się zza biurka i stanął naprzeciwko mnie. – Chcesz być tam, gdzie jest twoja siostra? – mówiąc to, zaczął mnie policzkować. Chciałem się cofnąć, ale nie mogłem. Stałem jak słup i brałem po gębie.

To policzkowanie nie było jednak szczególnie mocne. Naczelnik nie chciał mi zrobić krzywdy, a jedynie upokorzyć. „*Begu goh chordam!*” – powtarzał. – „Powiedz: jestem gównojadem”. Byłem jednak zbyt dumny, by to powiedzieć, więc wydukałem *Bebachszid, esztebah kardam*: „Przepraszam, źle zrobiłem”. To mu wystarczyło i przestał mnie bić.

Musiałem wrócić do poczekalni. Jednak niedługo potem zjawił się tam naczelnik i powiedział, że mogę zobaczyć się z Marjam.

– Pięć minut i ani chwili dłużej! – rzucił.

Nie miałem pojęcia, co skłoniło go do zmiany zdania, ale niewiele mnie to obchodziło. Dla tych pięciu minut z Marjam warto było znieść upokorzenie.

Czekała na mnie w pokoju widzeń. Cała była okryta paskudnym szarym czadorem z więziennym logo, ale i tak zauważyłem, jak bardzo schudła. Skóra i kości. Nie mogłem powstrzymać łez, a Marjam objęła mnie, bym się uspokoił. Nie mówiłem jej nic o incydencie z naczelnikiem; w ogóle niewiele sobie powiedzieliśmy. Trudno mi było mówić przez łzy, ale starałem się, jak mogłem, odpowiadać na jej pytania o szkołę i filmy, które ostatnio widziałem. Chciałem tylko jak najdłużej pozostać w jej ramionach. Gdy po pięciu minutach tawab zastukał do drzwi, zdałem sobie sprawę, że właściwie nic ważnego siostrze nie powiedziałem. Pocałowałem ją w policzek i szybko wyszedłem z pokoju widzeń. Gdy znalazłem się na otwartej przestrzeni, nogi i serce miałem jak z ołowiu.

Gdy w 1989 roku Marjam wyszła wreszcie z więzienia, byłem już w Montrealu, gdzie miałem rozpocząć studia uniwersyteckie. Rozmawiając z nią po raz pierwszy przez telefon, myślałem, że mówię z jakimś zombie. W jej głosie słyszałem wyczerpanie i ból. Strasznie chciałem pojechać do domu i się z nią spotkać, ale było to niemożliwe. Opuszczając Iran w 1986 roku, w rzeczywistości uciekałem przed poborem do wojska, więc gdybym wrócił, natychmiast by mnie aresztowano. Natomiast Marjam, jako była więźniarka, nie mogła wyjeżdżać

z Iranu. Zostały nam tylko rozmowy telefoniczne i tak rozmawialiśmy raz w tygodniu przez sześć lat. Gdy dostała wreszcie zgodę na wyjazd z kraju, spotkaliśmy się w Turcji. Nie mogłem opanować wzruszenia, gdy zobaczyłem ją na lotnisku w Istanbulu, jak szła ku mnie z mamą, swoim synem Chaledem i córką Iran. Kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, miałem osiemnaście lat, a teraz – dwadzieścia osiem. Stałem się mężczyzną.

Spędziliśmy ze sobą dziesięć dni, rzadko opuszczając nasz pokój hotelowy. Marjam i ja czekaliśmy na porę, gdy reszta rodziny pójdzie już spać, a my będziemy mogli zostać sami.

Wtedy właśnie powiedziała mi po raz pierwszy, co z nią robili w więzieniu. Ciężko mi było słuchać jej historii. Strażnicy Rewolucji zarządzili, że przez rok ma być trzymana w izolatce. Przez cały ten czas nie rozmawiała z nikim oprócz strażnika, który przynosił jej jedzenie. Czasami zabierano ją do jakiegoś innego pokoju, by ją bić – zwykle kablem po podeszwach stóp. W latach 80. w irańskich więzieniach ginęły tysiące ludzi i Marjam wiele razy myślała, że już po niej.

W 1988 roku, w piątym roku kary, wielu jej więziennych towarzyszy – nawet z mniejszymi wyrokami – zostało wyciągniętych z cel i straconych w ogólnonarodowej masakrze. Pretekstem do tej zbrodni przeciw ludzkości był atak na Iran przeprowadzony przez terrorystyczną organizację MKO, mającą bazę w Iraku. Nastąpił pod koniec wojny iracko-irańskiej, latem 1988 roku. Przywódca MKO, Massud Radżawi, wysłał tysiące swoich ludzi do ataku na wycieńczoną armię Chomeiniego. Radżawi wmówił im, że kiedy wkroczą do Iranu, zostaną powitani jak bohaterowie i w ciągu kilku dni przejmą władzę nad krajem. Jednak Strażnicy Rewolucji i armia irańska odparli ten atak w niecały tydzień, biorąc do niewoli i zabijając setki członków MKO.

Chomeini, podobnie jak Massud Radżawi, uważał, że morderstwo jest najskuteczniejszym narzędziem polityki. Po militarnej porażce w wojnie z Irakiem postanowił dać lekcję wszystkim politycznym dysydentom i zarządził masakrę. W ciągu paru tygodni zabito tysiące ludzi podejrzanych o sprzyjanie MKO. Zbiry Chomeiniego zamordowały też setki zwolenników innych grup, w tym Tudehu.

Nikt dokładnie nie wie, ilu ludzi zginęło w tej barbarzyńskiej rzezi, ale Amnesty International odnotowała co najmniej 4482 nazwiska. Marjam nie miała pojęcia, dlaczego ocalała.

Jej najgorsze chwile w więzieniu przysły niedługo po tej masakrze, gdy prowadziła strajk głodowy w proteście przeciw nadużyciom służby więziennej. Pewnej nocy Marjam została wraz z kilkoma innymi więźniami wyciągnięta z celi i wyprowadzona na podwórze, gdzie ustawiono ich pod murem. Marjam nie wiedziała, co się dzieje, ale bała się zapytać. Strażnicy wręczyli im opaski na oczy i wezwali do wyrażenia skruchy. Zorientowała się, że to procedura egzekucyjna.

– Myślałam, że zaraz zginę, Mazi – mówiła ze łzami w oczach. – Wszystko,

co czułam, to wina. Czułam się winna, że naraziłam na to naszych rodziców i czułam się odpowiedzialna za to, co może przytrafić się Chaledowi. Byłam złą córką i matką.

Strażnicy Rewolucji, którzy prowadzili to więzienie, kazali stanąć więźniom twarzą do ściany. Potem rozległy się strzały. Jednak Marjam nic nie poczuła. Dopiero po paru sekundach zrozumiała, co się stało: to była pozorowana egzekucja, a Strażnicy strzelali ślepymi nabojami. Nie mogła się pogodzić z myślą, że wciąż żyje.

Gdy Marjam opowiadała mi o tej lipnej egzekucji, całe jej ciało drżało. Był wtedy rok 1996, minęło siedem lat od obalenia Muru Berlińskiego i pięć od rozpadu ZSRR. Marjam wiedziała już o zbrodniach sowieckich. Czuła się wykorzystana przez Tudeh i sponiewierana przez reżim Chomeiniego.

– Po co ja wstąpiłam do tego Tudehu? Nienawidzę go – wyznała mi w istanbulskim hotelu. – Nic nie jest warte, by za to umierać, Mazi. Nic nie jest warte tego, przez co przeszłam.

Był listopad 2008 roku, dziewiętnaście lat po wyjściu z więzienia, gdy zadzwoniła do mnie, by powiedzieć, że zdiagnozowano u niej białaczkę. Gdy się rozłączyliśmy, poczułem się zdruzgotany. Wyszedłem z małego studia w Soho, gdzie pracowałem nad filmem dla BBC, i zadzwoniłem do Paoli. Gdy odebrała, ledwie zdołałem wydobyć z siebie parę słów. „Dlaczego, dlaczego...” – powtarzałem, jakby mogła mi dać odpowiedź. Wieczorem poszliśmy do indyjskiej restauracji. Zamówiłem najostrożniejsze danie, mając nadzieję, że wyrwie mnie z odrętwienia.

Przy obiedzie powiedziałem Paoli, że muszę pojechać do Iranu, żeby być z Marjam.

– Rób, co uważasz za najwłaściwsze, Mazi – odparła Paola, trzymając mnie za rękę.

Nazajutrz rano zadzwoniłem do Marjam i powiedziałem jej, że wracam do Iranu. Natychmiast zaprotestowała. Twierdziła, że najgorsze ma już za sobą i że dochodzi do siebie.

Trzy miesiące później byłem w Waszyngtonie i robiłem wywiady z byłymi zakładnikami amerykańskimi w Teheranie, gdy zadzwonił mój telefon. Wyszedłem, by spokojnie porozmawiać. Dzwonił mój przyjaciel: powiedział, że Marjam umarła tego ranka.

Po śmierci siostry moje życie nie było już takie samo. Załamane się, wciąż potrzebowałem ucieczki od wspomnień i emocji. Winiłem całą irańską władzę, która rozdzieliła mnie z siostrą na tak długo. Ale to było łatwe rozwiązanie. Przecież rząd islamski został wyniesiony do władzy przez ludzi – ludzi takich jak Marjam. Doszedłem więc do wniosku, że obwinianie za wszystko rządu nie ma sensu. Postanowiłem pozostać tym, kim chciała mnie widzieć Marjam – dobrym

dziennikarzem.

Mogłem to robić na wolności, ale teraz siedziałem zamknięty w Ewinie. Byłem w takiej samej sytuacji jak kiedyś Marjam przez sześć lat. Wszystko, co mogłem robić, to o niej myśleć. Moja siostra zawsze lubiła rysować. W więzieniu nie miała ołówka ani papieru, więc – jak mi opowiadała – rysowała pejzaże w wyobraźni. „Widziałam niebo, chociaż w mojej celi nie było okna – mówiła. – Patrzyłam na ścianę i próbowałam z nią rozmawiać. Chyba trochę wariowałam, ale to pomagało mi przetrwać w zamknięciu.

Powoli zułem swój chleb, zastanawiając się, co siostra narysowałaby w mojej celi, co by powiedziała tym ścianom.

Jeszcze tego samego dnia Woda Różana wysłał mnie do ewińskiego prokuratora rezydenta, sędziego Mohammadzadeha. Nad krzesłem prokuratora wisiał duży portret uśmiechniętego Chameneiego. Ajatollah wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Strażnik posadził mnie na krześle parę stóp przed sędzią Mohammadzadehem, który rozmawiał właśnie przez telefon stacjonarny, próbując jednocześnie uciszyć dzwoniącą komórkę. Zdaje się, że rozmawiał z kimś ważnym.

– Tak, proszę pana, zrobię, jak pan mówi, oczywiście... – powtarzał sędzia Mohammadzadeh z prędkością karabinu maszynowego. Do pokoju wszedł jakiś człowiek i próbował zwrócić na siebie uwagę sędziego. Mohammadzadeh wsadził sobie słuchawkę między ramię i policzek, wyciągnął ze sterty papierów jakiś dokument, podał go temu człowiekowi i odprawił go gestem dłoni. Przyglądałem się sędziemu uważnie. Miał czterdzieści parę lat i krótką, ale bardzo gęstą brodę, czarną jak skrzydła kruka.

W końcu Mohammadzadeh skończył rozmowę. Odłożył słuchawkę i spojrzał na mnie. Zauważyłem, że miał zezę, widocznego nawet pod grubymi szklami okularów.

– Pan jest... – zaczął z niepewnym uśmiechem.

– Bahari, proszę pana.

Człowiek, którego nie znałem, rzucił zza moich pleców:

– To szpieg!

Sędzia przyjrzał mi się ponownie, tym razem uważniej.

– Ciekawe...

Potem zaczął czytać na głos spis krajów, w których byłem, i listę moich przyjaciół.

– To jest prawdziwy szpieg, panie Mohammadzadeh – powiedział człowiek za mną. – To on napisał te wszystkie świństwa o najwyższym przywódcy i Strażnikach Rewolucji. Sfilmował też atak na placówkę Basidzu.

Mohammadzadeh nie zwracał na niego większej uwagi. Wpatrywał się w kartkę i kręcił głową.

– Proszę, wśród pańskich znajomych nie ma żadnego Ghazanfara!
– Roześmiał się, a stojący za mną mężczyzna też zaczął się śmiać. Ghazanfar to staromodne imię, kojarzone z chłopstwem.

– Powinien dostać karę śmierci – odezwał się facet za mną.

Sędzia Mohammadzadeh wydawał się podzielać tę opinię.

– Tutaj skazujemy na śmierć każdego, kto nie ma wśród przyjaciół ani jednego Ghazanfara – powiedział stanowczo.

Wiedziałem, że chcą mnie wystraszyć, ale czułem się przede wszystkim wkurzony. Jakie to smutne, że tacy ludzie byli u władzy w moim kraju, podczas gdy setki, jeśli nie tysiące wykształconych niewinnych ludzi siedziało za kratkami. To była żenada. Obaj czekali, jak zareaguję na ich żart o Ghazanfarze – ale milczałem.

– No dobrze – powiedział sędzia, nagle spoważniawszy. – Może nie należy się panu od razu kara śmierci... no, ale powinien pan dostać dożywocie.

Spojrzał na mnie badawczo i ciągnął:

– Znam listę krajów, w których pan był, panie Bahari. Siedemdziesiąt sześć krajów! Chyba już dość nacieszył się pan życiem. Myślę, że będzie dla pana bardzo dobrze, jeśli resztę życia spędzi pan tu, w więzieniu. Co pan na to?

Pomyślałem o Marjam, która kiedyś stała przed podobnym sędzią.

– Nie wiem, co powiedzieć, proszę pana...

– No, dobrze. Już się pan dość naodpowiadał. Powinien pan oszczędzać oddech.

Przerzucił inną stertę papierów, a potem spojrzał mi prosto w oczy.

– Ciekawe, jakby oni zareagowali, gdyby ktoś zrobił im coś takiego w Ameryce? – zapytał sędzia Mohammadzadeh, pokazując mi fotografię, którą ktoś zamieścił na moim profilu na Facebooku. Na zdjęciu był jakiś młody człowiek całujący Ahmadineżada. Pewnie jego zwolennik. Widziałem wcześniej tę fotografię, ale nie zwróciłem na nią większej uwagi i nie usunąłem jej z profilu.
– Tym zdjęciem sugerujesz, że nasz ukochany, wybrany przez naród prezydent jest homoseksualistą!

Mało nie spadłem z krzesła.

– Ale to zdjęcie przesłał mi ktoś inny, proszę pana!

– I co z tego?

Był najwyraźniej przekonany, że przez sam fakt trzymania na swojej stronie tego zdjęcia znieważylem Ahmadineżada.

– Nie umieściłem tego zdjęcia. Czy jeśli ktoś podrzuci panu pistolet do domu, to znaczy, że jest pan winien posiadania broni?

Z nieruchomej twarzy Mohammadzadeha wyczytałem, że nie wie, jak działa

Facebook, i nie interesują go moje wyjaśnienia. Odchylił się na swoim krześle.

– Byłeś wielokrotnie w Ameryce... Gdzie się zatrzymywałeś? – zapytał z chytrym uśmieszkiem.

– To zależy, proszę pana.

– Od czego?

– Jeśli byłem tam prywatnie, to czasami mieszkałem u przyjaciół, a jeśli służbowo, to w hotelu.

Przyglądał mi się badawczo znad papierów. Powoli na jego twarz wypełzł uśmiech.

– Czy podczas tych wycieczek do Ameryki miałeś nielegalne kontakty seksualne z kobietami?

To pytanie mnie zaskoczyło i wprawiło w zakłopotanie.

– Co pan ma na myśli?

– Dobrze wiesz. Miałeś czy nie? Robiłeś *te rzeczy*? – Zerknął na mnie, uniósł brew i wykonał gest imitujący obejmowanie kobiecych piersi, a potem jeszcze serię ruchów naśladujących kopulację. – Robiłeś *te rzeczy*?

Nic nie odpowiedziałem. Pokręciłem jedynie głową.

– No, dobra. Tylko nie udawaj. Jestem przekonany, że robiłeś *te rzeczy*.

– I znów wykonał jakieś seksualne gesty. Człowiek za moimi plecami aż się skręcał ze śmiechu, kopiąc przy okazji moje krzesło.

Twarc miałem czerwoną ze wstydu. Wstydziłem się za tego człowieka i za farsę, którą robił z systemu: oto muzułmański sędzia prowadzi sprawę niewinnego człowieka w islamskim kraju, a przy tym wypytuje o jakieś intymne szczegóły z życia prywatnego.

– Jestem człowiekiem żonatym, proszę pana.

Sędzia wydawał się rozczarowany – a nawet zagniewany – moją odpowiedzią. Najwidoczniej chciał sobie poświntuszyć, słuchając sprośnych historyjek, a potem wykorzystać moje wynurzenia do postawienia mi nowych zarzutów. To już nie była hipokryzja, to był sadyzm.

Mohammadzadeh zrobił się znów poważny.

– A co ma do tego małżeństwo? Wygląda pan na człowieka zdolnego do wszystkiego.

– Przykro mi, proszę pana, ale nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze.

– Zrobiłem pauzę, a potem zapytałem: – Czy aresztowano mnie za moją pracę dziennikarską, czy za nielegalne związki z kobietami?

Sędzia nie odpowiedział, ale facet za mną kopnął w moje krzesło z całej siły i krzyknął:

– Spójrz na siebie! Egzekucja to dla ciebie za mało. Tacy jak ty zasługują, by ich smażyć w smole razem z Saddamem Husajnem!

– Już dobrze, wystarczy – powiedział sędzia. – Panie Bahari, to są zarzuty

wobec pana: działanie na szkodę bezpieczeństwa narodowego, podżeganie do nieposłuszeństwa wobec świętego rządu Islamskiej Republiki Iranu, obraza naszego najwyższego przywódcy, branie udziału w nielegalnych demonstracjach. Jeśli pan nie przyjmuje tych zarzutów, proszę to tu napisać.

Mężczyzna za mną podał mi kartkę. Ledwie rzuciłem na nią okiem. Nie mogłem myśleć o niczym innym jak o tej seksualnej farsie. „Jak ty się możesz uważać za muzułmanina, Mohammadzadeh? – myślałem. – Jak ty możesz robić coś takiego?”. Płonąłem gniewem. Byłem załamany położeniem kraju – i przerażony swoim własnym.

– No! – poganiał mnie sędzia. – Dlaczego nie podpisujesz?

– Czytam zarzuty, proszę pana. Niech mi pan da chwilę...

– Co takiego? Dać ci chwilę?! – wrzasnął Mohammadzadeh. – Bóg mi świadkiem, że jeśli nie podpiszesz tego papieru zaraz, to dostaniesz takiego kopa, że matka będzie cię oplakiwać!

Napisałem, że nie zgadzam się z zarzutami. Wstałem i oddałem kartkę.

– Zabrać go stąd – polecił sędzia. – Przekazać go jego właścicielowi.

Za drzwiami czekał już Woda Różana. Miał rzeczywiście minę właściciela. Dumnego właściciela.

– To dopiero początek, panie Bahari – powiedział. Tak naprawdę, to pan Mohammadzadeh jest jednym z najuprzejmiejszych sędziów. Ten, który wyda wyrok w pańskiej sprawie, nie będzie już tak miły. Ma pan coś do powiedzenia?

„Boże, pomóż mi” – powiedziałem. Ale tylko w myślach.

Tej nocy Woda Różana nie był sam w pokoju przesłuchań. Był z nim jakiś człowiek, którego głosu jeszcze nie znałem. Narzekał na mój *tak newisi* – odpowiedzi na pytania, które postawił mi Woda Różana. Gdy się do mnie zbliżył, dostrzegłem przez szparę pod opaską na oczy, że miał wyczyszczone na wysoki połysk czarne buty i niezbyt starannie wyprasowane spodnie.

– Panie Bahari, pańskie odpowiedzi są zbyt ogólne. Mamy nadzieję, że poda nam pan więcej szczegółów – powiedział. Sądząc po tonie głosu, wydawał się lepiej wychowany od Wody Różanej.

– Napisałem, co wiem, proszę pana. Gdybym miał podać więcej szczegółów, musiałbym kłamać.

– No dobra – odezwał się Woda Różana, który do tej pory zachowywał się całkiem spokojnie. – Mamy ciekawe filmy. Myślę, że skłonią pana do bardziej efektywnej współpracy.

Nie miałem pojęcia, o co mu chodziło. W domu skonfiskowano mi sporo filmów, a także dwa twarde dyski z moimi własnymi filmami: jeden był o AIDS w Iranie, a drugi o irańskim seryjnym mordercy, który zamordował szesnaście

prostytutek. Oba filmy były zakazane w Iranie, ale nie było w nich nic, co by mnie kompromitowało.

Przez opaskę na oczach zauważyłem migotanie ekranu laptopa. Potem usłyszałem jakiś głos. To było zeznanie innego więźnia.

– To nie to – powiedział śledczy. – Znajdź plik „Szpieg w kawiarni”.

Przed wyborami w Teheranie rozkwitło życie kawiarniane. Zbierali się tam mężczyźni i kobiety z zielonymi opaskami na rękach, dyskutowali o kampanii i swoich planach na czas, gdy Musawi zostanie już prezydentem. Spędzałem w takich miejscach mnóstwo czasu; przeprowadzałem tam wywiady, by się dowiedzieć, co myślą młodzi ludzie. Może filmowali mnie w czasie tych rozmów? Zaniepokoiłem się. Zaczynałem rozumieć, jak bezwzględni byli to ludzie – jak mocno trzymali się swoich kłamstw, by zbudować swoją wersję rzeczywistości. Bałem się, że przez moją pracę dziennikarską w tym samym więzieniu, za jego nieprzeniknionymi ścianami znalazły się jeszcze inne Bogu ducha winne osoby.

Byłem wciąż pogrążony w tych myślach, gdy usłyszałem głos Jona Stewarta z *The Daily Show* stacji Comedy Central, a potem Jasona Jonesa, korespondenta *The Daily Show*. „Co czyni tych ludzi tak złymi? – mówił Jones. – Nie zarejestrowałem się na Twitterze, więc jedyny sposób, by się o tym przekonać, to zobaczyć to na własne oczy”.

„Nie, nie! NIE! – pomyślałem. – Oni nie mogą być aż tak głupi!”

Wśród setek dziennikarzy z agencji i programów informacyjnych, którzy przyjechali do Iranu, by śledzić przebieg wyborów, znalazła się ekipa satyrycznego programu Jona Stewarta. Spotkałem Jasona, jego producenta Tima Greenbarga i ich tłumacza Mahmuda jakieś trzy tygodnie przed wyborami. Przy paru filiżankach kawy po turecku dyskutowaliśmy o sytuacji w Iranie i Jason zapytał mnie, czy mógłby przeprowadzić ze mną filmowany wywiad w kawiarni. Jason zamierzał odgrywać jakiegoś amerykańskiego przygłupa, a celem było pokazanie zupełnie innego obrazu Iranu niż ten prezentowany zwykle w amerykańskiej telewizji. Zgodziłem się. Na potrzeby tego wywiadu Jason okręcił szyję i pół twarzy „arafatką”, a do tego założył okulary przeciwsłoneczne. Udawał kompletnego ignoranta w sprawach irańskich, usiłującego się przekonać, jak zły jest ten kraj. Przedstawiając mnie, zażartował: „Ma pseudonim Pistacja”.

– Dlaczego ten Amerykanin ubrał się jak szpieg, panie Bahari? – zapytał śledczy.

– Dla zabawy, to taki chwyt komediowy – wyjaśniłem.

– Mów prawdę! – wrzasnął Woda Różana.

Coś niesamowitego. On chyba naprawdę uwierzył w to, co mówił: że jakiś szpieg przyjechał do Iranu i sfilmował mnie na użytek programu, który ukazał się w telewizji. Ze sposobu, w jaki się odzywał, wywnioskowałem, że chciał zrobić wrażenie na tym drugim facecie, który wydawał się jego szefem.

– A co jest takiego zabawnego w przesiadywaniu w kawiarni z arafatką na szyi i ciemnymi okularami na oczach? – zapytał natarczywym tonem.

– To taki głupi żart, nic poważnego. – Zaczynałem się niepokoić. – Mam nadzieję, że nie sugerują panowie, że on jest naprawdę szpiegiem...

– A może nam pan wyjaśnić, po co jakiś amerykański dziennikarz udawał szpiega, by z panem porozmawiać? – zapytał ten drugi człowiek. – Wiemy, że powiedział im pan, z kim powinni porozmawiać na potrzeby swojego programu.

Rzeczywiście, podałem Jasonowi i Timowi parę nazwisk ludzi, którzy moim zdaniem mogli być dla nich interesujący. Inni rozmówcy Jasona – były wiceprezydent i były minister spraw zagranicznych – zostali aresztowani tydzień przede mną.

– No, tak dla śmiechu... – powiedziałem, czując, że robi mi się słabo.

Poprosiłem, by przysłuchali się treści tej rozmowy. Powiedziałem wtedy, że Iran i Ameryka mają wiele wspólnego, na przykład walkę z handlem narkotyków i z al-Kaidą. Pod koniec rozmowy stwierdziłem, że niesławna formuła George'a W. Busha, zaliczająca Irak, Koreę Północną i Iran do „osi zła”, jest równie idiotyczna jak palenie przez Irańczyków amerykańskich flag.

Woda Różana przestawił krzesło i usiadł przede mną.

– Spuść z tonu – powiedział. – Myślisz, że jest coś zabawnego w stwierdzeniu, że Iran i Ameryka mają wiele wspólnego?

Musiałem uważać przy odpowiedzi.

– Wszystko, co powiedziałem, sprowadza się do faktu, że Iran potrzebuje dla swojego bezpieczeństwa Ameryki, tak jak Ameryka potrzebuje Iranu dla bezpieczeństwa swoich wojsk i interesów w regionie. Żyjemy w świecie, gdzie narody nie mogą żyć w izolacji i dobrze przy tym prosperować. A czy my wszyscy nie jesteśmy zainteresowani pomyślnością naszego kraju?

– To dlaczego dbasz o interesy Stanów? – zapytał ten nowy.

– Nie wiesz – dodał Woda Różana – że imam Chomeini nazwał Amerykę Wielkim Szatanem?

Nie pozwolili mi odpowiedzieć.

– Imam zapytał też: „Do czego nam potrzebne kontakty z Ameryką?” – dorzucił szef Wody Różanej.

– Ameryka nie może robić takich przeklętych rzeczy! – powiedział Woda Różana, cytując jedno z ulubionych zdań Ruhollaha Chomeiniego.

Wyglądało to tak, jakby od miesięcy ćwiczyli swoją antyamerykańską szopkę. Chyba sprawiało im to przyjemność.

– A wie pan, czemu powiedział temu szpiegowi o wspólnych interesach Iranu i Ameryki? – zapytał szef Wody Różanej.

Miał już chyba gotową odpowiedź, a ja musiałem się bronić. Pomyślałem o ojcu, który potrafił dogadać się z każdym. „Ci ludzie są słabi, Mazi – usłyszałem

jego głos. – Odwołaj się do ich emocji. Zyskaj ich sympatię”.

– Panowie – zacząłem. – Wielu ludzi ginie w katastrofach lotniczych w Iranie, gdyż Amerykanie nie sprzedają nam części zamiennych do boeingów i w tej sytuacji musimy kupować bezwartościowe rosyjskie rzęchy. Żal mi, gdy pomyślę, ilu naszych rodaków ginie przez to każdego roku. Jesteśmy niezależnym narodem, ale utrzymywanie kontaktów ze Stanami nie oznacza, że musimy być amerykańskimi pacholkami. Wenezuela, Syria, Rosja czy Chiny nie zgadzają się pod wieloma względami z Ameryką, ale utrzymują stosunki dyplomatyczne z USA. Czasem nawet z nimi współpracują. Jestem zwolennikiem równoprawnych stosunków między Iranem i Stanami Zjednoczonymi. Stosunków opartych na wzajemnym szacunku.

– I mamy w to uwierzyć? – zapytał szef.

– Stosunki oparte na wzajemnym szacunku... – przedrzeźniał mnie Woda Różana.

– Panie Bahari, jedyna przyczyna, która sprawia, że szuka pan płaszczyzny porozumienia między Iranem i Ameryką, to chęć znalezienia sposobu na infiltrację naszego kraju przez Amerykanów – oświadczył szef.

– Wykopaliliśmy ich drzwiami, a ty chcesz ich wprowadzić znów oknem – dodał Woda Różana.

– *Ahsant!* Brawo! Dobrze powiedziane – pochwalił szef.

„Brawo za co? – pomyślałem. – Za bycie kretynem o wypranym mózgu?”.

– „Powiedz Ameryce, niech się na nas wścieka i nich się zadławi tą złością” – rzekł w końcu Woda Różana. – Wiesz, kto to powiedział?

– Tak, męczennik Beheshti – odparłem.

Mohammad Beheshti był pierwszym po rewolucji szefem irańskiego wymiaru sprawiedliwości. W 1981 roku antyreżimowi terroryści zabili go, wraz z kilkoma innymi urzędnikami, w zamachu bombowym. Znałem rodzinę Behesztię. Jego syn, Alireza Beheshti, był przez lata doradcą Musawiego. Spotkałem się z nim kilka razy w trakcie kampanii wyborczej. Aresztowano go parę dni przede mną.

– To trochę dziwne, że cytuje pan wypowiedź z najlepszych dni rewolucji – dodałem – aresztowaliście zaś syna człowieka, który to powiedział. – Śmieszność wykorzystania przeciw mnie komediowego filmiku z *The Daily Show* dodała mi odwagi. – Z całym szacunkiem, ale rewolucje muszą, tak samo jak ludzie, kiedyś dorosnąć, panowie – powiedziałem.

Wodę Różaną zatkało. Chwycił mnie za lewe ucho i zaczął je wykręcać, wprost wyżywać, jakby to była cytryna. Poczulem ból w głębi mózgu. Po chwili puścił jednak moje ucho i szepnął mi do niego, oddychając ciężko:

– Nie słyszałeś, co powiedział sędzia? Należysz do mnie. Takie zachowanie ci nie pomoże. Wielu ludzi zgniło w tym więzieniu. Chcesz do nich dołączyć?

– Pan Bahari jest mądry – powiedział szef – i wkrótce zda sobie sprawę, że współpraca z nami leży w jego interesie.

Mężczyzna w wypucowanych butach coś jeszcze do mnie mówił, wychodząc z pokoju, ale już go nie słuchałem. Moje ucho pulsowało bólem.

Kilka minut później, gdy szedłem znów z opaską na oczach z pokoju przesłuchań do mojej celi, uderzyła mnie myśl, że mogę stąd nie wyjść szybko. „Jak to wytrzymam?” – pytałem sam siebie. Jak mawiał mój ojciec, „Możesz być gotów na więzienie, ale jak już tam jesteś, to myślisz tylko o tym, jak tu nie narobić pod siebie”.

Strażnik zamknął za mną stalowe drzwi. Zdjąłem opaskę i oddałem ją przez okienko w drzwiach. Zaczynałem się przyzwyczajać do tutejszej rutyny.

Rutyna. Mój ojciec mawiał, że to jedna z najgorszych rzeczy w więzieniu. Gdy przyłożyłem dłoń do obolałego ucha, wydało mi się, że to mama ściska mi je delikatnie. Miałem znów osiem czy dziewięć lat, a ona łagodnie mnie karmiła. Wróciłem właśnie z domu mojego przyjaciela Rezy, gdzie znów narobiłem sobie kłopotów. Prawdę mówiąc, ile razy odwiedzałem domy moich przyjaciół, czułem się jakiś inny – i uważałem się za szczęściarza. W ich domach nie było takich ciekawych rozmów przy stole jak u nas. Nie używano dosadnych określeń, nikt nie wspominał odsiadki w więzieniu, nie można było spotkać słynnych muzyków ani poetów. W tamtych domach ojcowie mówili grzecznie o swojej pracy albo szkole, a jeśli już szukali z nami wspólnego języka, to także o piłce albo filmach.

Tamtego dnia podczas posiłku ojciec Rezy opowiadał mi i jeszcze paru innym chłopcom o niedawnej wycieczce do zoo. Naśladował przy tym odgłosy różnych zwierząt. Traktował nas jak dzieciaki. Nawet jeśli wciąż byłem dzieckiem, to nie przepadałem za takim traktowaniem. W naszym domu dzieci przysłuchiwały się rozmowom dorosłych. Nigdy nie uważałem, że jestem „za mały” na śledzenie dyskusji o polityce, biznesie albo więzieniu. Historyjki ojca Rezy po prostu mnie nudziły. „A czy to prawda, że zwierzęta parzą się na wiosnę? – przerwałem mu – Widział pan to może?”. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Upuścił łyżkę na talerz. „Co takiego? Coś mi się wydaje, że mamy wśród nas niegrzecznego chłopca” – powiedział, kręcąc głową i patrząc na mnie. Moi przyjaciele zaczęli się śmiać. Przywykli do moich wyskoków w szkole, gdzie za karę nauczyciel posyłał mnie nie raz i nie dwa do kąta za karę. Ojciec Rezy odprowadził mnie do domu, a gdy już tam doszliśmy, poprosił moją mamę. Musiałem zaraz pójść do siebie.

Po paru minutach mama przysłała do mojego pokoju, gdzie czytałem książkę. „Gdzieś ty się tego nauczył?” – spytała. Powiedziałem, że tata sam kazał kiedyś jednemu człowiekowi, żeby się „pierdolił”, a ja spytałem Marjam, co to znaczy. Wyjaśniła mi, że chodzi o współzycie osobników męskich i żeńskich, czyli

parzenie się. Spojrzała na mnie w osłupieniu, ale nie całkiem krytycznie. „Owszem, ale nie powinieneś powtarzać tego, co słyszysz w domu. Nasz dom trochę się różni od innych. Niektórzy rodzice twoich kolegów nie będą zachwyceni, jeśli zaczniesz powtarzać u nich wszystko, co usłyszałeś u nas. – Potem złapała mnie lekko za ucho. – Zrozumiano?”

Wśród irańskich rodziców nie jest niczym niezwykłym nakłanianie dzieci, by nie mówiły prawdy obcym, zwłaszcza w takich rozpolitykowanych rodzinach jak nasza. Od małego uczyłem się prowadzić podwójne życie. Było życie domowe, gdzie słyszałem wciąż o zdegenerowanym systemie rządów w państwie, i to drugie życie, publiczne, gdzie musiałem stosować się do społecznych oczekiwań. Siedząc w celi, zdałem sobie sprawę, że to wychowanie przygotowało mnie przecież do moich obecnych doświadczeń. Od chwili, gdy po raz pierwszy poczułem Wodę Różaną, wiedziałem już, że muszę schować do kieszeni moje autentyczne „ja” i uczucia, jakie żywiłem do niego i reżimu, którego był reprezentantem. Teraz będę musiał udawać, że aresztowanie mnie zmieniło i stanę się zwolennikiem reżimu, hipokrytą – jak większość jego zwolenników. Będę musiał się nagiąć do tej paranoicznej idei, że cały świat sprzysiągł się przeciw Islamskiej Republice Iranu. Przekonywanie ich, że wcale tak nie jest, nie ma sensu. Zgadanie się z tym, co mówi Woda Różana, i sprawianie wrażenia, że swoimi przesłuchaniami coś osiągnął, to moja jedyna szansa na wydostanie się z tego szamba i bycie z Paolą w Londynie, gdy przyjdzie na świat nasze dziecko. Trudność tego planu sprowadzała się do zachowania godności i niepodawania nazwisk. Nie mogąc zasnąć, zastanawiałem się, czy to w ogóle możliwe.

ROZDZIAŁ 10

W środku dziewiątej nocy Niebieskooki Sejjed otworzył drzwi mojej celi.

– Wstawaj. Czas do specjalisty!

Poprzedniej nocy słabo spałem, a kiedy założyłem teraz opaskę na oczy, poczułem się zmęczony i ociężały. Woda Różana czekał na mnie przy innych drzwiach niż zwykle. Nie przywitał się ani słowem. Chwycił mnie tylko za ramię i poprowadził jakąś ścieżką, zadrzewioną z obu stron. Ewin leży u podnóża gór, więc noce są tu chłodne nawet latem. A tej nocy było wyjątkowo zimno. To zimne powietrze sprawiało mi jednak przyjemność – mogłem się dzięki niemu całkiem obudzić i rozjaśnić umysł. Słyszałem ciężki oddech Wody Różanej. Zaniepokoiło mnie, że robimy coś wykraczającego poza codzienną rutynę. Pomyślałem, że powinienem nawiązać z nim rozmowę.

– Przykro mi, że z mojego powodu nie mógł się pan porządnie wyspać – powiedziałem z uśmiechem.

Oczekiwałem jakiejś sarkastycznej odpowiedzi, ale jego głos zabrzmiał poważnie:

– Zabawa się skończyła – popychał mnie coraz mocniej – islamska uprzejmość też. – Czuję na karku jego oddech. – Ty mały szpiegu, pokażemy ci, co możemy z tobą zrobić. Zobaczysz, do czego jesteśmy zdolni.

Wepchnął mnie do jakiegoś pomieszczenia, gdzie ludzie mówili ściszymi głosami. Poczulem mocną woń potu, brudnych skarpetek i wody różanej.

Woda Różana posadził mnie przy jakimś stole i zepchnął mi głowę blisko blatu.

– Tak masz trzymać głowę – polecił.

Chwilę potem pomieszczenie wypełniła kakofonia powitań:

– *Salaam, Hadż Agha!*

W zasadzie Hadż Agha to grzecznościowy tytuł przysługujący ludziom, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki, ale wśród irańskich urzędników oznacza po prostu przełożonego, zwierzchnika.

– *Salaam*, panie Bahari. Czy pan wie, dlaczego tu jest? – odezwał się ów Hadż Agha głosem urzędnika wyższego szczebla.

– Nie, proszę pana – powiedziałem. – Nie jestem nawet pewien, za co mnie aresztowano.

– No, ale my wiemy dobrze, dlaczego się pan tu znalazł – stwierdził Hadż Agha.

– Ale... – zacząłem, podnosząc głowę, by wyraźniej mówić, lecz Woda

Różana przygiął mi ją natychmiast z powrotem do stołu.

– Trzymaj głowę pochyloną!

– W każdym razie musi pan mieć cały czas opaskę na oczach, panie Bahari – uzupełnił Hadż Agha. – Niech pan nawet nie otwiera oczu.

Pomyślałem, że bardzo mu zależy, bym go nie rozpoznał.

– Jest tu jeszcze ten samochód? – zapytał kogoś Hadż Agha, po czym znów zwrócił się do mnie:

– Panie Bahari, jest pan podejrzany o szpiegostwo. Utrzymywał pan kontakty z pewną liczbą znanych szpiegów. – Wymienił nazwiska kilku moich przyjaciół, głównie artystów i intelektualistów przebywających na wygnaniu. – Samochód zabierze pana do wydziału walki ze szpiegostwem. Tam będzie pan przesłuchiwany bardziej... jak by to powiedzieć... agresywnie. Niekiedy do piętnastu godzin dziennie. Bawiliśmy się z panem już za długo. Czas, żeby zaczął pan naprawdę mówić. – Czuję, że zbliża się do mnie. – Nasi agenci są przygotowani do zastosowania wobec pana każdej niezbędnej taktyki. Przesłuchania mogą potrwać od czterech do sześciu lat. – Zrobił pauzę. – Oczywiście jeśli zostanie pan uznany za niewinnego, zwolnimy pana i przeprosimy. Ale jeśli okaże się pan winny, może pan zostać skazany na karę śmierci.

Z każdym jego słowem moje serce coraz bardziej truchlało. To był koniec moich fantastycznych pomysłów.

To więzienie, ci ludzie, te przesłuchania – tak miało wyglądać moje życie w dającej się przewidzieć przyszłości. Starłem się uspokoić, ale czułem, że ziemia zapada się pode mną. Czarna aksamitna opaska na moich oczach zrobiła się wilgotna – sam nie wiedziałem, czy od potu, czy od łez.

– Napije się pan herbaty? – zapytał Hadż Agha.

Herbata?

– Tak, poproszę. Dziękuję panu.

Ledwie mogłem z siebie wydusić te słowa. Dopadły mnie myśli o matce i Paoli, o naszym nienarodzonym dziecku. Jak mogłem postawić ich w takiej sytuacji? W tyle głowy poczułem zbliżający się atak migreny.

– Chyba że... – odezwał się Hadż Agha.

– Chyba że co?

– Chyba że pójdzie pan na układ, panie Bahari.

– Układ? – Poczuję znów uderzenie krwi do głowy. Oczywiście. Wiedziałem dokładnie, o jaki układ mu chodziło. Pomyślałem o wszystkich moich przyjaciółach, zmuszonych do telewizyjnych „spowiedzi”. Ostatecznie wszystkich wypuszczono, ale tylko ich spełnione marzenie o byciu z rodziną było dla mnie jakąś pociechą, gdy widziałem te ich zmęczone, matowe twarze, odczytujące przygotowane wcześniej wyznania.

– Tak, układ – powiedział Hadż Agha. W jego głosie dosłyszałem cień uśmiechu. – My jednak wierzymy w islamską dobroduszość. Słyszeliśmy, że pani Paola jest w ciąży. Czy to prawda?

Słyszając, jak z ust tego człowieka pada imię Paoli, miałem ochotę rzucić się na niego i udusić. Ale zacisnąłem zęby i powiedziałem:

– Tak, proszę pana.

– A który to miesiąc?

– Piąty.

Mówił dalej, sławiąc dobroduszość islamskiego systemu. Zaznaczył, że najwyższy przywódca traktuje nas wszystkich, nawet tych błędzących, jak swoje dzieci. Ale nie słuchałem go dokładnie, bo myślałem o Paoli i moim ojcu. Słyszałem głos Paoli: „Wracaj do domu, Mazi. Potrzebujemy cię”. Właśnie tam, w domu, chciałem spędzić resztę życia z Paolą i naszym dzieckiem, z dala od tych obłudnych skurwieli i ich „islamskiej dobroduszości”.

Próbowałem być obiektywnym dziennikarzem. Owszem, byłem zwolennikiem demokracji i swobód obywatelskich, ale zawsze starałem się też uwzględniać punkt widzenia władz – do tego stopnia, że niektórzy nazywali mnie agentem irańskiego rządu. Chciałem tylko, by zostawiono mnie w spokoju, żebym mógł się skupić na swojej pracy. A tymczasem Strażnicy Rewolucji wsadzili mnie do więzienia. Ku mojemu własnemu przerażeniu straciłem złudzenia co do własnego kraju. „Zasłużyliśmy na to – myślałem. – Na ten reżim, na tę dyktaturę ciemniaków. Na całe zło w tym kraju zapracował sobie ten naród”.

W tej chwili rozpaczy chciałem, by tych skurwysynów powieszono na ich pieprzonych turbanach, by ludzie odważyli się wreszcie podnieść broń przeciw tym bydlakom. Chciałem raz na zawsze opuścić Iran. Czułem się zdradzony przez ten kraj, przez mój naród. Zależało mi wyłącznie na powrocie do Paoli.

Przestraszyłem się własnych myśli. Poczulem do siebie odrazę. Jak mogłem w ten sposób myśleć o Iranie? Zacisnąłem oczy. Zobaczyłem ojca siedzącego po drugiej stronie stołu i kręcącego głową z dezaprobatą. „Proszę, Baba Akbar – błagałem w myślach. – Pozwól mi być z rodziną”. Spojrzałem ojcu prosto w oczy i powiedziałem mu w myślach: „Nie podam żadnych nazwisk. Nikogo nie wsypię”.

Potem odzyskałem panowanie nad sobą i zwróciłem się do Hadż Aghi:

– Z całym szacunkiem, ale wolałbym nie rozmawiać o mojej rodzinie. Chciałbym raczej wiedzieć, jaki układ ma pan na myśli.

– Rozumiem pańskie odczucia, panie Bahari – powiedział Hadż Agha niebywale melodramatycznym tonem. – Nie chcemy pańskiej krzywdy. Nie chcemy też, by pańska żona samotnie wychowywała dziecko. Nie chcę, by pańskie dziecko dorastało jako sierota... To chłopiec czy dziewczynka?

Zmusiłem się do najbardziej dyplomatycznej odpowiedzi, na jaką było mnie stać, trzymając się zarazem jak najdalej od sfery, która – o czym obaj wiedzieliśmy

– była moją najczulszą stroną: mojej rodziny.

– Nie znamy jeszcze płci dziecka. Zamierzaliśmy się o tym przekonać w tym tygodniu, ale zamiast tego mam zaszczyt rozmawiać z panem.

– Ma pan też matkę, która w ostatnich czterech latach straciła dwoje dzieci i męża – ciągnął.

Za każdym razem, gdy wspominał o Paoli, mojej matce, siostrze albo bracie, czułem się tak, jakby wbijał we mnie nóż.

– No a ten układ, proszę pana? Mógłby mi go pan przybliżyć?

– Panie Bahari... jest pan znanym dziennikarzem i filmowcem. W zeszłym miesiącu oglądałem pana w telewizji. Opowiadał pan o sztuce kręcenia filmów dokumentalnych... – Mówił o moim wywiadzie dla irańskiej telewizji państwowej z maja 2009 roku. – Otóż młodzi ludzie są już zmęczeni starymi twarzami. Chcą posłuchać kogoś takiego jak pan... Zgodzi się pan ze mną?

– Bardzo pan łaskaw – powiedziałem – ale co dokładnie mam powiedzieć?

– Ach, nic specjalnego. Chcemy tylko, żeby pan opowiedział o swoich doświadczeniach z pracy w zachodnich mediach i o ich roli w tej „aksamitnej rewolucji” – wyjaśnił.

Termin „aksamitna rewolucja” odnosił się oryginalnie do pokojowego przewrotu, który obalił komunistyczną dyktaturę w Czechosłowacji. Potem stosowano go także w odniesieniu do rewolucji na Ukrainie i w Gruzji. Chamenei oskarżył irańskich reformistów, że są „aksamitnymi rewolucjonistami”, co jego zdaniem oznaczało, że są też pachółkami Zachodu.

– Ależ ja nic nie wiem na ten temat, proszę pana! – rzuciłem z rozpaczą.

Byłem zdesperowany, by mimo wszystko pójść na inny układ. Myśl o potępieniu mojej pracy i moich kolegów była dla mnie odrażająca.

– Nic nie szkodzi, panie Bahari – pocieszył mnie Hadż Agha. – Popracujemy nad tym razem.

Zaczął mi dawać wykład o roli, jaką Zachód odegrał w wybuchu i rozwoju demonstracji po wyborach. Media – mówił – były tu zasadniczym czynnikiem stanowiącym ważną część maszyny kapitalizmu. Moim zadaniem było pokazać, jak doszło do próby tej irańskiej „aksamitnej rewolucji” – sprokurowanej przez cudzoziemców i skorumpowane elity irańskie, korzystające z pomocy zachodnich mediów – i jak tylko dzięki mądrości i stanowczości naszego najwyższego przywódcy udało się pokrzyżować te podłe plany.

– Zgadza się pan ze mną, panie Bahari?

Starłem się ze wszystkich sił słuchać go uważnie, wiedząc, że mam legitymizować rząd, którym się brzydziłem – ale rozpraszały mnie myśli o Paoli. Co ona robi w tej chwili? Jak znosi ciężę? Czy ona i Chaled są w stałym kontakcie?

– Oczywiście – odparłem machinalnie.

– No to świetnie. Zatem jutro może pan powtórzyć te informacje przed

kamerami telewizyjnymi – powiedział Hadż Agha.

Naszą rozmowę przerwało wezwanie do modłów porannych, dobiegające z dziedzińca. Musiało zatem być koło piątej. Usłyszałem, jak inni ludzie w pomieszczeniu wstają i zbierają swoje rzeczy przed modlitwą.

Hadż Agha chciał jeszcze dopiąć sprawę.

– Bardzo dobrze, panie Bahari. Mam tu kilka stron notatek dla pana. Może pan poćwiczyć w celi – wcisnął mi w dłonie plik kartek. – Sugeruję, by przeczytał pan to uważnie, tak aby mógł pan to powtórzyć jak najnaturalniej. – Chwycił moją dłoń i przetrzymał ją przez chwilę. – Jutro ostrzyżemy pana i ogolimy.

Na pożegnanie zrobił jeszcze jedną uwagę:

– Jeśli nie będzie to wyglądało naturalnie, nie nadamy tego. A wydział do walki ze szpiegostwem jest zawsze gotów na przyjęcie pana. – Puścił moją rękę. – Dobrej nocy, panie Bahari.

Dżafaa. To perskie, bardzo poetyczne słowo oznacza wszelkie zło, jakie wyrządzasz tym, którzy cię kochają. Według Hadż Aghi winien byłem *dżafy* wobec Chameneiego. Teraz miałem okazać skruchę. Ale mnie nie obchodziło przebaczenie ze strony ajatollaha. Myśląc o tym, co musiałem zrobić, miałem w głowie kogoś zupełnie innego: tych wszystkich, których kochałem.

Zaszyłem się w kącie mojej celi i skuliłem w pozycji embrionalnej. Krzyczałem w knebel z koca, by nikt mnie nie usłyszał. Mój ojciec i siostra nie byli jakimiś wybitnymi działaczami Tudehu i nie pracowali w mediach. Nigdy nie byli zmuszani do publicznej „spowiedzi”. Przetrwali lata więzienia – ciężkie i bolesne – ale nie stracili przy tym twarzy. Potrzebowałem ich pomocy.

Zwróciłem się w myślach do siostry: „Marjam *dżun*, jesteś duchem, dlaczego do mnie nie przyjdiesz i mi nie pomożesz?” – płakałem. Drżałem z bólu i wściekłości. Byłem tchórzem. Byłem słaby. Miałem się pokajać.

„Po prostu nie podawaj nazwisk, Mazi *dżaan* – usłyszałem głos ojca. – Nikt nie uwierzy w te *koseh she’r* – te pierdzieluchy – które wyrecytujesz”. Uśmiechnąłem się. Brakowało mi ojca i jego dosadnych powiedzonek. „Każdy będzie wiedział, że te skurwysyny zrobiłyby wszystko, żeby cię zmusić do tej głodnej gadki – mówił ojciec. – Powiedz po prostu, co ci każą, i zmywaj się stąd jak najszybciej”.

Wstałem i zacząłem chodzić po celi. Byłem już bardzo zmęczony. Sześć kroków do przodu, sześć w tył. „Muszę się wyspać” – powiedziałem sobie. Nie mogę im na to pozwolić – nie zrobią ze mnie zombie.

Położyłem się więc i zamknąłem oczy. Przeniosłem się na zielonym dywaniku z mojej celi do naszej sypialni w Londynie. Tam położyłem go na łóżku, które dzieliłem z Paolą. Kiedy otworzyłem oczy, była w salonie i pakowała

prezenty bożonarodzeniowe. Wszedłem jak najciszej do salonu i stałem tam dłuższą chwilę, patrząc na Paolę. Jej długie włosy były luźno związane.

Przestraszyła się, gdy mnie nagle zauważyła.

– Ojej! Mazi! Wystraszyłeś mnie. Co ty wyrabiasz?

– Przytrafiła mi się ogromnie dziwna rzecz – powiedziałem.

Przestała pakować prezenty i spojrzała na mnie z troską.

– Co takiego? Coś złego?

– Zauważyłem, że mam jakiś wielki guz na ramieniu.

– O czym ty mówisz! Nic tam nie masz.

– Nieprawda – odparłem. – Naprawdę coś tam mam i potrzebuję twojej pomocy.

– O co ci chodzi? Skąd to się wzięło?

– Nie jestem pewien – powiedziałem. – Ale podejdź tu i sama zobacz.

Położyłem dłonie na jej talii i wystawiłem prawe ramię tak, by zobaczyła tę gułę pod moim swetrem.

– Co to jest? – spytała.

– Nie wiem, ale wyciągnij to.

Uśmiechnęła się z rozbawieniem i ciekawością. Sięgnęła pod mój sweter i wyciągnęła stamtąd pudełeczko od jubilera, w którym był zaręczynowy pierścionek. Gdy spojrzała na mnie ponownie, miała łzy w oczach. Wkrótce oboje padliśmy na zielony dywanik. Leżeliśmy długo, obejmując się z całych sił, aż w końcu zasnęliśmy.

ROZDZIAŁ 11

Zacząłem uważać śniadanie za najlepszą porę dnia. Każdy łyk herbaty był jak ucieczka i robiłem, co tylko mogłem, by pić ją jak najdłużej, nie pozwalając przy tym, by zanadto wystygła. Musiałem więc zachować niezmiernie delikatną równowagę. Tego ranka, siorbiąc herbatę, czekałem, co dostanę do cienkiego chleba *lawasz*, który podawano mi w plastikowej torebce: dżem czy ser. Strażnik wsunął torebkę przez dolne okienko w drzwiach. Dzisiaj był ser.

Sięgnąłem znów po odręczne notatki Hadż Aghi. Najwidoczniej miał wiele do powiedzenia o „aksamitnych rewolucjach”. Jądrym jego argumentacji było przekonanie, że rewolucje tego rodzaju nie mogłyby dojść do skutku bez pomocy rządów zachodnich – a zwłaszcza USA – oraz wsparcia bogatych syjonistów. Hadż Agha nie rozumiał – jak się wydawało – że porównując zielony ruch irański do rewolucji w Europie Wschodniej, przyznawał w istocie, że w Iranie panuje dyktatura podobna do dawnych totalitarnych reżimów komunistycznych. Choć prawdą było, że CIA i MI6 angażowały się w zmiany kilku reżimów w czasach Zimnej Wojny i robiły, co mogły, by pomóc dysydentom w Iranie, to obciążanie zagranicznych agencji wywiadowczych o wywołanie niezadowolenia milionów Irańczyków z ich rządu stanowiło absurd. Demonstracje, których byłem świadkiem, wyrosły z powszechnych nastrojów społecznych, a nie z zagranicznej inspiracji. Każdy, kto po wyborach znalazł się na ulicach Teheranu, wiedział, jak spontaniczne, a nawet chaotyczne i pozbawione przywództwa były te protesty. Chamenei twierdził, że wszystko ukartowali obcokrajowcy. Razem ze swoimi ministrami chciał utrzymać fikcję, że naród wybrał na drugą kadencję Ahmadineżada. Od tego zależała legalność ich władzy.

Hadż Agha był święcie przekonany, że zachodnie media stanowiły główny motor napędowy protestów, a ruch reformatorski zarówno przed, jak i po wyborach został sfabrykowany przez Zachód. Według Hadż Aghi w ruchu zielonych dominowała zwesternizowana wielkowiejska klasa średnia, próbująca wprowadzić do Iranu dekadencję i moralne zepsucie. Nic by jednak nie zdziałali bez wsparcia Zachodu, a przede wszystkim Ameryki. Wszystko, co miał do powiedzenia, trąciło dobrze znanymi fobiami tego reżimu. Chamenei lubił ostrzegać Irańczyków przed „kulturowym NATO”, równie groźnym jak to wojskowe. Była to jego zdaniem sieć dziennikarzy, działaczy, naukowców i prawników, którzy od środka próbowali rozsadzić Islamską Republikę Iranu.

Chociaż wiedziałem, że moje wystąpienie ma wesprzeć ten pożałowania godny reżim, powiedziałem sobie, że mogę mówić o „aksamitnych rewolucjach”

ogólnie, bez szargania czyjegokolwiek imienia. Kiedy zabrali mnie na *hawa chori*, godzinny pobyt na spacerniaku otoczonym wysokimi murami, pomyślałem, że mógłbym nawet dodatkowo ubarwić i wyjaskrawić pomysły Hadż Aghi, by zabrzmiały jeszcze bardziej odjazdowo. Dzięki temu ludzie oglądający moją „spowiedź” od razu zorientowaliby się, że mówię pod przymusem.

Po spacerze wezwano mnie do wspólnej łazienki „gościnnej” na strzyżenie i golenie. Człowiek, który mnie strzygł, miał okrągłą twarz, grube okulary i krótką brodę. Ubrany był w taki sam więzienny kombinezon jak ja.

– Za co pana tu zamknęli? – zapytał.

– Aresztowali mnie po demonstracjach – odpowiedziałem.

Powiedział, że słyszał o demonstracjach w państwowej telewizji, którą oglądał w więziennej świetlicy. Państwowa telewizja mówiła, że demonstranci to terroryści i że aresztowano tylko tych, którzy byli winni czyjejś śmierci albo dużych zniszczeń. Ten golibroda wydawał się wierzyć w każde słowo państwowej telewizji.

– Ale pan jakoś nie wygląda na mordercę – powiedział. – A może rzucił pan w policję koktajlami Mołotowa?

– Jestem dziennikarzem – wyjaśniłem. – Nikogo nie atakowałem. A pana za co wsadzili?

– Pięć kilo heroiny – odpowiedział nonszalancko.

Większość irańskich więźniów to przemytnicy narkotyków. Wiedziałem, że za posiadanie więcej niż kilograma narkotyków grozi kara śmierci.

– Pięć kilo hery i pan jeszcze żyje? – zdziwiłem się.

– Ano jakoś tak wyszło... – powiedział, przycinając mi baczki. – Było nas dziesięciu. Podzielili wyrok na nas wszystkich, więc nikt nie dostał „czapy”.

Obudził się we mnie dziennikarz:

– Dlaczego pan szmuglował dragi? Nie mógł pan sobie znaleźć innej roboty?

– A niby jak? – zapytał, strzepując włosy ze swojego fartucha. – Nie mam żadnego wykształcenia, nie mam bogatych rodziców i nie mam znajomości. Myślałem, że jak się trochę dorobię na heroinie, to kupię sobie samochód i zacznę pracować jako taksówkarz.

Jasne jak słońce.

Na pożegnanie zadałem mu jeszcze jedno pytanie:

– Na kogo by pan głosował, gdyby pan nie siedział?

– Na Ahmadineżada – odrzekł. – Byli jeszcze jacyś inni kandydaci?

Po strzyżeniu przyszła kolej na przymiarkę stroju, w którym miałem wygłosić swoją „spowiedź”. Wzięli mnie do tego samego pokoju, gdzie pierwszego dnia zrobili mi zdjęcie. Strażnik Brażowe Sandały przyniósł mi z dziesięć koszul i powiedział, żebym sobie jedną wybrał. Większość śmierdziała potem i tylko niektóre z grubsza na mnie pasowały. Wybrałem niebieską koszulę z krótkim

rękawem.

Był przy mnie Woda Różana.

– Załóż opaskę na oczy i poczekaj przy drzwiach – polecił mi.

Parę minut później poprowadzono mnie ciągiem korytarzy, na których co jakiś czas były punkty kontrolne. Nauczyłem się już rozpoznawać niektóre pomieszczenia po podłogach. W końcu trafiłem do pokoju, w którym wcześniej byłem przesłuchiwany. Hadż Agha już tam na mnie czekał. Wziął moją rękę i uściskał ją.

– Wie pan, panie Bahari, naprawdę się cieszę z naszego ostatniego spotkania – powiedział.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłem obłudnie.

– W mojej pracy spotykam się z wieloma ludźmi, którzy z trudem pojmują pewne idee. Pan zaś zdaje się posiadać odpowiednie predyspozycje intelektualne, by szybko ogarnąć te skomplikowane koncepcje.

– No cóż, dziękuję panu. Ta nasza poprzednia rozmowa otworzyła mi oczy na wiele spraw.

Wiedziałem, że muszę zachować delikatną równowagę między schlebianiem Hadż Adze i trzymaniem go na dystans. Ale on był tak zadufany w sobie, że nie łapał fałszu w moich słowach.

– Niech więc pan odpowiada tak jasno i elokwentnie, jak pan tylko potrafi – powiedział Hadż Agha. I dodał: – Oczywiście własnymi słowami.

– Oczywiście, proszę pana – zgodziłem się. – Czy mógłbym jednak zatrzymać przy sobie te notatki...? Tak na wszelki wypadek, gdybym czegoś zapomniał albo chciał przywołać jakieś dane.

Rzeczywiście chciałem mieć te kartki na kolanach, by widzowie od razu się domyślili, że „moje” odpowiedzi nie są wcale moje.

– No tak, rozumiem, że trudno jest zapamiętać te wszystkie informacje, nawet komuś tak inteligentnemu jak pan – powiedział. – Dla jak największej oglądalności udzieli pan kilku wywiadów, jeden po drugim. Żeby panu ułatwić zadanie, pogrupowaliśmy te informacje w serie tematów, które przekazaliśmy wcześniej pana rozmówcom.

Zrozumiałem, że ten człowiek odpowiada za wszystko: za wydział do walki ze szpiegostwem, za państwową telewizję i za moje życie.

– Mamy nadzieję, że to pozwoli utrzymać naturalny tok tych wywiadów.

Hadż Agha życzył mi powodzenia.

– Jestem naprawdę szczęśliwy, że pan się zdecydował, panie Bahari. Nie sądzę bowiem, by przesłuchania w wydziale do walki ze szpiegostwem były szczególnie przyjemne.

Woda Różana kazał mi wstać i poprowadził do sąsiedniego pokoju. Nie wszedł jednak do środka, tylko kazał mi zdjąć opaskę. W pokoju było jedynie

łóżko, a na ścianie umywalka. Domyśliłem się, że śledczy ucinają tu sobie drzemkę.

– Tylko nie zapomnij podać jasnych przykładów szpiegów udających reporterów albo polityków, Maziar. – Pierwszy raz zwrócił się do mnie po imieniu. – Hadż Agha pokłada w tobie duże nadzieje. Jak się dobrze spiszesz, za parę dni będziesz wolny. Potrzebujemy nazwisk.

„Jak się dobrze spiszesz, za parę dni będziesz wolny”. Tylko te słowa miałem w głowie, gdy czytałem raz jeszcze rękopis Hadż Aghi. Za drzwiami instalowała się ekipa telewizyjna. Słyszałem znajome odgłosy ustawiania trójnogów, włączania świateł, ładowania taśmy do kamery. Technicy rozmawiali o wielkości ujęć, robili próby dźwięku i tak dalej. „Zwykle to ja byłem jednym z ekipy” – pomyślałem. Brakowało mi mojego sprzętu. Jeden z kamerzystów narzekał, że jego żona mało robi w domu.

– Cały dzień pracuje, a jak wraca do domu, to tylko ogląda telewizję – mówił. – Nawet nie uprasuje mi koszuli. A gotować dzieciom też muszę sam.

– A w jakim są wieku? – zapytał ktoś.

– Córka ma dwanaście lat, a syn dziesięć. A wiesz, podczas tych demonstracji musiałem cały czas dźwigać kamerę na ramieniu. Ten mój kręgosłup mnie wykończy, ale mojej żony to nie interesuje.

– To że mnie jest prawdziwy szczęściarz – odezwał się ktoś inny. – Podczas demonstracji pracowałem w studio. Mam cztery córki. Jedna z nich gotuje, druga pierze, trzecia sprząta, a czwarta prasuje mi koszule!

– Szczęściarz! – potwierdził ktoś jeszcze inny. Wszyscy się roześmiali i zaczęli w najlepsze opowiadać swoje rodzinne historie, gdy ja próbowałem czytać rękopis Hadż Aghi.

Nagle ekipa ucichła, jak to bywa, gdy pojawia się ktoś obcy. Intruzem okazał się Woda Różana.

– Wychodzi na to, że jestem szczęściarzem, nie mając dzieci – powiedział z wyraźnym smutkiem w głosie. – Nie mam żadnych historyjek do opowiedzenia...

– Niech pan tak nie mówi – odezwał się któryś z techników. – Dzieci to najlepsza rzecz, jaka się może trafić człowiekowi.

– Dzieci to dary Boże – powiedział ojciec czterech córek.

Nagle drzwi się otworzyły. Wiedziałem, że mam trzymać głowę schyloną.

– Załóż to – powiedział ktoś i na dywanie przede mną wylądowała opaska na oczy. Woda Różana zaprowadził mnie do biura Hadż Aghi, gdzie kazał mi ją zdjąć. W pokoju były trzy ekipy operatorskie. Kazano mi usiąść na krześle stojącym przed czerwoną kotarą. Zrozumiałem, że „dziennikarze”, którzy mieli ze mną rozmawiać, nie będą filmowani.

Pierwszy wywiad poprowadził dziennikarz pierwszego programu telewizji państwowej. Trzymał na kolanach fotokopie tych samych notatek Hadż Aghi, które

ja dostałem wcześniej. Dla dziennikarza nie ma większego obciachu niż przepytanie więźnia pod przymusem. Wpatrywałem się w niego tak, by spojrzeć mi prosto w oczy. Na kolanach trzymałem swoją opaskę – tak żeby on także ją widział.

– Obydwaj jesteście dziennikarzami – odezwałem się do niego. – Niech pan mi powie, ile wywiadów w więzieniu już pan przeprowadził? – Zaczął nerwowo przerzucać papiery. – Niech się pan nie denerwuje. Przecież dostał pan pytania, które musi pan mi zadać. Ja też mam ich kopię, tak jak odpowiedzi, których mam panu udzielić.

Spojrzał na mnie bezradnie, jakby chciał powiedzieć: „Wiem, że źle robię, ale muszę jakoś utrzymać rodzinę”.

Chociaż dziennikarz miał tekst Hadż Aghi, Woda Różana podrzucił mu spoza kadru jeszcze inne pytania. Mnie z kolei dawał wskazówki, jak odpowiadać. Za każdym razem, gdy powiedziałem coś niezupełnie zgodnego z wytycznymi Hadż Aghi, Woda Różana przypominał mi o wydziale do walki ze szpiegostwem: „Panie Bahari, może powinniśmy dać sobie spokój z tym wywiadem i wybrać inną opcję?”. Ekipie telewizyjnej proponował zaś, by powtórzyć pytanie.

Drugim moim „rozmówcą” był dziennikarz z Press TV, rządowego anglojęzycznego kanału telewizji satelitarnej, utrzymującego przedstawicielstwa na całym świecie. Podczas gdy irański rząd prześladował dziennikarzy, reporterzy tego kanału pracowali swobodnie na Zachodzie. Dziennikarz Press TV wydawał się nie widzieć w tym żadnego problemu. To był wyjątkowo wredny typ, mówiący z brytyjskim akcentem.

– Jeśli pan jest dziennikarzem, to co pan tutaj robi? – zapytał mnie po angielsku ze złośliwym uśmieszkiem.

„Chciałbym ci zadać to samo pytanie” – pomyślałem. Uśmiechnąłem się do niego i odrzekłem:

– Jestem tu, ponieważ jestem dziennikarzem.

Nikt z trzeciej i zarazem ostatniej ekipy nie raczył się nawet przedstawić.

– Skąd pan jest? – zapytałem rozmówcę, gdy siadał i przypinał sobie mikrofon.

– To *my* jesteście tu od zadawania pytań – odparł.

Potem dowiedziałem się, że był z Agencji Informacyjnej Fars należącej do Strażników Rewolucji.

Wszyscy „dziennikarze”, z którymi rozmawiałem tego dnia, pozostawali na usługach rządu. Koncepcję wolnej prasy odrzucali jako z gruntu obcą. Dla nich, tak jak dla Hadż Aghi i Wody Różanej, był to całkowicie naturalny stan rzeczy. Wyrażali absolutne przekonanie, że tak samo jest na całym świecie.

Nie wiem, jak długo siedziałem na tym krześle, mówiąc to, co chcieli usłyszeć. Ich pytania, napisane przez Hadż Aghę, dotyczyły przeważnie zła

rzządzającego zachodnimi mediami, a moje odpowiedzi, również autorstwa Hadż Aghi, potwierdzały ich tezy. Z upływem dnia moje myśli dryfowały coraz bardziej ku Paoli. Wyobrażałem sobie, jak spaceruje – z naszym dzieckiem w brzuchu – po okolicy naszego londyńskiego domu. Miała na sobie białą ciążową tunikę i spódnicę w kwiaty. Zaraz jak to wszystko się skończy, wrócę do Londynu. Spędzimy razem lato i wreszcie przeczytam te wszystkie książki o ciąży i rodzicielstwie. Już nie mogłem się tego doczekać.

– Jedną z charakterystycznych cech „aksamitnych rewolucji” jest ich związek z mediami. Międzynarodowe media torują drogę takim rewolucjom i bez nich nie mogłyby one dojść do skutku – słyszałem swój głos.

Miałem bardzo blade pojęcie o opiece nad dziećmi w ich pierwszych miesiącach życia. Od czasu, gdy Paola powiedziała mi, że jest w ciąży – a było to pewnego mokrego dnia w kambodżańskiej wiosce – robiłem sobie listę książek o dzieciach, które chciałem przeczytać. Potrzebowałem wskazówek w wielu sprawach: jak zmieniać pieluchy, jak pilnować godzin snu – i w ogóle jak być dobrym tatą. Po mojej stronie łóżka piętrzył się już wysoki stos książek, a ja chciałem jeszcze parę dokupić.

– Może nam pan podać parę przykładów?

Czego się spodziewać, kiedy się spodziewamy. Bądź gotów: praktyczny podręcznik dla dobrych ojców.

– BBC, CNN, Euronews, „New York Times”...

– Nie zapomniał pan o czymś?

Moi chłopcy umieją pływać! Praktyczny przewodnik dla mężczyzn na czas ciąży.

– „Newsweek”.

Gdy było już po wszystkim, odpięli mi mikrofon. Woda Różana zaprowadził mnie do celi.

– Nazwiska, Maziar – powiedział. – Zapomniałeś o nazwiskach.

Uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową. Odwróciłem się do niego plecami. A w środku kipiałem.

ROZDZIAŁ 12

Bang.

Bang.

Bang.

Waliłem głową w ścianę z kafelkami imitującymi marmur, nie bacząc na ból w karku. Zasłużyłem na ból. Zdradziłem moją rodzinę, kolegów, siebie. Mojego ojca.

Do czego miałem się przyznać? Co miałem im powiedzieć? Zacząłem chodzić po celi. Próbowałem rozmawiać z Marjam. Po mojej „spowiedzi” zapomnieli mi odebrać okulary i po raz pierwszy mogłem dokładnie przyjrzeć się swojej celi. Wyglądała teraz mniej „klinicznie”, nie była już tak nienaruszalna. Ściany usiane były krętymi rysami i szparami, a także napisami:

„Twój śledczy boi się ciebie bardziej niż ty jego. Dlatego każą ci zakładać opaskę. To też przeminie. *Moghawem basz*” – bądź silny.

Na dole ściany, tuż przy podłodze, znalazłem dziesiątki kresek oznaczających liczbę dni, które spędzili tu inni więźniowie. Dwadzieścia dwa dni. Dziewięćdziesiąt dni... Ja spędziłem tu dziesięć dni i nie mogłem sobie wyobrazić ani jednego więcej. Ale – pomyślałem z ulgą – nie muszę sobie tego wyobrażać.

„Spowiedź” była tego warta, nawet jeśli wszystkich zawiodłem. Teraz wrócę do Londynu i będę z Paolą. Nie było dla mnie nic ważniejszego.

Trudno powiedzieć, jak długo chodziłem po tej małej celi – może parę minut, a może godzin – ale w końcu znów opadłem na podłogę i owinąłem się kocem. Musiałem się przespać, żeby być w formie, gdy strażnik przyjdzie do mnie rano i sprowadzi po tych samych schodach, po których tu wchodziłem pierwszego dnia. Zасыpiając, wszystko to sobie wyobrażałem – jak oddają mi ubranie, jak patrzę na nieboskłon nad sobą, jak dzwonię do Paoli przez komórkę. I nawet we śnie oczekiwałem pukania do mojej celi, sygnalizującego, że ten proces już się zaczął, że mogę wracać do domu.

Ale tego pukania jakoś nie było. Przez kilka dni mnie ignorowali. „Dlaczego już mnie nie przesłuchują? – zastanawiałem się. – Zapomnieli o mnie czy co?”. Jedyńm człowiekiem, z którym miałem kontakt, był strażnik wsuwający w milczeniu jedzenie przez okienko w drzwiach i wyprowadzający mnie

na codzienny spacer i do toalety. Zaczynało mi nawet brakować Wody Różanej i jego idiotycznych pytań. Codziennie czekałem na jego wezwanie. Siedziałem na podłodze, nasłuchując kroków. W myślach liczyłem, co się dało. Do ilu szkół chodziłem? W ilu domach mieszkałem? Z iloma kobietami się spotykałem? Ile miast odwiedziłem?

Pukanie rozległo się dopiero czwartej nocy, dobrze po północy.

– Czas do specjalisty – usłyszałem zaspany głos strażnika za drzwiami.

Od mojej „spowiedzi” marnie spałem, więc od razu zerwałem się, by założyć opaskę wetkniętą przez otwór w drzwiach. To był strażnik Brązowe Sandały. Poczuję się tak szczęśliwy, że w końcu po mnie przyszedli – że idę na spotkanie z Wodą Różaną – iż na chwilę zapomniałem o zasadach.

– Czy śledczy nie mają stałych godzin pracy? – zapytałem i natychmiast ugryzłem się w język. Nie wiedziałem, jak zareaguje, a nie chciałem żadnych kłopotów przed zwolnieniem.

– Nie zapominaj, że mnie też obudzili. A miałem taki piękny sen... – odparł.

To była przyjemna niespodzianka: przyjazna wymiana paru słów ze strażnikiem. Pomyślałem, że to musi być dobry znak. Przygotowują się do wypuszczenia mnie i nie widzą już we mnie zagrożenia. Wszedłem w rolę: wiedziałem, że najszybszym sposobem przełamania lodów w kontaktach z drugim mężczyzną jest jakaś seksualna aluzja; nie ma znaczenia, gdzie jesteśmy – w nowojorskim biurze czy w irańskim więzieniu.

– Nie przejmuj się – powiedziałem. – Wrócisz do niej, jak tylko znów zaśniesz!

Strażnik roześmiał się półgębkiem:

– No wiesz... Ja mam tylko czyste i zdrowe sny.

Mówił jak wielu jowialnych niższych urzędników państwowych w średnim wieku, z którymi rozmawiałem w przeszłości. Mógłby być jakimś księgowym albo strażnikiem w parku. Szkoda, że nie porozmawiałem z nim wcześniej. Dopiero potem dowiedziałem się, że choć Strażnicy Rewolucji mają w Ewinie swój własny areszt, to „klawisze” są pracownikami sądownictwa i nie przechodzą takiej indoktrynacji jak Strażnicy.

Brązowe Sandały zaprowadził mnie przez dziedziniec do budynku, w którym byłem przesłuchiwany. Wyobrażałem sobie, że chcą mnie po raz ostatni ostrzec, bym nie robił więcej żadnych reportaży z Iranu – a potem mnie wypuszczą.

Poznałem po pantoflach – i oczywiście po zapachu – Wodę Różaną.

– Dzień dobry, panie Bahari – odezwał się. – Długośmy się nie widzieli. Jest pan gotowy na wolność?

– Tak, proszę pana – powiedziałem cicho. Nie chciałem okazywać zbyt wiele entuzjazmu. – Czekałem na pańskie wezwanie.

Woda Różana zaprowadził mnie za ramię do pokoju przesłuchań, w którym

nie byłem wcześniej. Zresztą nigdy nie zorientowałem się tak naprawdę w rozkładzie więzienia, ale szybko zrozumiałem, że chodziło o lepszą kontrolę nade mną. Miałem nie wiedzieć, gdzie mnie zabierają ani czego będą ode mnie chcieli. Myślałem, że po powrocie do domu jedną z pierwszych rzeczy, które zrobię, będzie znalezienie na Google Earth lotniczego zdjęcia Ewinu. Na razie jednak Woda Różana posadził mnie na krześle.

– A jak pańskie samopoczucie, panie Bahari? – zapytał z drugiego końca pokoju.

„Będę się czuł świetnie, jak tylko stąd wyjdę” – pomyślałem.

– Dziękuję, dobrze, proszę pana.

– Czy pan uważa nas za głupców, panie Bahari?

Ugryzłem się w język. Usłyszałem, jak chodzi po pokoju. Jego twarz była teraz blisko mojej.

– Ogłuchłeś? Zadałem ci pytanie! – ryknął mi do ucha.

To nie był scenariusz, którego się spodziewałem. Poczulem, że się pocę. Próbowałem uspokoić głos.

– Przepraszam, ale nie rozumiem...

„Może wykorzystali mnie do tej spowiedzi i teraz chcą czegoś więcej?”

– odepchnąłem od siebie tę myśl. Woda Różana odsunął się ode mnie, ale pozostał w pokoju. Czułem jego wstrętny zapach.

– Nie rozumiem... – wyszeptalem.

– Wiesz, co robimy z ludźmi, którzy mają nas za głupców?

Zbliżył się do mnie ponownie i zaczął mnie z całej siły bić otwartą dłonią po udach, aż skóra na nogach zaczęła mnie palić.

– Ty gnojku, myślisz, że masz do czynienia z bandą wieśniaków? Że jesteś sprytniejszy od nas? Nie masz pojęcia, na kogo trafiłeś!

Jego uderzenia stały się szybsze, a nogi bolały mnie tak, jakby wbijał w nie igły. Wreszcie wyszedł z pokoju. Skuliłem się. Chciałem rozmasować sobie nogi, ale nawet najlżejsze dotknięcie, nawet przez spodnie, wywoływało okropny ból.

Wkrótce Woda Różana wrócił. Usiadłem prosto.

– Albo będziesz z nami współpracował, albo każdy dzień będzie tak wyglądał – powiedział i uderzył mnie pasem po nogach tak mocno, że krzyknąłem z bólu.

– Zamknij mordę, ty gnojku! – wrzasnął i uderzył mnie ponownie.

– Dlaczego tak nagle się zamknąłeś? Przecież to ty wygadywałeś te wszystkie bzdury przed kamerami. A teraz co? Ogłuchłeś i oniemiałeś?

– Przecież to sam Hadż Agha kazał mi to wszystko powiedzieć – wyjąkałem.

– Powiedziałem ci, żebyś podał nazwiska. Nie było tak? – Zaczął mnie bić pięścią po ramionach tak mocno, że czułem na skórze jego ślubny pierścień. Woda Różana to był kawał chłopca i chwiałem się po każdym jego ciosie. Ale i tak

cieszyłem się, że choć na chwilę dał spokój moim nogom. Od młodości regularnie robiłem pompki i miałem silne ramiona. Bicie po nich bolało mniej niż po nogach.

Zacząłem jęczeć:

– Proszę mnie nie bić, to boli!

Moja sztuczka zadziałała. Bił mnie po ramionach jeszcze mocniej, ale jakby zapomniał o moich nogach.

– Przez ciebie w całym kraju jest zamieszanie – powiedział. Krople jego potu spadały na moją szyję. – Co powiesz tym wszystkim matkom, które przez ciebie straciły dzieci? Jak odpowiesz za całą tę krew, którą rozlałeś?

Ból w ramionach zaczął wędrować do szyi, a potem wpełznął mi do głowy. Od 1994 roku dokuczała mi migrena. Jej ataki nasilały się pod wpływem bólu i stresu. Czując nadchodzący atak i chcąc ochronić ramiona, obróciłem ku niemu twarz, próbując zablokować kolejny cios własnym policzkiem.

– Odwróć twarz, ty mały szpiegu! – krzyknął i zaczął mnie znów bić po udach.

Zamknąłem oczy pod opaską.

– Ale co ja takiego zrobiłem źle? Powiedziałem, co mi kazano...

– To ja tutaj zadaję pytania! – wrzasnął, bijąc mnie po nogach pasem.

Woda Różana chwycił mnie za włosy, szarpiąc gwałtownie moją szyję.

– Zbieraj się! – rozkazał.

Nie zdołałem się podnieść. Nogi miałem drętwe, ramiona pulsowały bólem. Woda Różana ściągnął mnie z tego krzesła za włosy.

– Wracaj do swojej celi i przemyśl to, co się dziś zdarzyło. – Uderzył mnie jeszcze w tył głowy i rzucił kąśliwie: – Jeszcze na dobre nie zacząłem. I tak będzie co dnia, dopóki nie zaczniesz z nami współpracować.

Gdy strażnik odprowadzał mnie do celi, zastanawiałem się na tym, co się stało. To nie było zgodne z planem. Nie tak się umawialiśmy. Przecież powiedziałem to, co mi kazał Hadż Agha. Dlaczego więc mnie nie wypuścili?

– Jest czas na poranną modlitwę – powiedział strażnik, którego nie poznałem po butach. – Chcesz skorzystać z łazienki i dokonać ablucji?

„Oczywiście! – pomyślałem. – Jedynym powodem, który sprawił, że Woda Różana przestał mnie bić, było to, że musiał przygotować się do modlitwy”. Sam się wystraszyłem tej wściekłości, jaka mnie ogarnęła na myśl o jego hipokryzji.

– Nie, nie chcę – powiedziałem. – Ale potrzebuję dwóch proszków na migrenę, i to zaraz.

Strażnik zamknął mnie w celi i poszedł po środki przeciwbólowe. Opuściłem spodnie i obejrzałem swoje uda. Były sine, niemal czarne.

Parę godzin później znów chodziłem po celi – tam i z powrotem, najszybciej

jak mogłem – czekając, co się teraz stanie. Woda Różana chciał nazwisk, ale czyich? Dziennikarzy? Polityków? Moich przyjaciół? Klimatyzacja pracowała tak głośno, że trudno mi było zebrać myśli. Pamiętam, jak Marjam opowiadała mi o okresie, gdy zabierali ją do pokoju tortur i bili bez powodu. „To było pod koniec odsiadki – mówiła. – Myślę, że po prostu chcieli dać mi szkołę przed zwolnieniem, żebym nigdy nie zapomniała, jak jest w więzieniu”. Próbowałem przekonać sam siebie, że Wodzie Różanej chodziło o to samo.

Jednak jakiś głos we mnie mówił mi coś innego: że oni od początku nie mieli zamiaru wywiązać się z naszej umowy. To, co wydarzyło się ostatniej nocy, to dopiero początek. Ale jak daleko się posuną? Słyszałem wystarczająco wiele historii więziennych i nie mogłem powstrzymać przerażających myśli: wyrywanie paznokci, rażenie prądem genitaliów... „Pierwszą rzeczą, jaką robili więźniom, było wykręcanie szczypcami uszu – opowiadał ojciec. – Jeśli uważasz, że to bolesne, posłuchaj dalej. Nic nie boli bardziej niż zdzieranie tymi szczypcami paznokci. Człowiek, który mnie torturował, wyrywał mi paznokcie z prawej dłoni bardzo powoli, jeden po drugim. Mówił, że ma czas do końca świata”. Ojciec opowiadał mi tę historię wielokrotnie. Jako dziecko przyglądałem się jego dłoni, próbując wyobrazić ją sobie tak zmaltretowaną. Jak on mógł wytrzymać taki ból? Nie wiedziałem, czy ja znalazłbym na to siłę, ale pamięć o słowach ojca dodawała mi otuchy: „Myśleli, że za pomocą maksymalnej presji zmuszą mnie do ujawnienia wszystkich informacji o moich towarzyszach. Ale ja im nic nie powiedziałem”.

Metalowe zasuw w sąsiednich celach zaczęły się otwierać i zamykać. Przestraszyłem się. Ale to był przecież czas śniadania. Zawsze wyczekiwałem tego zgrzytania zasuw w drzwiach. Bo to oznaczało czas jedzenia, a przede wszystkim herbaty. Jednak tego ranka dźwięk ten wywołał we mnie panikę. Czekałem, aż otworzy się dolne okienko w moich drzwiach i pokaże się w nich śniadanie, ale tak się nie stało. Zamiast tego Niebieskooki Sejjed otworzył drzwi. Z jakiegoś powodu jako jedyny strażnik nie ukrywał swojej twarzy przed więźniami. Położył opaskę na podłodze razem z jedzeniem i nalał mi kubek herbaty.

– Zjedz to śniadanie jak najszybciej. Twój specjalista chce cię zaraz widzieć – powiedział, zamykając drzwi. – Wrócę tu za dziesięć minut.

Trzymając kubek z herbatą, przyglądałem się swoim paznokciom. Czy będę je jeszcze miał pod koniec dnia? Czulem, że Marjam siedziała w kącie celi i patrzyła na mnie. Opuściłem się na podłogę i zacząłem robić pompki. „Ciekawe, ile pompek będę mógł zrobić, jak zedrą mi paznokcie i znowu wychłostają moje nogi?” – pomyślałem.

„Ani jednej” – odpowiedziała Marjam. Opowiadała mi kiedyś o swojej przyjaciółce, która wskutek bicia straciła palec u nogi. „Okłamała ich co do miejsca zamieszkania swojego męża, a kiedy strażnicy to wykryli, ukarali ją prawie godziną chłostą po stopach” – Marjam mówiła o tym ze łzami w oczach. Kiedy

przywlekli tę kobietę z powrotem do celi, podeszwy jej stóp były tak zmalretowane, że nie mogła chodzić przez wiele dni.

Myśl o Marjam dręczonej przez bestię w rodzaju Wody Różanej wycisnęła mi z oczu łzy, które wstrzymywałem od czasu, gdy sam zostałem pobity. Robiąc pompki, widziałem, jak dywan pod moją twarzą ciemniał od łez. „Marjam *dżun*. Będę silny – powiedziałem. – Ale czy to wytrzymam? Co gorszego mnie jeszcze spotka?”.

– Do kogo ty mówisz?

Niebieskooki Sejjed stał w drzwiach celi. Nic mu nie odpowiedziałem. Usiadłem i wypilem łyk herbaty.

– No, zbieraj się! Już czas!

Gdy strażnik przekazał mnie Wodzie Różanej, ten nic nie powiedział. W milczeniu wziął mnie za ramię, jakbym był jagnięciem prowadzonym na rzeź. Wyczułem jego złość po sile uścisku i głębokości oddechów. Posadził mnie na krześle w pokoju przesłuchań i zdjął mi opaskę. Z tego kąta pokoju, w którym siedziałem, widziałem tylko niedbale pomalowaną na biało cementową ścianę. Woda Różana poklepał mnie po ramieniu.

– Maziar, masz wybór: możesz być moim przyjacielem albo więźniem – powiedział. Ton jego głosu się zmienił. Jakbyśmy weszli w nową fazę naszych stosunków, a po pobiciu mnie czuł się znacznie swobodniej w mojej obecności. – Rozumiesz mnie, Maziar? – zapytał, obchodząc mnie dookoła, jakby znakował swoje terytorium, powłócząc swoimi łapcami jak zwyczajny bandyta.

„Mam nadzieję, że nie zamierza oddać na mnie moczu” – przeszło mi przez myśl.

– Tak, proszę pana – odparłem.

– No więc: przyjaciel czy więzień?

– Przepraszam – powiedziałem spokojnie – ale nie całkiem rozumiem.

Na pulpicie mojego krzesła położył czystą kartkę papieru i powiedział:

– To jest przyjaciel.

Potem cofnął się i z całej siły strzelił mnie w pysk.

– A to więzień – dodał. – Panie Maziar, może pan wybrać zgniecie tu, powtarzając to swoje *koseh she'r*, pieprzenie – wziął głęboki oddech, jakby sam chciał się uspokoić. – Napisz swoje odpowiedzi jasno i uczciwie. Czy mój policzek cię zabolął? – zapytał grzecznie.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem na krześle z założonymi nogami i zastanawiałem się, o co mu chodziło. Woda Różana kopnął mnie w stopę. Jeden z moich kapci przeleciał przez pokój.

– Nigdy nie zakładaj nogi na nogę w mojej obecności, ty mały szpiegu.

Potem złapał mnie za włosy i zmusił do wstania.

– Leć po swój kapeć! – wrzasnął.

Gdy siadłem znów na swoim krześle, usiadł na krześle za mną. Słyszałem, że coś pisał. Siedział tak w milczeniu przez parę minut. To dziwne zachowanie niepokoiło mnie jeszcze bardziej niż jego wrzaski i bicie.

Usłyszałem wreszcie, że przysuwa swoje krzesło bliżej mojego. Potem położył przede mną kilka kartek. Zapisał na nich nazwiska sześciu prominentnych polityków proreformatorskich. Byli to: Mehdi Haszemi, Mohammad Chatami, Mehdi Karrubi, Mir Hosejn Musawi, wielki ajatollah Hosejn Ali Montazeri i wielki ajatollah Jussef Sanei. Obok każdego nazwiska widniało to samo pytanie: „Jaka jest natura twoich związków z tą osobą?”.

Podobnie jak pierwszego dnia przesłuchań pytania były sformułowane w taki sposób, by wpisać mnie w pewien scenariusz. Wziąłem długopis i zacząłem pisać – a wtedy Woda Różana uderzył mnie w szyję.

– Daj mi te papiery! – polecił. – Zanim zaczniesz pisać ten *koseh she’r*, Maziar, muszę ci uzmysłować wyraźnie jedną rzecz... – Walnął mnie otwartą dłonią w tył głowy. – Otóż wiemy dobrze, że pracujesz dla wrogiej agencji, a twoim zadaniem było kontaktowanie różnych reformistycznych polityków z mocarstwami zachodnimi – mówił z większym przekonaniem niż kiedykolwiek przedtem. – Wiemy, że pracowałeś jako agent pewnej zagranicznej agencji wywiadowczej już od samego przyjazdu do Iranu i że miałeś przynajmniej dwie misje: skontaktować reformistyczne elementy w Iranie z zagranicznymi ambasadami i podżęgać do „aksamitnej rewolucji” w Iranie.

Oniemiałem. Mówił o tym tak, jakby opowiadał jakiś film sensacyjny albo sztukę teatralną. Najwidoczniej przywódcy islamskiego reżimu napisali już scenariusz takiej historii o swoich przeciwnikach, a ja – nie wiadomo dlaczego – dostałem główną rolę.

– Wiemy, że byłeś w kontakcie z każdym z tych elementów i byłeś łącznikiem między nimi i obcokrajowcami. Jeśli będziesz z nami szczery, zwolnimy cię jutro. Ręczę za to osobiście, Maziar – dyszał mi do ucha. – Ale jeśli masz nas za bandę idiotów i wierzysz, że uda ci się nas wykiwać, osobiście przyrzekam ci, że postawię cię na krześle, założę ci pętlę na szyję i wykopnę krzesło spod twoich stóp. Poczekam, aż twoje ciało zgnije, wrzucę je do worka na śmieci i wyślę twojej matce.

Podniosłem głowę i spojrzałem mu w oczy. Po raz pierwszy nie czułem do niego złości. Wręcz przeciwnie: było mi go żal. Woda Różana był po prostu drobnym czynownikiem Chameneiego; miał za wszelką cenę uprawdopodobnić jego historyjkę, że – jak Chamenei wielokrotnie powtarzał po wyborach – ruch „zielonych” nie był ludowym powstaniem, ale spiskiem uknutym przez wrogów islamu. Woda Różana nie był nikim ważnym dla reżimu – był człowiekiem, z którego ideologia zrobiła tego, kim stał się teraz: wrednego typu z wypranym mózgiem, wierzącego, że jego droga do nieba wiedzie przez bicie niewinnych

ludzi.

Walnął mnie w czoło, aż zobaczyłem gwiazdy.

– Schył głowę! – ryknął i uderzył mnie znów w głowę. – Nie mówiłem ci, że jak tu jesteś, masz mieć cały czas pochyloną głowę? – Cofnął się trochę i powiedział: – Ty masz wielkie szczęście, Maziar!

Czując narastającą migrenę, z trudem łapałem sens jego słów.

– Czy mógłbym dostać trochę wody? – spytałem.

– Oczywiście – powiedział i nalał mi wody do tekturowego kubka. – My nie torturujemy więźniów pragnieniem, jak wy, Amerykanie, w Abu Ghraib czy Guantánamo. My mamy coś, co się nazywa *ra'fateh Islami* – islamska uprzejmość, nawet w tym więzieniu. To jest coś, o czym wy, Amerykanie, nigdy nie słyszeliście.

Woda Różana naprawdę uważał, że nazwanie kogoś Amerykaninem było ciężką obelgą. Zawsze wymawiał to słowo z pogardliwym grymasem.

Znów usiadł na krześle za mną. Gdy wstał, położył na moim pulpicie kolejną kartkę. Oddychał bardzo ciężko.

Narysował coś w rodzaju diagramu: duże koło z mniejszym kołem wewnątrz. Nazwiska tych sześciu ludzi były zapisane na obwodzie wewnętrznego okręgu. Woda Różana wyjaśnił mi, że to duże koło przedstawia islamski system. To mniejsze zaś symbolizuje mniejszość ogłupioną na tyle, by popierać reformistów, a tym samym występować wbrew woli większości, która popiera system.

– Ten mały okrąg pośrodku wielkiego oceanu islamskiego systemu to szumowiny i brud, które w końcu zostaną zmiecione przez wielkie fale ludowe – wyjaśniał Woda Różana z dumą młodego wierszoklety, wierzącego święcie, że jego idiotyczne metafory mają sens.

– Czyli pana zdaniem tych sześciu ludzi tworzy zaporę pomiędzy islamskim systemem i tą mniejszością? – zapytałem, próbując go dobrze zrozumieć.

– *Ahsant*. Brawo! Nie jesteś jednak taki głupi, jak myślałem. To dlatego powiedziałem, że masz szczęście. Nasz system postanowił być wobec ciebie łaskawy.

– Problem w tym, że nie znam dobrze żadnej z tych osób i nie kontaktowałem ich z nikim – powiedziałem słabym głosem, zboląłym od migreny. Odchrząknąłem i zacząłem znów, mając nadzieję, że nie zauważy, jak bardzo cierpię. – W rzeczywistości unikałem zagranicznych ambasad, żeby się nie wpakować w taką sytuację jak ta. Znam zasady i zawsze ich przestrzegam.

Woda Różana nie pozwolił mi skończyć. Zaczął mnie znów bić otwartą dłonią po nogach.

– *Nemiduni? Na?* Nic nie wiesz? Tak? – Nagle przestał mnie bić. – Dobra, słuchaj. Dam ci herbatę i daktyle, pogadamy jak przyjaciele.

Trudno było się połączyć w sensie jego działań, ale kiedy wyszedł, miałem przynajmniej parę minut spokoju. Gdy wrócił, poczułem aromat świeżej herbaty.

– Panie Bahari, jest pan intelektualistą, człowiekiem wykształconym, więc wie pan na pewno, jaka jest najbardziej zepsuta rodzina w tym kraju, prawda?

Wiedziałem, że ma na myśli rodzinę byłego prezydenta Akbara Haszemi Rafsandżaniego, którego nazwisko od dawna było synonimem finansowej korupcji. Krążyły plotki, że jego rodzina ma monopol na wszystkie najbardziej dochodowe biznesy w kraju – od zbiornikowców przez pistacje po krewetki.

Akbar Haszemi Rafsandżani i Ali Chamenei przyjaźnili się od 1957 roku, gdy byli jeszcze młodymi duchownymi w Kom. Obaj dołączyli do ruchu Chomeiniego we wczesnych latach sześćdziesiątych. Rafsandżani uchodził zawsze za jednego z najbystrzejszych i najlepiej znających się na dyplomacji akolitów Chomeiniego. Gdy Chomeini zmarł w 1989 roku, Rafsandżani lobbował za powołaniem Chameneiego na godność najwyższego przywódcy. Sam zaś został prezydentem. Z poparciem Chameneiego zwrócił się do parlamentu o likwidację stanowiska premiera i przekazanie kompetencji szefa rządu prezydentowi. Rafsandżani chciał skupić w swoim ręku tyle władzy, by stać się faktycznym przywódcą kraju, ale Chamenei go wymanewrował.

Rafsandżani rozpoczął zmiany w dyplomacji. Próbował otworzyć rynek irański na resztę świata. Jednak jego reformy doprowadziły w kraju endemicznie przeżartym przez korupcję i kumoterstwo do wielkiego rozwarstwienia społecznego: powstała warstwa nowobogackich, ale miliony Irańczyków, w tym weterani wojenni, popadły w biedę. Jednocześnie Rafsandżani nie wykazywał specjalnej uwagi wobec demokracji i praw człowieka. Za jego prezydentury wielu działaczy politycznych trafiło do więzienia i było torturowanych, a dziesiątki pisarzy i intelektualistów zostało zamordowanych przez agentów rządowych. Polityka gospodarcza Rafsandżaniego biła w ubogich i pobożnych Irańczyków, a jego polityka kulturalna wywoływała gwałtowny sprzeciw reformistów. Doprowadziło to do miażdżącego zwycięstwa reformisty Mohammada Chatamiego w wyborach 1997 roku. Chatami obiecywał równość i wolność.

Błędy Rafsandżaniego były na rękę Chameneiemu. Odsunął się od prezydenta wraz z większością bardziej ideologicznie nastawionych członków rządu islamskiego, w tym z wieloma przywódcami Strażników Rewolucji, i starał się marginalizować Rafsandżaniego. O ile Rafsandżani obstawał za koniecznością rozwoju gospodarczego, o tyle Chamenei przypominał ludziom o ideologicznych celach rewolucji. Ci dwaj politycy różnili się też zdecydowanie stylem życia. Podczas gdy córka Rafsandżaniego została znaną parlamentarzystką, a jego synowie bogatymi biznesmenami, Chamenei zakazał szóstce swoich dzieci (czterem synom i dwóm córkom) zajmowania się polityką i biznesem, by uniknąć oskarżeń o nepotyzm i korupcję. Zwolennicy Chameneiego coraz ostrzej

występowali przeciw temu, co uważali za rewizjonizm i dekadencję Rafsandżaniego, i wysławiali skromny tryb życia i ideową gorliwość Chameneiego.

Niemniej Rafsandżani pozostał wpływową postacią na irańskiej scenie politycznej. Do czasu wyborów prezydenckich w czerwcu 2009 roku wielu polityków i duchownych, którzy odrzucali tyranie Chameneiego, wiązało się z bardziej umiarkowanym Rafsandżanem, który z kolei popierał Musawiego. Nawet wielu byłych dowódców Strażników Rewolucji, którzy uważali, że radykalizm młodego pokolenia tej formacji jest niebezpieczny, popierało Rafsandżaniego. Z tego też powodu Chamenei i nowa generacja Strażników nie atakowała Rafsandżaniego bezpośrednio. Spróbowali za to po wyborach 2009 roku wsadzić do więzienia jego syna, Mehdiego Haszemiego.

Woda Różana sam sobie odpowiedział na pytanie o najbardziej nieuczciwą rodzinę w Iranie.

– Oczywiście to rodzina Haszemiego Rafsandżaniego – powiedział. – Nasz święty islamski system chce ci dać szansę, Maziar, ujawnienia tego, co wiesz o tej rodzinie. Wiemy, że byłeś w kontakcie z Mehdim Haszemim. Wiemy, że byłeś aktywny w tym kręgu. Chcemy tylko, żebyś dał nam jeden przykład, jak skontaktowałeś ten brudny element z obcymi agencjami.

– Ale, proszę pana... – Woda Różana uderzył mnie w usta wierzchem swojej prawej dłoni. Poczulem krew, którą wypłułem do pustego kubka.

– Siedz cicho i słuchaj – powiedział. – Pomyśl, że ty i ja mamy zostać przyjaciółmi.

Potem przypomniał mi wywiad w „Newsweeku”, który przeprowadziłem z Mohammadem Chatamim, uważanym przez wielu ludzi za duchowego przywódcę zielonego ruchu. Zrobiłem ten wywiad na miesiąc przed wyborami. Za czasów swojego urzędowania jako prezydent Republiki Islamskiej (1997–2005), a nawet po opuszczeniu urzędu Chatami był uważany za najważniejszą postać w obozie reformistów irańskich. Podczas swojej kadencji Chatami rozmawiał codziennie z Chameneim przez telefon, informując go o bieżących sprawach, ale najwyższy przywódca krytykował niemal wszystkie decyzje Chatamiego.

W 2009 roku, cztery lata po zakończeniu swojej prezydentury, wciąż był popularny wśród wielu młodych Irańczyków i Chamenei słusznie podejrzewał, że jeśli Chatami znów zostanie prezydentem, spróbuje zmobilizować przeciw niemu młodzież. Zdaniem mojego przyjaciela Amira, Chatami chciał ponownie kandydować na prezydenta w 2009 roku, ale najwyższy przywódca ostrzegł go wyraźnie, żeby tego nie robił. Gdy Chatami zignorował te ostrzeżenia, biuro najwyższego przywódcy dało mu znać, że jeśli nie zrezygnuje z kampanii, może zostać zlikwidowany, a jego doradcy będą prześladowani.

– Chcielibyśmy, żebyś nam powiedział, kiedy i jak ta agencja poleciła ci przeprowadzenie wywiadu z Chatamim – wyjaśnił Woda Różana.

– Ale jaka agencja? – zapytałem.

Woda Różana podszedł do mnie powoli.

– Co jest w tym kubku?

– Krew – odparłem.

– Myślisz, że nie mogę ci jej upuścić więcej? Odpowiadaj! Zapytałem cię, czy myślisz, że nie mogę ci jej upuścić więcej? – wrzasnął.

– Tak, proszę pana – zgodziłem się. – Może pan.

– Więc rób, co ci mówię. – Poklepał mnie lekko po ramieniu. – Koran głosi, że obłudnicy są jeszcze gorsi od niewiernych. Mamy w tym kraju naczelnego obłudnika – jest nim Chatami. A ty podjąłeś się brudnego zadania promowania Chatamiego na miesiąc przed wyborami! Tak było, panie Bahari!

Chamenei nazwał tezę reformistów o możliwości sfalszowania wyborów „wielkim grzechem”. Widziałem, że moja wzmianka na ten temat doprowadzała Wodę Różaną do furii.

– To bardzo ciekawe, bo w tym czasie nikt inny nie mówił o takiej możliwości.

Oczywiście nie była to prawda. Od czasu pierwszej elekcji prezydenckiej Ahmadineżada wiele się mówiło, że może sfalszować wybory w 2009 roku. Chciałem o tym przypomnieć Wodzie Różanej, ale dałem sobie spokój.

– Chcemy po prostu, żebyś powiedział, jak ta agencja rozpowszechniła plotkę o sfalszowaniu wyborów i jak pokierowałeś Chatamim, by odpowiedział na twoje pytanie w tej sprawie – powiedział Woda Różana.

– Ale pan Chatami powiedział w tym wywiadzie, że głosowanie nie będzie sfalszowane – zauważyłem. – Chatami powiedział mi, że to niemożliwe z uwagi na układ sił.

Szykowałem się na kolejne uderzenie w głowę, ale nie nastąpiło.

– Wiem – odparł Woda Różana. – Ale pozwolił ci zadać to pytanie i zgodził się na jego publikację. Obaj dobrze wiemy, że pytanie często bywa ważniejsze od odpowiedzi. Dobra. Pogadajmy teraz o Mehdim Karrubim – roześmiał się sztucznym śmiechem. – Karrubi to dowcip. Przecież to kretyn!

„I kto to mówi?” – pomyślałem.

Karrubi był znany jako reformistyczny „dziadek”. O ile Musawi uważany był za kulturalną twarz tego ruchu, Karrubi słynął ze swojej chłopskiej, prostolinijnej szczerości. Po pierwszym zwycięstwie Ahmadineżada w 2005 roku Karrubi oskarżył w otwartym liście, opublikowanym w reformatorskiej prasie, syna najwyższego przywódcy, Możtabę Chameneiego o machlojki wyborcze. W liście tym, adresowanym do Alego Chameneiego, Karrubi napisał, że syn ajatollaha współdziałał z Basidżem i Strażnikami Rewolucji przy naruszaniu urn wyborczych i dosypywaniu głosów na Ahmadineżada. W owym czasie wszystkie moje źródła w różnych ministerstwach mówiły mi, że Karrubi miał rację, ale coś takiego nigdy

się już nie powtórzy. W 2009 roku przeprowadziłem z Karrubim wywiad dla „Newsweeka”; był to jeden z jego pierwszych wywiadów dla prasy zagranicznej. W trakcie tego wywiadu mówił otwarcie o swoich planach obalenia Ahmadineżada w 2009 roku.

– A ty, Maziar, zrobiłeś z Karrubiego intelektualistę, nazywając go „umiarkowanym reformatorem irańskim”? – Woda Różana akcentował każde słowo walnięciem mnie w głowę. Miałem tak silną migrenę, że bliski byłem torsji. – A potem spytałeś go, czy „nie sądzi pan, że ci, którzy sfalszowali ostatnie wybory, mogą to zrobić jeszcze raz?”.

Wziął głęboki oddech.

– *La eleha ella Allah!* Nie ma boga prócz Allaha! Od tego, co napisałeś, gotuje mi się krew. Dlaczego? Dlaczego chcesz zepsuć naszą młodzież, zaszczepiając im w głowach myśl o sfalszowaniu wyborów? Dlaczego, Maziar?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, Woda Różana zaczął pomstować na pewnych duchownych, którzy jego zdaniem byli agentami Zachodu. Najważniejsi wśród nich byli wielcy ajatollahowie Hosejn Ali Montazeri i Jussef Sanei, których nazwiska wypisał mi wcześniej na kartkach. W 1988 roku, po zarządzonej przez Chomeiniego masakrze tysięcy członków MKO i innych grup opozycyjnych, Montazeri wypowiedział się przeciw zbiorowym procesom i egzekucjom. Przedtem uważano go za następcę Chomeiniego, ale za krytykę najwyższego przywódcy zapłacił utratą tej pozycji. W jednym z niewielu wywiadów, jakich udzielił, a który przeprowadziłem z nim dla Channel 4 News, wyraził swoje wątpliwości co do legalności Republiki Islamskiej i jej pretensji do „islamskości”.

Jussef Sanei był uważany za najbardziej przyjaznego mediom wielkiego ajatollaha. O ile inni wielcy ajatollahowie rzadko udzielali wywiadów, Sanei był regularnie cytowany przez zagraniczne media i trzymał nawet w swoim biurze księgę pamiątkową, do której wpisywali się dziennikarze. Miałem wyjątkową możliwość zbliżenia się do Saneiego, gdy pozwolono mi sfilmować go prywatnie w jego domu. Powstał z tego film dokumentalny *The Online Ayatollah*.

Nakręcone przeze mnie filmy o Montazerim i Saneim znajdowały się na płytach DVD, które skonfiskowała mi w domu ekipa Wody Różanej.

– Te filmy są dowodami, że utrzymywałeś kontakty z duchowym przywódcą tych hipokrytów, którzy udają muzułmańskich duchownych, ale w rzeczywistości działają przeciw najwyższemu przywódcy muzułmańskiego świata – powiedział Woda Różana.

Na zewnątrz odezwało się wezwanie do wieczornej modlitwy. Woda Różana musiał się pomodlić. Zaznaczył koniec przesłuchania mocnym trzepnięciem mnie w szyję. Odetchnąłem z ulgą, oczekując przerwy w tym szaleństwie.

Gdy wróciłem do celi, czekał na mnie posiłek, który oblażył mrówki.

Próbowałem się trochę zdrzemnąć, ale wkrótce wezwano mnie znowu do pokoju przesłuchań. Woda Różana usadził mnie jak zwykle twarzą do ściany i powoli zdjął mi opaskę z oczu.

– Wiesz, Maziar... może ty myślisz, że jestem jakimś brutalem, ale zrozum, proszę, moją sytuację... Mamy w naszym kraju naprawdę święty rząd. Mamy przywódcę, którego wola jest jednoznaczna z naszym pragnieniem. Jeśli nam powie, żebyśmy umarli – umrzemy. Jeśli każe nam zabijać – to zabijemy. A ty współpracowałeś z ludźmi, którzy chcą usunąć naszego przywódcę i zniszczyć cały nasz święty system władzy. Jak mam ci to wybaczyć? Wiesz, Maziar – ciągnął – wielu moich kolegów nie pozwoliłoby ci przeżyć w tym miejscu ani sekundy, ale ja wierzę w skruchę. Myślę, że jesteś do tego zdolny i widziałem, że byłeś nawet w pół drogi, gdy parę dni temu wystąpiłeś przed kamerami. Ale potem zaciąłeś się w sobie i nie chciałeś pójść dalej. Jeśli ci przyłożyłem parę razy, to po to, żeby cię zmotywować do wejścia na drogę prawości, tę drogę, którą wyznaczył nam nasz mistrz, Wielki Ajatollah Ali Chamenei.

Woda Różana położył na pulpicie mojego krzesła grubą zieloną teczkę: na jej wierzchu widniało moje nazwisko.

– To mamy na ciebie, Maziar. Mamy zdjęcia i inne dowody twojej współpracy z obcymi ambasadami, mój przyjacielu. Mój *mohareb* – bezbożny – przyjacielu. Ale obiecuję, że jeśli będziesz z nami współpracował i dostarczysz nam informacji o tych ludziach, wyrzucę tę teczkę i zapomnimy o wszystkim.

Woda Różana położył dłonie na moich ramionach i zaczął je delikatnie masować.

– Potrzebujemy cię jeszcze raz w telewizji. Żebyś jasno powiedział, jak kontaktowałeś elementy antyrewołucyjne z obcymi agentami. – Woda Różana podał mi znów swój rysunek z dwoma okręgami. – Przyjaciel czy więzień? Wybór należy do ciebie, Maziar. Możesz stąd wyjść za tydzień albo tu zgnieć. Wracaj teraz do celi i przemyśl to sobie.

ROZDZIAŁ 13

Nazajutrz rano strażnik Brązowe Sandały przyszedł po mnie wcześniej i razem ze śniadaniem przyniósł mi długopis oraz sześć kartek papieru z nazwiskami reformistycznych przywódców.

– To do *tak nervisi*. Masz zapisać informacje o tych osobnikach.

„*Tak nervisi* może pana ocalić, panie Bahari” – powtarzał mi Woda Różana.

Spojrzałem na długopis i papiery. Nie czułem żadnej rozterki, jeśli chodzi o to, co miałem napisać. Pomimo fizycznego bólu i blizn na moim ciele nie zamierzałem spełnić żądań Wody Różanej i kłamać na temat moich związków z reformistami ani łączyć, jak to niby kontaktowałem ich z obcokrajowcami. Rzuciłem kartki w kąt celi i bawiłem się przez chwilę długopisem. Po raz pierwszy od dwudziestu dni spędzonych w Ewinie byłem sam z długopisem w dłoni. Zadziwiający dar losu.

Przeniosłem się w kąt celi i podwinąłem dywan, odsłaniając płytki podłogi. Narysowałem nieudolnie plan salonu w domu rodziców. Na górze po lewej był stół z ośmioma krzesłami. Ten stół był okrągły, drewniany – podobny do sprzętów w eleganckich chińskich restauracjach. Obok stołu stał kredens, a po jego prawej stronie wisiał jedwabny gobelin. Wyobrażał żyjącego w XI wieku poetę perskiego Omara Chajjama przyjmującego kielich wina od pięknej kobiety. Gobelin miał złote ramy. Marjam i ja nie cierpieliśmy tego jedwabnego kiczowatego gobelinu, ale ojciec go uwielbiał. Teraz ja również go kochałem i zapisałem parę słów z pewnego wiersza Chajjama:

Ach, moja ukochana, napelnij ten kielich, który rozjaśni

Przeszłe żale i przyszłe obawy.

Jutro? Dlaczego? Jutro mogę być

Siedem tysięcy lat starszy niż wczoraj.

Widziałem moją rodzinę siedzącą razem. W tej mieszaninie wspomnień i fantazji był akurat czas posiłku. Ojciec siedział na swoim zwykłym miejscu przy stole, ze szklanką nielegalnej wódki w ręce. Mama była w kuchni, a zapach ziół z północy Iranu wypełniał całe mieszkanie. Matka gotowała *ghormeh sabzi*, gulasz z jagnięciny z czerwoną fasolą i warzywami. Gdy rysowałem mamę w kuchni, stojącą przy piecu, czułem zapach duszących się w sosie kopru, pietruszki, pora i szpinaku. Niemal kosztowałem tych delikatnych kęsków jagnięciny otulonych ziołami.

Marjam siedziała w salonie po lewej stronie ojca i oglądała wiadomości telewizyjne; telewizor stał w kącie na prawo od niej. Obok Marjam siedział jej mąż Mohammad. W odróżnieniu od Marjam i ode mnie Mohammad był świetnym słuchaczem. Ojciec uwielbiał mu opowiadać po wielokroć historie ze swojego życia. Ja siedziałem naprzeciwko Marjam. Przy jedzeniu opowiadałem rodzinie o wymuszonej „spowiedzi” telewizyjnej pewnego mojego przyjaciela. „Nie widzę w tym nic złego – mówiłem. – Przecież każdy wie, że to lipa. Moim zdaniem zrobił rozsądnie. Odegrał to przedstawienie, żeby wyjść z więzienia”. Próbowałem nie dostrzegać spojrzenia mojego ojca.

Ojciec patrzył na mnie, wyciskając sok z grejpfruta do szklanki z wódką. Tata cierpiał na dnę moczanową, czyli wysoki poziom kwasu moczowego we krwi. Lekarz zalecił mu sok z grejpfruta i zakazał alkoholu. Ojciec go posłuchał, choć tylko połowicznie.

„Możesz uważać, że to normalne: dać dupy i zrobić, co ci każą – powiedział, pociągając ze szklanki – ale w ten sposób to sam dajesz tyłka”.

Ojciec miał takie słownictwo. Myśląc o Babie Akbarze, czułem tę znajomą mieszkankę lęku i podziwu. Nigdy nie wiedziałem, czy jego następne zdanie uderzy mnie poniżej pleców, czy nie. Na pomoc spieszyła mi zawsze mama. Potrafiła zmienić temat rozmowy tak radykalnie, że ojciec musiał się wstrzymać z dalszymi komentarzami. „Nie wiedziałam, że średni czas życia w Burundi to tylko pięćdziesiąt jeden lat – mówiła na przykład mama. – A ty byłeś w Burundi parę razy... Czy tam rzeczywiście taka bieda?”. Ale tym razem Baba Akbar nie chciał zmienić tematu.

Odgłos kroków na korytarzu przywołał mnie do rzeczywistości. Zakryłem swój rysunek dywanem i czekałem, co będzie. Jednak kroki minęły moją celę.

W mojej wyobraźni ojciec rugał mnie dalej, gdy matka zbierała naczynia ze stołu. Tym razem w mojej obronie wystąpiła Marjam: „Każdy człowiek jest inny, Baba Akbar – powiedziała. – A zresztą co ta twoja generacja takiego zdziałała, że jesteś z niej taki dumny? Myślisz, że umieranie to jakaś wielka wartość? Dzisiejsza młodzież docenia wartość życia. Nie wierzą w męczeństwo

i podobne głupoty. Myślę, że to ty powinienes się zmienić”. W mojej fantazji Marjam wstała i wyszła z pokoju.

Wróciłem do rysowania na podłodze. Kiedy skończyłem nasz dom w Teheranie, zabrałem się za szkicowanie naszego londyńskiego mieszkania. Narysowałem każdy pokój, każdy mebel. Paola i ja odnowiliśmy niedawno to mieszkanie i dorobiliśmy dodatkową łazienkę. Narysowałem ją dokładnie. Chociaż była mniejsza od starej, Paoli i mnie podobała się bardziej. Brakowało mi tej łazienki. Gdy narysowałem siebie, narysowałem także Paolę. Roześmiałem się głośno. Wiedziałem, że przeraziłaby się na widok mojej bazgraniny. Poświęciłem wiele czasu na jej wizerunek, wyobrażając sobie aktualny kształt jej brzucha. Ciekawe, jak bardzo urósł? Gdy wylatywałem z Londynu parę tygodni wcześniej, był jeszcze nieduży, właściwie nawet nie wskazywał na ciążę. Jeszcze raz pożałowałem, że nie przeczytałem wcześniej tych wszystkich poradników – wiedziałbym wtedy więcej, co się z nią dzieje.

Zacząłem podśpiewywać, gdy rysowałem dalsze rzeczy – mapy i rysunki wszystkich domów, w których mieszkałem, szkół, do których chodziłem, miast, które odwiedziłem. Nie do wiary, jak wiele przyjemności mi to sprawiało. Nagle się przestraszyłem: co będzie, jak odkryją te rysunki i oskarżą, że robię plany Ewinu dla jakiejś agencji wywiadowczej? Kto zresztą wie, o co jeszcze mogliby mnie oskarżyć? Oplułem więc te obrazki i zacząłem je gorączkowo wycierać, ale skutek był taki, że granatowy tusz rozmazał się tylko na płytkach. Palce też miałem całe niebieskie, więc próbowałem je wytrzeć w mój więzienny kombinezon. Co ja robię!? Co się stanie, gdy otworzą nagle drzwi i zauważą ten cały bałagan? Wytarłem więc palce o płytki. Klimatyzacja działała, ale ja poczułem, że pot spływa mi po plecach.

„Co ty wyrabiasz, Mazi *džaan*? – usłyszałem w głowie głos ojca, z jego charakterystycznym sarkastycznym tonem. – Co za burdel tu zrobiłeś?” – Uśmiechnął się. „A co będzie, jak znajdą te rysunki?” – pomyślałem. „Może znajdą, a może nie – usłyszałem jego spokojny głos. – Nie zapominaj, że to są obłudne sukinsyny, wciskające ci, że kontrolują twoje życie w większym stopniu, niż rzeczywiście to robią. Chcą, żebyś się ich bał nawet wtedy, kiedy śpisz. A jeśli znajdą te plany? Przecież oskarżyli cię już o szpiegostwo. Co więcej mogą zrobić? Pieprz ich i bądź sobą!”.

Przykryłem rysunki dywanem i wpatrzyłem się w ten skrawek nieba i kawałek drzewa, które mogłem zobaczyć przez malutkie okienko w celi. Promienie słońca odbijały się od liści. Na zewnątrz wiał łagodny letni wietrzyk, a liście kołysały się w jego rytmie. Miałem szczęście, że jeszcze żyłem. Miałem szczęście, że mogłem się wciąż cieszyć błękitnym niebem, wiatrem, latem... W głowie grało mi *Summertime* Gershwina w wykonaniu Milesa Davisa.

Zamknąłem oczy i zasnąłem.

– Te twoje papiery już gotowe? – zapytał strażnik, gdy obudził mnie kuksańcem.

Poczułem panikę, ale zaraz przypomniałem sobie, że moje rysunki przykryłem dywanem. Nawet nie zacząłem odpowiadać na pytania Wody Różanej.

– No... prawie. Potrzebuję jeszcze pół godziny – powiedziałem.

– Pospiesz się! Twój specjalista już na nie czeka.

Wziąłem się zaraz do roboty, pisząc prawdę i nic więcej. Nie miałem żadnych osobistych związków z żadnym z tych ludzi i znałem ich jedynie ze swojej pracy dziennikarskiej. Oddałem kartki strażnikowi i oczekiwałem wezwania do pokoju przesłuchań oraz – rzecz jasna – solidnego bicia. Ale Woda Różana nie odezwał się aż do końca dnia. Nazajutrz rano strażnik powiedział mi, że zostanę przeniesiony. Gdy szedłem do nowej celi, spodziewałem się najgorszego. Od mojej starej celi dzieliło ją zaledwie troje drzwi, za to była mniejsza o ponad połowę. Liczyła może ze dwadzieścia stóp kwadratowych. Nie miała żadnego okienka i była znacznie brudniejsza. Jedna z dwóch żarówek zamontowanych na suficie była stłuczona.

Woda Różana nie wezwał mnie tego dnia ani następnego. Nie widząc światła dziennego, nie miałem pojęcia o upływie czasu. Pozostawały mi wyłącznie wezwania do modlitwy. Wiedziałem, że ta gorsza cela miała być dla mnie karą, ale jakoś dodała mi sił. Całymi dniami robiłem ćwiczenia. Wiedziałem, że tracę na wadze. Mój brzuch zrobił się płaski, a żebra wydatniejsze. Wziąłem się więc za twardy trening: ćwiczenia siłowe, rozciąganie, joga. Leżałem na plecach z zamkniętymi oczami, biłem w powietrze nogami i udawałem, że uprawiam jogging z Paolą na naszej zwykłej londyńskiej trasie – od naszego mieszkania w Belsize Park do Primrose Hill, potem przez Regent's Park, wokół stawu i z powrotem do Primrose Hill. W wyobraźni kończyłem nasz bieg tak, jak odbywało się to w rzeczywistości – w kawiarni za rogiem, niedaleko Primrose Hill.

Dwa dni po przenosinach do nowej celi, gdy akurat robiłem „rowerek”, strażnik otworzył okienko w drzwiach i powiedział, że chce mnie widzieć mój specjalista.

Woda Różana posadził mnie na krześle. Nie zdjął mi opaski na oczy.

– Ty mały szpiegu! Jak ci się wydaje, w jakim kraju jesteś? Czy to chlew pełen bydła i kurew, jak Europa? My tu mamy mistrza. Czy ty myślisz o czymkolwiek poza cielesnymi uciechami, mały człowieczku? – Zaczął mnie kopać w stopę. – Wiesz, kim ty jesteś, Maziar? Ty jesteś *mohareb*! Ty walczysz z Allahem! A wiesz, jaki jest wyrok dla moharebów?

Wiedziałem: kara śmierci. Nic jednak nie powiedziałem.

– Na pewno wiesz, ty mały szpiegu!

Potem złapał mnie za włosy, zerwał z krzesła i wyciągnął z pokoju przesłuchań.

– Nie mogę już patrzeć na twoją mordę!

Zaprowadził mnie na podwórze oddzielające pokoje przesłuchań od cel.

– Twarzą do ściany! Jak wrócisz do celi, pomyśl o tych sześciu bezbożnych antyrewolucyjnych elementach. Nie pozwól sobie tu zgnić, podczas gdy oni dobrze się bawią, Maziar. Mają gdzieś takiego bezwartościowego szpiega jak ty. I ty też powinienes mieć ich gdzieś!

Przez następny tydzień byłem codziennie bity przez Wodę Różaną, ale pomimo jego niekończących się pytań o moje związki z tymi sześcioma reformistycznymi politykami nie odpowiadałem na nie już więcej. Dzień po dniu siedziałem na krześle, zastanawiając się, czy Woda Różana naprawdę wierzy w to, co mówi, czy też wypełnia po prostu rozkazy, by mnie złamać biciem i groźbą egzekucji. Ponieważ zawsze uważał, by nie pokiereszować mi twarzy, domyślałem się, że zamierzają pokazać mnie jeszcze raz w telewizji i zmusić do ponownego oskarżania mediów zachodnich o wrogość względem Islamskiej Republiki Iranu.

Z czasem jego zachowanie stawało się coraz bardziej nieobliczalne. Na początku przesłuchań odwiedzali go od czasu do czasu inni śledczy, ale odkąd zaczął mnie bić, byliśmy zawsze sam na sam. Musiał samodzielnie odgrywać role zarówno złego, jak i dobrego gliniarza. Po godzinach kopania, bicia mnie „z liścia” i pięścią przynosił mi morele i herbatę.

– Wiesz, Maziar, polubiłem cię – mawiał. – Myślę, że w gruncie rzeczy porządny z ciebie facet, ale obcy wywiad wmanewrował cię w działania przeciw naszemu świętemu systemowi Republiki Islamskiej.

– Ale jaki wywiad, proszę pana?

– Teraz to nie ma znaczenia. Tak sobie tylko gadamy... po przyjacielsku. Przecież sam wiesz lepiej ode mnie, dla kogo pracujesz, więc nie zmuszaj mnie, żebym znów użył rąk.

– Proszę mi jednak pokazać jakiś konkretny dowód przeciw mnie, a udowodnię, że to nieporozumienie.

– Spokojnie, Maziar, spokojnie. Zjedz sobie morelę. Opowiedz mi o swoim życiu. Ile masz rodzeństwa?

Wiedziałem, że doskonale zna odpowiedzi na te pytania, a mnie opowiadanie mu o ludziach, których kochałem, sprawiało więcej bólu niż jego pięści. Czasem Woda Różana uderzał w ton melodramatyczny:

– Jakie to smutne, Maziar. Naprawdę nie chciałbym, żebyś dołączył do swoich zmarłych: ojca, brata i siostry. Pomyśl, jak w takiej sytuacji jesteś potrzebny swojej matce. Bo kto się nią zaopiekuje na stare lata, jeśli będziesz gnął w tym więzieniu albo – niech cię Allah chroni! – zostaniesz stracony?

Robiłem, co mogłem, żeby utrzymać Wodę Różaną w przekonaniu

o skuteczności jego manipulacji. Podczas naszych rozmów siedziałem spokojnie i mówiłem jak najmniej. To go wkurzało i reagował biciem. Na ogół jakoś się trzymałem. Czasami jednak w chłodzie tego pokoju przesłuchań, z opaską na oczach, wszystkie te emocje, które dusiłem w sobie od pięciu miesięcy – od śmierci Marjam – wydobywały się ze mnie pod ciosami jego pięści i płakałem jak nigdy w życiu. Nie chciałem, by matka przeżyła kolejną stratę. Czasem myślałem nawet, by się przyznać do wszystkiego – nawet do najbardziej absurdalnych zarzutów – żeby tylko przestał mówić o mojej rodzinie.

Gdy wracałem do celi, biłem pięściami w ściany tak długo, aż porobiły mi się blizny na dłoniach. Powtarzałem imię Marjam, prosząc ją o pomoc. Moje błagania niknęły w hałasie klimatyzacji, więc strażnik mnie nie słyszał.

„Marjam *dżun*, dlaczego mi nie pomożesz? – krzyczałem. – Czy ciebie też tak traktowali? Te sukinsyny, te bestie...”.

Pewnego poranka Woda Różana był w szczególnie złym humorze. Miał ze sobą perskie tłumaczenia wielu moich artykułów. Choć w swoich tekstach rzadko używam wykrzykników, w przekładach były ich dziesiątki, niemal w każdym zdaniu. Z jakichś nieznanych mi powodów Woda Różana nie cierpiał wykrzykników i widząc ich aż tyle, wpadł w złość.

– Po co pakujesz tyle wykrzykników?! – wrzeszczał na mnie.

– Musiał je dodać tłumacz, bo w mojej oryginalnej angielskiej wersji ich nie ma...

– Kłamiesz! Po co ktoś miałby dopisywać ci wykrzykniki?

Złapał za pas i walnął mnie po udach i plecach. Potem jednak zmienił ton:

– *Agha dżun*, ty wiesz, że robię to dla ciebie – wyszeptał, mając na myśli Chameneiego. – *Agha dżun*, jestem twoim sługą, poświęcam dla ciebie życie. Wiesz, że myślę tylko o twoim szczęściu i zadowoleniu...

Złapał mnie za włosy i zaczął bić otwartą dłonią w tył głowy.

Usłyszałem jakieś dzwonięcie. Myślałem, że to od bicia, ale kiedy już przestał, dzwonięcie nie ucichło.

– Tak, kochanie... – usłyszałem. – Nie bardzo mogę teraz rozmawiać... Czy to coś pilnego?

W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć tej nagłej zmiany. Co miało być „pilne”? I do kogo mówił „kochanie”?

– Nie, nie wiem dokładnie, o której będę w domu, kochanie. Wszystko w porządku?

Zdałem sobie sprawę, że rozmawia przez komórkę, pewnie ze swoją żoną.

– A czy u niej też wszystko w porządku? – zapytał i wyszedł z pokoju, zamykając drzwi.

Schowałem w dłoniach pulsującą bólem twarz. Co to był za człowiek? Jak można kogoś bić tak jak on mnie i zaraz potem rozmawiać tak czule z żoną? Siedziałem jak najciszej, próbując podsłuchać jego rozmowę. Potem nagle zrozumiałem: pomimo posiadanej nade mną władzy Woda Różana był po prostu mężczyzną, który miał pracę. Jak większość ludzi chciał ją utrzymać, żeby zapewnić byt rodzinie. To było dla niego najważniejsze.

Klimatyzacja się wyłączyła i dosłyszałem śmiech Wody Różanej, dobiegający z korytarza. Wiedziałem już, co muszę zrobić: muszę mu pozwolić, by wykazał się przed zwierzchnikami: przekazać tyle informacji, żeby miał się czym pochwalić, ale nie dość, by mógł zaszkodzić moim bliskim i znajomym.

Nagle wszystko stało się jasne. Skoro nie mogłem się przyznać do tego, czego chcieli, musiałem zrobić dla nich coś innego: wykorzystać kontakty z międzynarodowymi mediami. Musiałem się zobowiązać do współpracy i pomóc im w rozpowszechnianiu ich propagandy.

Choć wszystko mnie bolało, poczułem, że się uśmiecham. W końcu ja też miałem coś do zrobienia.

ROZDZIAŁ 14

W następnych dniach telefoniczne rozmowy Wody Różanej z jego żoną stały się częstsze. Z tego, co zdołałem dosłyszeć, jego teściowa była chora. Różni lekarze zalecali różne terapie, a żona Wody Różanej wpadała w desperację. On sam próbował uspokoić ją na tyle, na ile zdołał, ale przeważnie mu się to nie udawało.

– Wiesz, kochanie, że będę, jak tylko zdołam – powiedział jej kiedyś. – Ale mam tyle roboty... Daję mi wszystkie ciężkie sprawy.

Jego żonie to chyba nie wystarczało i chciała dokładnie wiedzieć, kiedy mąż zjawi się wreszcie w domu.

– Mówiłem już, że nie wiem! – odparł gwałtownie i wyłączył telefon.

– Czy wszystkie kobiety są takie namolne, czy tylko Iranki? – zapytał mnie przed kolejnym uderzeniem w głowę.

Zdałem sobie powoli sprawę, że samo wymyślenie mojego planu było względnie łatwe. Trudniej było znieść ból, który towarzyszył jego realizacji. Nastrój Wody Różanej stawał się coraz bardziej chwiejny, a wybuchy jego złości robiły się coraz dotkliwsze. Wydawało się jednak, jakby sobie uświadomił, że bicie mnie nie wystarczy. Musiał sięgnąć po tortury wyższego rzędu – psychiczne.

Pewnego dnia zapytał mnie:

– Czy ty nie masz żadnych przyjaciół ani krewnych?

– Co pan ma na myśli?

– No bo w obronie każdego więźnia organizują jakąś kampanię, robią jakiś hałas, a o ciebie nikt się nie upomina... – Roześmiał się. – Chyba ludzie o tobie zapomnieli, Maziar!

Pewien partyzant, który po rewolucji został śledczym, opowiedział mi kiedyś o skuteczności „białych” tortur. Tortury tego rodzaju opierają się wyłącznie na działaniach psychologicznych, bez kontaktu fizycznego. Jego zdaniem Assadollah Ladżewardi, kierujący Ewinem w latach 80., po kilku latach eksperymentów z torturami fizycznymi doszedł do wniosku, że groźenie śmiercią więźniowi i jego rodzinie jest daleko skuteczniejsze niż wrywanie paznokci czy chłosta. Ladżewardi sam spędził wiele lat w więzieniach szacha, więc wiedział, jak działa trzymanie więźnia w izolacji – i spośród wszystkich rodzajów „białych” tortur uznawał skazywanie więźnia na pobyt w izolatce, bez żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, za metodę najskuteczniejszą.

Mogłem się przekonać o słuszności tego poglądu, gdy Woda Różana zostawił mnie w mojej „karnej” celi na parę dni. Siedziałem otoczony szaro-białymi ścianami, bez okna i bez niczego do czytania, z wyjątkiem Koranu

i modlitewnika. Czasami miałem wrażenie, że jestem już w grobie. Wciąż wykonywałem ćwiczenia fizyczne, ale niezależnie od ich intensywności nie mogłem się pozbyć wrażenia, że zostałem opuszczony.

Widziałem, że Woda Różana kłamał, mówiąc, iż wszyscy o mnie zapomnieli, ale zamknięty w tej ciasnej celi zaczynałem myśleć o najgorszym. „A jeśli Paola nie prowadzi kampanii w mojej sprawie? A może «Newsweeka» rzeczywiście nic nie obchodzi? A co z moimi przyjaciółmi z Channel 4, BBC i innych mediów?”. Pomyślałem o moim siostrzeńcu Chaledzie, mieszkającym teraz w Australii, i o liście nazwisk, którą mu przekazałem. Czy skontaktował się z nimi wszystkimi? Czy narobił jak najwięcej szumu w mojej sprawie? A jeśli tak, to dlaczego nie dotarły do mnie żadne odgłosy? Zastanawiałem się, co Chaled i Paola robili w tym czasie, gdy ja ćwiczyłem swoje pompki i przysiady.

Nawet we śnie nie mogłem uciec od tego poczucia izolacji. Śniło mi się, że wciąż tkwię w mojej ciasnej celi, zapomniany i opuszczony przez wszystkich. Próbowałem krzyczeć i otwierać drzwi, ale nikt mnie nie słyszał. Sam się często budziłem od własnych krzyków, a patrząc na zamknięte metalowe drzwi, nie wiedziałem, czy się obudziłem, czy wciąż śnię. Trwało to przez wiele dni i modliłem się, żeby Woda Różana mnie wreszcie wezwał, a nawet pobił. Mimo wszystko byłby to jakiś ludzki kontakt. Oznaka, że ktoś się mną jeszcze interesuje.

Pewnego dnia obudziłem się i mój wzrok padł na okulary leżące koło koca, którego używałem jako poduszki. „To nie jest życie – pomyślałem, przecierając szkła. – Lepiej sam się zabiję i skompromituję tych sukinsynów. To lepsze niż zgnieć tu w samotności i umrzeć anonimowo”.

Przez dłuższy czas przypatrywałem się okularom; zastanawiałem się, jak wyjąć soczewki z oprawek. Potem mógłbym stłuc jedną z soczewek i wbić sobie jej ostry brzeg głęboko w nadgarstek. Myśl ta była tak żywa, że niemal widziałem krew wyciekającą z mojego ciała i barwiącą zielony dywanik na ciemny brąz.

Wtedy nagle usłyszałem w głowie głos Baby Akbara: „Nie bądź głupi. Po co masz ich wyręczać? Jak chcą cię wykończyć, niech zrobią to sami”.

Rzeczowy głos ojca przerwał moje rojenia, podobnie jak to bywało za moich czasów szkolnych, gdy marzyłem nie wiadomo o czym, zamiast się skupić na nauce.

Porzuciłem samobójcze myśli i przypomniało mi się, co ojciec opowiadał o torturującym go człowieku nazwiskiem Zibaei. Otóż temu Zibaeiemu dłuższy czas zabrało zrozumienie, że tortury fizyczne nie są dość skuteczne.

„Podczas tortur mdlałem – opowiadał ojciec – a kiedy ból sprawiał, że się budziłem, udawałem, że wciąż jestem nieprzytomny, żeby przestał mnie torturować. Nie przeżyłbym, gdybym ujawnił cokolwiek o swoich towarzyszach”.

Chociaż mój ojciec i wszyscy jego towarzysze byli ateistami, większość z nich pochodziła z religijnych rodzin, w których seks był tematem tabu. Śledczy

dobrze o tym wiedzieli. Dwie z ulubionych metod tortur zbirów szacha to gwałcenie i dotykane genitaliów. Jednak niemal dwa lata zabrało oprawcom szacha zrozumienie, że groźenie egzekucją i pozbawianie szansy na widzenie z rodzinami było znacznie skuteczniejsze.

„Śledczy udawał mojego przyjaciela i wypytywał o rodzinę – opowiadał ojciec. – Pytał, czy tęsknię za żoną i dzieckiem. Z początku nie odpowiadałem, bo wiedziałem, że będzie to chciał wykorzystać przeciw mnie, ale kiedy wreszcie powiedziałem, że tak, pozwolił Moludżun przynieść Babaka na widzenie”. Ojciec zawsze musiał powstrzymywać łzy, gdy wspominał o tamtych chwilach. „W następnym tygodniu powiedział mi, że jeśli nie podam nazwisk moich towarzyszy i nie powiem, gdzie się mogą ukrywać, to już nigdy nie zobaczę Babaka i Moludżun. – W tym momencie duże oczy ojca były już pełne łez. – *Bi szaraf ha* – mówił. – Oni nie mają za grosz przyzwoitości”.

Dorastałem, słuchając, jak przyjaciele ojca wychwalali jego siłę w więzieniu. Podobno jedynym powodem, który pozwolił mu uniknąć śmierci, było to, że miał kuzyna w armii. Jednak wielu innych członków Tudehu załamało się pod wpływem tortur fizycznych i psychicznych. W latach 1954–1956 wywiad szacha odnalazł zaszyfrowaną listę członków partii Tudeh i jej organizacji wojskowej, a po pewnym czasie zdołał ją odczytać. Do 1957 roku, gdy nastąpiły ostatnie egzekucje członków Tudehu za rządów szacha, większość przywódców partii została zamordowana, wtrącona do więzień albo przebywała na wygnaniu.

Chociaż pamięć o odwadze ojca dodawała mi siłę, wiedziałem, że w Ewinie muszę stawić czoło innym problemom niż on w latach pięćdziesiątych. Ojciec miał konkretne informacje o wielu osobach i miejscach, gdzie mogły się one ukrywać. Torturujący go strażnicy chcieli od niego wydobyć prawdę w zamian za jego własne ocalenie. Ja zaś przechodziłem tortury, bym się zgodził kłamać na temat swój i innych osób w celu uwierzytelnienia reżimowej wersji przebiegu wyborów. Mój ojciec mawiał, że żał mu było szacha: „To był żaloszny człowiek, bujający w obłokach, który wierzył we własne kłamstwa oraz w kłamstwa na swój temat, które opowiadali mu inni ludzie”. Mając na względzie słowa ojca, było mi żal Chameneiego – następnego pożałowania godnego despoty.

Siedziałem już w więzieniu od jakiegoś miesiąca, gdy pewnej nocy, już po wieczornych modłach, Woda Różana wziął mnie do nowego pokoju przesłuchań.

– Jak się czujesz, przyjacielu? – zapytał tonem przypominającym mi ten z pierwszych dni po aresztowaniu. – Wiesz, Maziar, muszę ci coś powiedzieć... Moi szefowie nie byliby zadowoleni, ale... I tak muszę ci to powiedzieć.

Falsz w jego głosie zdradzał, że próbuje mną manipulować, ale i tak chciałem usłyszeć, co ma mi do powiedzenia.

– Moi szefowie nie są zadowoleni z twojego występu telewizyjnego i chcą z twojej sprawy zrobić pokazówkę. – Pochylił się nade mną i szepnął mi do ucha:
– Nie powinienem tego mówić, ale oni uważają, że poprzez twoją egzekucję dadzą dobrą lekcję innym...

Przeszły mnie ciarki, gdy Woda Różana kazał mi zdjąć opaskę na oczy. Zobaczyłem koszyk z owocami i warzywami stojący na stole. Wziął z niego trzy małe ogórki i obrał je powoli. Potem położył na talerzyku wraz z kilkoma morelami i przysunął to do mnie, razem z plastikową solniczką w czerwone kropki.

– A może napiłbyś się nescafé? – zapytał. – Wiem, że wy cudzoziemcy lubicie taką kawę. Zrobię ci „neski” – powiedział, wychodząc z pokoju.

„Nescafé? Co on kombinuje?” – pomyślałem. Słowo „egzekucja” wisiało w powietrzu i zrobiło mi się niedobrze. Podniosłem z talerzyka ogórka i posypałem solą, ale nie wziąłem go do ust. Woda Różana wrócił do pokoju i postawił na stole kubek z gorącą wodą, a obok położył torebkę nescafé.

– Mleko? Może cukier? – zapytał.

– Nie, dziękuję. – odrzekłem.

W ogóle nie lubiłem kawy rozpuszczalnej.

– Naprawdę? Nie dodajesz mleka i cukru do kawy? – zdziwił się Woda Różana.

Nie mogłem powstrzymać się od pytania:

– Dlaczego chcą mnie zabić?

– Daj spokój, Maziar. Czemu nie weźmiesz mleka i cukru do kawy?

– Nie mogę pić nescafé, proszę pana – skłamałem, nie wiedząc, jak mu powiedzieć, że dla mnie ma obrzydliwy smak. – Mam alergię na neskę.

„Co oni chcą osiągnąć, zabijając mnie?” – przebiegło mi przez myśl.

Woda Różana klepnął mnie w tył głowy.

– Co to znaczy, że masz alergię na kawę? W twoich e-mailach wciąż jest mowa o spotkaniach w różnych kawiarniach. A może moja kawa jest za licha dla ciebie? – Chyba był naprawdę urażony. Znów strzelił mnie otwartą dłonią w tył głowy w taki sposób, w jaki irańscy garncarze rozklepują glinę przed jej modelowaniem na kole.

– W porządku, wypiję tę kawę – powiedziałem. W głowie paliła mnie migrena. – I dodam mleka i cukru.

Przygotował mi kubek neski i uspokoił się.

– Moi zwierzchnicy postanowili skazać cię na śmierć w tym tygodniu, żeby inni ludzie zamieszani w działalność wywrotową wyciągnęli z tego stosowne wnioski – powiedział, biorąc kolejny owoc z koszyka na stole. – W takich nadzwyczajnych sytuacjach jak ta między rozprawą i egzekucją mija tylko parę dni. To coś w rodzaju sądu wojennego. Bo przecież podburzałeś ludzi przeciw świętej Republice Islamskiej, najwyższemu przywódcy i Allahowi... Dlatego

uznano cię za mohareba i zostaniesz skazany na śmierć przez powieszenie. – Położył obie dłonie na moich ramionach. – Nie miej do mnie żalu, Maziar. Ja jestem tylko narzędziem. Naprawdę nie chciałem, żeby tak się stało. Robiłem, co mogłem, żeby temu zapobiec... – Przez kilka minut chodził za moimi plecami, a potem położył morelę na moim talerzyku. – Ale wiesz, Maziar, ja myślę, że jest jeszcze szansa, żebyś mógł okazać skruchę...

Zrozumiałem, że nadszedł czas, by wreszcie wystąpić ze swoim planem.

– Tak, proszę pana, czuję skruchę. Popełniłem w przeszłości pewne błędy, ale proszę mi pozwolić na poprawę. Mogę się jeszcze przydać islamskiemu systemowi... – Obawiałem się, że mój głos zabrzmiał zbyt desperacko.

– To znaczy? – zaniepokoił się Woda Różana.

– Mogę ujawnić wszystkie tajne sposoby, w jakie zachodnie media manipulują naszą młodzieżą i próbują obalić nasz rząd. Mogę udzielić więcej wywiadów. Mogę powtórzyć innym dziennikarzom dokładnie to, co Hadż Agha powiedział mi o mediach.

Jednak Woda Różana nie połknął haczyka. Widocznie dostał szczegółowe instrukcje: miałem oskarżyć o jakieś przestępstwa Rafsandżaniego, Musawiego, Chatamiego, Karrubiego, Montezariego i Saneiego.

– A powiesz, jak kontaktowałeś ich z zachodnimi agencjami? – zapytał. Podszedł do mnie bliżej. – Maziar, zawrę z tobą układ. Jeśli oskarżysz trzech z tej szóstki, upewnię się osobiście, że jutro wyjdiesz z więzienia.

Chyba naprawdę chciał zawrzeć ten układ. To był „nowy początek”, na który czekałem.

Kiedy studiowałem w Montrealu, dorabiałem sobie jako sprzedawca dywanów. Nauczyłem się wtedy, że jeśli ktoś chce ubić z tobą interes, nie powinieneś się zgadzać na jego pierwszą ofertę.

– Tylko że, proszę pana, ja nie znam dobrze żadnego z tych ludzi. Nie mogę opowiadać na ich temat jakichś zupełnie wymyślonych historyjek.

Woda Różana strzelił mnie znów „z liścia”. Wydawało mi się, że poczułem pętlę na szyi.

– Ty chyba jednak chcesz umrzeć, Maziar...

Potem usiadł na stole przede mną i zaczął chrupać posolonego ogórka.

– Wiesz, pewnego poranka – zaczął znów – jeszcze przed poranną modlitwą obudzi cię strażnik i spyta, czy masz jakieś ostatnie życzenie... Parę chwil później znajdziesz się pod szubienicą, a zaraz potem będziesz już dyndał w powietrzu...

– Powoli przeżuwał ogórka. – A czy ty wiesz, że umiera się dopiero po trzech do pięciu minut od powieszenia, tak średnio licząc? A są to najboleśniejsze, wręcz potworne minuty w życiu. Będziesz wtedy żałował, że ze mną nie współpracowałeś... No więc jest szubienica i jesteś ty. A pomiędzy jestem ja. Pomóż mi i pomóż sobie.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Otworzył okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– Załatwiłem już co trzeba, żebyś mógł po raz ostatni zobaczyć matkę i szwagra. Stanie się to za parę dni.

Słyszając, że będę mógł zobaczyć Moludżun i Mohammada, poczułem pewną ulgę. Spuściłem głowę i przysiągłem sobie nie płakać na wspomnienie o mojej matce. Czulem jedynie krople potu na plecach.

– Moludżun... – powiedziałem cicho do siebie – Marjam, Paola, Moludżun...

– Co tam mamrocześ, Maziar? – zapytał ze śmiechem Woda Różana i poklepał mnie po plecach. – Wracaj do celi i przemyśl to, o czym rozmawialiśmy.

Dziwiło mnie czasem, że podczas moich wyimaginowanych rozmów głos matki dochodził do mnie rzadziej niż ojca czy siostry. Ale nie potrzebowałem słyszeć jej głosu, by czuć natchnienie jej siłą. Tak jak kiedyś chroniła mnie przed wieloma niebezpieczeństwami życiowymi, tak teraz była mi tarczą przed torturami Wody Różanej. Zdołałem oprzeć się jego słownej i fizycznej presji, bo wiedziałem, że Moludżun wciąż mnie ochrania.

Oczekując wizyty matki, wspominałem, jak mnie wspierała w trudnych latach licealnych. Nigdy nie przykładałem się zanadto do szkolnej dyscypliny. Mamę często wzywali do szkoły, gdy łapano mnie na wagarach w bibliotece narodowej, gdzie czytałem stare gazety, albo na czytaniu podczas lekcji powieści czy książek o filmie. O ile inni rodzice wpadali często w gniew, dowiadując się o takich buntowniczych zachowaniach swoich dzieci, moja matka, która przez dwadzieścia siedem lat sama uczyła w podstawówce, zanim przeszła na emeryturę w 1973 roku, zawsze mnie broniła. „Nie rozumiecie młodzieży – mawiała szkolnym dyrektorom. – Nie znacie idei, które ich poruszają, ich potrzeb ani tego, jak trudny czas mają w tym społeczeństwie. Najłatwiej wyrzucić ich ze szkoły i po kłopotcie”.

Niezbyt kompetentni dyrektorzy szkół nigdy nie wiedzieli, jak racjonalnie odpowiedzieć mojej matce. Ale uświadamiali sobie, że najlepiej będzie mnie jednak wyrzucić, żeby nie spotykać się już więcej z tak silną matką jak moja.

Przed wizytą matki i Mohammada pozwolono mi zadzwonić dwa razy do domu, dając mi za każdym razem po parę minut. Woda Różana chciał koniecznie wiedzieć, kto z moich przyjaciół kontaktował się z moją rodziną. Podczas obu rozmów przysuwał ucho do aparatu i scenicznym szeptem dopytywał się: „A kto dzwonił do twojej rodziny?”.

Woda Różana nie wiedział, że moja matka była za sprytna, by nabrać się na takie numery. „Nikt nie dzwonił – mówiła. – Nikt z wyjątkiem Paoli i twojego siostrzeńca”.

Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, przez co przechodziła matka. Ale jej głos uspokajał mnie. Pamiętałem czasy, gdy Marjam dzwoniła do nas z więzienia w Ahwazie, a Moludzun wybuchała płaczem zaraz po rozmowie z córką, lecz zawsze dopiero w swoim pokoju, by nikogo dodatkowo nie martwić. Jednak rozmawiając z Marjam, dawała z siebie wszystko – całą swoją odwagę i siłę – by brzmieć spokojnie i krzepiąco. Myślałem potem często, że kojące i pełne współczucia słowa mamy pomagały Marjam przetrwać więzienie.

Rankiem przed wizytą ostrzyżono mnie i ogolono. Gdy fryzjer robił swoje, Woda Różana stał obok mnie i dawał instrukcje, o czym mogę, a o czym nie mogę rozmawiać podczas widzenia. Nie mogłem pytać matki o prawnika, o którym wspominała.

– Ani słowa też o twoich przyjaciółach spoza Iranu i nic o politycznych wydarzeniach w kraju – zadysponował Woda Różana. Nasza rozmowa miała się ograniczać do spraw rodzinnych oraz zdrowia mamy i Mohammada. Mieli też kogoś wyznaczyć do siedzenia z nami przy stole i nadzorowania spotkania.

– Jedno słowo wykraczające poza normalne rodzinne sprawy i widzenie zostanie przerwane – powiedział Woda Różana. – Zrozumiałeś? – ryknął mi do ucha i strzelił dłonią w tył głowy.

– To twój śledczy? – zapytał fryzjer, gdy Woda Różana wreszcie sobie poszedł.

– Tak.

Na twarzy fryzjera pojawił się przeblysłk współczucia.

– No to masz pecha...

Założyli mi opaskę na oczy, zaprowadzili do samochodu, a potem wieźli parę minut z budynku, gdzie mieściła się moja cela, do pokoju widzeń. Woda Różana był cały czas przy mnie i nie omieszkał mi udzielić dalszych napomnień.

– Zapamiętaj twarz swojej matki, Maziar. To może być ostatni raz, kiedy ją widzisz. Pomyśl, co będzie czuła, gdy za kilka dni pójdziesz na szubienicę, bo nie chciałeś nam powiedzieć, dla której zagranicznej agencji pracowałeś...

Pokój widzeń okazał się obszernym pomieszczeniem z białymi ścianami, oświetlonym jarzeniówkami. Stało tam ze dwadzieścia białych, okrągłych, plastikowych stolików, a przy każdym znajdowały się cztery białe plastikowe krzesła. Sala była bardzo czysta i wydawało się, że władzom więziennictwa mocno zależało, by odwiedzające rodziny miały dobre wyobrażenie na temat warunków życia w Ewinie. Paru ludzi w stosunkowo czystych niebieskich kombinezonach zmywało mopami podłogę. Na sali nie widziałem żadnych umundurowanych strażników, ale wszędzie wokół wisiały kamery monitoringu.

Paru więźniów siedziało już przy stołach, przegryzając coś wraz ze swoimi gośćmi. Nie zauważyłem żadnej znajomej twarzy. Usiadłem ze strażnikiem mającym kontrolować naszą rozmowę. Był to pulchny facet w średnim wieku

z małym wąsikiem. Nosił białą koszulę wyrzuconą na spodnie. Uśmiechał się i zaproponował mi paczuszkę solonych pestek słonecznika. Potem wyjaśnił mi, że kiedyś pokój widzeń był podzielony na czworokątne boksy...

– Jednak z uwagi na islamską życzliwość władze postanowiły usunąć te przepierzenia, by więźniowie i ich bliscy mogli się cieszyć większą przestrzenią – powiedział.

W jego głosie nie dosłyszałem ani śladu ironii. Sądził chyba, że aresztowanie, więzienie i torturowanie niewinnych ludzi jest absolutnie w porządku, dopóki zapewni im się fryzjera, schludne miejsce do spotkania z rodzinami, a nawet przekąskę.

Siedziałem ze wzrokiem utkwionym w drzwi wejściowe, czekając, aż zobaczę twarz matki. Od czasu, gdy się z nią pożegnałem ponad miesiąc temu, przesładowało mnie jej smutne spojrzenie. Poczulem łzy w oczach.

– Panie Bahari, jest pan dorosłym mężczyzną, nie powinien pan płakać – powiedział strażnik.

Chciałem go posłać do diabła, ale zamiast tego poprosiłem, by mnie zaprowadził do łazienki, żebym mógł sobie obmyć twarz. Nie chciałem, by mama zobaczyła, że płakałem. Stojąc przed umywalką, próbowałem sobie przypomnieć jakieś zabawne sceny z filmów – żeby przestać płakać – ale starając się wywołać z pamięci sceny z *Polowania na druhny* albo z *Czterdziestoletniego prawiczka*, nadal myślałem, jak to Woda Różana bił mnie, bo nie lubiłem neski.

Od czasu, gdy w 1953 roku nadwerżyła sobie kręgosłup od dźwigania ulotek Tudehu – a była wtedy w ciąży z Babakiem – mama miała kłopoty z chodzeniem po schodach. Żeby dostać się do pokoju widzeń, musiała pokonać ciąg stromych schodów, więc kiedy wreszcie pokazała się w drzwiach, dostrzegłem ból na jej twarzy. Poczulem się jeszcze bardziej winny – bardziej nawet niż za to, że znów musiała oglądać kogoś z rodziny w więzieniu.

Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, wiedziałem, że mama starała się mocno udawać silną – tak zresztą jak i ja, próbujący desperacko uchronić ją przed strachem i samotnością, które czułem każdej nocy w celi, gdy moje myśli błądziły często wokół szkielec okularów i pomysłu podcięcia sobie żył. Ale te zasłony, które tak starannie oboje zaciągaliśmy, opadły zaraz po tym, gdy padliśmy sobie w ramiona.

– *Mazi dżaan, Mazi dżaan, czech ghadr laghar szodi* – powiedziała natychmiast, gdy zobaczyła, jak schudłem. Jej osiemdziesięcioletnie ciało trzęsło się od szlochu.

Mohammad – jak zawsze wcielenie siły i spokoju – stał obok mojej matki. Próbował uspokoić nas oboje i zachęcał, byśmy usiedli. Zrobiliśmy, jak nam powiedział, ale nie mogliśmy przestać płakać. W pierwszej chwili matka nie zauważyła strażnika siedzącego przy naszym stole. Gdy go wreszcie dostrzegła,

posłała mu zabójczo pogardliwe spojrzenie.

– A kto to jest? – zapytała mnie głośno, by ten facet na pewno usłyszał. A potem odwróciła się do niego i zapytała: – Ma pan dzieci?

Zaskoczony mężczyzna wyjąkał, że nie jest żonaty.

– A to dlaczego? Myślałam, że wasze matki zmuszają was do wczesnego ożenku – powiedziała, mając na myśli religijne rodziny wielu popleczników reżimu.

Spróbowałem zmienić temat:

– A jak ty się czujesz, Moludzun?

– W porządku – odparła machinalnie, a potem znów zwróciła się do strażnika, chcąc go najwyraźniej zawstydzić z powodu zawodu, jaki sobie obrał:

– Dlaczego nie ma pan własnej rodziny?

– Nie zajmuj się, mamu, rodziną tego pana – wtrąciłem. – Ma na pewno swoje dobre powody, skoro się jeszcze nie ożenił. Jesteś w kontakcie z Paolą?

– Tak, dzwoniła do mnie kilka razy... – Paola nie mówiła po persku, więc prosiła o tłumaczenie moją półirańską przyjaciółką Lizzy. – *Paola mahshareh* – powiedziała matka, nazywając Paolę „nadzwyczajną”. Zrozumiałem, co to znaczyło: Paola walczyła o mnie, i to z całych sił. Lata odwiedzin u więźniów politycznych nauczyły matkę, jak przekazywać ważne treści jednym czy dwoma słowami. To właśnie chciałem usłyszeć – i mama o tym wiedziała.

Ponieważ nie mogliśmy mówić o niczym związanym z moją sprawą ani z wynajętym przez matkę adwokatem, spędziliśmy te piętnaście minut, rozmawiając o różnych bliższych i dalszych krewnych i powinowatych. Zaczęło mi się robić naprawdę żal strażnika, więc za każdym razem wyjaśniałem mu, o kim mówimy. Co pewien czas – ku naszemu zdumieniu – on sam wtrącał krótkie komentarze do naszej rozmowy. W pewnej chwili mama zapytała:

– Siedzisz wciąż w izolatce?

Strażnik zareagował błyskawicznie:

– Proszę mówić tylko o sprawach rodzinnych!

– Oczywiście – powiedziała matka – ale pan nam ciągle przerywa!

Posłałem strażnikowi przepaszające spojrzenie i spróbowałem zmienić temat, pytając o epidemię świńskiej grypy, która zaczęła się parę miesięcy przed moim aresztowaniem. Zanim Mohammad zdążył coś odpowiedzieć, matka wypaliła:

– Prawdziwą świńską grypą jest ten rząd, który gnębi nas od trzydziestu lat!

– Moludzun! – wykrzyknąłem z udawanym przerażeniem, ale w głębi duszy byłem dumny z matki. Strażnika zatkało i przez resztę rozmowy siedział cicho. Gdy się ściskaliśmy na pożegnanie, matka szepnęła mi do ucha: „Nie martw się o nic. Paola robi wszystko, żeby cię stąd wyciągnąć”. Mohammad nie miał mi nic szczególnego do powiedzenia, ale gdy patrzyłem na jego twarz – spokojną i ufną

– byłem przekonany, że wszystko, co można było dla mnie zrobić za murami więzienia, zostało rzeczywiście zrobione. Miałem nadzieję, że wrócę do swojej celi, gdzie będę mógł się cieszyć wspomnieniem głosu i twarzy mojej mamy, ale zabrano mnie wprost do pokoju przesłuchań, gdzie czekał już Woda Różana. Przynal się krzesło blisko mnie i wyszeptał:

– Żal mi ciebie, Mazi. – Po raz pierwszy nazwał mnie tym zdrobnieniem. Domyśliłem się, że podsłuchiwał naszą rozmowę i dosłyszał, jak zwraca się do mnie moja matka. No, ale w ustach przyjaciół i rodziny to zdrobnienie brzmiało znajomo i czule, a gdy używał go Woda Różana, brzmiało wręcz obleśnie.

– Jaki ty jesteś śmieszny, Mazi. Gnijesz w tym więzieniu za ludzi, którzy się z ciebie śmieją. Czy nie nabrałeś jeszcze rozsądku, zobaczywszy smutną twarz matki? Wciąż nie chcesz współpracować?

Po tym wszystkim, co się wydarzyło tego dnia i w ciągu paru poprzednich, byłem na skraju załamania psychicznego i fizycznego. Wiedziałem, że nigdy nie będę współpracować z Wodą Różaną, ale presja stawiała się nie do zniesienia. Spuściłem głowę i wyszeptałem swoją prywatną mantrę: „Moludzun, Marjam *dżun*, Paola, Moludzun, Marjam *dżun*, Paola”. Wymawianie tych imion dodawało mi sił.

– Co ty tam mruyczysz? – zapytał Woda Różana, chwytając mnie za włosy. Ale nie zwracałem na niego uwagi i wciąż powtarzałem imiona kochanych przeze mnie osób.

– Co ty tam mruyczysz? Pytam! – powtórzył i uderzył mnie w tył głowy. Jednak wciąż go ignorowałem. Woda Różana zwinął papiery, na których miałem oskarżyć reformistycznych przywódców, i strzelił mnie nimi w głowę.

– *Bad bakht*, nieszczęśniku, umrzesz tutaj, ty *bad bakht*! – powtórzył, bijąc mnie po twarzy.

Żeby się osłonić, podniosłem dłonie, ale odepchnął je z taką siłą, że spadłem z krzesła. Leżałem na podłodze, lecz nie przestawał mnie bić. Widziałem jego twarz, czerwoną z wściekłości.

– *Negah nakon!* Nie patrz na mnie! – krzyczał, nie przestając mnie okładać. – *Bad bakht chodam mikoszemet!* Zabiję cię, ty nędzny człowieczku! – Kopnął mnie parę razy.

Leżałem na podłodze, oddychając ciężko. Dzwonił jego telefon, ale Woda Różana nie odbierał.

Gdy ślina Wody Różanej zaczęła mi zasychać na twarzy, dopadła mnie znów migrena. Czuję się sponiewierany, ale jakby przybyło mi sił: nie podpisałem przecież fałszywych zeznań. W tej chwili byłem z siebie dumny. Gdy wróciłem do celi i położyłem się na zielonym dywaniku, poczułem obecność ojca. Wiedziałem, że on także był teraz ze mnie dumny.

Sfilmowałem kiedyś człowieka wiszącego na szubienicy. Był to Sajed Hanei, religijny seryjny zabójca, który zamordował szesnaście prostytutek w Meszhedzie na północnym wschodzie kraju. Zrobiłem z nim wywiad w tamtejszym więzieniu na parę miesięcy przed jego egzekucją i wiedziałem, że nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Hanei powiedział mi, że te morderstwa otworzyły mu drogę do raju.

Gdy obudziłem się po kilku godzinach ze znajomym bólem w nogach, spowodowanym spaniem na podłodze, wciąż miałem przed oczami postać Haneiego. Gdy próbowałem na nowo zasnąć, bałem się, że znów będzie mi się śnił ten wisielec. Ale tym razem przyśnił mi się nie Hanei, lecz Woda Różana. W moim śnie byliśmy wciąż w więzieniu, tyle że teraz to ja przesłuchiwałem jego. W odróżnieniu od tamtego seryjnego mordercy Woda Różana żałował za swoje przeszłe czyny i krępował się o nich mówić. We śnie widziałem wyraźnie twarz Wody Różanej: jego duża głowa pokryta była kroplami potu, zarost miał wyraźniejszy, a grube okulary zasnuła mgła. Szkolne krzesło, na którym siedział, było dla niego za małe i nie mógł usiedzieć na miejscu.

Zadawałem mu pytania; stałem nad nim i patrzyłem mu w oczy. Zadziwiająco, co w nich znalazłem – to nie był wzrok bestii, lecz zwykłego człowieka.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że jestem szpiegiem? – spytałem.

Nie odpowiedział i spuścił oczy, unikając mojego wzroku.

– Musiałem jakoś zarabiać na utrzymanie – powiedział cicho. – Przecież nie podejmowałem żadnych decyzji...

– A dlaczego akurat mnie oskarżyli o szpiegostwo?

– Nie gniewaj się...

– Ale dlaczego akurat mnie?

– Nie wiem, przykro mi. – Odpowiedź Wody Różanej przypomniła mi pewien wywiad z południowoafrykańskim strażnikiem więziennym torturującym więźniów za czasów apartheidu. Pytany o swoje zbrodnie, mężczyzna nie miał żadnej odpowiedzi, z wyjątkiem obwiniania innych ludzi i powtarzania, że mu przykro.

– Dlaczego mnie biłeś? Dlaczego biłeś mnie otwartą dłonią, pięścią albo kopałeś?

Woda Różana wciąż siedział ze spuszczoną głową.

– Nie myślę, żebyś był szpiegiem – powiedział – ale oni potrzebowali jakiegoś szpiega, a moja robota polegała na tym, żeby takiego szpiega znaleźć, choćby to miała być lipa.

Z każdym słowem Woda Różana robił się jakby bardziej skruszony. Nie byłem pewien, czy tylko udawał, czy też naprawdę czuł się winny. Wydawał się zmagać z jakąś niewidzialną siłą, która spychała go z krzesła. Chciałem mu przywalić w ten sam sposób, w jaki on mnie bił, ale natychmiast przeraziłem się

swoim odruchem.

„Przestań go już przesłuchiwać – usłyszałem głos ojca. – On robi z ciebie bestię!”.

Nagle Woda Różana znalazł się daleko ode mnie, na drugim końcu pokoju. Próbowałem się do niego zbliżyć, ale leżał już na podłodze i ktoś – lub coś – zadawało mu śmierć. Umierał szybko. Gdy wreszcie do niego dotarłem, był już martwy. Jego ciało gniło, oblaży go robaki. W ciemniejącym pokoju usłyszałem głośny śmiech.

Obudziłem się, czując mdłości. Sięgnąłem od razu po plastikową torbę, w której przyniesiono mi śniadanie. Siedziałem w kącie celi, pocąc się i drżąc na całym ciele.

Tydzień później chodziłem po spacerniaku tak szybko, jak mogłem. Wciąż byłem obolały po uderzeniach Wody Różanej i wielu nieprzespanych nocach. Ponadto niepokoił mnie fakt, że nie widziałem go już od kilku dni i nie wiedziałem, co dla mnie szykuje.

– Za dużo ćwiczysz – rzekł Niebieskooki Sejjed, kiedy odprowadzał mnie do celi. Tym razem jednak nie zamknął i nie zablokował za mną drzwi, co zawsze robił. Rozejrzał się uważnie po mojej małej komórce i dodał: – Lepiej ci będzie w czymś mniejszym. Bierz swoje rzeczy. Masz zmienić celę.

Te „moje rzeczy” to były dwa koce, butelka z wodą, Koran i modlitewnik. Strasznie chciało mi się poczytać, ale obie te książki były po arabsku, którego nie znałem. W każdym razie zabrałem wszystko i poszedłem za Niebieskookim Sejjedem. Wbrew temu, co mówił, nowa cela okazała się znacznie większa i czystsza od poprzedniej – a najważniejsze: miała okno. Gdy zostałem sam, usłyszałem, jak dwaj inni więźniowie rozmawiają ze strażnikiem. Od razu rozpoznałem ich głosy: były wiceprezydent Mohammad Ali Abtahi siedział w celi obok, a były wiceprzewodniczący parlamentu Behzad Nabawi w celi naprzeciwko.

Obaj zaliczali się do najbardziej prominentnych i wpływowych postaci w obozie reformistów. Mohammad Ali Abtahi, pulchny, zawsze uśmiechnięty mężczyzna po pięćdziesiątce, był otwarcie myślącym duchownym. Przez osiem lat sprawował funkcję wiceprezydenta przy Mohammadzie Chatamim. Był pierwszym wybitnym politykiem irańskim prowadzącym bloga, w którym krytykował konserwatystów dominujących w armii i sądownictwie.

Behzad Nabawi spędził wiele lat w więzieniu za czasów szacha, a w pierwszych latach islamskiego reżimu sprawował kilka ważnych funkcji. Przed wyborami „Newsweek” poprosił mnie o zestawienie listy najbardziej wpływowych Irańczyków. Umieściłem na niej Nabawiego. Według pewnego proahmadineżadowskiego konserwatywnego intelektualisty, z którym

rozmawiałem, Nabawi był „najbardziej szczwanym elementem w irańskiej polityce. Jestem pewien – mówił dalej mój rozmówca – że stoi za wszystkimi spiskami wymierzonymi w najwyższego przywódcę”. Chamenei musiał być tego samego zdania. Nabawi znalazł się w pierwszej grupie ludzi aresztowanych po wyborach na jego rozkaz. Później Nabawi twierdził, że nakaz jego aresztowania został wydany wiele tygodni przed wyborami, a Strażnicy Rewolucji jedynie czekali na dogodny moment, by go wsadzić do więzienia.

Nie wiedziałem, dlaczego umieścili mnie wśród tak wpływowych osobistości. Usiadłem na podłodze, patrzyłem w okno i szukałem sił, by znaleźć w tej nowej sytuacji jakąś jaśniejszą stronę. Przede wszystkim moja nowa cela była większa, czystsza i mogłem znów cieszyć się światłem słonecznym. Zwinąłem starannie dwa koce w rodzaj długiej poduszki – podobnej do tej, jaką mieliśmy w naszym londyńskim domu. Ułożyłem tę poduszkę na podłodze, zamknąłem oczy i skupiłem się na łagodnym dotyku słonecznych promieni.

Kilka dni później – a był to poranek pierwszego sierpnia 2009 roku, w czterdziestym drugim dniu mojego pobytu w Ewinie – miałem wyjątkowo piękny sen. Śniło mi się, że byłem w Chorwacji i kochałem się z Paolą. Dopiero co zjedliśmy jedno z moich ulubionych dań: dalmatyńskie grillowane kalmary z kieliszkiem zimnego białego wina. Leżeliśmy na piaszczystej plaży, a miętka skóra Paoli ciemniała powoli od słońca. Ścierałem kropelki potu z jej pośladków...

Nagle otworzyło się górne okienko w drzwiach mojej celi.

– *Szazdeh, paszo!* Wstawaj, mój książę! – To był strażnik Brązowe Sandały.
– Załóż to na siebie! – Na podłodze wylądowały nowy uniform więzienny i opaska na oczy. Brązowe Sandały poczekał na zewnątrz, aż się przebiorę. Nie wiedziałem, co jest grane, i myślałem wciąż byłem przy Paoli na adriatyckiej plaży.

– Jestem zaszczycony towarzystwem panów Abtaiego i Nabawiego – rzuciłem, ubierając się. Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś o przyczynach, które sprawiły, że mnie tu przeniesiono. Byłem jednak zdumiony, gdy Brązowe Sandały rzeczywiście mi odpowiedział:

– Słyszałem, że będziesz sądzony razem z nimi. Mówią, że trzeba cię znów ostrzec.

Przed łazienką czekało na strzyżenie kilku innych więźniów. Gdy przyszła moja kolej, jakiś strażnik posadził mnie na stołku i w parę sekund przystrzygł mi włosy i brodę.

– Trochę żelu? – zapytał.

„Paradne! – pomyślałem. – Odmawiają ci twoich podstawowych praw, a potem, gdy chcą cię postawić przed sądem, oferują ci nawet żel do włosów”.

– A owszem, poproszę – powiedziałem.

Po strzyżeniu wyprowadzili mnie na zewnątrz. Słyszałem, jak wokół kręciły się dziesiątki ludzi. Kakofonia głośnych rozkazów i pytań.

W końcu oddzielono mnie od tej ciżby i zabrano do jakiegoś ciemnego pokoju, gdzie pozwolono mi zdjąć opaskę na oczy i podano śniadanie: chleb, ser i herbatę. Byłem głodny, ale z trudem przełykałem jedzenie: czy to prawda, że stanę dziś przed sądem, że niedługo mnie zabiją? Chleb nie chciał mi przejść przez gardło.

Nagle pojawił się Woda Różana i położył dłoń na moim ramieniu.

– Co? Myślałeś, że z tym procesem to był żart?

Milczałem.

– Będziesz miał dziś proces, a potem wywiad – powiedział. – Później zasugeruję sędziemu wyrok wynikający w stu procentach z twojego zachowania. Dzisiaj potrzebujemy nazwisk, Maziar. Potrzebujemy mnóstwa nazwisk.

Potem zostałem na długi czas sam w tym ciemnym pokoju. Słyszałem wezwanie na poranną modlitwę, ale nikt nie przyszedł, by zaprowadzić mnie do łazienki. Wypiłem dwa kubki herbaty i bardzo mi się chciało do toalety, ale powiedzieli, żebym siedział na krześle i się nigdzie nie ruszał.

Wreszcie po czasie, który wydawał mi się wiecznością, przyszedł po mnie jakiś strażnik. Założył mi kajdanki, a potem posadził z tyłu samochodu. Dopiero gdy wyjechaliśmy na drogę ekspresową Czamran, jakąś milę na południe od Ewinu, pozwolili mi zdjąć opaskę z oczu. W samochodzie było trzech uzbrojonych strażników ubranych po cywilnemu.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

– Cicho – powiedział jeden ze strażników. – Niedługo się dowiesz.

Po raz pierwszy od sześciu tygodni byłem poza murami Ewinu. Starłem się zapamiętać każdą widzianą scenę, każdą twarz. Wiedziałem, że niedługo wrócę do swojej celi, więc desperacko chłonałem świeże obrazy świata zewnętrznego. Wszystko wyglądało tak jasno: barwy były żywsze, niż pamiętałem, i wydawało mi się, że nawet wiatr ma delikatny odcień błękitu. Zadzwoił telefon jednego ze strażników.

– Nie... Tadzbachsza nie ma z nami – powiedział strażnik. – My mamy Bahariego.

Usłyszawszy nazwisko Tadzbachsza, poczułem się, jakby Woda Różana ponownie uderzył mnie w tył głowy otwartą dłonią. „Co jest, do diabła? – pomyślałem. – To Tadzbachs jest jeszcze w Iranie?”

W latach 2003–2007 irańsko-amerykański naukowiec Kian Tadzbachs pracował dla Instytutu Społeczeństwa Otwartego, organizacji zarządzanej przez miliardera George’a Sorosa, promującej demokratyczne wartości w byłych krajach komunistycznych i w wielu innych państwach. Tadzbachs miał na swoją pracę oficjalne pozwolenie irańskiego MSZ, ale w 2007 roku został aresztowany i spędził

cztery miesiące w Ewinie. Zatrzymanie jego i dwóch innych naukowców rozpoczęło pierwszą fazę aresztowań ludzi oskarżanych o podżeganie do aksamitnej rewolucji w Iranie.

Rola Instytutu Społeczeństwa Otwartego w pokojowych przewrotach w Gruzji (2003) i na Ukrainie (2004) nie była tajemnicą. Instytut miał biura w obu tych krajach i otwarcie wspierał tam ruchy demokratyczne. Natomiast w Iranie Instytut nigdy nie otrzymał oficjalnej zgody na założenie biura, więc Tadźbachsz pracował w ramach wyznaczonych przez irański rząd. Niemniej zmuszono go do wypowiedzi telewizyjnej, w której przyznawał się do współpracy z Sorošem przy próbie obalenia reżimu. Dwaj inni naukowcy opuścili Iran natychmiast po zwolnieniu z więzienia, ale Tadźbachsz pozostał w kraju. Kochał swoją ojczyznę i chciał tu wychować dzieci. Zaufał zapewnieniu ministerstwa wywiadu, że jeśli nie będzie się mieszał do polityki, może spokojnie pracować w swoim zawodzie urbanisty. Myślałem jednak, że wyjechał, gdy spostrzegł, że polityka rządu staje się coraz bardziej represyjna. Później dowiedziałem się, że po czerwcowych wyborach Strażnicy Rewolucji aresztowali Tadźbachsza w jego domu, na oczach żony i dwóch dwuletnich córek.

Strażnicy wybrali trzech ludzi, by powiązać reformistów z obcymi agenturami. Ja miałem być łącznikiem medialnym, Tadźbachsz łącznikiem z organizacjami pozarządowymi (NGO), a Hossejn Rassam, doradca polityczny ambasady brytyjskiej, miał być łącznikiem z zagranicznymi ambasadami w Teheranie.

Jednym z obowiązków Rassama jako doradcy politycznego było spotkanie się z różnymi osobistościami irańskimi i sporządzanie dla ambasady brytyjskiej raportów opartych na tych rozmowach i na własnych analizach. Rassam robił to bez przeszkód przez dwa lata, ale dwa tygodnie po wyborach został aresztowany i oskarżony o szpiegostwo. Aresztowanie naszej trójki i zademonstrowanie nas przed kamerami miało w intencji Strażników przekonać Irańczyków, że powyborcze rozruchy zostały sprowokowane przez obcokrajowców.

Rassam miał stanąć przed sądem następnego dnia, a ja z Tadźbachszem byliśmy przewidziani na dzisiaj. Zabrano mnie do Pałacu Sprawiedliwości imienia Imama Chomeiniego w centrum Teheranu i zaprowadzono do małego biura na tyłach gmachu. Idąc za strażnikiem, spostrzegłem Tadźbachsza w małym pokoju po drugiej stronie korytarza. Siedział przy małym stoliku z Wodą Różaną i przeglądał jakieś notatki. Byłem zaskoczony, widząc tu Wodę Różaną; jego obecność potwierdzała jedną z moich obaw – że był wysokiego stopnia funkcjonariuszem Strażników Rewolucji odpowiedzialnym za ważnych więźniów. Żałowałem, że nie mogę zamienić z Tadźbachszem paru słów, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Strzegło go paru ludzi.

Jeden ze strażników siedzących w pokoju, gdzie mnie zaprowadzono, należał

do ekipy, która najechała mój dom i aresztowała mnie. Zajmował się wtedy inwentaryzacją moich skonfiskowanych płyt DVD i sprzętu.

– Jak się pan czuje, panie Bahari? – zapytał mnie z uśmiechem. – Co u pana matki? Widział się pan z nią od tamtej pory?

Podziękowałem mu i powiedziałem, że odwiedziła mnie przed paroma dniami.

– Matka pana Bahariego to bardzo dzielna kobieta – wyjaśnił strażnik swojemu koledze. Ta uwaga wprawiła mnie w dumę. Na stole leżała gazeta. Udało mi się przeczytać jeden z nagłówków, zanim strażnik ją schował: było to coś o zagrożeniu świńską grypą pielgrzymów w Mekce.

– Ta świńska grypa to chyba naprawdę poważna sprawa – odezwałem się do strażnika. Miałem nadzieję, że odwrócę jego uwagę i będę się mógł lepiej przyjrzeć Wodzie Różanej i Tadźbachszowi w drugim pokoju. Z tego, co zdołałem podsłuchać, Woda Różana doradzał Tadźbachszowi, co ma mówić.

Woda Różana złapał moje spojrzenie.

– Nie patrz tu! – wrzasnął, zerwał się z krzesła i ruszył na mnie. Spuściłem głowę, szykując się na kolejne uderzenie. Ale on tylko pochylił się nade mną tak, że zobaczyłem kaburę z pistoletem pod jego marynarką.

– Znasz go? – spytał Woda Różana, skinąwszy w stronę Tadźbachsza.

– Osobiście nie – odparłem. – Czy to Kian Tadźbachsz?

– Nie, moja ciotka – parsknął Woda Różana. Potem kazał strażnikom wyjść z pokoju. – Posłuchaj, Maziar. W gmachu sądu są teraz dziesiątki byłych ministrów i członków parlamentu. Wszyscy przyznają się do winy i wylewają kubły pomyj na innych. Dlaczego ty masz być lepszy od nich? – Przeciągnął palcami po moich nażelowanych włosach. – Ładnie cię ostrzygli. Twojej matce będzie przykro zobaczyć cię po raz ostatni w telewizji... – Potem strzelił mnie otwartą dłonią w głowę. – Słuchaj, panie ładny: albo wymienisz wszystkie nazwiska z listy, którą ci dałem, i przeprosisz najwyższego przywódcę za to, że złamałeś mu serce, albo dzisiaj zostaniesz skazany, a za kilka dni stracony. – Jeszcze raz klepnął mnie otwartą dłonią w głowę i otworzył drzwi. – Masz wybór: przeżyć i zobaczyć jeszcze matkę albo umrzeć za Musawiego i Rafsandżaniego.

Wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi.

Byłem niezmiernie ciekaw, co działo się na sali sądowej. Potem dowiedziałem się, że rzeczywistość przebiła swoją absurdalnością wszystko, co mogłem sobie wyobrazić. Ten „proces” był pierwszym z serii procesów pokazowych, które islamski reżim zorganizował po wyborach. Z paru źródeł usłyszałem, że procesy te sfabrykowano na bezpośredni rozkaz Chameneiego, aby zademonstrować siłę reżimu i pogrążyć reformistów, pokazując ich w mediach ubranych w więzienne kombinezony.

Było to wyreżyserowane na podobieństwo sowieckich procesów

pokazowych z lat trzydziestych. Stalin sam urządzał podobne przedstawienia, w których kilkudziesięciu dawnych wysokich funkcjonariuszy partii bolszewickiej zostało oskarżonych o zdradę i planowanie zamachu na towarzysza Stalina. Różnica była taka, że w procesach stalinowskich oskarżonym przedstawiano jasne, choć sfabrykowane zarzuty. Natomiast w sądach Chameneiego zarzutami mogło być wszystko – od posiadania telewizji satelitarnej przez rzucanie kamieniami w Strażników Rewolucji aż po utrzymywanie kontaktów z CIA. Strażnicy zgromadzili pod jednym dachem ponad stu więźniów różnego pochodzenia i orientacji politycznych. Byli wśród nich dawni ministrowie i członkowie parlamentu, ale także młodzi chłopcy, którzy uczestniczyli jedynie w jakichś demonstracjach. Wydawało się, że wszystkich aresztowano z jednego powodu: by pokazać rozmaite odmiany *fetneh* – działalności wywrotowej, jak Chamenei określił powyborcze demonstracje. Nie było jednak czasu, by osądzić wszystkich oskarżonych – choćby ze względu na długość aktu oskarżenia, za każdym razem wygłaszanego przez prokuratora, który brzmiał jak kolejny stek propagandy i nonsensów, jakimi nieustannie karmiono Irańczyków.

Zdałem sobie sprawę, że tego dnia nie doczekam się już własnego procesu. Dziś miałem się stać jedynie częścią poprocesowego *show*. Strażnicy Rewolucji postanowili urządzać konferencję prasową z udziałem czterech domniemanych przywódców „aksamitnej rewolucji”. Byli to: Mohammad Atrianfar – były funkcjonariusz bezpieczeństwa i wiceminister spraw wewnętrznych, odpowiedzialny za nadzór nad szeregiem reformistycznych gazet, z czasem zamkniętych; następnie Mohammad Ali Abtahi, Kian Tadzbachsz oraz ja. Tadzbachszowi i mnie kazano zostać na sali sądowej, a Abtahiego i Atrianfara zabrano na jakieś podium wzniesione na potrzeby konferencji.

Ciężko mi było patrzeć na Abtahiego i Atrianfara podczas tej konferencji. Z każdym z nich przeprowadziłem kiedyś kilka wywiadów. Abtahi, niegdyś jowialny i przy kości, wyglądał na załamane i przegrane. Została z niego połowa dawnego człowieka. Z martwym wyrazem oczu obrzucał błotem Musawiego i Chatamiego, wyjaśniając, dlaczego reformistom nie udało się uzyskać szerokiego poparcia społecznego i musieli się uciec do próby „aksamitnej rewolucji”. Główną tezę Abtahiego było twierdzenie, że reformiści nie rozumieli, jak wielkim poparciem Irańczyków cieszy się Chamenei, a w rezultacie swojej błędnej kalkulacji obrali mylne strategie zdobycia głosów przed wyborami albo zakwestionowania wyników wyborów.

Atrianfar obrał inną strategię: przez dłuższy czas wychwalał wielkość Chameneiego. Jako stary cwaniak, potrafiący zmieniać strony, wiedział dobrze, że wszyscy tyrani są łakomi na pochlebstwa, więc porównywał Chameneiego do imama Hossejna, wnuka Proroka Mohammada i jednej z najbardziej szanowanych postaci islamu szyickiego. Natomiast siebie samego Atrianfar

przyrównywał do wroga tego imama, który w końcu przyłączył się do armii Hossejna.

Po lunchu przyszła kolej na mnie. Zjedliśmy kebaby z kurczaka i piliśmy *dugh*, słony jogurt. Wszystko to na sali sądowej. Woda Różana powiedział mi, żebym spuścił wzrok podczas jedzenia. Oddał mi swój napój, mówiąc, że musi uważać na ciśnienie.

– Nazwiska, Maziar, nazwiska – przypomniał mi.

Przed wywiadem mnie i Tadźbachszowi kazali się przebrać w wizytowe koszule.

Wiedziałem, co muszę zrobić. Obserwując bezwstydne pochlebstwa Atrianfara pod adresem Chameneiego, przekonałem się, że powinienem pójść za jego przykładem i zamiast wymieniać nazwiska, jak chciał Woda Różana, powinienem przeprosić najwyższego przywódcę i powtórzyć te paranoiczne, ale ogólne brednie o mediach zachodnich, które przekazał mi Hadż Agha.

Gdy wreszcie stanęliśmy przed kamerami, milczałem tak długo, jak się dało, oddając głos Tadźbachszowi. Obaj zakończyliśmy nasze wypowiedzi deklaracjami, jak ogromnie nam przykro, że popełniliśmy błędy, oraz prośbą do Chameneiego, by nam wybaczył. Potem Tadźbachsz i ja oddaliśmy te nasze eleganckie koszule i założyliśmy zwykłe kombinezony więzienne. Wymieniliśmy zawstydzone spojrzenia. Byliśmy dwoma złamanymi facetami. Później nas rozdzielono i zaprowadzono znów do samochodów, które miały nas odwieźć do więzienia. Nie wymieniłem żadnych nazwisk, więc wiedziałem, co mnie czeka.

Niedługo potem siedziałem znów na moim krześle w pokoju przesłuchań. Woda Różana krążył wokół mnie. Spod opaski na oczy widziałem, że wciąż miał na nogach swoje służbowe buty. Przez chwilę stał przede mną, a potem odszedł. A jeszcze później poczułem, że stoi za mną. Uderzył mnie pięścią w ramię tak mocno, że poczułem, jak drętwieje mi prawa ręka.

– Zostaniesz stracony w ciągu następných dwudziestu jeden dni – powiedział. Wiedziałem, że za dwadzieścia jeden dni zacznie się święty miesiąc ramadan, kiedy to muzułmanie postują i nie wolno przeprowadzać egzekucji.

Woda Różana strzelił mnie w ramię jeszcze raz. Poczułem na kości twardość jego pierścienia.

– Już tak to załatwię, żebyś umarł przed ramadanem, Mazi – powiedział. Stał przede mną i chwycił mój nos. – Ale najpierw rozprawię się z twoją twarzą, panie ładny!

ROZDZIAŁ 15

To był gorący dzień na początku sierpnia. Siedzieliśmy w jednym z pokoiów przesłuchań, w którym nie było klimatyzacji, co zawsze wprawiało Wodę Różaną w zły nastrój.

Jego pierwsze tego dnia pytanie zdumiało mnie:

– Kto to jest Pauly Shore?

Ludzie nieznający pana Shore'a niewiele stracili. To drugorzędny aktor, który grywał takie postacie jak wyrzutek z wyższej uczelni, imprezowicz z college'u czy bezrobotny striptizer w serii komedii z lat 90. Wraz z dziesięcioma innymi świrami należałem do Towarzystwa Pauly'ego Shore'a na Facebooku. Wstąpiłem do tej grupy z pewnym przyjacielem po prostu dla żartu.

– To nikt ważny. Dlaczego pan pyta?

Do tej pory Woda Różana wypytywał mnie wyłącznie o polityków i dziennikarzy – z wyjątkiem tego wygłupu dla *Daily Show*. Położył przede mną kartkę papieru. Na górze napisane było: „Opisz swoje związki z Paulym Shore'em”.

– Chcę wiedzieć o nim wszystko.

Jak tu zacząć? Napisałem, że Shore jest aktorem komediowym i występował w kilku komediach, które oglądałem, gdy byłem na uniwersytecie. Wymieniłem parę tytułów: *Jaskiniowiec z Kalifornii*, *Szalony zięć*, *Sędzia kalosz*.

– To odnosi się tylko do niego jako komika – powiedział Woda Różana.

– A nas interesuje inna twarz Shore'a.

Zaciekawiło mnie, jaki szczęściarz ze Strażników Rewolucji mógł dostać zlecenie na tak fundamentalne zadanie.

Woda Różana nie zakończył na tym.

– Jakie są twoje powiązania z Antonem Czechowem?

Pomimo absurdalności tego pytania spodziewałem się go. Byłem bowiem członkiem dwóch fanklubów na Facebooku: Shore'a i Czechowa. Widać, że śledczy dobrali się do tego źródła.

– Anton Czechow nie żyje, proszę pana. To był rosyjski dramatopisarz z drugiej połowy XIX wieku, umarł na początku XX wieku...

– To był Żyd? – zapytał gniewnie Woda Różana.

– Nie wiem dokładnie, ale nie sędzę.

– A mnie to jego nazwisko brzmi jakoś z żydowska...

– Może, ale w rosyjskich nazwiskach końcówkę „ow” spotyka się często, jak u nas „zadeh”.

Woda Różana milczał z wyraźnym niezadowoleniem.

– Ale, jak mówiłem, pewien nie jestem... – dodałem. – W tych czasach wielu rosyjskich pisarzy i intelektualistów, a także rewolucjonistów było pochodzenia żydowskiego...

– I wielu z nich było syjonistami. Herzl też był z Rosji – powiedział Woda Różana, mając na myśli twórcę ruchu syjonistycznego.

– Akurat Herzl pochodził z Węgier – odparłem i natychmiast tego pożałowałem. Nie chciałem go prowokować, ale czasami głupota tego faceta była nie do zniesienia. A zresztą – co miałem do stracenia?

– Naprawdę? – Chwycił mnie od tyłu za szyję i ścisnął z całej siły. – Dużo wiesz o Żydach, prawda?

Położył przede mną pustą kartkę i klepnął w tył głowy.

– Napisz wszystko, co wiesz o tym Antonie Czechowie, ale bez żadnej ściemy! Zamierzamy sprawdzić każdego syjonistę, którego znasz, panie Maziar. Udowodnimy ci, że wbrew temu, co sobie może myślisz, nie jesteśmy głupi. Wiemy, że ten twój Czechow był Żydem i że ty jesteś syjonistą.

Później, gdy Woda Różana chyba już się dowiedział, że Czechow nie był Żydem, nie zadawał mi żadnych pytań o ludzi, których nazwiska kończyły się na „ow”. Dotyczyło to też mojego izraelskiego przyjaciela Davida Shem-tova. Trudno znaleźć bardziej izraelskie nazwisko niż Shem-tov, ale widać specjaliści Strażników Rewolucji uznali, że Czechow, Mołotow i Shem-tov to jedna ferajna.

Dorastałem, słuchając antyizraelskiej propagandy w irańskiej telewizji, ale dopiero w Ewinie zorientowałem się, jak głęboka i paranoiczna była nienawiść rządu islamskiego do Izraela i Żydów w ogóle. Jeśli Stany Zjednoczone były „Wielkim Szatanem”, to Izrael był „Jeszcze Większym Szatanem”. Zaczynałem rozumieć, że Woda Różana, którego zapewne karmiono od dziecka antyizraelską propagandą, w każdej teorii spiskowej widział znowę Żydów. Dla Wody Różanej Żyd nie mógł być zwykłym człowiekiem. Dla niego Żyd znaczył tyle co syjonista, szpieg – ktoś, kto nie ma nic innego do roboty oprócz knucia spisków przeciw islamowi i muzułmanom. Nie sądzę, by spotkał w życiu choćby jednego Żyda, ale uważał, że wie wszystko o Żydach i Izraelczykach.

Pewnego dnia wydał mi polecenie:

„Zapisz nazwiska wszystkich żydowskich elementów, których spotkałeś w życiu”.

Wziąłem do ręki długopis. „Na Zachodzie nie ma zwyczaju wypytywania ludzi o ich przekonania religijne. Będzie mi trudno odpowiedzieć na pańskie pytanie, bo nie potrafię odgadnąć, jakiego wyznania byli ci wszyscy ludzie, których spotkałem w życiu”.

Podarł moją kartkę na strzępy i rzucił mi je w twarz. Złapał mnie potem za włosy i zmusił, bym zebrał z podłogi wszystkie kawałki papieru.

– Rób, co ci każe! Podaj nazwiska wszystkich najgorszych antyreligijnych sukinsynów, jakich kiedykolwiek spotkałeś. Oni wszyscy są na pewno Żydami!

Żeby go zadowolić, zrobiłem listę obejmującą paru dziennikarzy, studentów, nauczycieli i moich byłych sąsiadów z Kanady i Wielkiej Brytanii.

– No widzisz! A mówiłeś, że nie spotkałeś w życiu żadnego Żyda! – stwierdził triumfalnie. – A tu mamy dziesięć nazwisk. Musisz podać wszystko, co wiesz o tych elementach.

Wiedziałem, że szefowie Wody Różanej nagrodziliby go za ujawnienie moich konszachtów z Izraelem, tyle że nie było czego ujawniać. Od czasu, gdy w 1997 roku po raz pierwszy wróciłem do Iranu, trzymałem się z dala od wszystkiego, co łączyło się z Izraelem. Wiedziałem, że jakiegokolwiek kontakty z tym państwem mogą mnie łatwo zaprowadzić do więzienia, a w każdym razie zakończyć moją karierę w Iranie. Nie zgodziłem się nawet na relacjonowanie konfliktu palestyńsko-izraelskiego – najważniejszej bodaj kwestii bliskowschodniej – żeby nie musieć jechać do Izraela.

Wyobrażenia Wody Różanej o Żydach i Izraelu brały się wprost z pism i wypowiedzi Chomeiniego, który po zdobyciu władzy starał się – jak każdy despota w tej części świata – legitymizować swój reżim poprzez demonizowanie państwa żydowskiego. Izrael z kolei – poprzez swoje represje względem Palestyńczyków i zakładanie nielegalnych osiedli – dostarczał Chomeinemu znakomitych pretekstów do potępiania go.

Pomimo nienawiści do Żydów w stosunku Wody Różanej do Izraela ujawniał się respekt, a nawet zazdrość. Choć otwarcie potępiał wszystko, co miało jakikolwiek związek z Izraelem, często ujawniał swój podziw dla bezwzględnych metod, jakimi Izrael zwalczał swoich przeciwników. Kiedyś powiedział mi, że moich zachodnich przyjaciół, krytykujących rząd islamski, ściągnąłby do Teheranu jak Żydzi „tego nazistę z Argentyny... jak on się nazywał?”.

– Adolf Eichmann – podpowiedziałem.

– No właśnie, Eichmann... Jeśli Izraelczycy mogą porywać swoich wrogów, to czemu my nie moglibyśmy robić tego samego? – Złapał mnie za prawe ucho i pociągnął z całej siły. – Przecież jesteśmy znacznie silniejsi od Izraela. Strażnicy Rewolucji Islamskiej dysponują siecią na całym świecie. Hezbollah i Hamas to tylko dwa jej elementy. Nikomu na świecie nie powinno się zdawać, że jest bezpieczny.

Pewien jestem, że w tym porównaniu zdolności rządów Iranu i Izraela do ścigania wrogów nie było w intencji Wody Różanej żadnej ironii. Trzeba jednak

powiedzieć, że w odróżnieniu od niego większość Irańczyków nie ma poglądów antysemickich.

Ja na przykład przez całe życie byłem zafascynowany żydowską historią i kulturą. W okresie pomiędzy moim piątym i dziesiątym rokiem życia nasza rodzina mieszkała w okolicy, gdzie żyło wielu Żydów. Blisko naszego domu znajdowała się jedna z dwóch największych synagog teherańskich, były też żydowskie jatki i główna szkoła żydowska. Moi rodzice, jako starzy komuniści, nie żywili względem Żydów żadnych uprzedzeń, ale dzieciaki z okolicy mówiły, że Żydzi są „inni”. Nie wiedzieliśmy dokładnie, czym się różnią, ale zawsze wiedzieliśmy, kto z naszej klasy był Żydem – co zresztą nie przeszkadzało nam się przyjaźnić. Gdy później przenieśliśmy się do Kanady, wielu moich żydowskich przyjaciół opowiadało mi, że w szkole byli wyśmiewani jako Żydzi – a ja takich sytuacji z Iranu nie pamiętałem.

Żydzi osiedlili się w imperium perskim już ponad dwa tysiące lat temu. Wielu irańskich Żydów wywodzi swoje korzenie od żydowskich zbiegów z Babilonii, którym król perski Cyrus Wielki dał schronienie w swoim państwie. Było to przed 500 rokiem p.n.e. Żydowski prorocy Ezdrasz i Izajasz nazywali Cyrusa „tym, któremu Bóg oddał wszystkie królestwa na ziemi”. Imię Cyrusa zostało wymienione w Starym Testamencie dwadzieścia trzy razy, a sam król pozostaje jedynym poganinem określanym w Torze jako mesjasz – przywódca z Bożej łaski. Poza Izraelem właśnie w Iranie zamieszkuje wciąż największa wspólnota żydowska na Bliskim Wschodzie. Chociaż wielu irańskich Żydów wyemigrowało po rewolucji do Izraela albo do innych krajów, w Iranie wciąż żyje dwadzieścia pięć tysięcy Żydów.

Kiedy jako dziecko słyszałem, że Żydzi różnią się od nas, zastanawiałem się nad własną tożsamością. Dlaczego oni kupują mięso u innych rzeźników? Dlaczego ich mężczyźni i chłopcy noszą jarmułki? Pamiętam, że fascynowała mnie sama nazwa „Żydzi”, zwłaszcza że wielu ludzi podziwianych przez moich rodziców, moje rodzeństwo i mnie – Karol Marks, Bob Dylan czy Paul Newman – było Żydami, a mój bohater Charlie Chaplin sympatyzował z Żydami i ich losem. Chaplinowski *Dyktator* wciąż należy do moich ulubionych filmów.

W 1993 roku postanowiłem zrobić film o żydowskiej emigracji do Ameryki Północnej. Wybrałem historię parowca „Saint Louis”, statku z żydowskimi emigrantami, który opuścił Niemcy w maju 1939 roku. Znalazłem w różnych krajach świata kilkoro pasażerów tego statku i przeprowadziłem z nimi wywiady na potrzeby filmu. Po tym, jak *The Voyage of „Saint Louis”* zyskał dobre przyjęcie na festiwalach i został pokazany w telewizjach różnych krajów, pytano mnie parokrotnie, dlaczego ja, szyita, zrobiłem film o grupie żydowskich uchodźców. Zawsze podkreślałem, że jednym z głównych powodów była chęć wykazania, że wielu Irańczyków interesuje się losem innych narodów. W październiku 2005

liczni Irańczycy przyjęli z zaskoczeniem i niesmakiem wypowiedź Ahmadineżada, w której nazwał Holocaust mitem i kwestionował liczbę Żydów zamordowanych podczas II wojny światowej.

Zawsze czułem dumę z faktu, że byłem chyba pierwszym muzułmańskim filmowcem, który zrobił film o Holocauście. W 2008 roku, gdy na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Amsterdamie urządzono retrospektywę moich filmów, uparłem się, by pokazali też *The Voyage of „Saint Louis”*, żeby udowodnić, iż nie wszyscy Irańczycy są takimi ignorantami jak nasz prezydent.

Moje słowa wróciły do mnie, gdy siedziałem przed Wodą Różaną. Zanim zaczął zadawać mi pytania, zadzwonił jego telefon. To była znów jego żona. Gdy odbierał połączenie, wolną ręką wykręcił mi prawe ucho.

– Dzień dobry, kochanie – zaczął ciepłym, pogodnym tonem. – Tak mi przykro, *azizam*, moje kochanie, ale wiesz, jaki jestem zajęty... Wiem, że to rocznica naszego ślubu... – Wykręcił moje ucho jeszcze mocniej. Zacząłem jęczeć. – Zamknij się! – wrzasnął na mnie, a potem spokojnie wyjaśnił swojej żonie: – Przykro mi, że dziś nie zdążę, ale zamierzam skończyć z tym facetem już niebawem, naprawdę. – Puścił moje ucho i wałnął mnie pięścią w głowę. – No i załatwię wszystko tak, żebyśmy mieli naprawdę miłą uroczystość. No to pa, kochanie, muszę już kończyć...

Schował telefon do kieszeni, a potem parę razy uderzył mnie w głowę otwartą dłonią.

– Ty rujnujesz mi życie osobiste, ty mały żydolibie. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że robiłaś filmy o Żydach?

Położył na pulpicie mojego krzesła odbitkę wywiadu, jakiego udzieliłem na festiwalu w Amsterdamie.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że współpracowałeś z Żydami? Kto ci na to dał pieniądze? Odpowiadaj!

Woda Różana dalej bił mnie po głowie – pięścią albo otwartą dłonią, jakby chciał mi wybić z niej wszelkie sympatie do Żydów. W końcu zepchnął mnie na podłogę i skopał po plecach i nogach.

– Mów, dla jakiej agencji pracujesz! Jak mi nie powiesz, to dam ci tu zgnić, a potem zapakuję twoje kości do worka i zostawię przed drzwiami twojej matki. Ty syjonistyczny szpiegu!

Tej nocy obudził mnie dudniący ból głowy. Sięgnąłem po trzy proszki nasenne i cztery tabletki na migrenę, które schowałem pod zielonym dywanem. Więzienny lekarz przyjmował dwa razy w tygodniu. Dawał mi tabletki na migrenę tylko wtedy, gdy miałem atak, ale czasami udawałem, żeby mieć zapas na czarną

godzinę. Wiedziałem, że to niebezpieczne brać je wszystkie naraz, ale miałem wrażenie, że moja głowa zaraz eksploduje. Zresztą, co w mojej sytuacji znaczyło słowo „niebezpieczne”? Chciałem się pozbyć bólu, i wyłącznie to się liczyło.

Zasnąłem natychmiast, lecz nie minęła chyba nawet godzina, gdy obudził mnie strażnik, żebym mógł skorzystać z toalety przed porannymi modłami. Kiedy przyprowadził mnie z powrotem do celi, położyłem się i próbowałem znów zasnąć. Odgarnąłem dywan i przyłożyłem moje pulsujące bólem czoło do zimnych płytek podłogi. Po paru sekundach zasnąłem.

We śnie przyszły do mnie dwie kobiety. Miały opaloną i gładką skórę, a twarze słodkie i piękne. Uśmiechały się do mnie tak, jak to często robiła Marjam. Przyszły do mnie z jakiejś nieskończonej białości. Byliśmy na otwartej przestrzeni bez horyzontu. Obserwowałem ich długie ciemne włosy wijące się jak bluszcz wokół ich twarzy. Czułem na skórze chłodny powiew. Unosiłem się w powietrzu, wciąż czując migrenę, ale ich uśmiechy łagodziły moją udrękę.

Potem zbliżyły się do mnie, dotykając czule mojego czoła chłodnymi, miękkimi dłońmi. Po tylu tygodniach bez fizycznego kontaktu z ludźmi – nie licząc bicia mnie przez Wodę Różaną – ich dotyk zdawał się balsamem dla mojej skóry. Pomogły mi wstać i zaprowadziły delikatnie do białego łoża wśród bezkresnej bieli. Unosiłem się w powietrzu, a ich dłonie wciąż mnie dotykały i uśmierzały mój ból. Czułem się przy nich bezpieczny.

– Kim wy jesteście? – zapytałem.

– Siostrami miłosierdzia – odparły.

– Jak u Cohena? W *Sisters of Mercy*? – zapytałem z uśmiechem.

Ledwie wypowiedziałem te słowa, usłyszałem jakiś głos w głowie. To był Leonard Cohen, śpiewający jedną z najpiękniejszych piosenek, jakie kiedykolwiek napisano:

Ach, siostry miłosierdzia

Są tu wciąż, nie wypędził ich nikt.

One na mnie czekały,

Gdy myślałem, że brak mi już sił.

Pocieszyły mnie najpierw,

A potem dały mi swą pieśń3.

Nie wiedziałem, jak długo mi się to śniło, ale chciałem, by sen trwał nadal. Wiedziałem, co mnie czeka na jawie – strach, wstyd, nienawiść. Poczułem się lepiej. Bezpieczniej. I chociaż to był zaledwie sen, poczułem się znów wolny.

Pewnego dnia podsłuchałem rozmowę pomiędzy jakąś strażniczką i kobietą mówiącą z amerykańskim akcentem.

– *Rusawi, rusawi* – powtarzała strażniczka. – Chusta na głowę, chusta...

Później usłyszałem na korytarzu męski głos, też brzmiący z amerykańska.

– Mogę do łazienki?

– Tak, tak – odpowiedział strażnik, lecz najwidoczniej nie zrozumiał, o co się go pyta.

– Proszę pana, ja muszę do łazienki – poprosił więzień rozpaczliwie.

– Tak, tak – odparł strażnik.

Chciałem pomóc.

– On chce do *mostarah*, toalety – odezwałem się do strażnika. – Mogę pomóc jako tłumacz, jeśli zechcesz.

– Nie ma mowy – odparł strażnik. – On i tamta dwójka to dyrektorzy CIA w Iranie.

Wiedziałem, że to nie może być prawda, ale dopiero po uwolnieniu dowiedziałem się, że te głosy należały do trojga amerykańskich turystów aresztowanych pod koniec lipca 2009 roku na granicy iracko-irańskiej. To doświadczenie wstrząsnęło mną. Nie licząc kilku rozmów z matką, od dawna nie słyszałem kobiecego głosu – i przez to jeszcze więcej myślałem o Marjam. Zacząłem też przypuszczać, że irański rząd rozpoczął nowy etap w swojej wojnie przeciw działaczom opozycyjnym i ich zagranicznym sojusznikom – aresztując wszelkich obcokrajowców wyłącznie za to, że są obcokrajowcami. Nie mając żadnego kontaktu ze światem zewnętrznym, starałem się ze wszystkich sił nie myśleć o najgorszym.

Czasami, siedząc wciąż samotnie w swojej celi, zaczynałem się bać, że zwariuję. Moje rozmowy z Marjam i ojcem stały się częstsze, za to mniej sensowne. W nocy miałem koszmary: śniły mi się z maltretowane od chłosty stopy

Marjam i zakrwawione dłonie ojca z pozdzieranymi paznokciami.

Ratował mnie długopis. Ukradłem go podczas przesłuchania, gdy Woda Różana wyszedł na chwilę z pokoju. Schowałem wtedy długopis pod paskiem więziennego kombinezonu. Słyszałem, że za posiadanie długopisu groziła kara, ale nie wiedziałem dokładnie jaka, a zresztą miałem to gdzieś.

Dzień czy dwa po tym, jak ukradłem ten długopis, Woda Różana zawiesił moje uprawnienia do spaceru, by ukarać mnie za odmowę podania nazwisk. Przez prawie miesiąc mogłem opuszczać celę tylko trzy razy dziennie, w porach modlitwy, by pójść do łazienki. Tak więc długopis stał się moim najbliższym i jedynym przyjacielem. Nocą, gdy wiedziałem, że strażnicy już śpią, układałem krzyżówki na ścianie albo na podłodze pod dywanem. Nauczyłem się tego jeszcze w szkole średniej, nudząc się podczas lekcji. Nawet się zdziwiłem, że wciąż to potrafię, i poświęcałem temu zajęciu wiele godzin. Najpierw układałem krzyżówki w perskim, a potem po angielsku. Żeby sobie utrudnić zadanie, wybierałem określoną tematykę: politykę, historię, muzykę pop czy geografii. Nie mogłem uwierzyć swojemu szczęściu, gdy pewnego dnia zamiast plastikowych naczyń na posiłki pojawiły się naczynia papierowe. Starannie je opróżniałem, potem rozklejałem i zostawiałem do przeschnięcia. Pod koniec dnia, gdy papier był już całkowicie pokryty krzyżówkami, darłem go na strzępy, z których robiłem piłeczki – i grałem sam ze sobą w koszykówkę. Jeden z kafelków fałszywego marmuru obrałem sobie za kosz i próbowałem do niego trafić papierowymi kulkami. Tak mnie to wciągnęło, że ledwie zauważyłem, jak nadszedł ramadan. Wody Różanej nie widziałem już od prawie dwóch tygodni.

Ocalałem – przynajmniej na razie.

Drugiego dnia ramadanu przenieśli mnie znów do mniejszej celi bez okna. Mogłem za to co trzy lub cztery dni wyjść na piętnaście minut na spaceriak. Dwa razy pozwolili mi nawet zadzwonić do matki. Zanim strażnik wyrwał mi telefon, mama powiedziała mi, że Nikbakht, adwokat, którego wynajęła, stara się wciąż o widzenie ze mną. Modliłem się, żeby to była prawda, i kiedy tego dnia ćwiczyłem na podłodze, udając jogging z Paolą wokół Regent's Park, próbowałem przekonać samego siebie, że może jednak mnie nie zabiją. Rząd islamski był nieodpowiedzialny i mściwy, ale wciąż stosował się do jakichś zasad prawnych. W przypadku takiej głośnej sprawy jak moja sędziowie będą chociaż udawali, że przestrzegają procedur. Jeśli chcą mojej śmierci, to przynajmniej pozwolą mi przed wydaniem wyroku zobaczyć się z adwokatem.

„Mam nadzieję, że się nie mylisz – powiedział mi ojciec tej nocy. – Czas pokaże, czy masz rację”.

Od dnia, gdy przywieźli mnie do Ewinu, obawiałem się spędzenia w tym miejscu ramadanu. Jako osoba niezbyt religijna nie wiedziałem, jak zniosę całodzienny post. Marjam mówiła mi o więźniach karanych za jedzenie podczas dnia w okresie ramadanu, ale ku mojemu zaskoczeniu pierwszego dnia ramadanu strażnik Brązowe Sandały zapytał mnie, czy chcę pościć, czy też ubiegać się o lekarskie zwolnienie z tego obowiązku.

– Miałem kiedyś problemy z wrzodami żołądka – odparłem szybko.
– Chciałbym pościć, ale zwykle źle mi to robi.

Przyjął mój wykręt bez dalszych pytań. Poczulem ogromną ulgę, gdy się przekonałem, że posiłki trafiały do mnie o normalnych porach.

Ramadan to miesiąc, gdy Allah daje wiernym okazję do skruchy i spełniania dobrych uczynków, za które wynagradza po wielokroć. Jak to wyjaśniają muzułmańscy uczeni, post w ramadanie nie ogranicza się do niejedzenia za dnia, ale obejmuje też powstrzymywanie się od wszystkiego, co nie wiąże się z chwaleniem Allaha. Od muzułmanów wymaga się wtedy czystych myśli i cnotliwych czynów. Powinni też unikać nieobyczajnych słów i gestów. Dlatego czułem się mocno niepewnie, gdy trzeciego dnia ramadanu Woda Różana wezwał mnie znów do pokoju przesłuchań. Po niepowodzeniach w łączeniu mnie z reformistami, zagranicznymi agencjami wywiadowczymi albo z Żydami nie miałem pojęcia, co nowego teraz wymyśli. Na powitanie położył na pulpicie mojego krzesła grubą różową teczkę.

– *Chetori, gherti?* – rzekł, co było równocześnie pytaniem o samopoczucie i obraźliwym określeniem skierowanym do powierzchownej osoby, która myśli wyłącznie o modzie i swoim wyglądzie. – Wiesz, co jest w tej teczce? – zapytał, uderzywszy mnie dłonią w tył głowy. Ponieważ w czasie ramadanu obowiązuje nakaz powstrzymywania się od walki, miałem nadzieję, że tym razem obędzie się bez rękoczynów. Myliłem się. – To jest dokumentacja całego twojego brudnego, nieprzyzwoitego postępowania.

Otworzył teczkę i pokazał mi jej zawartość. Były tam wydruki setek e-maili od różnych przyjaciół, wpisów z Facebooka, a także długa lista nazwisk osób, które znałem, samych kobiet. Została spisana ręcznie.

– Myślisz, że uda ci się wykręcić od tego całego *kardan* – pieprzenia – każdej kobiety, jaka ci się spodobała? – Woda Różana siadł na stole przede mną.
– Chcę, żebyś przejrzał tę listę kobiet i powiedział mi, które z nich przeleciałeś. A potem powiesz mi, ile zapłaciłeś każdej z nich.

Gdyby nie wałnął mnie w tył głowy, nie byłbym pewien, czy mówi to poważnie, czy robi sobie ze mnie jaja.

– Nie, proszę pana. Pan się myli. To nie są moje przyjaciółki, tylko kobiety, z którymi spotykałem się na gruncie zawodowym, a niektóre tylko wpisały mi się

na Facebooku i nie znam ich osobiście.

– Czyżby? A dlaczego nie ma tam nazwiska mojej ciotki?

– Doprawdy nie wiem, do czego pan zmierza. Czy aresztował mnie pan za nieobyczajne kontakty towarzyskie, czy też ma pan wobec mnie inne zarzuty?

– Coś ty powiedział?! – Kopnął mnie w nogę. – Robimy się dowcipni, tak? Myślisz, że jak jeszcze żyjesz, to damy ci spokój? Pozwól więc przyjacielu, że coś ci wyjaśnię: otóż ustaliliśmy, że jesteś nie tylko szpiegiem, ale również *mofsed fel arz*.

Nie cierpiałem tego określenia, oznaczającego kogoś, kto „psuje ziemię”. To „psucie” może się dokonywać w myślach lub czynach i obejmować wszystko, co w oczach islamskiego reżimu jest nikczemne. Od powstania Islamskiej Republiki Iranu tysiące ludzi stracono pod tym zarzutem.

Moje zadziwienie głupotą Wody Różanej zmieniło się w strach. Wiedziałem, że nie ma żadnych dowodów, jakobym zajmował się szpiegostwem albo zagrażał bezpieczeństwu narodowemu, ale rzeczywiście utrzymywałem przedmażeńskie stosunki z kobietami i znalezienie nazwisk moich byłych przyjaciółek nie było zbyt trudne. Zdecydowałem się więc dać absurdalną odpowiedź na jego absurdalne pytanie:

– Proszę pana, w całym swoim życiu utrzymywałem kontakty seksualne wyłącznie z jedną kobietą – moją żoną.

– A kto to jest? – zapytał Woda Różana, puszczając za moimi plecami nagranie wideo.

Usłyszałem głos Paoli: „Nie, nie!”.

Wiedziałem, co to za nagranie. Niedawno kupiłem sobie w Londynie taniego laptopa i chciałem przetestować kamerę. Sfilmowałem Paolę bez jej zgody, gdy była całkiem nieuczesa. Gdy się zorientowała, że ją filmuję, zakryła twarz dłońmi. Mało nie padłem na kolana – to był przecież głos Paoli z naszego londyńskiego mieszkania. Strasznie za nią tęskniłem. Ledwie powstrzymałem łzy i wściekłość na Wodę Różaną za to, że śmiał patrzeć na Paolę.

– To moja żona – wydusiłem z siebie. – Byłbym zobowiązany, gdyby nie oglądał pan moich prywatnych nagrań.

Dostałem kopa.

– Robię, co chcę. A ty nigdy więcej nie podnoś głosu.

Usiadł ciężko na krześle i ponownie, od samego początku, obejrzał ten filmik z Paolą. A potem jeszcze raz. Z tonu jego głosu i oddechu mogłem się domyślić, że oglądanie pięknej kobiety o jasnej karnacji i bez szala na włosach sprawiało mu przyjemność.

– To nie jest twoja żona – powtarzał. – Obejrzę to sobie jeszcze raz. A ty spójrz na tę listę nazwisk w teczce.

Oddychałem najspokojniej, jak umiałem, walcząc z mdłościami, podczas gdy

Woda Różana przesunął swoje krzesło bliżej ekranu.

– No dobra, a teraz, jak powiedziałem, zajmiemy się tymi nazwiskami, jednym po drugim. Zacznij od tego, jak i gdzie poznałeś każdą z tych kobiet – rzekł.

Oczywiście wielu nazwisk z tej listy nawet nie kojarzyłem, ale Woda Różana w to nie wierzył. Za każdym razem, gdy pisałem, że danej kobiety nie znam, dawał mi „z liścia”.

– Mazi, *baczeh choszgel*, piękny chłopcze... Obydwaj wiemy, że najlepszym sposobem, by zyskać kobiece źródła szpiegowskie, są kontakty seksualne – powiedział tonem znawcy. – Przestań marnować nasz czas i przestań robić ze mnie głupka. Tutaj – położył kartkę na pulpicie mojego krzesła – masz napisać nazwiska swoich „specjalnych” przyjaciółek. Zacznij odtąd: Szirin Ebadi. Masz jej cztery numery telefoniczne. Kiedy i gdzie uprawiałeś z nią seks po raz pierwszy?

Szirin Ebadi jest laureatką Pokojowej Nagrody Nobla i jedną z najwybitniejszych prawniczek i obrończyni praw człowieka w Iranie.

– Nigdy nie współpracowałem z panią Ebadi – powiedziałem.

– *Szejtun*, niegrzeczny chłopcze, nie pytam cię o „współpracę”.

– Przepraszam, ale nie rozumiem, o co panu chodzi.

„Nie siedź jak kukła – usłyszałem w głowie szept ojca. – Znajdź jakąś odpowiedź na pytanie tego dupka”.

– Wie pan, pani Ebadi jest szanowaną mężatką. O ile pamiętam, przeprowadziłem z nią wywiad dla...

Nie pozwolił mi skończyć. Zadarł wysoko prawą nogę i kopnął mnie w ramię.

– Co, nigdy jej nie pierdoliłeś? – wrzasnął. – To dlaczego masz aż cztery jej numery? Dlaczego nie masz czterech numerów mojej ciotki?

Zacząłem żałować tej biednej kobiety. Jakby się czuła, gdyby wiedziała, że jej bratanek tak chętnie wyciera sobie nią gębę?

– Proszę pana, mam też dziesięć numerów do biura pana Ahmadineżada – odparłem z sarkazmem.

Jak się spodziewałem, dostałem kolejnego kopa. Przez chwilę wrzeszczał na mnie, ale jakby stracił przekonanie do tego, co robił. Pomyślałem o Zahrze Kazemi, amerykańsko-irańskiej dziennikarce zamordowanej w Ewinie. Musiałem znaleźć jakiś sposób, by się uspokoił i przestał mnie bić.

Nastawienie Wody Różanej do seksu dało mi wtedy więcej informacji o nim, niż sam mógł wyciągnąć ode mnie. Gdy tak zagłębiał się w listę moich przyjaciółek i koleżanek, wydawało się, że nie jest zdolny pojąć, iż mężczyzna może współpracować albo przyjaźnić się z kobietą bez kontaktów seksualnych. Powaga, z jaką to traktował, czyniła całą sytuację jeszcze bardziej groteskową.

Szóstego dnia ramadanu Woda Różana zainteresował się szczególnie tym,

jak poznałem Malu Halusę, z którą współpracowałem przy wydawaniu „Transit Teheran” – kompilacji prac irańskich pisarzy i fotografów. Powiedziałem mu, że spotkaliśmy się na jakimś *party*.

– Na *sex party*?

W głowie było mu tylko jedno, ale tego dnia miał jakby lepszy humor, w każdym razie wyrażał się delikatniej. Wiedziałem, że muszę to wykorzystać.

– Nigdy nie byłem na żadnym *sex party* – powiedziałem. – Nie wiem, na czym to dokładnie polega.

– Dobra, dobra, Maziar – odparł z sarkazmem. – Nie pogrywaj ze mną, bo znów się zdenerwuję. Nie opowiadaj mi, że nie wiesz o takich przyjęciach, gdzie mężczyźni i kobiety zaczynają od jedzenia i picia alkoholu, a potem idą na basen, gdzie nawzajem zlizują czekoladę ze swoich ciał...

Nie odzywałem się. Jak on to sobie wyobrażał? Zlizywanie czekolady z czyjegoś ciała na basenie? Jakby to smakowało – mieszanka czekolady i chloru do uzdatniania wody?

Zdałem sobie jednak sprawę, do czego zmierzał. Większość ludzi, których przesłuchiwał, była głęboko religijna. Dla takich ludzi seks stanowił temat tabu, więc wypytywanie ich o sprawy z nim związane przysparzało im ogromnych kłopotów. Rzeczywiście, jak dowiedziałem się później, wielu reformistycznych przywódców załamywało się w więzieniu i przyznawało do zdrady na skutek ciągłej presji podejrzeń o charakterze seksualnym. W niektórych przypadkach Strażnicy Rewolucji dysponowali autentycznymi zdjęciami z pozamałżeńskich przygód reformistycznych polityków. A jak ich nie mieli, to fabrykowali fałszywe dowody i dzięki nim wyciągali od świadków fałszywe zeznania.

Choć naciski natury seksualnej okazywały się tak skuteczne w przypadku ludzi religijnych, na mnie nie robiły większego wrażenia – w każdym razie nie mogły mnie złamać. Co prawda Woda Różana parokrotnie groził, że prześle Paoli szczegóły moich erotycznych przygód z Szirin Ebadi i innymi irańskimi działaczkami, ale wcale się tym nie przejąłem. Paola wiedziała o moich związkach z przeszłości, a ja nie miałem na sumieniu nic, czego musiałbym się w tej sferze obawiać.

Im dłużej trwały te „erotyczne” przesłuchania, tym jaśniej uświadamiałem sobie, że Wodzie Różanej tak naprawdę chodziło o coś innego. Chciał mnie złamać psychologicznie, ale jeszcze bardziej podniecała go po prostu myśl o moim życiu seksualnym. Wypytywał mnie więc o wyimaginowane przyjęcia na basenie, gdzie mężczyźni mieli zlizywać czekoladę z ciał zachodnich kobiet w typie lalki Barbie, bo sam – choć najwyraźniej chciał – nie mógł w czymś takim uczestniczyć. Religia obiecywała mu to wszystko, a nawet więcej, ale dopiero w raju. Do tego czasu musiał się pilnować. Nienawidził mnie, ponieważ za życia mogłem korzystać z tego, co jemu przeznaczono dopiero po śmierci.

Znałem dziesiątki podobnych do niego facetów. Przypominał mi chłopaków z mojego liceum, wywodzących się z religijnych rodzin, myślących, że ludzie z północnych, bardziej zwesternizowanych dzielnic Teheranu oglądają codziennie pornosy. Znaczna część ich wiedzy o seksie i Zachodzie pochodziła z pornograficznych pism i filmów, które kupowali nielegalnie na bazarze i oglądali na okrągło. Z wątku przesłuchań Wody Różanej domyślałem się, że wiele jego informacji o reszcie świata pochodzi z tego samego źródła. Zacząłem podejrzewać, że Woda Różana mylił pornosy z filmami dokumentalnymi i całkiem szczerze wierzył, że większość kobiet na Zachodzie to seksterapeutki, napalone sekretarki albo niegrzeczne cheerleaderki, a listonosze, mleczarze czy hydraulicy po każdej dostawie albo naprawie uprawiają seks z chętnymi klientkami.

– Kto to jest Debbie? – spytał mnie któregoś dnia.

– Debbie?

– Tak. Debbie Sprzątaczką – wycedził znacząco.

Debbie była gosposią, którą Paola i ja zatrudnialiśmy w Londynie. Nie pamiętałem jej nazwiska, więc zapisałem ją w telefonie jako „Debbie Sprzątaczkę”.

– Sprząta nasz dom – odpowiedziałem. – A dlaczego pan pyta?

– Chcesz mi powiedzieć, że nie uprawiałeś z nią seksu?

– Ależ to starsza, zameżna kobieta! Pochodzi z Filipin – odparłem.

– Filipinka? – zainteresował się. – Chcesz mi powiedzieć, że wszystkie te opowieści o Tajkach wyprawiających najgorsze świństwa są nieprawdziwe?

– Ale ona jest z Filipin, a nie z Tajlandii – sprostowałem.

– To wszystko jedno. Jestem pewien, że znasz dobrze Tajlandię.

Paola i ja spędziliśmy trzy tygodnie w Tajlandii i Kambodży w marcu 2005 roku. Zrobiłem tam wiele fotografii, na niektórych byłem razem z Paolą. Na pewno już je widział. Woda Różana nie miał, jak się zdawało, żadnych wątpliwości, że pojechaliśmy do Azji Południowo-Wschodniej w poszukiwaniu perwersyjnych przyjemności seksualnych.

– Po co pojechałeś do Tajlandii?

Chciałem mu wytłumaczyć, że był to dla nas jedynie przystanek w drodze do Kambodży, ale od bicia bolało mnie już całe ciało, więc dałem sobie spokój. Byłem też zmęczony tymi bardzo osobistymi pytaniami. W tym momencie wpadłem na pewien pomysł: może nadszedł czas, by dać mu to, czego chciał, wykonać ruch taktyczny, który sprawi, że odczepi się od mojego życia osobistego.

– Wstyd mi powiedzieć, proszę pana – powiedziałem cicho.

– To znaczy? – zaciekał się.

– To sprawa naprawdę osobista i wstydliva.

Zainteresowanie Wody Różanej wyraźnie wzrosło. Podszedł do mnie

i położył mi dłoń na ramieniu.

– Mnie możesz powiedzieć wszystko, Maziar – odezwał się tonem łagodnym i dobrotliwym. – To zostanie między nami.

Zabrał papier z pulpitu mojego krzesła i zgniótł go w kulkę.

– Nie musisz nawet pisać.

Spuściłem głowę, jakbym się miał rozpłakać.

– Ale wie pan... to taka wstydliva rzecz...

– No, mów wreszcie!

– Lubię masaż erotyczne...

Przez dłuższą chwilę milczał, ale słyszałem jego ciężki oddech.

– Co masz na myśli? – odezwał się wreszcie.

– No... jak pan wie, cierpię na okropną migrenę. Często w momentach orgazmu głowa mi aż pęka. Kiedy więc pojechałem do Tajlandii, wynająłem sobie pewną Azjatkę... masażystkę... żeby mnie zrelaksowała.

– Mów dalej.

Zagłębiłem się w sensacyjnych szczegółach, jak to młoda i powabna tajska masażystka zdjęła mi koszulę, jak natarła mi ciało olejkami i zaczęła mnie masować, zaczynając od ramion, a potem coraz niżej...

– A ona była ubrana?

Nie pomyślałem o tym szczególe, ale zaraz się poprawiłem:

– Nie, wstyd o tym mówić, ale one zawsze zaczynają swoje sesje od zdjęcia ubrania – najpierw góry, potem dołu. Gdy taka masażystka jest już całkiem naga, naciera swoje ciało ziołowymi olejkami. Ładnie to pachnie.

– Jak?

– Trudno to opisać. Trzeba się samemu przekonać. Ten zapach przypomina mi las tropikalny rankiem po długim nocnym deszczu. Można zapomnieć o wszystkich kłopotach...

Woda Różana połknął haczyk. Nie powiedział ani słowa. Muszę przyznać, że ja sam byłem zadowolony z tej mojej historyjki.

– Zanim znajdzie się nad mężczyzną, żeby rozpocząć masaż, czuje się te zioła. Ten zapach od razu człowieka relaksuje.

Woda Różana westchnął cicho. Wiedziałem, że swoją opowieścią torturowałem tego nieszczęśliwego człowieka, który trawił życie w ciemnych celach, bijąc i torturując niewinnych ludzi. Szczerze mówiąc, zrobiło mi się przyjemnie z tego powodu.

3 Przekład Macieja Zembatego.

ROZDZIAŁ 16

No i co myślisz o moich występach, Mazi? – zapytał mnie Woda Różana parę dni później. Z brzmienia jego głosu wywnioskowałem, że siedział na wprost mnie. Robił to nieczęsto, a zawsze gdy mnie zagadywał w ten sposób, w jego pytaniach był jakiś cień szczerości. Domyśliłem się, że chce przestudiować moją reakcję, by sprawdzić, czy nie kłamię.

– Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem. Co pan ma na myśli, mówiąc o „występach”?

– No, czy twoim zdaniem jestem dobrym śledczym...

„Jesteś pieprzonym psychopata” – pomyślałem.

– Cóż, sprawił pan, że przyznałem się do rzeczy, o których nie powiedziałem nikomu w życiu – odparłem.

– Na przykład?

– No choćby o tej wstydlivej sprawie z Tajlandii...

– Ale jest wiele spraw, do których mi się jeszcze nie przyznałeś, Mazi.

– Proszę pana, jeśli do czegoś się nie przyznałem, to dlatego, że nie chcę panu kłamać – powiedziałem. – Pańskie bicie wydobyło ze mnie prawdę. Bicie jest przykre, ale potem czuję się lepiej. To tak jak z długimi, forsownymi ćwiczeniami albo z chemioterapią. Dzięki temu uczciwiej patrzę na siebie – i czuję się lepiej.

Jakoś dał się nabrać na te bzdury, choć przecież niczego mu nie wyznałem podczas bicia.

– Nie chciałem ci tego mówić, Maziar, ale mój ojciec był więźniem politycznym za czasów szacha. Był tak mocno torturowany przez SAVAK – tajną policję szacha – że potem ledwo chodził. Zrywali mu paznokcie i tak pobili w stopy, że do dziś, po trzydziestu latach, porusza się o lasce. A ja ci nic takiego nie zrobiłem, prawda?

Zaskoczyły mnie jego słowa. Jak człowiek, którego ojciec przeszedł takie tortury, mógł teraz sam torturować? Co to za absurdalny, bezsensowny cykl przemocy?

– A dlaczego zamknęli pańskiego ojca? – spytałem.

– Był gorącym zwolennikiem Imama Chomeiniego. Po prawdzie chciał za niego oddać życie.

Do tej pory spędziłem już dość czasu z Wodą Różaną, by nawet z opaską na oczach odczytać każdy niuans w jego głosie – a teraz dosłyszałem w jego głosie łzy. Podszedł do mnie bliżej – spod brzegu opaski widziałem nawet jego czarne pantofle – i położył mi rękę na ramieniu.

– Zadałem ci pytanie, Maziar. Odpowiedz mi: czy ja cię kiedykolwiek torturowałem?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Byłem więźniem człowieka o maniakalno-depresyjnej psychice, kogoś z olbrzymim *ego*, a jednocześnie niepewnego siebie, szukającego wciąż uznania innych ludzi. Niewłaściwa odpowiedź mogła mnie kosztować kolejne ciosy pięścią i otwartą dłonią. Szczerze mówiąc, miałem już tego serdecznie dość. W dodatku im więcej myślałem o wysiłkach Paoli, żeby mnie stąd wydostać, i o hałasie, jaki robiła w mojej sprawie na całym świecie, tym pewniej czułem się w jego obecności.

Usłyszałem głos ojca: „Dawaj, Mazi. On już oklapł. Możesz nim manipulować, możesz nawet przejąć nad nim kontrolę”.

Odczekałem chwilę i powiedziałem:

– Myślę, że pokazał mi pan swoją siłę. – A potem dodałem melodramatycznie: – Myślę, że musiał pan wypełnić swoje obowiązki, wywierając na mnie maksimum presji, by dojść do prawdy.

Woda Różana wziął głęboki oddech i zachichotał sztucznie.

– O nie, Mazi. To nie była maksymalna presja. Wciąż jeszcze nie wiesz, do czego jestem zdolny.

– To ciekawe, że czasami jest pan uprzejmy i delikatny jak brat, a czasami surowy jak srogi ojciec – powiedziałem. – Myślę, że to zdumiewające osiągnięcie.

Woda Różana roześmiał się.

– No właśnie na tym polega moja sztuka – powiedział z wyraźną dumą. – Twoja sztuka polega na kręceniu filmów i pisaniu, a moja na skutecznym prowadzeniu śledztwa. Cała różnica polega na tym, że ja wykorzystuję swoją sztukę do obrony naszego świętego systemu, a ty do walki z Allahem i najwyższym przywódcą.

Kazał mi wstać, przysunąć krzesło do ściany i zdjąć opaskę. Czułem, że szykuje się kolejne bicie.

– Wiem, że na płaszczyźnie osobistej mam wiele braków – powiedziałem. – Znam swoje słabości i błędy.

– Konkretnie?

Nie mógł ukryć oczekiwania w swoim głosie i obydwaj wiedzieliśmy, o co chodzi. Był spragniony dalszych rewelacji o Tajkach i ich masażach. Połknął haczyk. Przez następne godziny opowiadałem, jak bezwstydnie korzystałem z masażu nagiej tajskiej kobiety, jak byłem zdeprawowany, ciesząc się dotykiem na swoich plecach i niżej pachnących i doskonale kształtnych kobiecych piersi.

Oczywiście nigdy czegoś takiego nie przeżyłem. Mój monolog opierał się na oglądaniu nielegalnych kaset wideo z lat osiemdziesiątych i lekturze perskich przekładów *Kochanka Lady Chatterley*, *Pani Bovary*, *Korowodu* i dziesiątków innych romantycznych i erotycznych powieści, które poznałem jako nastolatek.

Na tym szkolnym krześle w pokoju przesłuchań poczułem się tak, jakbym nagle wrócił do liceum i opowiadał kolegom *Korowód* Arthura Schnitzlera, by zdobyć w klasie popularność. Pamiętam, że nawet dodawałem różne „momenty” do tej historii z przełomu wieków, by wzbudzić większe zainteresowanie kolegów. Podobnie jak moi kumple z liceum Woda Różana słuchał na ogół w milczeniu, tylko od czasu do czasu zadając pytania, by zaspokoić swoją lubieżną wyobraźnię.

Jednak następnego dnia miał do mnie więcej pytań.

– Mazi, czy to prawda, że jak się pójdzie na ulicę Champs-Élysées w Paryżu, to wystarczy złapać jakąś kobietę za rękę, by uprawiać z nią seks o dowolnej porze?

– Nie radzę, bo po paru sekundach by pana aresztowali i oskarżyli o gwałt – wyjaśniłem. – Jestem pewien, że nikt tak nie robi.

– Dlaczego?

– Na Zachodzie kobieta może wezwać policję, nawet jeśli dotknie pan tylko jej ręki bez jej zgody.

– Chwileczkę! – zaprotestował. – Jeden z naszych wykładowców uniwersyteckich, który spędził na Zachodzie wiele lat i uzyskał tam doktorat, powiedział, że ludzie zachowują się tam jak zwierzęta, że można tam żyć z kobietą bez ślubu.

– A to jest z kolei prawda, tyle że istnieje różnica pomiędzy życiem z kimś bez ślubu a rzucaniem się na każdą kobietę, która się akurat spodoba – powiedziałem z całym respektem, na jaki było mnie stać. – Dla wielu ludzi na Zachodzie ślub jest gestem symbolicznym i pociągającym za sobą pewne skutki prawne, ale znam ludzi, którzy żyją ze sobą przez dziesięciolecia, a nie wzięli ślubu – przy czym są sobie wierniejsi niż wiele małżeństw.

– Nie wierzę – powiedział Woda Różana. – To dlaczego ożeniłeś się ze swoją żoną?

Po raz kolejny ucieszyłem się bardzo, że Woda Różana sądził, iż jestem żonaty. Gdyby wiedział, że żyłem z Paolą i, co gorsza, zaszła ze mną w ciążę bez ślubu, mógłby mnie oskarżyć o utrzymywanie nielegalnych pozamałżeńskich związków.

– Bo zarówno jej rodzina, jak i moja są bardzo tradycyjne – skłamałem. – Żadnemu z nas nie przyszłoby nawet na myśl żyć razem bez ślubu.

– Jak człowiek nie jest tak związany węzłami tradycji, to może swobodniej odetchnąć... – zauważył Woda Różana. Nie byłem pewien, czy mnie podpuszcza, czy daje upust swoim frustracjom.

– No cóż, zawsze i wszędzie wiążą nas jakieś tradycje – odparłem. – To taka nasza niewidzialna klatka, w której tkwimy.

– To nie jest klatka, Maziar – zachichotał Woda Różana. – Ale często się zastanawiam, jak ludzie mogą żyć bez wartości religijnych. Można się czuć

wolnym i szczęśliwym na tym świecie, ale co potem? Jak wytłumaczyć się przed Allahem z tych wszystkich grzechów, które się popełniło na tym świecie? Za każdym razem, gdy myślę o życiu na Zachodzie, cały się trzęsę – ciągnął. – Jak mógłbym zapanować na swoimi żądzami, jak mógłbym kontrolować swoje relacje z żoną? Życie w takim dekadencjnym środowisku musi być prawdziwym piekłem.

Często się zastanawiałem, dlaczego Woda Różana został śledczym. Może odpowiedź kryła się w fakcie, że w jego umyśle wolność była równoznaczna z grzechem i karą? Może czuł się bezpieczny jedynie w takim ograniczonym, klaustrofobicznym środowisku?

Któregoś dnia, po wielu godzinach wypytywania o różne aspekty życia na Zachodzie, Woda Różana wrócił do tematu, który go już wcześniej nurtował:

– Dużo czasu spędziłeś w New Jersey?

– Nie za wiele – powiedziałem. – Parę dni...

– Dlaczego stan New Jersey jest tak sławny?

„A jest?” – zdziwiłem się.

– Tak specjalnie sławny to chyba nie jest – odparłem ostrożnie.

– Naprawdę? – Wydawał się zakłopotany skąpością swojej wiedzy o New Jersey. – Ludzie, którzy jadą do Stanów, mówią: „W New Jersey to, w New Jersey tamto...”.

– Naprawdę nie wiem, proszę pana – odpowiedziałem możliwie najobojętniejszym tonem. – To stan jak każdy inny w USA. Są tam przyjemne miejsca, ale też całkiem nieprzyjemne. Mieszka tam wiele osób pracujących na co dzień w Nowym Jorku.

– Dlatego że w New Jersey jest przyjemniej?

– Tam jest po prostu taniej – powiedziałem, obawiając się, że ta gadka o New Jersey to preludium do kolejnego bicia. – No, ale jest tam też sporo ładnych miejsc. Nazywany jest nawet „Stanem-Ogrodem”.

– A system opieki zdrowotnej? – zapytał. – Jest lepszy niż w innych stanach?

– Naprawdę nie wiem, proszę pana – powiedziałem przeprasząco.

– Za krótko tam byłem i na szczęście nie chorowałem.

– A Żydzi?

„Skąd nagle to pytanie?” – zastanowiłem się.

– To znaczy?

– Czy w New Jersey są Żydzi?

Wiedziałem, że gdy powiem, iż w New Jersey mieszkają tysiące Żydów, mogę dostać kolejne bicia, ale perspektywa podrażnienia jego antyżydowskiego nagniotka była kusząca.

– Proszę pana, Żydzi mieszkają w całych Stanach. Są obywatelami

amerykańskimi. W samym Nowym Jorku i w okolicach mieszkają ich tysiące, jeśli nie miliony. W New Jersey też.

Woda Różana chodził po pokoju, jakby się zastanawiał, dlaczego tak jest.

Nie mogłem zrozumieć jego fascynacji New Jersey. Gdy byłem już w celi i układałem swoje krzyżówki, przysły mi do głowy dwa wytłumaczenia. Pierwsze: że dla irańskich uszu niektóre nazwy brzmią szczególnie egzotycznie. Gdy byłem dzieckiem, pociągały mnie szczególnie dwa miejsca: Massachusetts i Connecticut. Nie wiedziałem dlaczego, ale ciągnęło mnie tam i rzeczywiście odwiedziłem te stany już podczas pierwszej wizyty w USA w 1988 roku. Druga możliwość wynikała z absurdałnego przepisu amerykańskiego prawa, zgodnie z którym irańscy dyplomaci pracujący w Organizacji Narodów Zjednoczonych nie mogą się oddalać o więcej niż dwadzieścia pięć mil od swoich biur przy Trzeciej Alei. Dlatego wielu dyplomatów mieszka w pobliskim New Jersey i może Woda Różana rozmawiał z jakimś irańskim przedstawicielem w ONZ. Ale pozostało to dla mnie tajemnicą – tak jak wiele innych kwestii związanych z Wodą Różaną.

Niedziela 13 września 2009 roku była upalna. Klimatyzacja w mojej celi warczała głośniejsz niż zwykle, pracując całą mocą. Już od paru dni nie byłem bity, więc czułem się dobrze i podczas porannego spaceru maszerowałem energicznie. W porze modłów południowych, gdy zrobiłem już pięćdziesiąt pompek i zabierałem się do przysiadów, strażnik Brązowe Sandały przerwał mi ćwiczenia.

– Mister Hillary Clinton! Po modłach idziesz do swojego specjalisty. Przygotuj się! – krzyknął i rzucił mi przez okienko w drzwiach opaskę na oczy.

Zerwałem się z podłogi.

– Co za Hillary Clinton?! – wrzasnąłem, próbując przekrzyczeć hałas klimatyzacji.

– Ta, co wiesz. Ona ostatnio dużo o tobie mówiła – powiedział Brązowe Sandały. – Czy ona zna cię osobiście, ty *szejtun*, niegrzeczny chłopcze?

Nie odpowiedziałem. Wróciłem na podłogę i wziąłem się za przysiady. Straciłem już wiarę, że kiedyś usłyszę tu jakieś dobre wieści, a teraz miałem ochotę wyciągnąć strażnika Brązowe Sandały za przekazanie mi najlepszej wiadomości, jaką dostałem od czasu, gdy trafiłem do tego więzienia. „Musi być jakaś poważna kampania w mojej sprawie – pomyślałem – bo inaczej dlaczego amerykańska sekretarz stanu miałaby się upominać o kanadyjskiego Irańczyka?”

– Pan Hillary Clinton! – powiedziałem głośno, licząc przysiady. – Sto dwanaście, sto trzynaście, sto czternaście... Pan Maziar Hillary Bahari Clinton! Dwieście osiemdziesiąt trzy... dwieście osiemdziesiąt pięć... Możliwość, że Hillary Clinton zabrała publicznie głos w mojej sprawie, dała mi taką energię, jakiej nigdy wcześniej nie czułem. „Nie jestem sam!” – krzychałem w myślach. Wciąż robiłem

przysiady: „sześćset osiemnaście, sześćset dziewiętnaście...”. Nigdy nie robiłem tyle przysiadów co teraz. Nagle poczułem ostry ból w pachwinie. Położyłem się na plecach i uniosłem ręce, jakbym wygrał maraton na olimpiadzie.

Po modłach południowych, zamiast dostać posiłek, zostałem zabrany do pokoju przesłuchań. Woda Różana nie brzmiał zbyt radośnie. Miałem wielką nadzieję, że on też wspomni o Hillary Clinton – ale zaczął mnie bić otwartą dłonią w głowę, zanim jeszcze mnie usadził.

– Gdzie spotkałeś swoją żonę? – zapytał. Mówiłem mu już kilka razy, że Paola i ja spotkaliśmy się na pewnym wykładzie w Londynie, ale nie był właściwie zainteresowany moimi wyjaśnieniami. – Jestem pewien, że to jakaś agencja wywiadowcza spiknęła was ze sobą. Bo niby czemu Angielka miałaby wychodzić za Irańczyka? Powinieneś zresztą wiedzieć, że ta twoja żona w wywiadach dla mediów wypowiada się bardzo niepochlebnie o Iranie i Irańczykach.

Poczułem mocniejsze bicie serca.

– To ona udziela wywiadów w mediach? – spytałem z fałszywym niedowierzaniem.

– Tak, niestety. Mówi o wiele za dużo – powiedział Woda Różana.

Niesamowite wieści! Wraz ze wzmianką Brązowych Sandałów o Hillary Clinton pozwalały mi wreszcie uwierzyć, że stało się to, o co modliłem się od dnia, gdy znalazłem się w Ewinie: że Paola skutecznie wystąpiła w mojej obronie. Rozmawiałem z nią często o ewentualności aresztowania mnie. Nawet sobie na ten temat żartowałem, choć ona tego nie lubiła. „Bądź poważny, Mazi – mawiała. – Ale jak cię aresztują, to narobię takiego hałasu, że będą musieli cię wypuścić”.

– Ona obraża nasz naród, nasz lud! – wywnętrzał się Woda Różana. – Jeśli naprawdę czujesz się Irańczykiem, powinieneś powiedzieć żonie, żeby przestała się wypowiadać na twój temat.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Woda Różana chwycił mnie za ramię i zaciągnął na korytarz oświetlony jarzeniówkami. Ustawił mnie przed szarym automatem telefonicznym, wiszącym na ścianie, zdjął mi opaskę z oczu i powiedział, że nadszedł czas, bym zadzwonił do Paoli i kazał jej zamilknąć. Niczego nie pragnąłem bardziej niż rozmowy z Paolą – usłyszenia jej głosu i oddechu. Ale nie chciałem, żeby tak to się odbyło. Paola to osoba niezwykle wrażliwa i obawiałem się, że w ciąży stała się jeszcze bardziej podatna na emocje. Co będzie, jeśli szok wywołany moim telefonem zaszkodzi dziecku? Co mogłem zrobić w tej sytuacji? Rozmyślnie wykręciłem zły numer.

– Ona nie odpowiada, proszę pana.

– Hmm... to niedobrze.

– A może mógłbym zadzwonić do siostrzeńca, żeby poprosił żonę, niech

czeka na telefon jutro...

Woda Różana zgodził się i po krótkiej rozmowie z Mohammedem zabrał mnie znów do pokoju przesłuchań. Opowiadał mi dalej, co mam powiedzieć Paoli, nawet nie wiedząc, ile nadziei mi daje. Szczególnie nie podobało mu się, że Paola napisała do rządu włoskiego – jej matka pochodziła z Włoch – prosząc premiera Silvio Berlusconiego o interwencję w mojej sprawie... Byłem dumny z Paoli.

– Ona prosiła tego łysego kurwiarza, żeby ci pomógł – powiedział Woda Różana z drwiną w głosie. – Ale co ten łysy mafioso może dla ciebie zrobić? Powiedz jej, że jesteśmy suwerennym państwem. Państwem prawa. Cesarstwo Rzymskie już przeminęło – ciągnął, podkreślając każde zdanie pacnięciem mnie w głowę. – Imperium brytyjskie też. A imperium amerykańskie właśnie zdycha. Chcę, żebyś zrozumiał, że jej uwagi tylko komplikują ci życie.

Gdy wróciłem do celi, czułem przy sobie obecność Paoli. Moja miłość do niej stała się głębsza niż kiedykolwiek. Gdy usiadłem w kącie celi i zacząłem masować sobie skronie, usiłując się pozbyć migreny, nie mogłem przestać myśleć o słowach Wody Różanej, że „Paola za dużo mówi”. Widać, że budzi zainteresowanie moją sprawą. W dodatku wiedziała o mnie także Hillary Clinton, jak to zasugerował strażnik Brązowe Sandały.

Może więc zdołam wyjść stąd żywy?

Trudno powiedzieć, dlaczego człowiek się w kimś zakochuje, ale wiem, że jedną z głównych przyczyn, które sprawiły, iż pokochałem Paolę, była jej lojalność w obliczu kłopotów, jej silne zasady i głębokie przywiązanie do rodziny. W sprawach rodzinnych była zawsze bezkompromisowa. Gdy się poznaliśmy, chciałem być wszędzie, gdzie powinienem, co czasami prowadziło do konfliktów. Matka Paoli ma gorący temperament, a Paola odziedziczyła sporo z jej ognistej włoskiej natury. Niekiedy potrafiliśmy się kłócić całkiem ostro.

Kiedy następnego dnia wykryłem numer telefonu Paoli, miałem w pamięci jej łzy po pewnej naszej głupiej sprzeczce. Tęskniłem za domem i miałem wyrzuty sumienia. Nie mogłem sobie wybaczyć, że byłem dla niej wtedy tak nieprzyjemny. Jednak w tej chwili najważniejsze było, by poczuła, że jestem zdrowy, a nawet silny, niepokonany przez te prawie trzy miesiące więzienia.

– Cześć, cześć, Mazi – powiedziała Paola, ledwie podniosła słuchawkę, jakby nie wiedziała, od czego zacząć. Pomimo moich wszystkich starań w chwili, gdy usłyszałem jej głos, nie potrafiłem powstrzymać łez. Woda Różana trzepnął mnie w tył głowy: „*Mard baasz!*” – powiedział. „Bądź mężczyzną!”. Potem wcisnął głowę zaraz koło mojego ucha, żeby posłuchać, co mówi Paola – choć rozmawialiśmy po angielsku i nie mógł nas zrozumieć. Miałem ochotę rozbić mu ten wielki łeb słuchawką, ale nie pozwoliłem sobie na żaden gest, bo bałem się, że

zakończy moją rozmowę z Paolą. Miałem jej tak wiele do powiedzenia, ale nie mogłem znaleźć właściwych słów. Płacząc, wykrztusiłem więc tylko: „Kocham cię”.

Paola była opanowana i silna.

– Cały świat myśli o tobie, Mazi – powiedziała. – Wszyscy się o ciebie martwią.

Jej słowa były tak krzepiące i uspokajające jak słowa mojej matki. Jakby sama doświadczyła w swojej rodzinie dziesięcioleci aresztowań i więzienia.

– Wyciągniemy cię stamtąd, Mazi.

– Powiedz jej o Berlusconi. I żeby nie udzielała wywiadów – denerwował się Woda Różana.

Paola jednak dobrze wiedziała, jak unikać jasnych odpowiedzi na temat listu do Berlusconi.

– Niech pomyślę... – powiedziała całkiem obojętnie. – Nie przypominam sobie, żebym się do niego zwracała... Czuję się dobrze. Byłam już parę razy u lekarza i wszystko jest jak należy. Codziennie spaceruję i pływam.

Po śmierci Marjam Paola i ja uzgodniliśmy, że jeśli nasze dziecko będzie dziewczynką, damy jej na imię Marianna Marjam, na pamiątkę włoskiej krewnej Paoli i mojej siostry, ale nie zdecydowaliśmy, jakie imię damy naszemu ewentualnemu synowi. Od czasu, gdy przyśnił mi się Leonard Cohen, chciałem mu nadać imię Leo.

– To chłopiec czy dziewczynka?

– Jeszcze nie sprawdziłam. Niedługo będziesz w domu to... – zamilkła na chwilę i wydawało mi się, że słyszę łzy w jej głosie – to sprawdzimy razem.

– Ale muszę wiedzieć, kochanie – powiedziałem Paoli. – Miałem pewien sen i chciałbym dać dziecku na imię Leo – jeśli to będzie chłopiec.

Woda Różana zaczął się niecierpliwić.

– Powiedziałeś jej, że popełniłeś błędy?

– Nie zrobiłeś niczego złego – zapewniła mnie Paola. – Wiem, że ta rozmowa jest kontrolowana, ale nikt nie uważa, że zrobiłeś coś złego, i wszyscy cię wspierają. Wszyscy!

Gdy usłyszałem te wieści, spadł mi kamień z serca i po raz pierwszy od tygodni mogłem normalnie odetchnąć. Dla więźnia najgorszym koszmarem jest myśl, że o nim zapomniano, a słowa Paoli dawały mi pewność, że nic takiego się nie stało wbrew czarnym myślom, które mnie nawiedzały.

– Sprawdź, proszę, czy to chłopiec, czy dziewczynka – powiedziałem, gdy Woda Różana wyciągnął rękę, by odebrać mi słuchawkę. Próbowałem jeszcze krzyknąć „Kocham cię!”, ale połączenie zostało przerwane.

– Kocham cię! – przedrzeźniał mnie Woda Różana, kiedy oddawał mnie w ręce strażników więziennych, którzy mieli mnie odprowadzić do celi.

Jednak jego słowa nie dotyczyły mnie tak jak podczas poprzednich tygodni. Tej nocy, ze zwiniętym w wałek kocem pod głową, wyobrażałem sobie dzień, gdy znów zobaczę Paolę. Bawiłem się tą myślą już wcześniej, czy to podczas przesłuchań, czy samotnych chwil w celi, ale zawsze z pewnym bólem. Podobnego przeżycia doświadczałem przez całe tygodnie i miesiące po śmierci Marjam, kiedy zasypiałem, modląc się, by sprawy potoczyły się inaczej i bym mógł jeszcze kiedyś ujrzeć moją siostrę.

Jednak tej nocy, gdy wyobraziłem sobie, że trzymam Paolę za rękę i całuję jej brzemienny brzuch, miałem całkiem odmienne odczucie – że nie są to już beznadziejne rojenia.

– Wróć do domu, do ciebie – wyszeptałem w ciemności. Wróć...

Owinałem się kocem i po raz pierwszy do tygodni spokojnie przespałem całą noc.

Ramadan skończył się 19 września, a w Teheranie zrobiło się już chłodniej. Woda Różana nie musiał już pościć i nie cierpiał tak dotkliwie od upału. Zaczął otwierać okno w pokoju przesłuchań, a ja często przysuwałem swoje krzesło bliżej okna, by zaczerpnąć chłodnego górskiego powietrza. Woda Różana siadał niekiedy koło mnie i nie zadawał już pytań, lecz śpiewał. Były to zawsze pieśni religijne, chwalcące rodzinę Proroka Mohammada. Wprawiało go to w lepszy humor.

Przez następne tygodnie ojciec i Marjam byli ze mną podczas przesłuchań i dodawali mi otuchy, żebym kierował rozmowę na bezpieczniejsze dla mnie tory. Zamiast mówić o moim domniemanym szpiegostwie, dyskutowaliśmy o rozmaitych aspektach życia na Zachodzie i o tym, co – jak wiedziałem – szczególnie interesowało Wodę Różaną: o seksie. Niemniej poruszaliśmy też inne kwestie, jak system ubezpieczeń społecznych, kredyty hipoteczne, a nawet ceny używanych samochodów. Z dnia na dzień czuł się coraz swobodniej w moim towarzystwie, co dla mnie oznaczało mniej bicia.

Zaczynałem myśleć, że pozwalał mi na kierowanie rozmową po prostu dlatego, że nie miał mnie już o co pytać. Byłem przekonany, że sam nie wierzył w moje „zbrodnie”, w które tak głęboko pragnął wierzyć, gdy przywiózł mnie do Ewinu. Wydawało mi się nawet, że moje towarzystwo sprawiało mu pewną przyjemność, a w każdym razie odskocznię od bicia i wyzywania innych więźniów.

– Mazi, co byś o mnie napisał, gdybyś miał taką szansę? – zapytał pewnego poranka.

– Byłoby wspaniale zrobić z panem wywiad, jeśli to możliwe – odparłem szczerze.

– Dyplomatyczna odpowiedź, ale to nie jest przesłuchanie – powiedział.

– Ciekaw jestem, o co byś mnie zapytał.

Nie mogłem mu oczywiście powiedzieć prawdy: że spytałbym, co sprawia, że człowiek wybiera pracę obejmującą bicie innych ludzi, grożenie im śmiercią i manipulowanie ich strachem? Zwłaszcza gdy jest synem człowieka, który sam tego wszystkiego doświadczył.

– Myślę, że ważne jest, by młodzi ludzie poznali pańskie zdanie na temat różnych spraw, żeby nie skończyli jak ja, przesłuchiwanie przez pana.

– A komu twoim zdaniem ten wywiad mógłby pomóc? – zapytał Woda Różana. – Chyba tylko wrogom – Amerykanom i syjonistom. Mogliby poznać nasze sekrety.

– Możliwe, że pomogłoby to też wrogom, ale także ludziom, którzy chcieliby zrozumieć, co myśli rząd. – Zawahałem się nieco, a potem kontynuowałem: – Mam wszelkie akredytacje i rekomendacje, ale wciąż mnie pan tu trzyma i przesłuchuje. Nie chciałbym, żeby coś podobnego przytrafiło się innym ludziom.

– Posłuchaj, Mazi. Nie wypytyuję cię o popełnione przez siebie przestępstwa, ale z tego powodu nie powinieneś myśleć, że pozwolimy ci urwać się z haczyka. Mamy swoje zespoły fachowców, które teraz badają twoją sprawę.

Potem odszedł ode mnie i milczał przez parę minut, wdychając głęboko świeże poranne powietrze. Wiał lekki wietrzyk, przypominający mi Londyn.

– Popatrz na to – odezwał się wreszcie.

Siedziałem twarzą do ściany, bez opaski na oczach, i odwróciłem się w jego stronę. Niespodziewanie, może z nawyku, strzelił mnie dłonią w policzek.

– Nie odwracaj twarzy!

– Ale sam pan powiedział „popatrz na to”.

– Nie nauczyłeś się jeszcze, że nie powinieneś odwracać głowy nawet wtedy, jeśli się pomyłę? Powiedziałem tylko, żebyś spojrział na tych ludzi, którzy przychodzą tu do pracy. Jest ósma dwadzieścia, a powinni być o wpół do ósmej. Nie mogę zrozumieć takiego braku dyscypliny. Nikt ich przecież nie zmuszał, by tu przyszli pracować. Sami chcieli.

Mimowolnie skrzywiłem twarz. Woda Różana chyba naprawdę był oburzony, że inni nie przykładają się do roboty jak należy.

– Mamy tu ciężką pracę, Mazi. Jak sam wiesz, pracujemy przez długie godziny. Musimy jeździć po całym kraju, a czasami możemy się zdrzemnąć jedynie przez chwilę – tu, na miejscu – przed powrotem do pracy. Wiele żon moich kolegów wystąpiło o rozwód, bo nie mogły już tego znieść.

Woda Różana przysunął krzesło i usiadł za mną. Powiedział, że jego żona różni się od żon innych śledczych, bo rozumie, iż poświęcił się sprawie islamu i powrotu Imama Mahdiego – i dlatego nie protestuje przeciwko wielogodzinnej pracy męża.

– Całuję jej ręce i stopy, bo jest dla mnie taka dobra – wyznał Woda Różana.

– Od chwili, gdy weszliśmy do jej domu, a ona podała mi i mojej rodzinie herbatę i słodycze, wiedziałem, że to odpowiednia kobieta dla mnie.

W praktyce aranżowanych małżeństw zwykle tak bywa, że po tym, jak rodzina młodzieńca poprosi rodzinę dziewczyny o jej rękę, udaje się do domu przyszłych teściów, by omówić wszelkie sprawy związane z małżeństwem. Dziewczyna pokazuje wtedy swoją twarz tylko raz, gdy podaje gościom herbatę i słodycze.

– W chwili, gdy brałem herbatę z tacy i nasze spojrzenia się spotkały, wiedziałem już, że to będzie wierna żona – wyszeptał Woda Różana.

Wyciągnął chusteczkę higieniczną i wytarł po cichu nos.

– Mam dla ciebie niespodziankę – powiedział. – Pozwolę ci jeszcze raz zadzwonić do żony.

Bez słowa wziął mnie za ramię i zaprowadził do telefonu. Słyszałem, jak ciężko wzdycha i powtarza: *La elaha ella Allah* – „Nie ma boga prócz Allaha”.

Udało mi się od razu dodzwonić do Paoli, ale międzynarodowa karta telefoniczna Wody Różanej miała zaledwie dwuminutowy kredyt. Zapytałem więc Paolę od razu, czy zna już płć dziecka.

– Tak! – roześmiała się. – Jak myślisz?

– Kochanie, mamy tylko dwie minuty: chłopiec czy dziewczynka?

– Dziewczynka. Szkoda, że nie możesz zobaczyć zdjęcia z ultrasonografu. To piękna, zdrowa dziewczynka!

– Zatem Marianna Marjam Bahari! Nie mogę się doczekać, żeby być z wami...

– Będziesz już niedługo, Mazi – powiedziała Paola, starając się mnie uspokoić. – Jestem pewna, że niedługo będziesz w domu.

ROZDZIAŁ 17

Rankiem 6 października leżałem w mojej celi na plecach i ćwiczyłem „rowerek”. Udawałem, że jadę na swoim rowerze przez Hampstead Heath, Highgate, a potem dojeżdżam przez Belsize Park do Primrose Hill. Byłem pełen energii.

Od paru dni nie widziałem Wody Różanej. Zazwyczaj po kilku dniach braku kontaktów z innym człowiekiem czułem lęk i desperację, ale tamtego dnia, mając jeszcze w pamięci głos Paoli i tę wielką pracę, jaką wykonała w mojej obronie, czułem się całkiem dobrze. Dzień wcześniej, po raz pierwszy od aresztowania, dali mi gazetę. Przeczytanie czegokolwiek oprócz protokołów z przesłuchań dodało mi ducha, choć była to gazeta „Kayhan”, tuba twardogłowych. Najważniejsze było jednak, że po miesiącach układania własnych krzyżówek uzyskałem wreszcie możliwość przestudiowania krzyżówki zrobionej przez profesjonalistę. Przypatrywałem się jej godzinami, próbując nauczyć się jak najwięcej.

Tego ranka „pedałowałem” właśnie w stronę Primrose Hill, myśląc już o kawie, która czekała na mnie po zakończeniu jazdy, gdy usłyszałem zamieszanie na korytarzu. Przysłuchałem się uważniej: strażnicy wydawali polecenie jakimś więźniom, by się pakowali i sprząkali po sobie cele. Chwilę potem Niebieskooki Sejjed otworzył moje drzwi i dał mi opaskę na oczy.

– *Ostad Bahari* – „Maestro Bahari” – będzie nam ciebie brakowało – powiedział.

– Co to znaczy? Chcą mnie wypuścić?

– *Na baba, hol hasza...* Chciałbyś! Przenosisz się do celi zbiorowej.

Słyszałem, że przeniesienie do celi zbiorowej oznacza przejście twojej sprawy na nowy etap. Wciąż byłem w śledztwie i o ile wiedziałem, w moim statusie nie miało się nic zmienić. Niebieskooki Sejjed poprowadził mnie przez labirynt Ewinu do małej alejki, na końcu której stał budynek. Miałem na oczach opaskę, ale nauczyłem się już tak manewrować głową, by widzieć, co trzeba. Strażnik otworzył dużą niebieską bramę i zamknął ją za mną.

– Mogę już zdjąć opaskę? – spytałem.

– Oczywiście – odpowiedział jakiś mężczyzna stojący przede mną.

Gdy to zrobiłem, zobaczyłem Mohammada Atrianfara, byłego wiceministra spraw wewnętrznych, który tak wychwalał Chameneiego na konferencji prasowej po pokazowym procesie. Pięćdziesięciosześcioletni Atrianfar był rewolucjonistą za swoich studenckich czasów, na początku lat siedemdziesiątych. Po rewolucji wszedł do aparatu bezpieczeństwa i obrony rządu islamskiego. Przeprowadziłem

z nim kiedyś kilka wywiadów. Lubiłem jego barwne opowieści z czasów, gdy podróżował do Libii i Syrii, gdzie kupował nielegalnie broń podczas wojny z Irakiem, gdy na Iran nałożone było embargo.

Ucałował mnie w oba policzki.

– Witamy, Maziar. Czy to nie wspaniałe? To dobry omen. Myślę, że niedługo nas wypuszczą. – Przezeszał palcami swoją gęstą siwą brodę. – Musisz się tylko zobowiązać, że będziesz karmił szczura.

Pomyślałem, że chodzi mu o przekupywanie strażnika.

– Karmić szczura? – spytałem dla pewności.

– Tak – odparł z szerokim uśmiechem. – Przychodzi do nas z podwórza taki wielki szczur, a my kolejno go karmimy.

Rozejrzałem się po moim nowym otoczeniu. Cella była wysoka, znajdowały się w niej dwa okna i przeszklone drzwi – oczywiście zabezpieczone kratami. Miała nawet małe podwóreczko, kuchenkę, łazienkę z prysznicem i telewizor. Oczywiście była lepsza od izolatki, ale też nie pozostawiała wątpliwości, że będziemy w niej starannie nadzorowani: na podwórku zainstalowano dwie kamery skierowane do wnętrza celi, a na ścianach zauważyłem kilka mikrofonów.

W celi było pięć oddzielnych łóżek z porządnymi materacami, czystymi prześcieradłami i kocami. Po raz pierwszy od ponad trzech miesięcy miałem prawdziwą poduszkę. Ściany były zbudowane z trzycalowej cegły, a podwórko miało podłogę z lastryka. Później dowiedziałem się, że ta cela była częścią bloku należącego do jednostki spraw wewnętrznych Korpusu Strażników Rewolucji. Trzymano tu dowódców wysokiego szczebla, aresztowanych pod różnymi zarzutami.

Atrianfar powiedział mi, że przenieśli go do tej zbiorowej celi dwa dni wcześniej i czekał tu na nowych współlokatorów. Miał herbatę i słodycze; sam się o nie postarał. Okazało się, że możemy dwa razy w tygodniu dawać strażnikom listę zakupów owocowo-warzywnych, a pieniądze potrącano nam z kwot odebranych w dniu aresztowania.

Później dowiedziałem się, że już kilka dni przed ramadanem zaliczono mnie do grupy dwunastu więźniów kategorii VIP. Niedługo po mnie w celi pojawił się Sajed Szariati, rzecznik Frontu Udziału w Islamskim Iranie, głównej partii reformistycznej, popierającej Musawiego podczas wyborów prezydenckich. Spotkałem go już parę razy wcześniej i miło było zobaczyć kolejną znajomą twarz. Niemniej po powitalnych uściskach zauważyłem, że był przygnębiony i wyniszczony. W czasie uwięzienia przeprosił publicznie Chameneiego i stwierdził, że politycy reformistyczni obrali przed wyborami błędną strategię. Widziałem w jego oczach, że był złamanym człowiekiem, i zastanawiałem się, czy również w moim spojrzeniu dało się zauważyć coś podobnego.

Następnym więźniem, który do nas dołączył, był kolejny polityk

reformistyczny, Fejzollah Arabsorchi, przystojny mężczyzna o miłej twarzy i dużych oczach. Arabsorchi był przywódcą Organizacji Mudżahedinów Islamskiej Rewolucji (MIRO), półtajnej partii reformistycznej, której szefowie należeli do członków-założycieli Korpusu Strażników Rewolucji. Podobnie jak część najbardziej ekstremistycznych i radykalnych działaczy z początku rewolucji, założyciele tej organizacji byli blisko związani z Chomeinim.

Tego wieczoru siadłem z moimi współwziętnymi na dywanie, popijając herbatę. Podczas rozmowy dostrzegłem żal w oczach zarówno Arabsorchiego, jak i Atrianfara. Obaj czuli teraz wyrzuty sumienia z powodu swojego znaczącego udziału w stworzeniu reżimu, który był żalosną karykaturą ich młodzieńczych ideałów. Wierzyli kiedyś, że każdego i wszystko można poświęcić, by ustanowić idealne państwo islamskie, ale z czasem stali się świadkami degeneracji tego państwa, przeobrażającego się w zepsuty, tyrański reżim. Stali się ofiarami własnej rewolucji.

W odróżnieniu od Atrianfara, Szariatiego i mnie Arabsorchi odmówił wszelkich przeprosin i występu w telewizji. Powiedział, że właśnie z tego powodu śledczy przestali się nim zajmować i na wiele tygodni pozostawili go w niepewności. Nie wiedział, jakie zarzuty zostaną mu postawione. Choć był jedynym z nas, który odmówił wszelkiej współpracy z reżimem, wciąż wierzył, że system islamski da się zreformować. Natomiast Atrianfar i Szariatati, którzy przysięgali w telewizji wierność temu reżimowi, dobrze wiedzieli, że był przegniły aż do szpiku kości, i nie wierzyli, by próba zreformowania go była warta ich życia. Nie mieli zamiaru dłużej ryzykować życia dla swoich ideałów. Chcieli po prostu wyjść z więzienia. Wszyscy znaleźliśmy się w wyjątkowo niezręcznej sytuacji – gdzieś pomiędzy próbą ocalenia własnego życia i zdradą samych siebie.

Naszym piątym towarzyszem okazał się Mohsen Safaei Farahani. Kiedyś był członkiem parlamentu i szefem irańskiej federacji piłki nożnej. Gdy późnym wieczorem wszedł do celi, posłał mi smętny uśmiech. Spotykaliśmy się już przy różnych okazjach, a ponadto znał mojego ojca. Był rewolucjonistą, który zastąpił ojca na stanowisku szefa Mana Construction Company po upadku szacha.

– Jak się pan czuje, panie Bahari? – zapytał. – Przepraszam, że nie zadzwoniłem do pana po śmierci ojca...

Safaei poznał mojego ojca dopiero po dłuższym czasie od chwili, gdy zajął jego stanowisko. Pamiętam, jak wydzwaniał do naszego domu, szukając pomocy w zarządzaniu potężną firmą zatrudniającą dziesięć tysięcy ludzi. Chociaż ojciec czuł się rozgoryczony faktem, że wykopano go z pracy bez żadnego racjonalnego powodu, wciąż czuł się odpowiedzialny za firmę, którą zbudował od podstaw. Godzinami tłumaczył, jak ta firma funkcjonuje i jaki ma personel.

W odróżnieniu od innych ludzi z rewolucyjnego awansu Safaei chciał się uczyć od poprzedników, co zaimponowało mojemu ojcu. Nie mógł się jednak

nadziwić naiwności Safaeiego i wielu innych ludzi z tego pokolenia, którym roilo się, że w parę lat mogą odmienić świat. „Oni potrzebują paru dziesięcioleci, by się czegoś nauczyć” – mawiał ojciec po każdej rozmowie z Safaeim.

W 2000 roku, gdy Safaei został reformistycznym członkiem parlamentu i zaczął krytykować twardogłowych z rządu, ojciec powiedział ze smutnym uśmiechem i jeszcze smutniejszym cynizmem: „Reformiści potrzebowali dwudziestu lat, żeby nauczyć się czegoś na własnych błędach, ale nie mam wątpliwości, że teraz zostaną szybko odsunięci od władzy i zastąpieni przez nową bandę idiotów”. Przepowiednia mojego ojca ziściła się w 2005 roku, gdy do władzy doszedł Ahmadineżad i powyrzucał wszystkich reformistów, łącznie z Safaeim.

Usiadłem na dywanie obok Safaeiego. Wziął mnie za rękę i spytał o ojca. Czulem, że żałuje, iż poświęcił życie władzy, która odpłaciła mu się, wsadzając go za kraty.

Spytałem, czy wie, dlaczego przenieśli nas wszystkich do celi zbiorowej i – co ważniejsze – dlaczego trafiłem tu wraz z czterema politykami.

– Mieli pewien scenariusz, który jednak nie zadziałał – powiedział Safaei, prostując plecy. – Wszystkich nas aresztowano według pewnego planu, który okazał się zbyt skomplikowany do realizacji przez Strażników Rewolucji.

Przez następne godziny, szczęśliwi, że mamy z kim porozmawiać, gadaliśmy nieprzerwanie o okolicznościach naszych aresztowań. W końcu doszliśmy do wniosku, że Strażnicy chcieli nas zamknąć już wiele miesięcy wcześniej, a rozruchy po wyborach prezydenckich dostarczyły im tylko wygodnego pretekstu. Wierząc w każde słowo Chameneiego, Strażnicy naprawdę byli przekonani, że „zielonym ruchem” kierowała garść reformistów korzystających z pomocy Zachodu. Aresztując tych reformistów i ludzi kontaktujących się z Zachodem, przywódcy Strażników mieli nadzieję uciszyć powszechne żądania reform i położyć kres ruchowi „zielonych”.

Gdy tak rozmawialiśmy, zrozumiałem, że spośród tych „vipowskich” więźniów to Safaei i ja doświadczyliśmy najwięcej fizycznych cierpień. Niektórzy z moich nowych towarzyszy słyszeli wrzaski i obelgi Wody Różanej, kiedy mnie przesłuchiwał, i zastanawiali się, nad kim tak się znęca. Z nimi było inaczej – należeli do ludzi głęboko religijnych, a ich równie „religijni” oprawcy wiedzieli, jak stosować wobec nich presję psychiczną. Grozili, że będą nękać ich najbliższych i przyjaciół, a także fabrykowali różne kłamstwa na temat życia prywatnego reformistycznych przywódców. Niektórzy śledczy posuwali się nawet do zmuszania jakichś kobiet do składania fałszywych zeznań o utrzymywaniu nielegalnych kontaktów seksualnych z więźniami – a było to przestępstwo zagrożone karą śmierci.

Jednym z luksusów tej zbiorowej celi był mały telewizor, w którym dało się oglądać sześć głównych kanałów telewizji państwowej. Drugiego dnia pobytu w nowej celi oglądałem właśnie mecz piłkarski, gdy Woda Różana wezwał mnie do pokoju przesłuchań. Żałowałem, że nie mogłem go poprosić, by poczekał, bo pierwszy raz od wielu miesięcy miałem okazję obejrzeć mecz. Była to co prawda powtórka, ale grał mój ulubiony Liverpool z Chelsea, a ponieważ nie znałem wyniku, czułem się, jakbym oglądał bezpośrednią transmisję.

Niestety nie miałem innego wyjścia, niż stawić się zaraz na wezwanie. W pokoju przesłuchań Woda Różana posadził mnie na krześle, otworzył okno i zapytał:

– Zwykła czy pomarańczowa?

Nie czekając na moją odpowiedź, postawił na pulpicie mojego krzesła kubek z herbatą, talerzyk z herbatnikami, a do tego parę kostek cukru.

– Na początek – powiedział śmiertelnie poważnym tonem – chciałbym przeprosić za wszystko, co wydarzyło się do tej pory.

„Przeprosić?”. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc jedynie uprzejmie kiwnąłem głową.

– Wiesz, że przesłuchanie to trudny proces. To jest początek nowej fazy...

– Przez szparę pod opaską zauważyłem, że Woda Różana bierze herbatnika z mojego talerzyka.

– Mogę? – zapytał.

– Oczywiście – powiedziałem, a mój głos zdradzał oczekiwanie, że ten koszmar zbliża się wreszcie do końca.

– Otóż nasze zespoły ekspertów zbadały twoją sprawę i cieszą się, że mogę ci powiedzieć, iż wiemy obecnie, że nie jesteś szpiegiem. A nasz święty system islamski potraktuje cię łaskawie.

Myślałem, że kiedy usłyszę takie słowa, poczuję się jak w siódmym niebie, a tymczasem wpadłem we wściekłość. „Więc to wszystko było ściemą – pomyślałem. – Ty sukinsynu! A te wszystkie bicia, a te wyzwiska?”. Niemniej nie odezwałem się ani słowem.

– Mam nadzieję, że nie masz do mnie urazy – powiedział Woda Różana obłudnym tonem, jak do dziecka, któremu zabrano cukierki. – W ostatnich miesiącach miałem przyjemność przebywać dużo w twoim towarzystwie... I wiele się od ciebie nauczyłem.

„Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle” – pomyślałem, lecz powiedziałem co innego:

– Jest pan niezmiernie uprzejmy.

– Sam nalegałem na szybkie zbadanie twojej sprawy. Jak wiesz, mogło to trwać znacznie dłużej, nawet lata. Zdajesz sobie z tego sprawę, Mazi?

– Tak, proszę pana. Dziękuję bardzo – wymamrotałem, wiedząc dobrze, że to zasługa Paoli i innych ludzi, ale na pewno nie Wody Różanej.

– Nie ma sprawy... Chcę ci teraz powiedzieć, że dzisiaj może się rozstrzygnąć, czy zostaniesz zwolniony, czy nie. – Przysunął bliżej mnie krzesło i usiadł. Wziął następnego herbatnika z mojego talerzyka. – Bo widzisz... chociaż wiemy, że nie jesteś szpiegiem w klasycznym rozumieniu tego słowa, jesteś jednak szpiegiem medialnym.

– A co to jest „szpieg medialny”?

– No cóż, Mazi... Nie wypracowaliśmy jeszcze ścisłej definicji tego pojęcia. Na tym polega jego urok... Dajemy ci szansę współpracy, abyś mógł sam stworzyć definicję tego pojęcia i pomóc nam w zwalczaniu szpiegostwa medialnego.

Zbaraniałem.

– Przepraszam, ale czy jestem oskarżony o coś, czego definicji pan nie zna?

– Oj, zaraz „oskarżony”. To za mocne słowo. – Woda Różana najwidoczniej został poinstruowany przez swoich zwierzchników o zjawisku medialnego szpiegostwa, ale nie miał jeszcze czasu, by zapoznać się z tym pomysłem. Słyszałem, że kartkuje jakieś notatki.

– Powiedz mi, Maziar, kto to jest szpieg?

– Osoba, która przekazuje tajne informacje dotyczące bezpieczeństwa narodowego jednego państwa władzom innego państwa.

– A kto to jest dziennikarz?

Moja cierpliwość była na wyczerpaniu, ale chciałem się przekonać, do czego on zmierza.

– To ktoś, kto relacjonuje wydarzenia dla mediów drukowanych, telewizji, radia, portali internetowych albo na blogach. – Starłem się odpowiadać jak najostrożniej. – Różnica między szpiegiem a dziennikarzem jest taka, że szpieg działa w tajemnicy, a dziennikarz jawnie, nawet jeśli wykorzystuje niejawne informacje po to, by poinformować opinię publiczną. Z całym szacunkiem, ale naprawdę nie rozumiem, kim jest szpieg medialny.

– Spokojnie, Mazi, spokojnie. Nie podniecaj się. Chodzi o to, że zarówno dziennikarze, jak i szpiedzy zajmują się zbieraniem i przekazywaniem informacji. Prawda?

– Ale są to informacje różnego rodzaju.

– Jednak koniec końców informacje. – Wydawał się poirytowany moją pryncypialnością. – A jeśli relacje dziennikarzy wykorzystywane są na szkodę bezpieczeństwa narodowego jakiegoś kraju? Na przykład sfilmowałeś demonstracje po wyborach pomimo wyraźnego polecenia władz, by tego nie robić. Nasi wrogowie wykorzystali twoje zdjęcia i teksty przeciw naszej świętej Islamskiej Republice Iranu. Co mieliśmy w tej sytuacji zrobić? Uchylić twoją akredytację czy podjąć radykalniejsze kroki?

„Anulujcie moją legitymację prasową i pozwólcie mi stąd wyjechać, pojeby”.

– Unieważnić moją legitymację prasową, proszę pana.

– Wiedziałem, że tak powiesz! Ale naszym zdaniem to, co zrobiłeś, jest przykładem medialnego szpiegostwa. Nawet jeżeli nie możemy na razie przedstawić spójnej definicji tego rodzaju szpiegostwa. – Wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po pokoju. – Jak ci powiedziałem już na początku, nikt nie może zdecydować o twoim losie oprócz nas, Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. – Po raz pierwszy przyznał, że należy do Strażników. – Masz wielkie szczęście, Mazi, że postanowiliśmy dać ci szansę wyjścia na wolność i przysłużenia się systemowi islamskiemu.

Nie po raz pierwszy obiecywał mi zwolnienie w zamian za współpracę, więc potraktowałem jego słowa z rezerwą.

– Chętnie pomogę, jak tylko będę potrafił – zadeklarowałem. – Jestem filmowcem i dziennikarzem, więc mogę służyć swoimi umiejętnościami, gdy wyjdę z więzienia.

– Pewnie, że możesz – powiedział Woda Różana. – Ale dżentelmen, który zjawi się tu za parę minut, powie ci, jak jeszcze możesz nam się przysłużyć. To mój szef, więc uważaj, kiedy będziesz z nim rozmawiał.

Woda Różana wyszedł z pokoju po więcej herbaty i ciastek, a tymczasem do pokoju wszedł jego szef. Miał głos starszego człowieka, a jego akcent świadczył wyraźnie, że pochodził z Isfahanu. Szef przystawił sobie krzesło obok mojego i poklepał mnie po plecach.

– Mam nadzieję, że spędził pan ten czas w miarę przyjemnie, panie Bahari.

– Cóż, więzienie to miejsce, które z samej swojej natury nie jest jakoś specjalnie przyjemne.

– Wkrótce pan stąd wyjdzie – zapewnił mnie szef.

Przymknąłem oczy pod opaską, próbując spokojnie przyjąć jego słowa.

– Są jednak pewne formalności, które musimy najpierw załatwić... Wie pan, co mam na myśli?

– Nie bardzo, proszę pana.

– A wie pan, dlaczego zostanie pan zwolniony?

– Bo wyraziłem skruchę?

– Owszem, ale jak zamierza pan ją okazać czynem?

– Zrobię dla was filmy albo napiszę artykuły w obronie Islamskiej Republiki Iranu – zaproponowałem.

– Bardzo dobrze, ale chcemy, żeby współpracował pan z nami jeszcze w inny sposób. – Szef podniósł się z krzesła i podszedł do mnie. Zauważyłem kątem oka, że miał brązowe wypucowane buty i pogniecione spodnie.

Do pokoju wszedł Woda Różana i postawił na pulpicie mojego krzesła nowy

kubek herbaty i talerzyk z herbatnikami.

– Mam zostać, proszę pana? – zapytał szefa.

– Może będzie lepiej, gdy porozmawiam sobie z panem Bahari prywatnie – odparł szef. Usłyszałem, że Woda Różana wychodzi.

– To naprawdę oddany bojownik – powiedział szef o Wodzie Różanej. – Jest twardy i ma niezachwianą wiarę, ale... pan i ja jesteśmy intelektualistami. Myślę, że dogadamy się między sobą. A jeśli nie, to cóż – po prostu wyjdę i poproszę śledczego, by kontynuował swoje obowiązki.

Byłem zbyt przerażony, by się odezwać. Chciałem, by jeszcze raz mi powiedział, że zostanę zwolniony. Z zamkniętymi oczami popijałem herbatę.

– Byłem pod wrażeniem pańskiego pierwszego wywiadu w telewizji i pomyślałem nawet: „To jest człowiek, z którym możemy popracować” – powiedział szef i poklepał mnie po ramieniu. – Ma pan wiele kontaktów na Zachodzie, także wśród przeciwników naszego świętego systemu. Zna pan też od podszewki zachodnie media. Dlatego wszystko, o co proszę, to pomoc w ustaleniu, jak Amerykanie i syjoniści wykorzystują media do prowadzenia wojny z naszym rządem. W ten sposób, panie Bahari, pomoże nam pan pokonać naszych wrogów.

Położył na pulpicie mojego krzesła listę: były na niej nazwiska dziesiątków dziennikarzy i działaczy opozycyjnych, pracujących wewnątrz i poza Iranem. Zauważyłem wśród nich nazwiska wielu moich przyjaciół, ale też ludzi, których nie spotkałem nigdy w życiu.

– To jest częściowa lista osób. Chcielibyśmy, żeby pan je... monitorował – powiedział szef. Potem wyłożył jasno swoje plany co do mnie: po wyjściu z więzienia miałem przysyłać cotygodniowe raporty na temat antyirańskiej działalności na Zachodzie. W tym celu miałem się zbliżyć do różnych dziennikarzy i działaczy, zaprzyjaźnić z nimi, a potem informować Strażników o ich aktywności.

Zgodziłem się natychmiast, bez chwili wahania. Szef uniósł moją opaskę i dał mi długopis, którym podpisałem tekst zobowiązania do współpracy:

Ja, Maziar Bahari, będę współpracował z braćmi z Korpusu Strażników Rewolucji i składał im cotygodniowe raporty z mojej działalności oraz z działalności elementów, z którymi będę się kontaktował. Przyjmuję do wiadomości, że poniosę odpowiedzialność za działanie niezgodne z moim zobowiązaniem i że pociągnie to za sobą karę.

W oświadczeniu nie było mowy o przyznaniu się przeze mnie do jakiegokolwiek winy. Zostałem po prostu zmuszony do złożenia obietnicy, której nie miałem najmniejszego zamiaru dotrzymać. To był jedynie świstek papieru. Dawał mi za to realną szansę bycia z Paolą w chwili narodzin naszej córeczki.

Do pokoju wrócił Woda Różana.

– Gratuluję – powiedział do niego szef. – Dzięki pańskim wysiłkom pan Bahari zrozumiał chyba siłę naszych argumentów. To ważne osiągnięcie.

– Za pozwoleniem, proszę pana – odparł Woda Różana. – Chciałbym przypomnieć Maziemu – to takie przyjacielskie zdrobnienie, jakiego używam wobec pana Bahari – że po wyjściu z więzienia nie powinien się czuć zbyt pewnie. Korpus Strażników Rewolucji ma sojuszników na całym świecie. Jeśli pan Bahari nadużyje naszego zaufania i zrobi coś przeciwko nam, zawsze zdołamy go sprowadzić tutaj w worku.

– Pan Bahari jest inteligentnym i mądrym człowiekiem – zachnął się szef. – Dobrze wie, że mamy przyjaciół. Prawda, panie Bahari?

– Oczywiście – zgodziłem się. – A kiedy zostanę zwolniony? – zapytałem. – Moja żona ma urodzić za dwadzieścia dni, 26 października. Czy będę mógł zobaczyć narodziny mojego dziecka?

– Myślę, że tak – odparł szef dość oględnie. – To zobowiązanie do współpracy znaczy, że ufa pan systemowi islamskiemu, a my ze swojej strony zapewniamy, że te przykre doświadczenia, przez które pan przechodził przez ostatnie trzy miesiące, niebawem się skończą.

Myśl o byciu z Paolą w chwili narodzin Marianny napełniała mnie szczęściem, ale równocześnie zdawałem sobie sprawę, że tym ludziom nigdy nie mogę ufać.

Przez następne dni większość czasu spędzałem w pokoju przesłuchań, przeglądając różne listy, które przygotowywali dla mnie Woda Różana albo szef. Na listach tych widniały nazwiska najrozmaitszych ludzi – od byłego sekretarza stanu Henry'ego Kissingera po moich przyjaciół, którzy pracowali jako młodszy producenci dla BBC. Tak jak w przypadku mojej opowieści o tajskiej masażystce, dawałem upust swojej wyobraźni, wymyślając szczegóły na temat sposobów zbliżenia się do tych osób i szpiegowania ich.

– Spotkałem kiedyś Kissingera. To niemiecki Żyd i naprawdę spodobał mu się mój film o Holocauście – skłamałem pewnego dnia szefowi (nigdy w życiu nie spotkałem Kissingera). – Ten człowiek stoi za wszystkimi decyzjami Ameryki w sprawach Iranu i Bliskiego Wschodu. Mogę pójść do jego biura, poprosić o wywiad, zorientować się w jego planach co do Iranu i powiadomić was o nich.

Powiedziałem też, że będę szpiegował dla nich moich przyjaciół.

– Przyjaźnisz się z Masudem Behnudem, prawda? – zapytał Woda Różana, mając na myśli znanego irańskiego dziennikarza, żyjącego na wygnaniu

w Londynie.

– Jeśli damy ci urządzenie podsłuchowe, zdołasz je zamontować w jego domu?

– Bez problemu – odparłem. Opisałem też Wodzie Różanej wielki luksusowy dom Masuda w centrum Londynu, choć w rzeczywistości zajmował skromne podmiejskie mieszkanie z dwiema sypialniami. Podejrzewali go, że szpieguje dla MI6 i że jest bogatym człowiekiem, a ja ochoczo włączyłem się do tej rozmowy: – Mogę założyć „pluskwę” pod jego biurkiem, a nawet skopiować pliki z jego komputera – zadeklarowałem.

– *Ahsant!* Brawo! – pochwalił Woda Różana.

Aby zapewnić sobie zwolnienie – wyjaśnił Woda Różana – będę musiał złożyć kaucję w wysokości trzech miliardów riali (około 300 000 USD). Oczywiście nie miałem takiej sumy, ale powiedziałem, że mogę zgłosić jako depozyt mieszkanie mojej matki.

– Jeżeli popełnisz błąd i nie wrócisz do Iranu – ostrzegł mnie Woda Różana – to pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, będzie wykopanie na bruk twojej matki, razem ze wszystkimi twoimi taśmami i książkami.

Była to kolejna próba manipulowania mną i zastraszenia mnie, ale nie miała szans powodzenia. Wiedziałem, że moja matka prędzej pozbyłaby się domu, niż pozwoliła, bym choć jeden dzień dłużej został w więzieniu – a nawet gdyby ją faktycznie wyeksmitowano, to przebywając na wolności, zdołam zorganizować pomoc przyjaciół i krewnych, tak że nie zostanie bez dachu nad głową. Zresztą zabrzmiało to jak pusta groźba. Z nacisku, jaki wciąż kładli na kwestię kaucji, domyśliłem się, że nie wierzą, bym dla nich szpiegował. Przypominało to rodzaj ceremonii: więzień musiał podpisać zobowiązanie do współpracy, żeby Strażnicy Rewolucji mogli zachować twarz. Nie miałem co prawda żadnej pewności, że moje domysły są słuszne, ale nie przywiązywałem do tego większej wagi. Chciałem tylko wyjść na wolność.

W okresie przygotowawczym do zwolnienia mnie z więzienia – choć cały czas nie znałem konkretnej daty – pozwalano mi codziennie telefonować do matki. Powiedziała mi, że razem z Mohammadem rozpoczęła procedurę prawną umożliwiającą wykorzystanie jej domu jako kaucji. Powiedział mi też, że Paola była trzy razy w szpitalu. Zdiagnozowano u niej *placenta praevia*, łożysko przodujące, powikłanie ciąży polegające na nieprawidłowo niskim zagnieżdżeniu łożyska w macicy. W jego wyniku doszło do krwotoku zagrażającego Paoli i dziecku. Moja matka i Mohammad zapewniali mnie, że wszystko jest już w porządku, ale była to dla mnie ciężka wiadomość.

Gdy moi towarzysze z celi gawędzili i opowiadali różne historie, ja starałem

się zapełnić swój czas ćwiczeniami. Zżerała mnie jednak obawa o Paolę. Zacząłem sobie wyobrażać najgorsze, do tego stopnia, że czasami naprawdę tęskniłem za izolatką, gdzie mogłem się chociaż samotnie wypłakać.

Choć pobyt w Ewinie działał na emocje, generalnie nie byłem skłonny do okazywania uczuć. Mój stoicyzm aż do końca niepokoił Wodę Różaną. Moje rozmowy z rodziną były nagrywane, a Woda Różana nawet nie próbował ukrywać faktu, że je podsłuchiwał.

– Jak się czuje Paola? – zapytał. To był piątek 16 października. Wszystkie formalności związane z kaucją były już załatwione. Byłem gotów do zwolnienia. – Mam nadzieję, że ona i dziecko to przetrzymają.

Wiedziałem, że chciał, bym jeszcze bardziej martwił się o zdrowie Paoli. Wykorzystywanie żony i dziecka do wywierania presji na mężczyznę nie mieściło się już w najszerszych granicach przyzwoitości, nawet jeśli chodziło o śledczego Islamskiej Republiki Iranu, ale w przypadku Wody Różanej już nic nie mogło mnie zaskoczyć.

– Jestem pewny, że z tego wyjdą – powiedziałem spokojnie.

– Ty jesteś taki zimny, Maziar – zauważył Woda Różana – a przecież mówimy o życiu twojej żony i dziecka.

– Będzie dobrze – powiedziałem pewnym głosem, choć w środku mnie aż się gotowało. – Nie obawiam się o nich.

– Ale twoja rodzina wspominała przecież o krwotoku. To brzmi niepokojąco...

– Wszystko będzie w porządku, proszę pana.

Woda Różana zabrał z pulpitu mojego krzesła talerzyk z herbatnikami i kubek z herbatą.

– Posłuchaj – klepnął mnie w ramię z całej siły. – Nie zapominaj, kim jesteś. Kiedy stąd wyjdiesz, muszę mieć od ciebie raporty o wszystkim, co robisz. Chcę wiedzieć o każdej osobie, z którą się spotkasz, i o każdej twojej myśli. Będiesz w porządku, jeśli ja powiem, że jesteś w porządku. I twoja rodzina będzie w porządku, kiedy ja uznam, że jest. I zawsze pamiętaj o worku. Możemy w każdej chwili sprowadzić cię tu z powrotem w worku. – Złapał mnie po raz pierwszy od tygodni za ucho i wykręcił je z całej siły. – Zrozumiałeś?

Nie chciałem odpowiadać, ale uznałem, że sprawy zaszły już za daleko, by ryzykować.

– Zrozumiałeś? – powtórzył, wykręcając mi ucho.

„A niech usłyszy, co chce usłyszeć – pomyślałem. – Wkrótce będziesz biegać po Regent's Park z Paolą i dzieckiem”.

– Tak – odparłem. – Zrozumiałem.

CZEŚĆ III

OCALENIE

ROZDZIAŁ 18

Rankiem 17 października zabrano mnie do biura sędziego Mohammadzadeha. Jeśli liczba papierów na jego biurku mogła o czymś świadczyć, to o tym, że Republika Islamska przysporzyła sobie od czasu mojego aresztowania jeszcze więcej wrogów. Zastanawiałem się, los ilu niewinnych ludzi leżał teraz w rękach tego złośliwego hipokryty.

W odróżnieniu od pierwszego naszego spotkania, gdy wykonywał jakieś obłe gesty, tego dnia zachowywał się beznamiętnie i rzeczowo. Szybko odczytał na głos trzynaście zarzutów pod moim adresem, obejmujących wszystko – od wciąż niezdefiniowanego „szpiegostwa medialnego” do udziału w nielegalnych demonstracjach i działań na szkodę bezpieczeństwa narodowego. Gdy skończył czytać, odezwałem się:

– Kiedy zostanę zwolniony?

– *Inszallah*, w ciągu paru godzin – odpowiedział Mohammadzadeh. Zaczynałem nienawidzić wyrażenia *Inszallah* – „jak Bóg da” – najbardziej chyba nadużywanego i najmniej znaczącego powiedzenia muzułmanów. Pozwala ono udawać, że coś się robi, gdy w istocie nie robiło się nic.

– *Może* w ciągu paru godzin czy *na pewno* w ciągu paru godzin?

Moje pytanie wyraźnie rozgniewało Mohammadzadeha.

– Coś ty powiedział, ty mały szpiegu? – warknął. – Chcesz, żebym podarł postanowienie o wypuszczeniu cię z więzienia? *Może* wolisz, żebym pozwolił ci tu gnić do śmierci?

– Chciałem tylko wiedzieć, proszę pana – powiedziałem spokojnie.

– Gdyby to ode mnie zależało, skazałbym ciebie i wszystkich tobie podobnych na śmierć. Masz szczęście, że nasza islamska władza jest tak łaskawa, iż pozwala ci na jakiś czas połączyć się z rodziną. Ale nie martw się: w razie czego przypilnuję, żebyś dostał możliwie najsurowszy wyrok. – Zamknął moje akta. Jego następne słowa uderzyły mnie boleśniej niż wszystkie ciosy Wody Różanej: – *Prawdę mówiąc, zamierzam zwrócić się do sądu, żeby anulowali twoje zwolnienie za kaucją* – powiedział. – A teraz zakładaj opaskę i wynoś się z mojego biura, zanim zasadzę ci takiego kopa, że wyzioniesz ducha!

Czy mówił serio? Pomyślałem o mojej matce i Paoli, które musiały słyszeć o moim rychłym zwolnieniu, a teraz ich nadzieje miały znów zgasnąć. Ledwie trzymałem się na nogach.

Wróciłem do mojej celi o dziewiątej trzydzięci siedem rano. Położyłem się i czekałem na decyzję sądu – na jego „islamską łaskawość”. Kiedy przymknąłem

oczy, próbując nie myśleć o niczym, czułem niesłychany ból każdej mijającej sekundy. Nie mogłem myśleć o niczym oprócz mojej nienawiści do Republiki Islamskiej, do jej władców i sług.

Próbując zabić czas, przemyślałem wszystko, co miałem do zrobienia zaraz po wyjściu z więzienia. Po pierwsze: kupić bilet na najbliższy samolot do Londynu. Zastanawiałem się, czy moja agencja podróży wiedziała, co mnie spotkało. A przyjaciele i znajomi? Przypominałem sobie ich nazwiska i twarze. Powinienem się skontaktować z moimi przyjaciółmi z listy Wody Różanej i sprawdzić, czy nie zostali uwięzieni.

Jednak wśród tych wszystkich spraw jedna miała znaczenie szczególnie: musiałem znaleźć sposób, by opowiedzieć światu o tych strasznych rzeczach, które widziałem podczas demonstracji, i o tym, czego doświadczyłem w Ewinie. Wiedziałem, że w setkach cel przy zakurzonych korytarzach tego więzienia setki niewinnych ludzi przechodzi to samo co ja – a nie stał za nimi żaden potężny opiniotwórczy magazyn ani uparta i zaradna żona. Miałem teraz możliwość, by stać się rzecznikiem moich uwięzionych przyjaciół i kolegów. Wyłącznie myśl o obnażeniu tego reżimu pozwalała mi przetrwać te niekończące się chwile, gdy czekałem na decyzję, co się ze mną stanie.

Parę minut przed jedenastą wzięli mnie do Wody Różanej, który powiedział mi, że mój szwagier Mohammad czeka przed więzieniem z aktem notarialnym dotyczącym mieszkania mojej matki.

– Zadzwoń do niego i powiedz, że możesz nie wyjść dzisiaj – polecił mi Woda Różana.

– Ale dlaczego? Co się stało?

– Nic ważnego, ale potrzebujemy jeszcze podpisu pewnego urzędnika, a nie wiem, kiedy go uzyskamy.

Serce mi zamarło. W Iranie wiele istnień ludzkich ocalało albo dobiegło kresu z powodu końcowego podpisu jakiegoś urzędnika. Nie wiedziałem, czy Woda Różana mówił prawdę, czy też to Mohammadzadeh złośliwie anulował moje zwolnienie.

– *Inszallah*, ten urzędnik znajdzie się może jeszcze dzisiaj – powiedziałem Wodzie Różanej.

– *Inszallah* – zgodził się Woda Różana, wręczając mi telefon, żebym mógł zadzwonić do Mohammada.

Szwagier zadeklarował, że nigdzie się nie ruszy, dopóki nie wyjdę z więzienia.

– Powiedziałem Moludżun, że wrócę z tobą, więc ona czeka na nas obydwu – powiedział. Mohammad, który przeszedł znacznie dłuższe i cięższe więzienie niż

ja, wiedział dobrze, jak zabójczym ciosem mogłaby się stać dla matki wiadomość, że zostanę w więzieniu choćby dzień dłużej. Jego słowa jak zwykle dodały mi otuchy:

– Nic się nie martw. Jestem pewien, że dzisiaj wyjdiesz.

– To jest wolny kraj – zauważył z sarkazmem Woda Różana. Przysłuchiwał się naszej rozmowie. – Może czekać, jak długo mu się podoba.

Wróciłem do celi. Po posiłku Woda Różana wezwał mnie do pokoju przesłuchań. Znow studiował listę nazwisk ludzi, których miałem szpiegować w Londynie. Czuję, że w pokoju jest ktoś jeszcze; usłyszałem, jak mi się zdawało, brzęczenie kamery wideo nagrywającej naszą rozmowę. Tyle razy używałem kamery wideo, że rozpoznawałem jej charakterystyczny odgłos. Fakt, że byłem filmowany, dawał mi właściwie nadzieję. „Nagrywają mnie po raz ostatni przed zwolnieniem, żeby mieć dowód, że zgodziłem się na współpracę”.

Woda Różana powiedział mi, że nie powinienem rozmawiać o zwolnieniu z moimi współwięźniami z celi, ale po tym, jak zostałem wezwany do pokoju przesłuchań po raz drugi, sami zaczęli się interesować, co jest grane.

– Nie wiem, czego ode mnie chcą – powiedziałem im. – Ciągłe wypytyują mnie o te same sprawy.

Nie byłem pewien, czy mi wierzą, ale teraz nie miało to dla mnie znaczenia. Myślałem tylko o wolności i spotkaniu z Paolą w Londynie, bym mógł być świadkiem narodzin naszego dziecka za dziewięć dni.

– Panie Bahari! – wezwał mnie strażnik dwie godziny później. – Niech pan zbiera swoje rzeczy. Przechodzi pan do innej celi.

– Jak to? – spytałem.

Strażnik nie odpowiedział. Wyprowadził mnie z budynku, a po dłuższym marszu przez labirynt dziedzińców Ewinu weszliśmy do biura, w którym nigdy jeszcze nie byłem.

– Oto pański Bahari – powiedział strażnik. Poznałem pantofle Wody Różanej.

– Zdejmij opaskę! – rozkazał Woda Różana. Nie zrozumiałem. Siedział na wprost mnie, w pełni oświetlony, i nakazywał mi zdjąć opaskę... – Uzyskaliśmy niezbędny podpis – powiedział. – Zdejmij wreszcie tę opaskę i usiądź na sofie.

Widziałem jego twarz tak wyraźnie po raz pierwszy od dnia, gdy mnie aresztował. W myślach przypominałem sobie jego rysy podczas tych wszystkich przesłuchań, gdy mnie bił, znieważał i pluł mi w twarz. Gdy walił mnie „z liścia” w głowę, zastanawiałem się, jak wielką ma dłoń. Gdy na mnie wrzeszczał, próbowałem sobie przypomnieć kształt jego ust. A w momentach ciszy zastanawiałem się, jakie ma spojrzenie.

Teraz siedział naprzeciwko mnie na białym plastikowym krześle, jakich pełno było na podwórkach Ewinu. Nogę założył na nogę. Jego jasnobrązowy garnitur wyglądał na jeszcze ciaśniejszy niż w dniu, gdy mnie aresztował. Po co była ta opaska, skoro mogłem go widzieć pierwszego i ostatniego dnia? Domyślałem się, że nie chciał, bym spoglądał mu w oczy, gdy obrzucał mnie fałszywymi oskarżeniami, bił mnie i obrażał, choć w głębi duszy wiedział przecież, że znęca się nad niewinnym człowiekiem.

Spuściłem wzrok. Czulem, że na mnie patrzy, ale nie chciałem mu spojrzeć w oczy. Zapadła kłopotliwa cisza. Nawet u progu mojej wolności starał się powiedzieć mi bez słów, że wciąż jestem więźniem. A ja równie bezgłośnie nie przyjmowałem tych jego sugestii. W tej chwili nienawidziłem go tak bardzo, że powstrzymywałem się ze wszystkich sił przed zrobieniem czegokolwiek, co mogłoby go rozgniewać i skłonić do zastopowania mojego zwolnienia.

Przy jego stopach leżało sześć plastikowych worków zawierających moje skonfiskowane rzeczy: laptop, telefony komórkowe, dokumenty, płyty CD i DVD.

– Którą mamy godzinę, proszę pana? – odezwałem się wreszcie. – Myślę, że mój szwagier wciąż czeka na zewnątrz, a robi się chłodno...

– Rzeczywiście. Jestem pewien, że chcesz już pojechać do domu i zjeść obiad u swojej matki, prawda? – zapytał Woda Różana.

Wreszcie spojrzałem mu w oczy. Były nienawistne, tak jak je zapamiętałem. Ale wredniejsze, niż myślałem. Ich wyraz ujawniał sprośną mentalność. Sposób, w jaki krzywił usta po każdym zdaniu, zdradzał niepewnego siebie chama. Ale była też w nim jakaś infantylność: uśmiechał się od ucha do ucha po każdym swoim niewydarzonym dowcipasie i klepał po policzkach, gdy mówił o sile reżimu. Gdy odhaczał kolejne nazwiska z listy ludzi, których obiecałem szpiegować, wyglądał na swobodniejszego niż w dniu, kiedy mnie aresztował. W każdym razie nie robił już tak surowej miny.

Gdy skończył już udzielać mi instrukcji, pochylił się i podał mi worek z moim cywilnym ubraniem, ale gdy sięgnąłem po niego, przytrzymał worek jeszcze przez chwilę.

– Pamiętaj, Mazi, o wielkich możliwościach Strażników Rewolucji – powiedział. Spojrzał mi w oczy, może szukając w nich strachu, który miał nadzieję dostrzec. – Nigdy nie będziesz bezpieczny.

Gdy się przebrałem, założyli mi znów opaskę na oczy i wyprowadzili z Ewinu. Gdy mi tylko pozwolili, zdjąłem tę opaskę. Spojrzałem na zegarek. Była dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt cztery, 17 października 2009 roku. Aresztowano mnie sto osiemnaście dni, dwanaście godzin i pięćdziesiąt cztery minuty wcześniej. Wiedziałem, że czeka mnie nadzwyczajna podróż, ale nie byłem pewien niczego.

Czy rzeczywiście byłem wolny? Może to był ponury żart, tak jak w przypadku pozorowanej egzekucji Marjam? Może aresztują mnie ponownie? Trawiły mnie różne wątpliwości. Woda Różana nie na darmo pracował, by mi je zaszczepić.

Mohammad czekał za bramą więzienia, razem z wieloma innymi ludźmi oczekującymi swoich bliskich. Ucałowałem go w oba policzki. Chciałem go porządnie wyściskać, ale też chciałem jak najszybciej oddalić się od Ewinu. Główna brama więzienia znajduje się przy ruchliwej ulicy północnego Teheranu. Zatrzymaliśmy pierwszą taksówkę, która się nawinęła.

W domu czekały na mnie matka oraz Iran, córka Marjam i Mohammada. Natychmiast wziąłem w ramiona mamę i płakałem przez parę minut – nie tylko dlatego, że ogromnie się za nią stęskniłem, ale również dlatego, że wiedziałem, iż to nasze powitanie może być jednocześnie początkiem bardzo długiego rozstania.

Potem zadzwoniłem do Paoli. Nie mogła uwierzyć, że w końcu wyszedłem. Chciała mnie zobaczyć w domu, żeby wreszcie uwierzyć, że nie siedzę w Ewinie.

– Jesteś u matki? – spytała. – O której godzinie wyszedłeś? Z każdą moją odpowiedzią była bardziej podekscytowana, zwłaszcza że moja rodzina potwierdzała, że jestem u matki i wkrótce zjawię się w Londynie. Jednak nasze uniesienia temperowała świadomość, że na razie wciąż jestem w Iranie. Dlatego ograniczyłem swoją rozmowę z Paolą do minimum. Nie wiedziałem, czy Strażnicy nie śledzą mnie dalej i nie nagrywają moich rozmów telefonicznych. Powiedziałem im, że wrócę do Iranu za parę miesięcy, więc unikałem wszelkich rozmów na temat długości mojego pobytu w Londynie i na wszelkie inne ważne tematy. Na szczęście Paola instynktownie wiedziała, że nie powinna zadawać mi zbyt wielu pytań.

Paola przez ponad tydzień była w szpitalu. Moi przyjaciele z Channel 4 zafundowali jej pojedynczy pokój z telewizorem i komputerem – tak mi powiedziała. Moja rodzina powiadomiła ją już o moim rychłym zwolnieniu, ale reporterzy z całego świata wciąż do niej wydzwaniali po najnowsze wieści. Zanim się pożegnaliśmy, powiedziałem jej, że nie chcę żadnych wywiadów i poprosiłem, by ona również nie rozmawiała z żadnymi dziennikarzami.

Wziąłem swój laptop do salonu. Matka, Mohammad i Iran opowiedzieli mi już o nowościach w rodzinie i polityce, więc zacząłem przeglądać pocztę elektroniczną. Strażnicy skasowali wiele moich e-maili, niemniej wciąż miałem w skrzynce setki postów od przyjaciół i ludzi całkowicie mi nieznanymi, którzy napisali wyłącznie po to, by życzyć mi wszystkiego najlepszego, licząc, że jakimś cudem będę miał w więzieniu dostęp do Internetu. Poruszyła mnie ta troska ludzi, którzy myśleli o mnie, gdy byłem w Ewinie. Dlatego poczułem się jeszcze bardziej zobowiązany pomóc tym setkom więźniów, którzy nie mieli tyle szczęścia co ja. Gdy przeglądałem moje e-maile, siostrzenica opowiadała mi o szczegółach kampanii, jaką w mojej sprawie przeprowadzili „Newsweek” i Paola.

W niedzielę 21 czerwca 2009 roku, a więc w dniu mojego aresztowania,

Paola, która była wtedy w piątym miesiącu ciąży, wybrała się na Primrose Hill. Dzień był upalny i Paola rozglądała się za jakimś cienistym miejscem, gdzie mogłaby odpocząć. Ledwie znalazła wolną ławkę, zadzwonił jej telefon. To był mój przyjaciel Malu.

– Sprawdź pocztę w komputerze – powiedział. – Aresztowali Maziara.

Paola wróciła zaraz do domu i znalazła e-mail od Chaleda, który dowiedział się o aresztowaniu od mojej matki; Moludżun zadzwoniła do niego zaraz po tym, jak wyprowadzili mnie w kajdankach. Ze swojego studenckiego mieszkania w australijskiej Adelajdzie wysłał informacje do moich wszystkich przyjaciół i kolegów z mediów, zgodnie z listą, którą mu dałem. Często mówiłem Chaledowi, że irański rząd nie wypuścił jeszcze żadnego więźnia dlatego, że jego rodzina i przyjaciele siedzieli cicho. Jeśli w Iranie chce się wyciągnąć kogoś z więzienia, trzeba robić dużo hałasu wokół jego sprawy. Dlatego w swoich e-mailach Chaled podkreślał, że potrzeba tyle rozgłosu, ile się tylko da.

W reakcji na list Chaleda spłynęła istna powódź e-maili, między innymi z „Newsweeka” i Channel 4. Paola szybko się zorientowała, że musi to wszystko jakoś ogarnąć i zostać głową kampanii mającej na celu uwolnienie mnie z więzienia. Nie przyszło jej nawet do głowy, że funkcja ta mogłaby przypaść komu innemu. Z drugiej strony ja obracałem się w świecie, który dla niej był dość obcy. Sama była specjalistką od prawa finansowego, a ja żyłem w świecie mediów. Paola знаła tylko nielicznych moich przyjaciół i kolegów z branży. Faktycznie w pierwszych dniach odsiadki zastanawiałem się, co bardziej zaskoczy moich znajomych: to, że mnie aresztowali, czy też fakt, że Paola jest w ciąży. W miesiącach poprzedzających wybory w Iranie podróżowałem tak często, że nie miałem czasu powiadomić osobiście moich bliskich przyjaciół o jej ciąży. Chciałem to ogłosić oficjalnie po powrocie z Iranu. Wielu moich przyjaciół i kolegów z „Newsweeka” nawet nie wiedziało, że Paola i ja zaręczyliśmy się.

Paola wzięła głęboki oddech i przystąpiła do działania. Nisid Hajari, który był moim redaktorem w „Newsweeku” od 2006 roku, zdawał się już kontrolować sytuację. Od razu obmyślił strategię i napisał oświadczenie dla prasy. Ciekawe, że wieczorem przed moim aresztowaniem Nisid przysłał mi e-mail, pytając o moje plany na wypadek, gdyby rząd postanowił rozprawić się z dziennikarzami. Nie miałem już szansy, by mu odpowiedzieć.

Don Graham, dyrektor generalny Washington Post Company, do której należał w tym czasie „Newsweek”, oraz Jon Meacham, ówczesny redaktor naczelny tygodnika, przekazali Nisidowi, by zrobił wszystko, co w jego mocy, nie oglądając się na czas ani koszty. Gdy Paola zadzwoniła jeszcze tego samego dnia do Nisida, poczuła wielką ulgę, że stanowczy i rzeczowy Nisid zechciał koordynować tę kampanię, której ona oddawała duszę i serce aż do dnia, gdy mnie wypuścili. Zaufała wtedy całkowicie Nisidowi i nigdy potem nie wątpiła, że

postąpiła słusznie.

Od tego dnia Nisid zrezygnował ze wszystkich niemal swoich zajęć wydawniczych i poświęcił się wysiłkom na rzecz uwolnienia mnie z więzienia. Po drugiej stronie Atlantyku Chris Dickey, szef paryskiego biura „Newsweeka” i redaktor działu bliskowschodniego, wsiadł w pociąg i pojechał do Londynu, by spotkać się z Paolą i zaoferować jej swoją pomoc. To właśnie Chris ściągnął mnie do „Newsweeka”. Znał Iran jak mało kto i mógł służyć Nisidowi dobrą radą. Ich pierwszym zadaniem było ustalenie, gdzie przebywam i kto mnie aresztował. Zaczęły nadchodzić informacje z różnych źródeł, w tym od przyjaciół w irańskich władzach. Niemniej odkąd Strażnicy Rewolucji opanowali w znacznym stopniu administrację państwową, sytuacja się zmieniła i wielu ludzi z kręgów rządowych też nie wiedziało, co się ze mną dzieje, więc mimowolnie przekazywali fałszywe informacje.

Z czasem jednak do Nisida i Chrisa zaczęły docierać bardziej wiarygodne wieści o moim losie. Na początku dzwoniли do Paoli, by wesprzeć ją na duchu, ale potem zaczęły mijać dni bez żadnych nowych wieści i Chris oraz Nisid mieli wyrzuty sumienia, że wcześniej karmili Paolę złudnymi nadziejami.

Ją tymczasem gnębiło coś jeszcze, co emanowało z samego jej wnętrza. Wyobrażała sobie, że dziecko wewnątrz niej znalazło się w samym centrum tego całego zamieszania, i czuła się winna, widząc, jak jej ciało drży bezwiednie. Dobrze, że była z nią jej siostra bliźniaczka Barbara. Barbara zawsze wiedziała, co powiedzieć i jakim tonem. Tym razem był to ton stanowczy i rzeczowy: „Paola, musisz być silna dla dziecka. Tego właśnie chce Mazi”. Po tych słowach ciało Paoli przestało drżeć. Wzięła się w garść i wróciła do działania.

„Newsweek” od samego początku potraktował wiadomości o moim aresztowaniu jako informacje, które należy rozpowszechniać wszelkimi możliwymi sposobami. Aresztowanie niewinnego dziennikarza atakowało świadomość tysięcy ludzi na całym świecie. Paola zalewana była masą listów od ludzi, którzy mnie znali, a nawet od moich szkolnych kolegów sprzed lat. Założyli oni specjalne strony internetowe i profile na Facebooku. Współpracowali z Paolą i „Newsweekiem” przy rozpowszechnianiu na całym świecie petycji o zwolnienie mnie z więzienia. Kiedy ja siedziałem w swojej pojedynczej celi i układałem krzyżówki albo grałem w koszykówkę papierowymi kulkami, zastanawiając się, czy świat aby o mnie zapomniał, moi przyjaciele i koledzy pracowali niezmordowanie, by doprowadzić do mojego zwolnienia.

Na poziomie dyplomatycznym Nasid oddał kierowanie wysiłkami na rzecz zwolnienia mnie z więzienia rządowi Kanady, bo byłem przecież kanadyjskim obywatelem. Ale rząd kanadyjski – jak to rząd kanadyjski – nie był ani tak stanowczy, ani wytrwały w swoich staraniach, jak oczekiwał tego Nasid. Gdy chodziło o gwałcenie praw człowieka, rząd Kanady zawsze przodował

w werbalnych potępieniach władz irańskich, ale jego urzędnicy rygorystycznie przestrzegali protokołu i trzymali się biurokratycznej taktyki.

Tymczasem rząd irański sam był zaskoczony zainteresowaniem moją sprawą i nie bardzo wiedział, jak zareagować. Strażnicy Rewolucji nie wyjaśnili powodów aresztowania mnie i dali innym kręgom rządowym jasno do zrozumienia, że aresztowanie to, tak jak zatrzymania innych ludzi, było tylko i wyłącznie sprawą Korpusu. W efekcie irańscy dyplomaci czuli się bezradni. Wielu z nich wstydziło się za własny rząd, ale sami bali się dymisji i aresztowania, więc pracowali dalej, by zarobić na chleb. Oczywiście nie mogli tego powiedzieć „Newsweekowi”, więc udawali, że interesują się moją sytuacją. W ten sposób do „Newsweeka” i Paoli trafiły różne pocieszające, ale fałszywe strzępy informacji.

Wraz z upływem tygodni, gdy nie dochodziły żadne potwierdzone wiadomości o moim losie, ludzie robili się nerwowi i niecierpliwi. Czekali na dobre wieści – a nie było żadnych. Tymczasem pod koniec lipca Nasid dowiedział się ze źródeł irańskich, że funkcjonariusze Strażników uznali spokojną kampanię „Newsweeka” w mojej sprawie za dowód, iż sam tygodnik milcząco przyznaje, że byłem szpiegiem. Trzeba więc było zmienić strategię i nadać mojej sprawie jak największy rozgłos.

Parę dni później Hillary Clinton wystąpiła w programie *GPS*, prowadzonym przez Fareeda Zakarię w telewizji CNN. Fareed był redaktorem „Newsweek International” i często wspominał o mnie w swoim programie – a właściwie to przy każdej możliwej okazji. Teraz znalazł sposobność, by spytać panią Clinton, co myśli o moim aresztowaniu i procesach odbywających się wówczas w Iranie. Odpowiedziała: „Jestem oburzona potraktowaniem pana Bahariego i innych osób. To jest proces pokazowy. Moim zdaniem ujawnia lepiej niż wszelkie nasze słowa, że irańskie kierownictwo obawia się własnego narodu i prawdy, która wychodzi na jaw. Wyraziliśmy nasze zaniepokojenie uwięzieniem, a teraz także procesem pana Bahariego”.

Clinton mówiła o mnie także kilka razy potem, a jej uwagi w coraz większym stopniu uświadomiły mój los dyplomatom z całego świata. Nasid wiedział, że musi podtrzymać ten rozgłos, by nikt nie zapomniał o moim uwięzieniu. Problem w tym, że po wyborach aresztowano setki ludzi. „Newsweek” musiał więc znaleźć jakiś sposób, by przekonać ludzi, że moja historia godna jest szczególnej uwagi. Tu najważniejsza okazała się Paola – ciężarna Paola, której wizerunek czynił moją historię ciekawą dla międzynarodowych mediów.

Ósmego września Paola zgodziła się udzielić wywiadu dla Channel 4 w naszym londyńskim mieszkaniu. Tego ranka, nie bacząc, że była już w siódmym miesiącu ciąży, wybrała się do miasta, by załatwić parę zaświadczeń dotyczących zalegalizowania naszego związku – miała je wysłać prawnikowi do Iranu. Już po drodze do biura notarialnego pożałowała, że nie wzięła taksówki.

Słońce prażyło, a dziecko zaczęło energicznie kopać w brzuchu. Gdy dotarła do biura, padła na czarną skórzaną sofę. Recepcjonistka podała jej szklankę wody. „Musi pani odpocząć – poradziła. – Czy nikt inny nie może się zająć tymi papierami?”. „Właściwie to nie” – odparła Paola. Barbara wzięła już tygodniowe zwolnienie z pracy, by pomóc siostrze, i nie chciała, by szef uznał ją za nieodpowiedzialną pracownicę. Przyjaciele Paoli byli w pracy, a reszta rodziny – za granicą.

Wróciła do domu taksówką. Gdy starła podłogę i uporządkowała papiery, by przygotować mieszkanie na przyjęcie ekipy telewizyjnej, postanowiła trochę zwolnić. W ciągu całej tej kampanii dziecko dodawało jej sił, ale teraz czuła się fizycznie i psychicznie wykończona. Gdy wieczorem zjawiła się ekipa Channel 4, pomogła jeszcze w przerobieniu naszego salonu na ministudio telewizyjne. Ledwie skończyła, pojawił się gospodarz programu, mój przyjaciel Jon Snow. Paola odetchnęła z ulgą, że wreszcie będzie mogła usiąść.

– Ma pani jakieś przesłanie do władz irańskich? – zapytał Jon, gdy ruszyła kamera.

– Tak: pieprzę was! – powiedziała ze śmiechem, wiedząc, że Jon i tak to wytnie.

Po wyjściu ekipy Paola poszła do sypialni. Leżąc, poczuła, że obficie krwawi. Sięgnęła po telefon i wezwała karetkę. Parę chwil później, wychodząc już z mieszkania ze szpitalną torbą, którą sobie wcześniej przygotowała, natknęła się na schodach na Barbarę.

– Mam krwotok! – powiedziała z płaczem. – Tym razem to coś poważnego. Boję się, że stracę dziecko.

W szpitalu powiedzieli jej, żeby się przygotowała na cesarskie cięcie. Na szczęście nie okazało się to konieczne. Wypisali ją po paru dniach, ostrzegając, że jeśli dojdzie do ponownego krwotoku, zatrzymają ją w szpitalu aż do porodu.

Słuchałem tych opowieści z głęboką wdzięcznością. Wiedziałem, że nie zdołam się zrewanżować należycie tym wszystkim ludziom za walkę w mojej obronie. Rozmawiałem z rodziną do trzeciej nad ranem, w tym czasie zaglądałem parę razy do kuchni i zerkałem na butelkę Johnnie Walkera w kredensie. Zabrakło mi jednak odwagi, by nalać sobie drinka. Nie mogłem pozbyć się paranoi, którą przez te sto osiemnaście dni wszczepiał mi Woda Różana – bałem się, że Strażnicy wpadną do domu i aresztują mnie za picie alkoholu.

Przed pójściem spać wziąłem prysznic. Nie oglądałem się w lustrze od dnia aresztowania. Wiedziałem, że schudłem, ale teraz doznałem szoku. Nie poznawałem samego siebie. Pod skórą sterczały mi żebra, a ramiona wyglądały jak wieszak na ubrania.

Stałem bokiem.

– Nie mam tyłka! – wysapałem głośno. – Zabrali mi tyłek!

Z jakichś dziwnych powodów dopiero w łazience matki dotarło do mnie w pełni, co mi się przydarzyło w Ewinie, kiedy ujrzałem, że moje pośladki zmniejszyły się do jednej trzeciej ich dawnej wielkości.

Następnego dnia zarezerwowałem bilet na pierwszy bezpośredni lot z Teheranu do Londynu. Miałem wylecieć za dwa dni. Natychmiast zacząłem odliczać czas, ale jednocześnie było mi wstyd. Bo przecież nie chciałem wyczekiwać chwili opuszczenia mojego kraju. Nie chciałem się udawać na wygnanie. Nie chciałem zostawić Moludżun. A zostać w Iranie przecież nie mogłem.

Podczas tego krótkiego czasu, gdy byłem jeszcze w Teheranie, odwiedziły mnie tuziny krewnych, przyjaciół i kolegów. Starłem się zachować kamienną twarz, ale nie mogłem uwolnić się od strachu, że zaraz Strażnicy znów wedrą się do domu matki. Ta obawa nie zrodziła się tylko z owych ponad stu dni przesłuchań i tortur; istniały liczne precedensy, gdy siły bezpieczeństwa najeżdżały na domy niedawno zwolnionych więźniów i aresztowały ich razem z gośćmi. Balansowałem wciąż nad przepaścią, więc unikałem szczerych rozmów, wykręcając się dowcipami i odpowiadając pytaniami na pytania. Gdy jakiś przyjaciel interesował się życiem w więzieniu, odpowiadałem, że straciłem tam piętnaście kilogramów. „Dieta ewińska jest najlepsza na świecie – odpowiadałem ze śmiechem. – Lepsza od diety Atkinsa!”.

Tematem, którego unikałem najbardziej, była moja telewizyjna „spowiedź”. Wielu moich krewnych i przyjaciół siedziało w więzieniu. W lot wyczuwali, że jest mi niezręcznie mówić o tej sprawie, i dawali mi do zrozumienia, że nie zrobiłem niczego, czego powinienem się wstydzić. „Jesteśmy z ciebie dumni, Maziar” – mówili. Ale ich słowa nie dawały mi pociechy. Siedząc w naszym salonie, często zerkałem na krzesło, na którym kiedyś zwykł siadywać ojciec. Aż do chwili, gdy wyjechałem z domu na lotnisko, czułem na sobie spojrzenie ojca. Chciał wiedzieć, jakie miałem plany na przyszłość. „I co ty teraz myślisz robić, Maziar? – pytał. – Siedzieć z założonymi rękami czy mówić o tych niesprawiedliwościach, jakie spotkały twój naród?”.

Przed wyjazdem trzymałem długo w ramionach moją matkę. Czułem jej łzy przenikające przez moją koszulę. Oboje wiedzieliśmy, że nieprędko znowu przyjadę do Iranu, jeśli w ogóle przyjadę. Pocałowałem ją parę razy w policzki, powtarzając: *Dorost miszeh, dorost miszeh* – „Będzie dobrze”. Ale nawet gdy ją obejmowałem, rozmawiałem jednocześnie z ojcem. Obiecywałem mu, że nie będę siedział cicho – że uświadomię światu niegodziwość, które musi znosić irański naród. Nigdy nie zapomnę o swoim narodzie ani o obowiązkach względem przyjaciół tkwiących wciąż za kratami. Będę robił, co w mojej mocy, i użyję

wszelkich sposobów, by pokonać Wodę Różaną i jego panów.

ROZDZIAŁ 19

Te trzy godziny między piątą rano, gdy wyjechałem z domu na lotnisko, i ósmą, gdy samolot British Midland wzniósł się w powietrze, były najdłuższymi godzinami w moim życiu. Gdy pokazywałem paszport i przechodziłem przez dwie bramki bezpieczeństwa, czekałem tylko, kiedy zawrócą mnie z drogi do samolotu. Kilka dni wcześniej trzem moim kolegom filmowcom skonfiskowano paszporty, gdy wsiadali już do samolotu, a parę miesięcy wcześniej innego przyjaciela i jego żonę aresztowano już na pokładzie maszyny.

Nawet po starcie nie czułem się jeszcze bezpieczny. Pewniej poczułem się dopiero po opuszczeniu irańskiej przestrzeni powietrznej. Na razie włączyłem monitor wbudowany w fotel przede mną i wybrałem najzabawniejszy film, jaki mogłem znaleźć: *Kac Vegas*. Potem na monitorze przed pustym fotelem obok wybrałem kanał pokazujący trasę lotu. Próbowałem się skupić na filmie, ale w rzeczywistości całą moją uwagę przykuwał ten drugi monitor. Wydawało mi się, że samolot strasznie się wlecze. Kiedy zobaczyłem, że znaleźliśmy się wreszcie nad Tebrizem na zachodzie kraju, zamknąłem oczy i czekałem tak najdłużej, jak mogłem. Kiedy je znów otworzyłem, stało się: byliśmy już nad Turcją.

Odetchnąłem głęboko; zdawało mi się, że to pierwszy swobodny oddech od miesięcy. Byłem znów wolnym człowiekiem.

– Mogę coś panu podać? – spytała stewardessa.

Nie wahałem się z odpowiedzią.

– Tak, whiskey proszę.

Po paru minutach zgromadziło się wokół mnie siedmiu czy ośmiu pasażerów, całkiem mi obcych. Gratulowali mi wolności i – ku mojemu wielkiemu zdumieniu – rychłego przyścia na świat mojego dziecka. Chociaż wiedziałem już o wysiłkach na rzecz wypuszczenia mnie z więzienia i przeczytałem artykuły, które ukazały się w światowej prasie na mój temat, dopiero podczas tego lotu uświadomiłem sobie, że moje uwięzienie nie było sprawą prywatną. Stałem się osobą publiczną. Zaskoczyło mnie, jak wiele osób o mnie wie. Nie spodziewałem się czegoś takiego.

– A jak zdrowie pańskiej matki? – zapytała jakaś kobieta w średnim wieku, która potem powiedziała mi, że mieszka w Szwecji i tak jak ja straciła ojca.

– To będzie chłopiec czy dziewczynka? – zainteresował się jej mąż.

– Wszystko jedno. Każde dziecko to błogosławieństwo – odparła kobieta za mnie.

Wiele osób pytało mnie o warunki panujące w Ewinie i chciało poznać

szczegóły moich doświadczeń więziennych. Wkrótce zdałem sobie sprawę, jak chętnie i otwarcie wypowiadali się ci ludzie, zwłaszcza na temat naruszania praw człowieka w Iranie. Wypytywali mnie bez ustanku: Czy byłem bity? Kogo spotkałem w więzieniu? Czy siedziałem w izolatce, czy też w celi zbiorowej? Czy pozwolono mi rozmawiać z żoną? A skąd pochodzi moja żona?

Odpowiadając na te wszystkie pytania i popijając whiskey, miałem nadzieję, że ci życzliwi ludzie wyczują wreszcie mój dyskomfort i dadzą mi trochę spokoju. Ponieważ nawet uśmiechając się do nich i gawędząc z nimi, wciąż bałem się, że samolot zawróci i znowu wyląduję w Iranie.

Na lotnisku Heathrow czekał na mnie Chris Dickney wraz z jakimś lotniskowym funkcjonariuszem bezpieczeństwa. By uniknąć reporterów i nieprzewidzianych problemów, „Newsweek” załatwił mi przejście prywatnym korytarzem. Chociaż Chris wiedział, że opuściłem Teheran, to nie uwierzył, że jestem wolny, dopóki nie zobaczył mnie na własne oczy.

– No, jesteś wreszcie! – powiedział z szerokim uśmiechem.

Nareszcie byłem w Londynie. Nigdy nie myślałem, że widok ubranych na żółto pracowników lotniska, uwijających się na szarym asfalcie w mżawce lecącej z szarego londyńskiego nieba, sprawi mi tyle szczęścia. „Zaraz znajdę się na M4, potem na Euston Road i przy Paoli w University College Hospital”. Mogłem wreszcie swobodnie zdecydować, gdzie chciałem pojechać – a chciałem oczywiście do Paoli. Było też wiele spraw, o których chciałem powiedzieć Chrisowi.

W saloniku dla VIP-ów czekała na nas Barbara. Odkąd poznałem Paolę, Barbara stała się dla mnie jak siostra. Gdy mnie zobaczyła, cała była w uśmiechach.

– Porozmawiaj z Paolą, porozmawiaj z Paolą, ona czeka! – powtarzała z telefonem w dłoni.

Wziąłem ten telefon i cały rozgorączkowany powiedziałem Paoli, że jadę do niej wprost z lotniska. W samochodzie Chris i Barbara zasypywali mnie pytaniami, jak się czuję i co mi się ostatnio przydarzyło. Jednak myślami byłem gdzie indziej. Wiedziałem, że jest coś, co powinienem zaraz zrobić. Poprosiłem kierowcę, by się zatrzymał przy naszym mieszkaniu po drodze do szpitala.

Gdy wszedłem do środka, poczułem się, jakbym wchodził do jednego z tych rysunków, które zostawiłem na podłodze mojej celi. Nic, co przeżyłem po opuszczeniu Ewinu, nie wydawało mi się wciąż realne. Miałem wrażenie, jakbym wciąż śnił w więziennej celi. Czuję, że duch Wody Różanej ciągnie za mną wszędzie. Musiałem z tym skończyć. Wziąłem laptopa do sypialni i napisałem e-mail, który układałem w myślach już od paru godzin:

Baa man tamas nagirid. Man ta beh hal barajeh hicz kas dżasusi nakardam wa barejh szoma ham nakhaham kard. „Nie kontaktujcie się ze mną więcej. Nigdy nie szpiegowałem dla nikogo i nie mam zamiaru szpiegować dla was”.

Nie mogłem się powstrzymać od jeszcze jednego zdania: *Gureh pedaretun!* „Pieprzcie się!”. Odetchnąłem z ulgą. Wreszcie byłem wolny. Zgasilem światło i zbiegłem po schodach, gotów nareszcie na zobaczenie Paoli, Marianny – i powrót do mojego życia.

Byłem na trzecim piętrze szpitala, przed pokojem Paoli. Otworzyłem powoli drzwi. Słyszając mnie, Paola usiadła na łóżku. Gdy wszedłem dalej, nasze spojrzenia natychmiast się spotkały. Przez moment przypatrywaliśmy się sobie jak obcy ludzie. A potem oboje zalaliśmy się łzami. Uśmiechaliśmy się do siebie słabo, z niewysłowioną ulgą i spojrzeniem mówiącym: „Co, oboje się zmieniliśmy, prawda?”. Ona była w szoku, widząc, jak schudłem, a ja nie mogłem się nadziwić jej piękności. Ale czułem też smutek, bo przegapiłem większość jej ciąży.

Usiadłem koło niej. Wziąłem ją w ramiona, a potem pochyliłem się i złożyłem długi pocałunek na jej brzuchu. Mówiłem do mojej córeczki: „Cześć, kochanie, ty mój króliczku. Mama i tata czekają na ciebie”. Wyobrażałem sobie tę scenę od miesięcy.

Poczułem na karku łzy Paoli. Naszło mnie tyle myśli i uczuć, że zrobiło mi się słabo. Chciałem, żeby ta chwila nigdy nie minęła. Mogłem tylko powiedzieć Paoli, jak bardzo się za nią stęskniłem, i spytać, czego sobie teraz życzy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem, było opowiadanie o moich przeżyciach.

Paola przeczesywała palcami moje włosy, a mnie wydawało się, że wracam do czasów przed tą całą sprawą. Jej dotyk był aż nienaturalnie normalny. Trzymałem w dłoniach piękną twarz Paoli i patrzyłem w jej szeroko otwarte błękitne oczy. Czułem się niemal zwyczajnie. Pokonałem moich ciemnych. Nie stałem się tym, kim chcieli, bym został.

Postanowiłem, że na razie nie będę udzielał wywiadów. Zamiast tego spędzałem prawie cały czas z Paolą. Poprosiliśmy o dodatkowe łóżko do jej pokoju, żebym mógł być z nią także w nocy. Zabrałem się też za załatwianie różnych spraw praktycznych – przygotowania pokoju dziecinnego i zakupu ubranek niemowlęcych. Nie miałem więc wiele czasu, by pomyśleć o czymś innym. Dzięki temu, że „Newsweek” wciąż przelewał na konto Paoli moje miesięczne pobory, na razie nie musiałem się martwić o pieniądze.

Niemniej w nocy, ledwie zamknąłem oczy, wracałem do Ewinu, do Wody Różanej. Jego twarz nadal pojawiała się w snach, przemieniając je w koszmary.

W takim powracającym koszmarze siedziałem na krześle w pokoju przesłuchań, a Woda Różana kręcił się wokół mnie, kopiąc mnie i bijąc nieustannie.

Gdy się budziłem, wyganiałem z myśli jego oblicze – tę szczecinę na twarzy, okulary, zapach – by zastąpić je wyobrażeniami dorastającej Marianny. Często myślałem o swoim śnie *Sisters of Mercy* z więzienia. Gdy puszczałem Paoli w szpitalnym pokoju tę piosenkę Leonarda Cohena, domyślała się, że wciąż rozpaczam po śmierci Marjam. Ja sam wiedziałem, że jedną z tych „siostr miłosierdzia” była Marjam, ale zastanawiałem się, kim była ta druga.

Następnego dnia słuchałem na okrągło tej piosenki. Po południu Paola nuciła ją w łóżku, czytając książkę. Obserwowałem ją bez słowa. Wyglądała na spokojną i zrelaksowaną. Byłem zafascynowany jej brzuchem i tym aniołkiem w środku. Wtedy nagle zrozumiałem, kto był tą drugą kobietą z mojego snu o „siostrach miłosierdzia”: to była Marianna Marjam Bahari.

W nocy poprzedzającej narodziny Marianny Woda Różana zniknął z moich snów. Śniło mi się, że siedziałem z Paolą i Marianną – która była już uroczą nastolatką z długimi kręconymi włosami – przy stole w jadalni naszego teherańskiego domu. Naprzeciwko siedzieli moja matka, ojciec i Marjam. Opowiadałem rodzinie o moich więziennych przeżyciach. Ojciec się złościł: „Te siostry, które pracują dla tego reżimu, są równie głupi jak ci, którzy pracowali dla szacha”. Przed ojcem stała duża butelka Johnnie Walkera. Black Label. Gdy mu nalewałem szklaneczkę, rzucał na mnie chłoczzące spojrzenia. Chyba wciąż był na mnie zły za tę fałszywą „spowiedź” w telewizji i przeprosiny pod adresem Chameneiego. Marianna chwyciła rękę mojego ojca i wskazała telewizor. Na ekranie byłem ja: opowiadałem, co dzieje się w irańskich więzieniach, i domagałem się zwolnienia innych więźniów. Marianna spojrzała na mojego ojca i uśmiechnęła się. Ojciec odwrócił się do mnie i pokiwał głową. Jego spojrzenie było teraz znacznie przychylniejsze.

Rano usiadłem przy Paoli. Do chwili narodzin Marianny zostało kilka godzin. Próbowałem oswoić się z myślą, że pewien trudny okres w moim życiu właśnie się skończył, a miał się zacząć nowy, lepszy. Nie mogłem jednak pozbyć się obaw przed tym, co mogło się jeszcze stać. Wymknąłem się na chwilę z pokoju i zadzwoniłem do matki.

– Mam nadzieję, że z Paolą i dzieckiem wszystko będzie w porządku – powiedziałem. – Paola przez tak wiele przeszła...

Matka nie miała czasu na zbędne deliberowanie. Odpowiedziała mi ze zwykłą siłą i bezpośredniością:

– Mazi *džaan*, nie powinieneś się już martwić o zdrowie Paoli i dziecka. Będzie dobrze. Teraz musisz się tylko martwić o wychowanie tego dziecka. Ale

wiem, że nie będziesz z tym miał problemów. A teraz wracaj do Paoli.

Wkrótce potem wezwano nas na salę porodową. Z uwagi na wszelkie możliwe komplikacje, lekarze planowali dokonać cesarskiego cięcia, a sala wypełniona była pielęgniarkami i innym personelem. Chociaż uprzedzono nas, że poród jest obciążony większym ryzykiem niż normalnie, nastrój na sali był pogodny, a Paola i ja byliśmy mocno podekscytowani.

Przyjście na świat Marianny okazało się kwestią minut, a dziecko okazało się nawet zdrowsze niż w naszych marzeniach. Pielęgniarka podała je Paoli. Zafascynowało nas piękno naszej córeczki. Spojrzeliśmy po sobie, ale nic nie powiedzieliśmy. Gdy Marianna wydała z siebie pierwszy cichy i dźwięczny krzyk, mógłbym przysiąc, że usłyszałem, jak ktoś śpiewał znajomą piosenkę:

One na mnie czekały,

Gdy myślałem, że brak mi już sił.

Pocieszyły mnie najpierw,

A potem dały swą pieśń.⁴

Po kilku dniach mogliśmy już sprowadzić Mariannę do domu. Spała jak aniołek. Paola szybko dochodziła do siebie po porodzie. Pewnej nocy, gdy przyglądałem się Paoli i śpiącej przy niej Mariannie, odezwał się we mnie jakiś głos, chyba ojca: „No dobra, to już załatwione. A co teraz? Zamierzasz spocząć na laurach i pozwolić tym sukinsynom, żeby dalej mordowali?”

4 Leonard Cohen, *Sisters of Mercy*, przełożył Maciej Zembaty.

ROZDZIAŁ 20

Nie czekałem długo na próbę kontaktu ze strony Strażników Rewolucji. „Panie Bahari, czekamy na spotkanie z panem – mówił szef Wody Różanej w informacji pozostawionej na poczcie głosowej mojej komórki. – Jestem pewien, że wkrótce się zobaczymy”.

Wielu moich przyjaciół i kolegów, którzy odsiedzieli jakiś czas w irańskich więzieniach, nie zabierało głosu na temat tego, co tam przeżyli. Obawiali się, że ich wspomnienia mogą rozgniewać reżim, za co konsekwencje poniosą ich rodziny. Ale to milczenie gryzło ich od środka. Wielu z nich musiało, podobnie jak ja, wygłosić publiczną „spowiedź” czy samokrytykę. Czuli się winni i rozgoryczeni, że reżim doprowadził ich do takiego poniżenia, ale przetykali obrzydzenie i złość ze względu na strach – choć byli już na wolności.

Nie mogłem pozwolić, by i ze mną tak się stało. Wiedziałem, że muszę przeprowadzić kampanię w imieniu tych setek ludzi tkwiących wciąż za kratami. Ale najpierw musiałem się naradzić z Paolą i moją matką. Moja decyzja mogła się odbić na nich mocniej niż na kimkolwiek innym.

– Z tej całej sytuacji wyciągnęłam tylko jeden wniosek – powiedziała Paola, gdy jej wyjaśniłem, do czego czuję się zobowiązany. – Że wiesz, co robisz. Wciąż w to wierzę.

Moja matka dała mi jeszcze mocniejsze wsparcie. Gdy do niej zadzwoniłem, by zapytać, co myśli o opisanu przeze mnie moich doświadczeń, nie zawahała się ani chwili:

– Oczywiście powinieneś opisać to szambo. Oni rujnują życie ludziom w tym kraju, a myślą, że mają tak długie łapy, by sięgnąć nimi za granicę.

Parę tygodni po zwolnieniu napisałem *cover story* dla „Newsweeka”, zatytułowaną *118 dni w piekle*. Była to jedna z pierwszych relacji z powyborczych represji w Iranie. W następnych miesiącach wielu więźniów przyznawało, że przeżyli to samo co ja. Po artykule udzieliłem serii wywiadów w telewizji, radiu i prasie, w których podałem więcej szczegółów dotyczących mojego aresztowania. Dwie sprawy postawiłem najjaśniej, jak się dało:

Swoją „spowiedź” telewizyjną wygłosiłem pod przymusem;

W irańskich więzieniach pozostają setki niewinnych ludzi, doświadczających takiej samej brutalności jak ja.

W Londynie zacząłem, wraz z paroma organizacjami międzynarodowymi, kampanię na rzecz uwolnienia moich dziennikarskich przyjaciół i kolegów. Po czerwcu 2009 roku aresztowano ponad stu dziennikarzy, a islamski reżim zrobił

z nich kozły ofiarne winne „podburzania społeczeństwa”. By nadać kampanii impet, napisałem do Chameneiego list otwarty, opublikowany w „International Herald Tribune”, a potem, w tłumaczeniu, na kilkudziesięciu perskich stronach internetowych. „Jedynym zarzutem wobec wielu reporterów pozostających w irańskich więzieniach jest fakt, że przekazywali wierny obraz działań irańskich władz – napisałem. – Nie chcieli obalać rządu. Nie podnieśli na nikogo ręki. Wszyscy wykonywali swoją pracę pokojowo, jak w innych miejscach świata. Człowiek, który mnie torturował, mawiał mi, że bił mnie dlatego, by pana zadowolić. Powtarzał: «Za każdym razem, gdy cię policzkuję, czuję, jak nasz Mistrz uśmiecha się do mnie». Myślę, że pan, ajatollahu Chamenei, jest odpowiedzialny za to, co mnie spotkało”.

Reakcja Strażników była natychmiastowa. W gazecie „Dżawan”, prowadzonej przez Strażników, nazwano mnie „urodzonym kryminalistą, który nigdy nie powinien wyjść z więzienia”, a irańska telewizja kpiła z moich medialnych wystąpień, nazywając je: „odważnym obszczekiwaniem z za opiekuńczej spódnicy Zachodu”. Kumple Wody Różanej próbowali też straszyć moją rodzinę. Strażnicy przez telefon polecieli mojemu szwagrowi Mohammadowi, by „powiedział Maziarowi, żeby się nie łudził, że jak jest poza Iranem, to już go nie dostaniemy. Robi się naprawdę niebezpiecznie. Wszystko może mu się przytrafić, i to bez uprzedzenia”. Władze irańskie zamordowały dziesiątki dysydentów poza granicami kraju, więc te niepokojące groźby nie były bezpodstawne. Na początku pomyślałem, że lepiej zachować w tej sprawie milczenie, bo upublicznienie pogroźek może tylko pogorszyć sytuację matki i Mohammada. Ale telefoniczne nękanie ciągnęło się tygodniami, więc w kwietniu 2010 roku, po szczególnie napastliwym telefonie do mojej rodziny, postanowiłem przerwać milczenie i ujawnić te groźby ze strony reżimu.

W wywiadach zadawałem ludziom, którzy mi grozili, proste pytanie: „Wiem, że potężny Korpus Strażników Rewolucji ma agentów na całym świecie i może mnie znaleźć w każdej chwili. Ale co potem? Co chcecie ze mną zrobić? Jeśli mnie zabijecie, przyznacie tym samym, że jesteście częścią terrorystycznego reżimu, a jeśli mnie porwiecie, to przyznacie, że jesteście agencją rządu porywaczy, łowców zakładników. Myślę, że powinniście, bracia z Korpusu Strażników Rewolucji, jaśniej określać swoje intencje”.

Upublicznienie pogroźek sprawiło, że stały się rzadsze. Reżim islamski wciąż martwił się o swój wizerunek na świecie, więc – z tego, co dowiedziałem się od moich teherańskich informatorów – co bystrzejsi ludzie z rządu poradzili Strażnikom, żeby dali sobie spokój ze straszeniem mnie za pośrednictwem mojej osiemdziesięcioletniej matki. Niemniej Strażnicy byli na mnie tak wściekli, że postanowili nękać moją rodzinę w inny sposób. Zaczęli wydzwaniać do matki z ostrzeżeniem, że powinna się przygotować na rychłą konfiskatę domu, gdyż

naruszyłem postanowienia warunkowego zwolnienia za kaucją. Do konfiskaty nie doszło, ale obawa przed utratą domu zatruwała matce życie.

Reakcja Moludzun na te telefony okazała się, można powiedzieć, klasyczna i sprawiła, że byłem z niej niezmiernie dumny. W ciągu czterech zaledwie lat straciła męża, pierworodnego syna i córkę, straciła też pod wieloma względami chęć do życia, ale telefony z pogroźkami dały jej bodźca, by znów wziąć się w garść i walczyć. „Kto mówi? – dopytywała się matka, prowokując anonimowych rozmówców. – Maziar nie jest już w waszych rękach, jest wolny i nic mu nie zrobicie”. Potem po prostu odkładała słuchawkę i dzwoniła do mnie, by mi powiedzieć, że te „aszghale”, „szumowiny” znów telefonowały.

Dla nas obojga szczególnie trudną sprawą było to, że w przewidywalnej przyszłości nie mogłem wrócić do Iranu, by spotkać się z matką. Na szczęście miała prawo do wyjazdu z kraju i od czasu, gdy wyszedłem na wolność, była u nas w Londynie trzy razy. Uwielbiała przebywać z Paolą, Marianną i ze mną, ale nie chciała opuścić Iranu na stałe. „Twoja matka nie chce zostawić kraju tym wilkom – powiedział mi pewien przyjaciel rodziny. – Jest dumną Iranką, która na swój sposób chce podtrzymać ducha tego kraju. Twój ojciec też był takim Irańczykiem, podobnie Marjam”. Choć sam wybrałem nieco inną drogę budowania bardziej demokratycznego Iranu, pamięć o siostrze i ojcu wciąż daje mi nadzieję i natchnienie.

EPILOG

9 maja 2010 roku zostałem osądzony zaocznie przez sąd rewolucyjny. Ten rodzaj sądów zajmuje się przede wszystkim przestępstwami politycznymi. Mój wyrok – trzynaście i pół roku więzienia plus siedemdziesiąt cztery bity – był jednym z najsurowszych, jakie wydano w procesach więźniów aresztowanych po wyborach. Nie było żadnej rozprawy, a mój prawnik nigdy nie wysłuchał zarzutów. Woda Różana i służba wywiadowcza Korpusu Strażników Rewolucji, która mnie aresztowała, podyktowali sędziemu następujący wyrok:

Pięć lat więzienia za udział w nielegalnym zgromadzeniu i spiskowanie przeciw bezpieczeństwu państwa. Chodziło o moją pracę reporterską i czterodniowy udział w pokojowych demonstracjach po wyborach prezydenckich. Robiłem to razem z milionami innych Irańczyków.

Cztery lata więzienia za zbieranie i przechowywanie tajnych i zastrzeżonych dokumentów. W 2002 roku pewien siedemdziesięcioletni przywódca opozycyjnego Irańskiego Ruchu Wolności dał mi dokument sądowy dotyczący procesu paru członków tego ugrupowania. Dokument ten nie skrywał żadnej tajemnicy. Całą jego treść ogłosił sąd, zresztą była dostępna także w Internecie. Podczas przesłuchań zapytano mnie o ten dokument tylko raz, bo nawet Wodzie Różanej nie wydawał się interesujący.

Jeden rok za propagandę wymierzoną przeciw świętemu systemowi Republiki Islamskiej. Chodziło o wszystkie moje artykuły i filmy dotyczące Iranu.

Rok więzienia i siedemdziesiąt cztery bity za zakłócanie porządku publicznego. Chodziło o mój artykuł w „Newsweeku” i materiał dla Channel 4 o ataku na posterunek Basidżu po pierwszej pokojowej demonstracji. Choć w swoich relacjach potępiłem użycie przemocy, rewolucyjny sąd zgodził się z Wodą Różaną, że byłem w istocie „pokojowym terrorystą”.

Dwa lata więzienia za obrazę najwyższego przywódcy ajatollaha Alego Chameneiego. W Iranie niczego nie da się załatwić bez wspomnienia o najwyższym przywódcy. W pewnym e-mailu wysłanym do Nisida i Chrisa – znalezionym przez Strażników – napisałem, że Chamenei nauczył się wiele na błędach popełnionych przez szacha podczas rewolucji islamskiej. Wspomniałem też, że Chamenei próbuje zdusić w zarodku wszelką opozycję, aresztując jej liderów i powstrzymując ludzi przed wyjściem na ulice. Woda Różana powiedział mi, że porównując Chameneiego do szacha, sugeruję, że najwyższy przywódca jest

tyranem, a za to muszę ponieść karę.

Sześć miesięcy za sugerowanie, że prezydent jest homoseksualistą. To była prawdziwa wisienka na torcie. Kara za fotografię jakiegoś młodego człowieka całującego Ahmadineżada, którą ktoś wkleił na moim facebookowym profilu.

Moją jedyną reakcją na ten wyrok było publiczne wyśmianie go jako cudacznej decyzji zwariowanej władzy. Dla mnie była to próba zastraszenia innych ludzi uwolnionych z więzienia, by nie wypowiadali się w mediach. Miał to być precedens: ostrzeżenie, że każdy, kto odważy się głośno mówić o więziennym horrorze, dostanie równie wysoki wyrok.

Jednak mnie ten wyrok skłonił do jeszcze głośniejszego wypowiadania się przeciw niegodziwościom islamskiego reżimu. Uważam, że mam obowiązek być głosem tych setek dziennikarzy, studentów, obrońców praw obywatelskich, a nawet mułłów, którzy sprzeciwili się tyrańskiemu rządowi Chameneiego i wciąż pozostają w irańskich więzieniach, w rękach Wody Różanej i jego kamratów.

Mój motocyklowy taksówkarz Dawud zadzwonił do mnie po raz pierwszy kilka dni po tym, jak wyszedłem z więzienia, a potem jeszcze kilkakrotnie telefonował do Londynu. Powiedział mi, że ledwie usłyszał o moim aresztowaniu, zmienił numer telefonu i wrócił do domu, do Tebrizu, gdzie zatrudnił się w sklepie i starał się nie podnosić zanadto głowy. A więc Woda Różana kłamał, Dawud nie został aresztowany po mnie. Jednak w styczniu 2010 roku Dawud zobaczył, jak dwóch członków Basidżu aresztuje młodą dziewczynę za zbyt mocny makijaż – i wjechał między nich na motocyklu, by ich wystraszyć. Basidżowcy wezwali pomoc. Dawuda aresztowano i zamknięto w miejscowym więzieniu. Spędził tam kilka dni z grupą dziesięciu działaczy studenckich. Cela ta była zaprojektowana jako separotka, więc musieli spać na zmianę, a korzystając z kibla, nie mieli żadnych szans na odrobinę prywatności. Koledzy z celi błagali jednak Dawuda, by nie składał skargi na te warunki, bo ostatnim razem, gdy sami to zrobili, celę „rozgęszczono” w ten sposób, że dwóch z nich przeniesiono na inny oddział więzienia, gdzie trzymano przemytników i złodziei. Zostali tam wielokrotnie zgwałceni. Kryminaliści posłużyli się nawet butelkami po wodzie sodowej i śrubokrętami. Byli bezkarni, bo policjanci powiedzieli im wprost, że jeśli „nauczają tych studenciaków rozumu”, uzyskają skrócenie wyroku.

Nie pierwszy raz słyszałem taką historię. W Islamskiej Republice Iranu gwałt stał się rodzajem kary. Doświadczyło go wielu irańskich uchodźców, a sądzę, że dużo młodych i dumnych Irańczyków nie przyznawało się do takiego poniżenia po prostu ze wstydu.

Po miesiącu Dawuda w końcu wypuszczono. „Jaka władza «wychowuje» w ten sposób obywateli własnego kraju? – pytał mnie przez telefon. – Życie u nas

robi się nie do zniesienia, panie Maziar. Ludzie są coraz biedniejsi i nawet ten mały margines swobody, do którego przywykliśmy, też już prawie zniknął”. Dawud wydawał się sfrustrowany i lekko podpity. Gdy go zapytałem, czy wciąż pije, odpowiedział, że picie z przyjaciółmi wódki domowej roboty jest jego jedyną pociechą.

Ironycznym zrzędzeniem losu jego ojciec, były Strażnik Rewolucji, robił teraz, co mógł, by pomóc młodszemu bratu Dawuda opuścić kraj, żeby nie musiał iść do wojska. „Ojciec mówi, że ten reżim nie jest wart, by za niego walczyć. Ja zmarnowałem w wojsku dwa lata, więc ojciec wyprzedaje wszystko, co się da, byle wysłać mojego brata za granicę”.

Jak wielu ludzi ze swojego pokolenia, Dawud był załamany po brutalnym zdławieniu zielonego ruchu w Iranie. Ale ruch ten odrodził się w styczniu 2011 roku, po obaleniu tunezyjskiego dyktatora Abidiego Ben Alego, a miesiąc później egipskiego despoty Hosniego Mubaraka. Dokonali tego młodzi Arabowie o prodemokratycznych dążeniach. Wydarzenia te odrodziły ruch protestu w Iranie. Tysiące młodych Irańczyków znów wyległy na ulice, wzywając do usunięcia Chameneiego. Jak mi potem opowiadał Dawud, „naszym hasłem było: «Po Mubaraku i Ben Alim kolej na Sejjeda Alego» – czyli Chameneiego. Rzeczywiście byłem w depresji po wyjściu z więzienia, ale to, co wydarzyło się w Egipcie, rozпалиło na nowo nadzieję w moim sercu, w sercach nas wszystkich. Zdaliśmy sobie sprawę, że jeśli się zjednoczymy, możemy zmienić tę władzę pokojowymi środkami. Naprawdę mamy taką nadzieję”.

Dawud wciąż planował wyjechać na pewien czas z kraju, i może studiować. „Mam prezent dla pańskiej córki, panie Maziar – rzekł z czułością w głosie. – Nie mogę się już doczekać, by wręczyć go jej osobiście”.

Od czasu reelekcji Ahmadineżada sporo się zmieniło: wielu ludzi, którzy wtedy występowali przeciw niemu, obróciło swój gniew przeciw Chameneiemu jako głównemu, choć zakulisowemu winowajcy sfałszowanych wyborów i prześladowań, które po nich nastąpiły. Jeśli podczas powyborczych protestów krzyczeli: „Gdzie jest mój głos?!” i „Śmierć Ahmadineżadowi”, to teraz slogany wymierzone w prezydenta słyszało się rzadko. Za gwałty, tortury i morderstwa winiono samego Chameneiego. Według ludzi znających ajatollaha Chamenei zdawał sobie sprawę z pogłębiającej się przepaści między narodem i jego rządem. Ale zamiast szukać jakiegoś dalekosiężnego rozwiązania i wsłuchać się w głos narodu, próbował zasypać tę przepaść brutalną siłą. Najwyższy przywódca stawał się coraz bardziej izolowany i omamiony kłamstwami swoich urzędników.

Mój przyjaciel Amir nie używał już grzecznościowej tytulatury, gdy mówił o najwyższym przywódcy. „Chamenei sądzi, że obecna sytuacja jest przejściowa

– powiedział mi Amir, gdy rozmawiałem z nim przez Skype’a niedługo po wyjściu na wolność. – On myśli, że wsadzając do więzienia parę osób, zastępuje cały zielony ruch. Nie potrafi zrozumieć, że dla wielu Irańczyków idea boga-króla jest już nie do przyjęcia i że chcą sami pokierować swoim losem w XXI wieku”.

Teraz Amir jest człowiekiem głęboko zmartwionym. Jak sam to określa, wszedł w „okres medytacyjny”.

Ma niewielki wybór. Jak mnóstwo pozostałych reformistów, jest czujnie obserwowany przez zbirów Chameneiego, który – jak wielu despotów przed nim – szuka rewanzu na dawnych przyjaciółach, którzy wyłamali się z jego szeregu.

Amir mówił, że dostał kilka pogróżek – przez telefon bądź za pośrednictwem przyjaciół – ostrzegających, by uważał na to, co robi i mówi. Mimo to wciąż odwiedzał Musawiego aż do lutego 2011 roku, gdy reżim zastosował wobec Musawiego i jego odważnej żony areszt domowy. Od tamtej chwili mogły go odwiedzać wyłącznie dwie córki. 31 marca 2011 roku zmarł stutrzyletni ojciec Musawiego. Był on dalekim krewnym Chameneiego i udzielił mu schronienia przed rewolucją 1979 roku, gdy Chamenei walczył z szachem. Gdy się o tym dowiedziałem, zapytałem Amira przez Skype’a, czy wybiera się na pogrzeb. „Jakiś oficer bezpieczeństwa dzwonił parę minut temu do jednego z naszych przyjaciół, przekazując ostrzeżenie dla mnie, żebym się tam nie pokazywał – powiedział Amir. – Nie sądzę, by pozwolili, żeby ten pogrzeb odbył się spokojnie”. Amir miał rację: za cichą zgodą Chameneiego pogrzeb został zakłócony, a kilku uczestników ceremonii aresztowano i wsadzono do więzienia.

„Przed wyborami z 2009 roku myśleliśmy, że zdołamy go skłonić do jakichś zmian, ale się myliliśmy. Chamenei i jego reżim nie dadzą się już zmienić. Ten reżim jest jak stary samochód, którego nie można już zreperować. Da się z niego odzyskać jakieś drobne części zamienne, ale całość nadaje się wyłącznie na złom”.

Amir wyznał, że czuje się „jak ojciec, którego syn został narkomanem i złodziejem”.

W kwietniu 2011 roku poleciałem na parę dni do Dubaju, by spotkać się z Amirem. Siedzieliśmy w lobby luksusowego hotelu, paliliśmy hawańskie cygara, a w tle słychać było śpiew libańskiej diwy Fairuz. Spytałem go, czy rewolta przeciw dyktaturze szacha, przeprowadzona w imię Chomeiniego, była słuszna – i czy popiera pomysł kolejnej gwałtownej rewolucji w Iranie.

Trudno było o szybszą odpowiedź:

– Dwa razy „nie”.

Potem milczał przez parę minut, smakując cygaro.

– Szczerze mówiąc, Maziar, my w czasie rewolucji byliśmy młodzi i niedojrzali. Władza szacha była bez wątpienia zgniłą dyktaturą, ale sami nie wiedzieliśmy, czym chcemy ją zastąpić. Gadaliśmy w kółko o „rządzie islamskim”, ale nie mieliśmy pojęcia, jak taki rząd miałby konkretnie wyglądać; co z policją,

armią i tak dalej... Nie stawialiśmy tych pytań i dlatego teraz jesteśmy w takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy. Minęło trzydzieści lat od rewolucji, a my nie potrafiliśmy osiągnąć większości celów, o których marzyliśmy.

Amir strzepnął popiół ze swojego garnituru i spojrzał na mnie.

– Tu mnie masz. W przeszłości pytałeś mnie już parę razy, czy nie żałuję, i zawsze wykręcałem się od odpowiedzi. Ale teraz jestem ci ją winien. Jestem winien tę odpowiedź Maziarowi Bahariemu cierpiącemu przez reżim, który ja sam pomagałem zaprowadzić. Jeśli chcesz naprawdę wiedzieć, to moje obecne życie jest jednym wielkim żalem.

Amir podniósł się i, co było do niego niepodobne, poszedł do swojego pokoju bez pożegnania.

Gdy wrócił do Iranu, agenci bezpieki zatrzymali go na lotnisku. Zabrali mu paszport i przesłuchiwali przez trzy dni. Teraz ma zakaz opuszczania kraju i oczekuje na proces.

Ostatnio rozmawiałem co najmniej godzinę dziennie z moimi przyjaciółmi i źródłami informacji w Iranie. Nasze rozmowy o ostatnich represjach reżimu i o tym, co może się stać potem, przypominały coś, co nazywam „dialogami Lizy Minnelli”: płakaliśmy, śmialiśmy się, płakaliśmy ze śmiechu i śmialiśmy się przez łzy. A w końcu wyglądaliśmy na całkiem ogłupiałych.

Nikt nie wiedział, co przyszłość przyniesie Iranowi. Brutalność Chameneiego i Strażników Rewolucji po tych lipnych wyborach stworzyła niepewną sytuację. Z jednej strony narastało niezadowolenie i ludzie z dnia na dzień byli coraz bardziej rozczarowani reżimem. Ale z drugiej strony trzy dekady rewolucji, wojny i przemocy sprawiły, że większość Irańczyków nieufnie odnosiła się do kolejnych nagłych i gwałtownych zmian.

Myślę, że stosunkowo pokojowy scenariusz egipski nie nadaje się do powtórzenia w Iranie. Egipcjanie powstali przeciw skorumpowanemu dyktatorowi pozbawionemu wszelkiej legitymacji do rządzenia. Tymczasem Chamenei jest wciąż uważany przez swoich zwolenników za namiestnika Allaha na ziemi. Poza tym Chamenei, w odróżnieniu od Mubaraka, niezmiernie dbał o swój wizerunek, zwłaszcza jeśli chodzi o ewentualną finansową korupcję w rodzinie, na co Irańczycy są niezwykle wyczuleni. To kreowało wokół niego aurę świątobliwości, a nawet kultu. Większość Irańczyków jest niezadowolona z tyranii Chameneiego, z biedy, w jakiej się znaleźli za sprawą jego despotycznej polityki, ale otaczający go wyznawcy wciąż gotowi są zabijać i umierać za swojego agchę, mistrza.

Przyszłość Iranu zależy od bardzo wielu czynników wewnętrznych i zagranicznych. Są wśród nich: Chamenei, Strażnicy, gospodarka, ceny ropy,

USA, Izrael, Irak, Afganistan i inne kraje regionu. Niemniej największe znaczenie ma stan ducha irańskiego narodu w danym momencie historycznym – a ten czynnik jest trudno przewidywalny.

Opierając się na rozmowach z moimi przyjaciółmi i źródłami informacji w Iranie, a także codziennym śledzeniu irańskiej polityki, ekonomii i – co najważniejsze – kultury, wciąż waham się pomiędzy dwoma scenariuszami na przyszłość. Pierwszy jest przygnębiający: pomiędzy władzą i opozycją będzie wciąż dochodziło do gwałtownych konfliktów, a jednocześnie dojdzie do ataku z zewnątrz, ze strony Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników. Natomiast drugi scenariusz jest znacznie bardziej optymistyczny: naród irański, z pomocą wspólnoty międzynarodowej, przekształci jakoś obecny reżim w stosunkowo demokratyczny rząd.

Reżimowi udało się zachować władzę dzięki przemocy. Opozycja wie, że Chemenei i jego towarzysze są gotowi na wszystko, by się przy tej władzy utrzymać, więc będą wzywali obywateli do powstrzymania się od przemocy. Ale sam reżim stosuje przemoc niemal codziennie. Od czasu wyborów prezydenckich w 2009 roku liczba egzekucji uległa zwielokrotnieniu, a wielu ludzi znalazło się w więzieniu za takie rzeczy jak napisanie artykułu czy udzielenie wywiadu. Naród wykazuje, jak do tej pory, niewiarygodną samodyscyplinę, ale jest coraz bardziej rozczarowany reżimem Chameneiego. Nasuwają się dwa podstawowe pytania: Kiedy atmosfera społeczna osiągnie punkt wrzenia? Oraz: Co wówczas zrobią ludzie i rząd?

Na te pytania nikt nie zna odpowiedzi. Niemniej wielu oficjeli w Iranie zdało już sobie sprawę, że sytuacja jest niestabilna, więc starają się po cichu dystansować od Chameneiego. Nawet Ahmadineżad, który został prezydentem wyłącznie dzięki poparciu najwyższego przywódcy, stara się teraz od niego dyskretnie odsunąć, dopóki – w co wierzy – nie jest za późno. Od reelekcji w 2009 roku Ahmadineżad i jego banda, w tym niektórzy Strażnicy, objęli swoją mafijną kontrolą nowe obszary władzy, usuwając bardziej umiarkowanych zwolenników Chameneiego i zastępując ich swoimi ludźmi – prezentując się przy tym jako alternatywa dla klerykalnego establishmentu.

Następna faza walk wewnętrznych w Iranie będzie polegała na starciu konserwatywnych zwolenników Chameneiego i mafiosów Ahmadineżada. Główna różnica między tymi dwiema grupami wynika z ich rewolucyjnej przeszłości. Konserwatyści to, ogólnie rzecz biorąc, ludzie, którzy sami walczyli podczas rewolucji albo należą do rodzin, które zrobiły karierę w rządzie albo w Korpusie Strażników Rewolucji. Natomiast ludzie Ahmadineżada byli w tamtych czasach Strażnikami niższego szczebla lub młodszymi urzędnikami. Kością niezgody między tymi dwiema grupami są nie tyle kwestie ideologiczne, co zwykła walka o władzę i dostęp do zysków z ropy naftowej. Wielu ludzi lekceważy różnice

między owymi grupami, mówiąc, że „konserwatyści przez trzydzieści lat rujnowali kraj, więc przyszła kolej na nową ekipę, by dokończyła ich dzieło”. Obie frakcje zwalczają reformistów i mają zwolenników wśród Strażników Rewolucji.

Ilu dokładnie Strażników popiera każdą z tych frakcji, nie wiadomo, ale powszechnie uważa się, że wielu dowódców Korpusu patrzy podejrzliwie na politykę i działania Ahmadineżada, a w przypadku konfliktu między Ahmadineżadem i Chameneim poprą swojego Mistrza.

Ahmadineżad i jego ludzie dobrze o tym wiedzą i dlatego niezmiernie uważają, by otwarcie nie krytykować ajatollaha. Opracowali jednak długofalowy plan, zakładający podkopywanie autorytetu Chameneiego i klerykalnego establishmentu przez manipulowanie narodowymi sentymentami Irańczyków, co tradycyjnie bywało najlepszą drogą do zdobycia władzy. Podważają reżimową politykę podkreślania szyickiej tożsamości Irańczyków poprzez wysuwanie nowych teorii „irańskiego islamu”. Gloryfikują starożytne tradycje irańskie, twierdząc, że islam jako religia wiele zawdzięcza irańskiej kulturze. Ludzie Ahmadineżada uważają konserwatystów za reakcjonistów niemających kontaktu ze światem współczesnym. Gdyby ta nowa forma nacjonalizmu zrodziła się w środowiskach naukowych, byłaby warta akademickiej dysputy, ale że propaguje ją banda zbirów mało wiedzących o religii, a co dopiero o starożytnej kulturze irańskiej, można to postrzegać jedynie jako polityczny chwyt obliczony na utrzymanie się przy władzy.

Wspomniane konflikty wewnątrz reżimu postawiły Chameneiego w trudnej sytuacji. Poskromił poszczególnych członków kliki Ahmadineżada, ale nadal ją toleruje i popiera prezydenta, by utrzymać mit jedności swojego obozu. Powinien się jednak bacznie przyglądać swoim poplecznikom. Tak to już bowiem bywa: przed upadkiem każdego dyktatora jego zwolennicy najpierw skaczą sobie do gardeł, a potem zwracają się przeciw swojemu panu.

By przedłużyć żywot swojego reżimu, Chamenei ceduje coraz więcej władzy na Strażników i przekształca Islamską Republikę Iranu w dyktaturę wojskową. Ostatnio emerytowani Strażnicy Rewolucji zajmują wiele oficjalnych stanowisk i wchodzi do gospodarki. Niemal codziennie słyszy się, że Strażnicy zdobywają lukratywne kontrakty na budowę dróg, rurociągów czy rafinerii – z pominięciem przetargów. Wielu irańskich biznesmenów i przemysłowców mówiło mi, że nawet jeśli Strażnicy nie prowadzą jakiejś inwestycji, to domagają się prowizji, by roboty mogły ruszyć.

W tym samym czasie Irańczycy stają się coraz biedniejsi i bardziej stłamszeni. W obliczu ideologicznego i przemysłowego militarne molocha wielu młodych Irańczyków dochodzi do przekonania, że przemoc jest jedynym językiem zrozumiałym dla władzy.

Jednak użycie przemocy też nie przynosi żadnego realnego postępu.

Wojskowy reżim islamski jest zresztą dobrze przygotowany do obrony siłowej, ale nawet jeśli jakiejś grupie udałoby się go obalić, to powstanie z tego kolejna tyrania, następna w długim łańcuchu irańskich tyranii. Często przypominam młodym Irańczykom o zdradzie ideałów Islamskiej Rewolucji 1979 roku i mówię im, że przemocą nie osiągnie się niczego. Po prostu niczego.

Oprócz zatrważającej perspektywy zamętu wewnętrznego istnieje też niebezpieczeństwo konfrontacji między Iranem i Stanami Zjednoczonymi albo między Iranem i Izraelem na tle nuklearnych ambicji Teheranu. Chamenei wielokrotnie deklarował, że Iran nie ma zamiaru budować bomby jądrowej i zapewniał, że byłoby to niezgodne z zasadami islamu. Kłamał. Chamenei może faktycznie nie chce rozwijać broni atomowej, ale chce być bardzo blisko jej posiadania. Potrzebuje zdolności do produkcji broni tego rodzaju, by straszyć Zachód i kraje sąsiednie, aby nie wspomagały opozycji wewnątrz Iranu. Dla Chameneiego rezygnacja z programu nuklearnego równałaby się kapitulacji wobec woli obcych mocarstw, a dla tyrańca nie ma rzeczy cenniejszej niż jego potęga.

Chamenei wie, że zawsze może liczyć na błędy swoich wrogów, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych. Dzięki nim może poszerzać zakres swojej władzy. Amerykańskie kampanie w Afganistanie i Iraku obaliły dwóch największych przeciwników Iranu w regionie: Taliban i Saddama Husajna. Ich klęska uczyniła z Iranu regionalne mocarstwo. Poprzez swoje agencje w Iraku, Libanie i Palestynie Iran może zagrażać Stanom Zjednoczonym i Izraelowi poza swoim terytorium. Jak powiedział Woda Różana, Hamas w Strefie Gazy i Hezbollah w Libanie są w pewnym sensie oddziałami Strażników Rewolucji.

Jednak plany Chameneiego, układane w zaciszu jego domu, strzeżonego przez tysiące ochroniarzy, mogą odnieść skutek odwrotny do zamierzonego, co będzie miało katastrofalne skutki zarówno dla Iranu, jak i islamskiego reżimu. Izrael nigdy nie pogodzi się z irańską bronią atomową. Ahmadineżad neguje Holocaust i zapowiada, że wymaże państwo żydowskie z mapy świata. Co więcej, Izrael odczuwa egzystencjalny lęk przed każdym krajem regionu, przyjaznym czy wrogim, które ma większe możliwości militarne niż on sam. Izrael sprzeciwiał się irańskiemu programowi nuklearnemu już w latach 70., gdy u władzy był szach, przyjazny przecież Izraelowi. Do tej pory Izraelczycy byli cierpliwi i opowiadali się za negocjacjami, a w najgorszym razie sankcjami, by powstrzymać irański program atomowy, ale mogą wkrótce zmienić taktykę.

Izrael nie podejmie oczywiście żadnych zdecydowanych działań bez błogosławieństwa swojego głównego sojusznika, czyli Stanów Zjednoczonych, które straciłyby dużo, gdyby Iran stał się mocarstwem atomowym. W regionie stacjonują tysiące amerykańskich żołnierzy, a wielu sojuszników Ameryki ma już serdecznie dość chuligańskiej polityki Iranu. Takie kraje jak Arabia Saudyjska, Kuwejt czy Bahrajn kupują broń i inne towary oraz usługi od Amerykanów,

a w zamian sprzedają im ropę albo udostępniają bazy wojskowe.

Niepopularne i autorytarne reżimy w tych krajach „nakręcają się” przez skrajną retorykę Chameneiego i zagrożenie nuklearne ze strony Iranu. Jak wynika z tajnych amerykańskich depech ujawnionych na Wikileaks, wielu amerykańskich sojuszników na Bliskim i Środkowym Wschodzie naciska wciąż na Stany Zjednoczone, by zaatakowały Iran i zastopowały jego program atomowy. Jak na razie rząd amerykański obierał strategię powstrzymywania Iranu na drodze dyplomatycznej. Ale sytuacja może się zmienić. Sąsiedzi Iranu są ważnymi sojusznikami Amerykanów w walce z terroryzmem i obrona ich przed Iranem leży w żywotnym interesie USA jako militarnej i gospodarczej superpotęgi.

Stany Zjednoczone próbują jak dotąd zahamować irański program nuklearny za pomocą sankcji finansowych i gospodarczych. Niemniej Irańczycy zdążyli się przyzwyczaić do sankcji od początku rewolucji, a cwani irańscy urzędnicy wiedzą dobrze, jak korzystać z prawnych i finansowych luk w systemie międzynarodowym. Zakładanie lipnych przedsiębiorstw, lewych rachunków bankowych i pranie pieniędzy na zakupy broni – czyli wykorzystywanie metod międzynarodowych karteli przestępczych – stało się ich drugą naturą. Iranowi udało się też podzielić społeczność międzynarodową poprzez strategiczne sojusze z głównymi rywalami Ameryki – Rosją i Chinami, a także „wschodzącymi mocarstwami”, takimi jak Turcja czy Brazylia. Jednak cierpliwość nawet tych krajów ma swoje granice i one również mają powoli dość arogancji Iranu. Państwa te rozumieją również, że w końcu będą musiały wybrać pomiędzy wspieraniem Iranu i robieniem interesów ze Stanami Zjednoczonymi. Wybór łatwy jest do przewidzenia i dlatego coraz więcej krajów zaczyna popierać amerykańską politykę wobec Iranu.

W tej chwili perspektywa amerykańskiego czy izraelskiego ataku na Iran jest raczej sennym koszmarem, ale może szybko przeobrazić się w rzeczywistość, z katastrofalnymi skutkami zarówno dla Iranu, jak i dla reszty świata. Mogę zrozumieć frustrację innych państw z powodu braków postępu w nuklearnych negocjacjach z Teheranem. Wielu irańskich dyplomatów to zbiry i krętacze w stylu Wody Różanej (zresztą niektórzy irańscy dyplomaci to w istocie byli śledczy). Wiem też, że wielu amerykańskich polityków stara się o reelekcję przez wymachiwanie szabelką w stronę Teheranu. Niemniej wojskowy atak na Iran doprowadzi do dalszej militaryzacji reżimu i sprawi, że nawet prozachodni nacjonałiści irańscy staną po stronie rządu do walki z wrogiem zewnętrznym.

Mój koszmarne scenariusz gwałtownego zdławienia resztek demokratycznego ruchu w Iranie i wojskowego ataku z zewnątrz oznaczałby także zagrożenie dla interesów Zachodu w regionie.

W dniach, kiedy mam pogodniejszy nastrój, myślę o scenariuszu bardziej optymistycznym: takim, w którym Iran zmienia się pokojowo z pomocą reszty

świata. Jak pokazały demokratyczne przemiany w innych krajach Bliskiego i Środkowego Wschodu, prozachodnia tyrania i fundamentalizm islamski nie są jedynymi ewentualnościami, spośród których mogą wybrać Irańczycy. Państwa zachodnie, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, powinny uszanować niezależność Iranu i narodowe uczucia Irańczyków. Demokratyczny i niezależny rząd w Iranie, szanujący religijne i kulturalne tradycje narodu, nie byłby zapewne całkiem po myśli Zachodu, ale kwestie sporne można by uregulować w cywilizowany sposób, bez uciekania się do przemocy.

Zmiany w kierunku demokracji Iranu nie mogą, a nawet nie powinny dokonać się z dnia na dzień. Jestem dumny z dojrzałości i powściągliwości wykształconych młodych Irańczyków, którzy nie chcą stać się lustrzanym odbiciem rządzących nimi brutalni. Obecny despotyczny system opiera się na ignorancji i zacofaniu, ale z biegiem czasu i ze wsparciem wspólnoty międzynarodowej młodzi Irańczycy zdołają skierować swój kraj na drogę demokracji. Nie wiem, ile czasu to zajmie, ale często przypominam sobie, że trzeba było ponad siedemdziesięciu lat, by rozpadł się Związek Radziecki.

Mój optymizm nie jest naiwnym chęciem. Opiera się na faktach. Reżim islamski ma dwa słabe punkty. Są nimi informacja i gospodarka. Zachód może pomóc Irańczykom, oddziałując na te słabe punkty aż do czasu pokojowych zmian w kraju. Historia Iranu to dzieje tyranii i monarchii, więc wielu ludzi przywykło do statusu poddanych jakiegoś despoty. Demokracja to dla nich pojęcie obce. Jednak liczba ortodoksyjnie religijnych mieszkańców Iranu, którzy pragną, by rządził nimi jakiś monarcha, szybko spada. Z każdym rokiem przybywa wykształconych Irańczyków, mających dostęp do świata zewnętrznego dzięki telewizji satelitarnej i Internetowi. Ci oświeceni Irańczycy są najważniejszym sprzymierzeńcem Zachodu w regionie. Wspólnota międzynarodowa powinna wymierzać swoje sankcje w irański program nuklearny i ludzi odpowiedzialnych za łamanie praw człowieka, a redukować je w sferach dotyczących życia zwykłych Irańczyków – takich jak dostawy aparatury medycznej czy części do samolotów pasażerskich. Inwestując w kanały telewizji satelitarnej i Internet, Zachód może pomóc młodym Irańczykom poznać lepiej świat zewnętrzny oraz kwestie legalności ich rządu.

Często pytano mnie, czy zielony ruch jest już martwy. Moja odpowiedź brzmi: nie. Ludzie mogą nie mieć możliwości demonstrowania swego niezadowolenia z rządu, ale ruch staje się z każdym dniem silniejszy. Protesty, których świadkiem byłem w czerwcu 2009 roku, okazały się elementem ruchu na rzecz praw obywatelskich: ludzie demonstrowali, żądając swoich praw jako obywatele tego kraju. Niemniej ludzie, którzy liczyli, że zielony ruch obali Chameneiego i przyniesie demokrację w zachodnim stylu, byli w błędzie.

Zielony ruch jest zbiorowym wołaniem Irańczyków o normalne życie. Po raz

pierwszy w dziejach Iranu taki ruch polityczny oparty jest raczej na fundamentalnym szacunku dla życia niż ideologicznym rojeniu, że ludzie muszą poświęcić się dla sprawy. Pokolenie moich rodziców, a nawet Marjam, uważało, że nie ma nic świętszego od męczeństwa, ale nowa generacja Irańczyków nie wierzy, że jakakolwiek idea warta jest tego, by za nią umierać; chcą zostać przy życiu i celebrować je.

Wkrótce po moim zwolnieniu wielu moich przyjaciół i sporo obcych mi ludzi ze znajomościami w sferach rządowych zaczęło mi przekazywać fakty, które doprowadziły do aresztowania mnie i setek innych ludzi. Obawiając się represji, kontaktowali się ze mną przez pocztę elektroniczną i Skype'a, używając pseudonimów albo dzwoniąc z tymczasowych numerów telefonicznych, żeby trudniej było ustalić ich tożsamość. W niektórych przypadkach ryzykowali utratą pracy, a nawet więzieniem, by opowiedzieć mi o tym, czego się dowiedzieli. Robili to, bo – jak mówili – czuli, że spotkała mnie niesprawiedliwość.

Według tych informacji Strażnicy Rewolucji obmyślili plan postawienia reformistów przed sądem już na rok przed wyborami i otrzymali na to błogosławieństwo Chameneiego. Strażnicy wiedzieli, że wielu Irańczyków sprzeciwia się ingerencji Zachodu w wewnętrzne sprawy Iranu i całego Środkowego Wschodu, więc postanowili to sprytnie wykorzystać.

Mieli nadzieję, że pozbycie się reformistów pozwoli utrzymać na dłużej reżim Chameneiego. „Tak naprawdę to wielu Strażników nie uważało wcale, że szykują jakiś spisek – powiedział mi pewien człowiek ze sfer rządowych. – Naprawdę wierzyli, że reformiści dostają pieniądze i instrukcje z Zachodu, co ujawnią, gdy ich się dobrze przyciśnie”.

Zgodnie ze scenariuszem kontakty z Zachodem mieli koordynować trzech ludzie: Hossejn Rassam, analityk z ambasady brytyjskiej, miał być łącznikiem na płaszczyźnie dyplomatycznej; Kian Tadzbachsz, przedstawiciel Instytutu Społeczeństwa Otwartego w Teheranie, miał kontaktować się z organizacjami pozarządowymi, ja zaś miałem być łącznikiem między szatańskimi mediami zachodnimi i reformistami.

Jednak ten zakalcowaty scenariusz nie zadziałał, bo żadnych tego rodzaju relacji między reformistami i Zachodem zwyczajnie nie było, a większość Irańczyków po prostu nie wierzyła reżimowej propagandzie. Po paru miesiącach od naszego aresztowania Strażnicy zrezygnowali ze swojego planu i musieli zwolnić naszą trójkę. Jednak Rassam i Tadzbachsz wciąż mieli zakaz opuszczania kraju. „Masz szczęście, że twoja żona była w ciąży” – powiedział mi pewien przyjaciel. Strażnicy obawiali się, że Paola może umrzeć albo poronić w wyniku stresu związanego z moim uwięzieniem. „A ostatnią rzeczą, jakiej chcieliby

Strażnicy, była śmierć jakiejś brytyjskiej matki czy córki, którą można by zapisać na ich rachunek. To dlatego pozwolili ci wyjechać z kraju”.

Od czasu zwolnienia starałem się dowiedzieć, dlaczego pozwolili mi wyjechać, bo sądziłem, że oprócz niepokoju władz o sytuację Paoli były też inne względy. Według wersji potwierdzonej przez różne źródła rząd islamski postanowił mnie ostatecznie wypuścić po wizycie Ahmadineżada w Organizacji Narodów Zjednoczonych we wrześniu 2009 roku. Podczas tej podróży Ahmadineżad i ówczesny minister spraw zagranicznych Iranu, Manuszehr Mottaki, byli bombardowani pytaniami o mnie. „Newsweek” dopilnował, by dziennikarze pytali o moją sprawę w każdym wywiadzie z Ahmadineżadem. Podobnie robili dyplomaci z całego świata na forum międzynarodowym. Gdy Ahmadineżad wrócił do kraju, moje nazwisko i pytania o mój los znalazły się w raporcie prezydenta dla najwyższego przywódcy.

Chamenei już wcześniej słyszał moje nazwisko i polecił swojej kancelarii zorientować się w mojej sprawie; chciał wiedzieć, czy zatrzymanie mnie w więzieniu przyniesie mu więcej korzyści czy strat. Już we wrześniu Strażnicy zdali sobie sprawę, że reżim nie będzie miał ze mnie większego pożytku, bo nie wymieniam żadnych nazwisk. Odpowiedzieli więc kancelarii Chameneiego, że byłem podejrzany o szpiegostwo, a moja sprawa zostanie wkrótce zamknięta. Odpowiedź ta nie zadowoliła ludzi Chameneiego.

Kilka dni później irańscy dyplomaci poprosili Strażników, by jak najszybciej podjęli decyzję w mojej sprawie. „Wszędzie słyszymy nazwisko Bahari – stwierdził jeden z ambasadorów. – Z trzymywania go w więzieniu jest więcej kłopotów niż korzyści. Czy nie czas go wypuścić?”.

W tym czasie Chamenei mianował Hossejna Taeba, dowódcę Basidżu podczas powyborczych protestów, szefem służby wywiadowczej Strażników, a była to komórka, która mnie aresztowała. Ponieważ plan Strażników, by wykorzystać mnie do skompromitowania i postawienia przed sądem reformistów, nie wypalił, Woda Różana i jego grupa nie zdołali przekonać Taeba, że trzymanie mnie w więzieniu ma jakiś sens.

Woda Różana i jego szef musieli mnie wypuścić, ale potrzebowali jakiejś zręcznej formuły, by zachować twarz. Moje zobowiązanie do współpracy dawało im taką możliwość. Woda Różana mógł twierdzić, że podczas mojego pobytu w Ewinie zdołał mnie przeciągnąć na swoją stronę, a z donoszenia przeze mnie na opozycję władza będzie miała korzyść.

Według kilku źródeł Woda Różana aż do ostatniej chwili występował przeciw zwolnieniu mnie z więzienia. Próbował podobno przekonać swoich zwierzchników, że jeśli pozwolą mnie mocniej „przycisnąć”, wyśpiewam wszystko jak kanarek i przyznam się do szpiegostwa. „Nie wiem, co mu zrobiłeś, ale naprawdę uwziął się na ciebie” – powiedział mi informator z kręgów rządowych. Ja

też nie jestem pewien, o co tak naprawdę mu chodziło, i jestem szczęśliwy, że nigdy się nie dowiem. Niemniej przypuszczam, że jednym z powodów była chęć dowiedzenia się więcej o New Jersey i Tajlandii.

W Korpusie Strażników Rewolucji Woda Różana znany był jako Dźwadi. Urodził się w 1978 roku, a do Korpusu wstąpił w 1996 roku. Doszedł do stopnia pułkownika. Pochodził z religijnej, tradycyjnej rodziny isfahańskiej. Jego rodzice przenieśli się do Teheranu, zanim jeszcze się urodził. Ojciec Dźwadiego, jak mówił mi sam Woda Różana, był zwolennikiem Chomeiniego i za czasów szacha siedział w więzieniu. Jego stryj i starsi bracia też byli Strażnikami. Dźwadi należał do pierwszej generacji Strażników, którzy przeszli przez indoktrynujące kursy *Basirat*, „Wiedzy”. Otrzymał tytuł magistra nauk politycznych na Uniwersytecie Teherańskim i przeszedł kilka szkoleń kontrwywiadowczych. Mawiano o nim Gondeheh, „Duży Facio” – z racji jego gabarytów – albo Czar Czesmi, „Czterooki”, z powodu jego grubych okularów.

Podczas przesłuchiwania mnie Dźwadi mówił swoim szefom, że robi ze mną postępy. Od 2000 roku zmusił wielu działaczy studenckich do złożenia fałszywych zeznań, więc zyskał sobie reputację jednego z najtwardszych śledczych wśród Strażników. Dlatego przełożeni mu wierzyli i dawali mu przez długi czas wolną rękę w mojej sprawie.

Dowiedziałem się też, że to on osobiście wskazał mnie jako człowieka, który może być łącznikiem pomiędzy reformistami i mediami zagranicznymi. Według pewnego Strażnika Rewolucji początkowo myślano raczej o aresztowaniu mojej przyjaciółki Nazili Fathi z „New York Timesa”, ale Woda Różana przekonał innych, że lepiej aresztować mnie. Byłem filmowcem i dziennikarzem pracującym zarówno w Iranie, jak i za granicą, więc aresztowanie mnie mogłoby uderzyć w różne środowiska. „Już po pierwszych przesłuchaniach opowiadał wszystkim, że złapał prawdziwego szpiega – mówił ów Strażnik. – Bo w jego pojęciu wyłącznie szpieg mógł podróżować tyle co ty i mieć tylu przyjaciół. Po tym, jak zaczęła się medialna kampania w twojej sprawie, nabrał pewności, że jesteś szpiegiem”.

Zdaniem innego anonimowego Strażnika „Duży Facio” wciąż uważa, że jestem szpiegiem, i śledzi każdy mój ruch. „Nie omija żadnej okazji, by przypomnieć swoim zwierzchnikom, że nie należało cię zwalniać”.

Strażników drażnią szczególnie moje apele do pokojowego oporu wobec reżimu Chameneiego. Niemal we wszystkich wywiadach, jakich udzieliłem po wyjściu na wolność, podkreślałem, że największym sukcesem rządu islamskiego byłoby uczynienie z opozycji swojego lustrzanego odbicia – złośliwego, bigoteryjnego zbira. „Strażnicy rozumieją przemoc – powiedział mi pewien dyplomata – a pańskie upieranie się przy niestosowaniu przemocy jest dla nich

trudne do pojęcia i dlatego tak sobie plują w brodę, że pana wypuścili”.

Człowiek, który obudził mnie tamtego czerwcowego poranka 2009 roku i zafundował mi sto osiemnaście dni koszmaru, sam żyje na co dzień w koszmarze. Spędza życie w małych ciemnych pokojach, bijąc i poniżając niewinnych ludzi. Jest tylko jednym z najemników złego systemu, produktem ubocznym ignorancji i religijnego fanatyzmu. Któregoś dnia wysłałem mu paczkę zaadresowaną: Więzienie Ewin, Teheran, Iran. W przesyłce był bilet lotniczy do New Jersey, wybór sztuk Czechowa i płyta Leonarda Cohena. Aha! Jeszcze nowe perfumy.

Możliwe, że Dżwadi wciąż żywi do mnie osobistą niechęć, ale szczerze mówiąc, ja sam nie czuję do niego wrogości. W pierwszych dniach po uwolnieniu miałem alergię na zapach wody różanej – od razu robiło mi się niedobrze – i śnił mi się prawie każdej nocy. Jednak wkrótce po narodzinach Marianny owe koszmary rozprasały się zaraz na dźwięk jej płaczu. Gdy brałem ją na ręce, nie myślałem już o niczym oprócz tego, że bardzo ją kocham i że bardzo chciałbym z nią dzielić przyszłość. Ostatnio rzadko gnębią mnie koszmary z Wodą Różaną, przyzwyczailem się nawet do tego zapachu. Moim światem są Moludzun, Paola i Marianna. Marianna uczy się perskiego i postaram się, by nie zapomniała o swoich korzeniach. Będzie należeć do pokolenia, które zbuduje lepszy Iran – i lepszy świat. Szkoda mi tylko, że Marjam i Baba Akbar nie mogą zobaczyć, jak rośnie. Jestem pewien, że byliby z niej dumni.

PODZIĘKOWANIA

Te podziękowania nie mogą oddać całej mojej wdzięczności dla tych, którzy po prostu uratowali mi życie. Pozostanę dłużnikiem ludzi, którzy swoją myślą, słowem i działaniem wyratowali mnie z więzienia w Ewinie.

Niebywałą kampanię o moje uwolnienie stoczyli Nisid Hajari, Christopher Dickey, Fareed Zakaria, Mark Miller, Daniel Klaidman, Lally Weymouth, Frank De Maria i wszyscy moi byli koledzy z „Newsweeka”. Mieli przy tym pełne wsparcie ze strony Dona Grahama i Ann McDaniels z Washington Post Company.

„Newsweek”, „The Washington Post” oraz ich prawnik Robert Kimitt z powodzeniem zdobywali dla mojej sprawy przychylność międzynarodowych dyplomatów i dygnitarzy, którzy potem interweniowali w mojej sprawie – oficjalnie i prywatnie – u władz irańskich. Winien jestem szczególne podziękowania pani sekretarz stanu USA, Hillary Clinton; byłej sekretarz stanu Madeleine Albright; biskupowi Desmondowi Tutu (Susan, John i wszyscy z Search for Common Ground – dzięki wam); ministrowi spraw zagranicznych Kanady Lawrence’owi Cannonowi; premierowi Kanady Stephenowi Harperowi, a także

pracownikom dyplomatycznym i konsularnym ambasady kanadyjskiej w Teheranie oraz placówek w Londynie i Ottawie. Również liderzy kanadyjskiej opozycji Michael Ignatieff z Partii Liberalnej i Jack Layton z Nowej Partii Demokratycznej (Amy Marcus – dziękuję) zrobili wszystko, co w ich mocy, by zwrócić uwagę opinii publicznej na moją sprawę. Dziesiątki dyplomatów z całego świata nie życzyły sobie, bym tu wymieniał ich nazwiska, ale znam i doceniam ich starania, za które serdecznie dziękuję.

Integralną częścią kampanii była pomoc moich przyjaciół z Channel 4: Deborah Rayner (oraz R i MG), Jima Greya, Bena De Peara, Jonathana Millera, Lindey Hillsum, Jona Snow, Sarah Corp, Dorothy Byrne i innych. Wsparli mnie przyjaciele z BBC, zwłaszcza Adrienne van Heteren, Jane Corbin i Sandy Smith.

W mojej obronie wystąpili też odważnie irańscy filmowcy i dziennikarze, pisząc do władz. Wykazali w ten sposób, że aresztowanie mnie nie zdołało ich zastraszyć. Mój prawnik w Iranie, Saleh Nikbakht, wciąż udowadnia swoją budującą waleczność, broniąc praw więźniów sumienia w kraju pomimo nieustannych szykan ze strony władz.

Moi przyjaciele i koledzy z Międzynarodowego Festiwalu Filmów Dokumentalnych w Amsterdamie, Komitetu Obrony Dziennikarzy, Index on Censorship, Kanadyjskich Dziennikarzy za Wolnością Słowa, PEN, Reporterów bez Granic i wielu innych organizacji zebrali niezwykłą kolekcję podpisów pod petycją w kwestii mojego uwolnienia i lobbowali w tej sprawie u władz irańskich. Ludzie z rządu irańskiego mówili mi, że reżim zwracał uwagę na każdą petycję. Jestem niezmiernie wdzięczny wszystkim, którzy podpisali petycję w mojej sprawie.

Proszę o kontynuowanie tych wysiłków na rzecz praw człowieka i swobody słowa. Pamiętajcie, że dziesiątki irańskich więźniów sumienia przeszło to samo co ja. Cicha dyplomacja w tym wypadku nie działa. Domagajcie się głośno przestrzegania praw człowieka!

Dziękuję ludziom z Facebooka, Twittera i YouTube za uprzykrzanie życia autorytarnym reżimom. Brawa dla Davida Piaia, który zorganizował kampanię na Facebooku, i Davida Shem-tova, który założył stronę www.freemaziarbahari.org.

Niezliczone osoby wspierały Paolę w czasie mojego uwięzienia – zwłaszcza Barbara, która pomagała siostrze podczas jej ciąży oraz w prowadzeniu kampanii na rzecz zwrócenia mi wolności. Zawdzięczam też wiele naszym przyjaciołom z Latham & Watkins, a także Malu, Davidowi, Chusowi, Lizzy, Masudowi, Siavushowi, Jo i Faribie (z rodziną), Simonowi, Kirsten, Fredowi, Cyntii, Jacki i Gregowi.

A WY nie chcieliście być wymienieni w tym miejscu, ale naprawdę nie wiem, jak się WAM odpłacić za Waszą życzliwość. Jesteście moimi braćmi. *Taa*

aachareh omr madjun Szomaa hastam.

Woda Różana także pozostaje niezapomniany, ponieważ jego idiotyzmu, ciasnoty umysłowej i przerażających przesłuchań po prostu nie da się zapomnieć. Zacząłem spisywać swoje wspomnienia zaraz po opuszczeniu Iranu. Miałem też kilka obszernych wiadomości elektronicznych, które wysłałem redaktorom „Newsweeka”, oraz notatki skreślone w okresie przedwyborczym. Na tych materiałach również została oparta niniejsza książka.

Woda Różana i jego kumple nie mają co szukać Amira. Jego postać jest zlepkiem kilku postaci wysokiej rangi członków irańskiego rządu. W 1979 roku byli rewolucjonistami, ale teraz nienawidzą rządu Chameneiego. Czytelnicy zrozumieją, że musiałem stworzyć postać Amira, by ukazać różnice opinii w irańskich kręgach rządowych. Zmieniłem też imię mojego motocyklowego taksówkarza – na jego życzenie.

Książka ta nie powstałaby bez wsparcia najlepszych ludzi z branży wydawniczej. Amanda Urban z ICM była prawdziwym aniołem stróżem tego przedsięwzięcia. Moja współautorka Aimee Molloy złożyła moje nieuporządkowane myśli w spójną całość i pomogła mi pokonać strach przy pisaniu pierwszej książki oraz traumę związaną ze wspomnieniami. Sugestie moich wydawców, Kate Mediny i Lindsey Schwoeri, podniosły książkę na wyższy poziom. Zyskała ona też wiele dzięki uwagom Barbary, Johna, Karima, Farideh, Jona, Nahmeh, Siavusha, Davida i Chrisa, którzy byli tak uprzejmi, by przeczytać pierwszą wersję.

Największą przyjemnością przy pisaniu tej książki było dla mnie poczucie obecności Baby Akbara i Marjam. *Chali delam baraatun tang szodeh*. Wsparcie, które na co dzień dają mi Mohammad i Iran, wiele dla mnie znaczy. Niezwykle drobiazgową pamięć Moludzun wciąż mnie zaskakuje. Wiele szczegółów z historii mojej rodziny pochodzi właśnie od mojej matki. Po każdej rozmowie kocham ją coraz bardziej za jej cierpliwość, wytrwałość i siłę.

Paola i ja pobraliśmy się ostatecznie w czerwcu 2010 roku, rok z okładem po tym, jak nasze wspólne życie zostało tak gwałtownie przerwane. Nigdy nie przypuszczałem, że na moim ślubie będę trzymał własne dziecko, ale byłem szczęśliwy, że Marianna mogła być świadkiem uroczystości kończącej ciemny rozdział w życiu rodziców.

Kampania Paoli była oczywiście główną przyczyną mojego uwolnienia, natomiast jej przenikliwość i dbałość o szczegóły miały znaczny wpływ na nadanie tej książce jej obecnego kształtu, choć zdarzało się, że na jej krytyczne uwagi reagowałem dość gwałtownie. Bardzo panią kocham, pani Bahari!

SŁOWNIK OSÓB

Mohammad Ali **Abtahi** (ur. 1958) – reformistyczny duchowny, były prezydent Iranu; doradca kandydata na prezydenta Mehdiego Karrubiego podczas wyborów w 2009 roku.

Mahmud **Ahmadineżad** (ur. 1956) – prezydent Iranu (zastąpiony na tym stanowisku w 2013 roku przez Hassana Ruhaniego), były burmistrz Teheranu (2004–2005, zastąpiony na tym stanowisku przez Mohammada Baher Qalibafa), były gubernator prowincji Ardabil (1993–1997).

Feizollah **Arabsorchi** (ur. 1952) – reformistyczny polityk, członek założyciel Organizacji Mudżahedinów Rewolucji Islamskiej (MIRO).

Mohammad **Atrianfar** (ur. 1953) – wydawca prasowy i reformistyczny polityk, były funkcjonariusz wywiadu.

Mehdi **Karrubi** (ur. 1937) – lider opozycji i przewodniczący Partii Zaufania Narodowego. Były przewodniczący parlamentu (1989–1992 i 2000–2004).

Ali Hossejni **Chamenei** (ur. 1939) – obecnie najwyższy przywódca Iranu; były prezydent (1981–1989). Jeden z przywódców Rewolucji Islamskiej z 1979 roku i doradca Ruhollaha Chomeiniego.

Mohammad **Chatami** (ur. 1943) – jeden z czołowych polityków opozycyjnych, były prezydent Iranu (1997–2005).

Ruhollah **Chomeini** (1902–1989) – przywódca Rewolucji Islamskiej z 1979 roku.

Sadegh **Mahsuli** (ur. 1959) – minister opieki społecznej, podczas wyborów 2009 roku minister spraw wewnętrznych; były dowódca Korpusu Strażników Rewolucji i jeden z najbogatszych ludzi w Iranie.

Hossein Ali **Montazeri** (1922–2009) – najwyższy rangą szyicki duchowny krytykujący reżim islamski; niegdyś współpracownik Ruhollaha Chomeiniego, przewidywany na jego następcę.

Said **Mortazawi** (ur. 1967) – prokurator generalny Teheranu (2003–2009). Jako sędzia (1997–2003) był odpowiedzialny za skazanie dziesiątków dziennikarzy i obrońców praw człowieka, a także zamknięcie licznych gazet.

Mir Hossein **Musawi** (ur. 1942) – opozycyjny polityk i główny reformistyczny kandydat w wyborach prezydenckich 2009 roku; były premier Iranu (1981–1989).

Behzad **Nabawi** (ur. 1941) – polityk reformistyczny, członek założyciel Organizacji Mudżahedinów Rewolucji Islamskiej (MIRO); były wiceprzewodniczący parlamentu (2000–2004) i minister przemysłu (1985–1989).

Mohammad Reza **Pahlawi** (1919–1980); ostatni szach Iranu (1941–1979).

Akbar Haszemi **Rafсандżani** (ur. 1934) – były prezydent Iranu (1989–1997); były przewodniczący Madżlesu (parlamentu) (1980–1989). Jeden z przywódców Rewolucji Islamskiej z 1979 roku, doradca Ruhollaha Chomeiniego.

Mehdi Haszemi **Rafсандżani** (ur. 1969) – czwarte dziecko Akbara Haszemi Rafсандżaniego. Był członkiem komisji reformistów, mającej zapobiec sfałszowaniu wyborów 2009 roku, i finansował co najmniej jedną antyahmadineżadowską stronę internetową, działającą przed wyborami.

Mohsen **Rezaei** (ur. 1954) – sekretarz Zgromadzenia Ekspertów, kandydat w wyborach prezydenckich 2009 roku, były naczelny dowódca Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (1981–1997).

Reza Szach (1878–1944) – ojciec Mohammada Rezy Pahlawi i szach Iranu (1925–1941).

Mohsen Safaei **Farahani** (ur. 1946) – reformistyczny polityk, członek założyciel Frontu Udziału w Islamskim Iranie. Niegdyś wysokiego szczebla urzędnik Republiki Islamskiej.

Jussef **Sanei** (ur. 1937) – jeden z najwyżej postawionych krytyków reżimu wśród duchowieństwa szyickiego; były przewodniczący Rady Strażników Konstytucji (1980–1988).

Said **Szariati** (ur. 1973) – działacz reformistyczny i rzecznik Frontu Udziału w Islamskim Iranie (2003–2009).

Hossejn **Taeb** (ur. 1943) – szef służby wywiadowczej Korpusu Strażników Rewolucji, członek tej organizacji od 1981 roku; dowódca Basidżu (2007–2009).

Kian **Tadźbachsz** (ur. 1962) – irańsko-amerykański naukowiec. Pracował jako konsultant dla kilku organizacji międzynarodowych; jest autorem dwóch książek i licznych artykułów o irańskich instytucjach państwowych i mechanizmach politycznych w Iranie.

CHRONOLOGIA WYDARZEŃ

Chronologia ta nie jest historią Iranu. Ma raczej dostarczać podstawowych informacji o kontekście historycznym, w którym toczyła się długa walka Irańczyków o samostanowienie, począwszy od 1906 roku.

IRAN

Ojczyzna jednej z najstarszych cywilizacji świata. Ludność miejscowa używała tej nazwy od ok. 200 roku n.e. Na Zachodzie aż do 1935 roku nazywano ją Persją.

1906 – Perska rewolucja konstytucyjna

Persją władają zepsuci, religijni i reakcyjni królowie z dynastii Kadżarów, która doszła do władzy pod koniec XVIII wieku. Persja Kadżarów to zlepek państw feudalnych, rządzonych przez lokalnych książąt i wodzów. Tymczasem w stołecznym Teheranie szachowie, czyli królowie, utrzymują świetny dwór, działając w istocie jako marionetki imperiów brytyjskiego i rosyjskiego, które przekupując albo zastraszając szachów, traktują Iran jako swoją strefę wpływów czy wręcz posiadłość.

Po stuleciach tyrańskich rządów szachów i mieszania się obcych mocarstw w sprawy Iranu perscy kupcy, duchowni i świeccy intelektualiści zbuntowali się i w pierwszej tego rodzaju azjatyckiej rewolucji zmusili szacha do zgody na ustanowienie Madżlesu (parlamentu) i przyjęcie konstytucji. Ówczesny król, Mozaffaredin Szach, podpisał niechętnie dekret, zgodnie z którym korona staje się „boskim darem, ofiarowanym szachowi przez lud”. Po raz pierwszy azjatycki monarcha pogodził się z ideą, że jego czyny mają być kontrolowane przez przedstawicieli narodu.

Rok później nowy król, Mohammad Ali Szach, zaatakował budynek parlamentu za pomocą armat i spróbował znieść Madżles. Kraj na wiele lat pogrążył się w chaosie. Persowie szukali rządu, który zapewni im bezpieczeństwo i praworządność, a także wolność obiecaną im w konstytucji.

1908 – odkrycie złóż ropy naftowej

Pod kierownictwem brytyjskich inżynierów i naukowców

w południowo-zachodniej prowincji Chuzestan odkryto złoża ropy naftowej. Brytyjski przemysłowiec William Knox D'Arcy uzyskał wyłączne prawo do wydobycia ropy w wielu miejscach kraju. Prawa te odziedziczyła po D'Arcym Angielsko-Perska Kompania Naftowa, znana później jako British Petroleum (BP). Choć Iran nie był brytyjską kolonią, Imperium Brytyjskie przez wiele lat traktowało go właśnie w ten sposób. Po odkryciu złóż ropy naftowej sytuacja jeszcze się pogorszyła. Słabi i skorumpowani przedstawiciele lokalnych władz byli przekupywani albo przymuszani do akceptowania nieograniczonej eksploatacji irańskiej ropy przez Brytyjczyków. Kompania Naftowa płaciła więcej rządowi brytyjskiemu – tytułem podatków – niż Iranowi za samą ropę.

1921 – panowanie Rezy Szacha

Reza Chan, oficer armii perskiej, i kilku niezadowolonych prominentnych Irańczyków dokonało przewrotu wojskowego, by skończyć z korupcją i bałaganem oraz ustanowić silny rząd centralny. Reza Chan, który stanął na czele armii, zamierzał znieść monarchię i ustanowić republikę, ale mułlowie – duchowni szyccy – sprzeciwili się tym zamiarom. Uważali bowiem, że kraj potrzebuje silnego króla, który będzie obrońcą islamu.

Reza Chan został nowym królem w 1925 roku i od tej pory występował jako Reza Szach. W 1935 roku zmienił oficjalną nazwę kraju na Iran. Reza Szach starał się wskrzesić chwałę perskich królów, modernizując Iran wedle zachodnich wzorów. Budowano fabryki, drogi i linie kolejowe, otwierano uniwersytety. Setki młodych Irańczyków wysłano na studia do Europy. Pokolenie perskich elit poznało zachodnią technologię, a jednocześnie zapoznało się z nowoczesnymi ideami: demokracją, rządami prawa i swobodą wypowiedzi. Pomimo swojej fascynacji Zachodem Reza Szach, bezwzględny despota, nie był zwolennikiem praw obywatelskich. Swoich krytyków wsadzał do więzienia, torturował i mordował, a opozycyjne partie polityczne delegalizował. Z drugiej strony mułłów, którzy pomogli mu w zdobyciu władzy, uważał za przeszkodę w modernizacji kraju. Zakazał noszenia islamskich szali przez kobiety i zmusił zarówno mężczyzn, jak i kobiety do noszenia strojów zachodnich.

1941 – upadek Rezy Szacha. Obca okupacja. Nowy szach

Pod koniec swojego panowania Reza Szach próbował skończyć z mieszaniem się Brytyjczyków i Rosjan w sprawy Iranu i dlatego zbliżył się do Niemiec. W trakcie II wojny światowej alianci – Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki – dokonali inwazji na Iran i rozpoczęli jego okupację, by wzmocnić Wschodni Front w wojnie przeciw hitlerowskiemu Niemcom.

Alianci odsunęli Rezę Szacha od władzy, a na tronie osadzili jego dwudziestodwuletniego syna, Mohammada Rezę Pahlawiego, zwanego odtąd szachem. Okupacja przyniosła jeszcze więcej chaosu i poczucia niepewności, a dla zwykłych Irańczyków była upokorzeniem. Jednak kres tyranii Rezy Szacha przyniósł też nieco więcej wolności i mogły powstać różne partie polityczne. Najbardziej wpływowa spośród nich była komunistyczna partia Tudeh, otrzymująca organizacyjną i finansową pomoc ze Związku Radzieckiego. Tudeh przyciągał wielu wykształconych ludzi, a także robotników zmęczonych stuleciami skorumpowanej autokratycznej władzy w Iranie. Tudeh działał też jako radziecka piąta kolumna i zwalczał wpływy brytyjskie oraz amerykańskie.

Z chwilą zakończenia II wojny światowej Związek Radziecki odmówił wycofania swoich wojsk z irańskiego Azerbejdżanu. Sowietci wraz z irańskimi komunistami powołali tam Ludową Republikę Azerbejdżanu. Prezydent USA, Harry Truman, ostrzegł Józefa Stalina przed negatywnymi konsekwencjami okupacji irańskiego terytorium; niektóre źródła wspominają nawet o groźbie użycia przez Amerykanów broni atomowej. Irański premier Ahmad Kawam wynegocjował wówczas umowę ze Stalinem, zgodnie z którą wojska radzieckie miały opuścić irański Azerbejdżan w zamian za przyznanie Sowietom pewnych praw w Iranie; Kawam nie zrealizował swoich obietnic, a po wycofaniu się wojsk radzieckich w grudniu 1946 roku armia królewska i irańscy nacjonaści dokonali masakry tysięcy komunistów. W 1949 roku miała miejsce nieudana próba zamachu na szacha, dokonana podobno przez członka Tudehu. Dało to pretekst do delegalizacji Tudehu i uwięzienia wielu liderów tej partii.

1951 – nacjonalizacja złóż ropy naftowej

Szach oraz Madżles powołali na nowego premiera popularnego polityka nacjonalistycznego Mohammada Mossadegha. W niecały miesiąc po objęciu urzędu Mossadegh znacjonalizował irańskie złoża ropy naftowej, której wydobycie od pół wieku było w rękach Brytyjczyków. Mossadegh próbował też ograniczyć władzę szacha i zrobić z niego jedynie tytułarną głowę państwa. Rząd brytyjski wprowadził embargo na handel z Iranem, wysłał swoje wojska do Zatoki Perskiej i rozpoczął tajną kampanię przeciw Mossadeghowi, korzystając przy tym z pomocy szacha i jego zwolenników. Brytyjczycy ostrzegli także Amerykanów, że rząd Mossadegha doprowadzi do aneksji Iranu przez Związek Radziecki.

Mossadegh próbował zyskać amerykańską pomoc w swojej walce z wpływami brytyjskimi. Powiedział Amerykanom, że jego upadek doprowadzi do komunistycznego przewrotu w Iranie. Komuniści nazywali Mossadegha amerykańskim popychadłem i próbowali podkopywać jego pozycję poprzez zamieszki, mobilizowanie swoich członków w ramach związków zawodowych

i tworzenie podziemnych bojówek. Prezydent Truman sympatyzował z Mossadeghem aż do ostatnich dni swojej prezydentury w styczniu 1953 roku. W Kongresie USA republikanie pod wodzą senatora Josepha McCarthy'ego krytykowali Trumana za nie dość twarde stanowisko wobec rozprzestrzeniania się po całym świecie wpływów sowieckich.

1953 – przewrót wspierany przez CIA

Po dwóch latach embarga Irańczycy pod rządami Mossadegha byli biedniejsi, rozczarowani i nie czuli się bezpieczni. Jednocześnie nasiliła się działalność komunistów. Brytyjczycy przekonali potajemnie nową administrację amerykańską prezydenta Eisenhowera, który objął urząd w styczniu 1953 roku, do pomocy w usunięciu Mossadegha. 19 sierpnia 1953 roku irańscy oficerowie dokonali zamachu stanu przygotowanego przez Centralną Agencję Wywiadowczą i brytyjską siatkę szpiegowską w Iranie. Mossadegh stanął przed sądem, a w następnych latach do więzień trafiły dziesiątki komunistów, z których wielu stracono.

1963 – pierwsze powstanie Chomeiniego

Po przewrocie 1953 roku szach, korzystając z amerykańskiej pomocy, rozszerzył zakres swojej władzy i w końcu stał się tyranem w stylu swojego ojca. Kontynuował uprzemysłowienie Iranu i z taką samą pogardą traktował swoich krytyków i mułłów. Nazwał sam siebie Cieniem Boga i starał się przekształcić kraj poprzez serię dekretów. W 1961 roku szach przyznał kobietom prawa wyborcze i rozdzielił między chłopów duże obszary ziemi. Zmiany te, oprócz innych posunięć modernizacyjnych, zyskały sobie nazwę Białej Rewolucji.

Nie podobało się to mułłom, dla których wielcy posiadacze ziemscy byli głównymi dobroczyńcami, kobiety zaś w większości uznawali za obywateli drugiej klasy. W październiku 1962 roku ajatollah Ruhollah Chomeini napisał list do szacha, wyrażając zaniepokojenie reformami, które nazwał nieislamskimi.

Szach określił swoich religijnych krytyków jako „czarnych reakcjonistów” i oskarżył ich o współpracę z komunistami na szkodę Iranu oraz chęć cofnięcia kraju w „mroki średniowiecza”. W czerwcu 1963 roku po aresztowaniu Chomeiniego jego zwolennicy wznieśli rebelię przeciw szachowi; w starciach zginęły wówczas dziesiątki ludzi.

W listopadzie 1964 roku, po miesiącach aresztu domowego i pobytu w więzieniu, Chomeini musiał się udać na wygnanie. Osiadł w świętym mieście Nadżaf, szyickim bastionie w Iraku. Ze swoimi zwolennikami w Iranie komunikował się poprzez listy, broszury, a potem kasety magnetofonowe.

W Nadżafie Chomeini opublikował swoją teorię *welejat-e faqih*, postulującą zwierzchnictwo znawcy prawa muzułmańskiego; miał to być system, w którym wysokiej rangi duchowny będzie kierować sprawami kraju aż do czasu, gdy pojawi się powtórnie Imam Mahdi, dwunasty ze świętych imamów szyickich. Dzieło Chomeiniego, formułujące tę teorię, jest w zasadzie traktatem teologicznym. Wielu niereligijnych przeciwników szacha, w tym socjaliści, nacjonaści i komuniści, poparło walkę Chomeiniego z szachem, ale ignorowali jego książkę, uznając ją za skomplikowany ezoteryczny tekst, podobny do tysięcy szyickich rozpraw napisanych wcześniej. Po latach żałowali, że poszli za Chomeinim, nie zapoznawszy się solidniej z jego filozofią.

Lata 70. – nagły wzlot i upadek szacha

Kryzys naftowy z 1973 roku – uruchomiony przez wiele czynników, w tym embargo Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową (OPEC), nałożone na dostawy dla Zachodu, i wcześniejsze załamanie giełdowe – przyniósł Iranowi wielkie korzyści. Wzrost cen ropy naftowej oznaczał, że szach miał więcej pieniędzy na kupowanie technologii i broni z Zachodu. W rezultacie jego plany modernizacji Iranu stały się jeszcze ambitniejsze. Wierzył, że do końca XX wieku Iran stanie się jednym z pięciu najbardziej zaawansowanych krajów świata. We wczesnych latach siedemdziesiątych zdiagnozowano u szacha nowotwór, ale przez wiele lat utrzymywano to w tajemnicy przed narodem, a nawet jego żoną. Wielu obserwatorów uważa, że narzucanie przez monarchę tak szybkiego tempa zmian było z jego strony wyścigiem z czasem.

Znaczna część tego postępu dokonała się w dużych miastach, do których w nadziei na lepsze życie przeprowadzała się tradycyjna i religijna ludność wiejska. Gdy OPEC zniosła embargo na sprzedaż ropy na Zachód, ceny ropy naftowej spadły i szach wpadł w kłopoty związane z finansowaniem swoich ambitnych przedsięwzięć. Większość chłopów, którzy przenieśli się do miast, nie skorzystała ze zmian wprowadzanych przez władcę. Mieszkali głównie na peryferiach i czuli się wyalienowani z powodu szybkiej westernizacji.

Wbrew obiegowym opiniom szach nie był wcale tak bezkrytyczny wobec państw zachodnich. Pod koniec swojego panowania zaczął mieć pretensje z powodu nastawienia Zachodu do Iranu. W wywiadach krytykował Zachód za panującą tam nadmierną wolność i za upadek zachodniej gospodarki i kultury. W 1976 roku prezydentem USA został Jimmy Carter. W kampanii wyborczej obiecywał, że skłoni sojuszników Ameryki, takich jak Iran, do większej troski o prawa człowieka. Przeciwnicy szacha wyciągnęli stąd wniosek, że mają sprzymierzeńca w Białym Domu. Dodało im to odwagi. Szach, którego zdrowie pogarszało się od kilku lat, ciężko przeżył zmianę stanowiska Ameryki, ale nie

poszedł na żadne ustępstwa wobec opozycji.

1978 – krytyczny artykuł wobec Chomeiniego i drugie powstanie

W styczniu 1978 roku szach polecił największemu irańskiemu dziennikowi „Etela’at” publikację artykułu wymierzonego przeciwko Chomeiniemu. W artykule stwierdzono między innymi, że nie jest Irańczykiem, lecz pochodzi z Indii i jest reakcyjnym agentem brytyjskim, który wszczyna protesty przeciw postępowym przemianom w kraju, w tym emancypacji kobiet. Publikacja tego artykułu doprowadziła do serii demonstracji w Kom i Tebrizie, gdzie armia zabiła kilku protestujących. Zgodnie z szyicką tradycją ludzie gromadzą się czterdziestego dnia po śmierci zmarłego, by go opłakiwać. Takie żałobne zebrania rozpadły się, co wywołało kolejne protesty, które pociągnęły za sobą następne ofiary; je również opłakiwano po czterdziestu dniach.

W tym okresie zwolennicy Chomeiniego zaczęli go po raz pierwszy nazywać Imamem, choć termin ten wśród szyitów jest zarezerwowany dla świętych. 8 września 1978 roku szach odwołał stan wojenny w Teheranie i w jedenastu innych miastach. Wielu zwolenników Chomeiniego wyległo na ulice. Wojsko otworzyło do nich ogień w śródmieściu stolicy. Liczba ofiar wyniosła – według różnych relacji – od czterdziestu do osiemdziesięciu. Wobec braku wiarygodnych informacji szerzyły się plotki, wedle których miały zginąć cztery tysiące ludzi. Pogłoski te nasiliły jeszcze powszechną niechęć do szacha.

Kilka tygodni po tej masakrze szach zmusił rząd iracki do wydalenia Chomeiniego. Władca miał nadzieję, że osłabi to oddziaływanie ajatollaha na sytuację w Iranie, ale Chomeini, zamieszkawszy w Paryżu, zyskał dostęp do międzynarodowych mediów, dzięki czemu mógł łatwo komunikować się ze swoimi zwolennikami w kraju. W następnych miesiącach udzielił setek wywiadów, w których obiecywał Irańczykom więcej wolności i dostatek. Nie wspominał w ogóle o swojej koncepcji rządów znawcy prawa muzułmańskiego, za to oferował swobodę wypowiedzi, równe prawa dla mężczyzn i kobiet oraz polepszenie sytuacji gospodarczej.

Pomimo stanu wojennego zwolennicy ajatollaha wciąż demonstrowali przeciw szachowi. Na początku listopada 1978 roku miliony Irańczyków z Teheranu i miast w całym kraju obchodziły święta Tasu’a i Aszura, podczas których szyici wspominają męczeństwo Hossejna, trzeciego imama.

Szach był zaskoczony powszechną nienawiścią do niego. Stał się nieprzewidywalny i nie zdołał podjąć stanowczych decyzji. Uwolnił setki politycznych więźniów, którzy dołączyli potem do rewolucji, i kazał aresztować swoich czołowych urzędników. W listopadzie wystąpił w telewizji i powiedział, że usłyszał głos rewolucji i zreformuje swój system. Jednak większość Irańczyków

uważała, że jego czas już przeminął. Szach opuścił Iran dwa miesiące później. Resztę życia spędził na wygnaniu w Maroku, Stanach Zjednoczonych, Panamie, Meksyku i w Egipcie, gdzie zmarł 27 lipca 1980 roku.

Początek 1979 roku – irańska rewolucja

Chomeini wrócił do Teheranu 1 lutego 1979 roku. Dokładnie dziesięć dni później grupa dowódców Irańskiej Armii Królewskiej osiągnęła porozumienie z Chomeinim, zgodnie z którym wojsko miało się podporządkować nowemu rządowi rewolucyjnemu, wyznaczonemu przez Chomeiniego. Irańska rewolucja zwyciężyła. Zakończył się dwudziestopięcioletni okres monarchii w Iranie.

Niecałe dwa miesiące później odbyło się referendum, w którym 98,2% Irańczyków opowiedziało się za utworzeniem republiki islamskiej. Jeszcze w tym samym roku zgromadzenie narodowe przyjęło konstytucję Islamskiej Republiki Iranu, zgodnie z którą forma rządu miała być zgodna z koncepcją powierzenia najwyższej władzy znawcy prawa muzułmańskiego.

Koniec 1979 roku – wzięcie amerykańskich zakładników, tłumienie opozycji

4 listopada 1979 roku grupa radykalnych studentów, działających z błogosławieństwem Chomeiniego, opanowała ambasadę amerykańską w Teheranie i wzięła sześćdziesięciu sześciu zakładników. Oficjalnie miał to być protest przeciw poparciu amerykańskiego rządu dla dyktatury szacha, ale w rzeczywistości Chomeiniemu chodziło o skupienie w swoich rękach całej władzy i zamknięcie ust umiarkowanym elementom we władzach. Zakładnicy zostali zwolnieni po 444 dniach, ale kryzys doprowadził do zerwania stosunków między Iranem i USA i zaostrzenia sankcji przeciw Teheranowi, które utrzymują się już od ponad trzech dekad.

Chomeini stał się nowym irańskim tyranem. Nie przyjmował żadnej krytyki swojej absolutnej władzy, a członków grup opozycyjnych, nawet odrzucających przemoc, wsadzał do więzienia, torturował i uśmiercał. Wywołało to działania zbrojne przeciw reżimowi. W ciągu kilku lat grupy terrorystyczne zamordowały prezydenta, premiera, szefa sądownictwa i dziesiątki innych czołowych funkcjonariuszy reżimu, a także zwykłych jego zwolenników. Główną grupą opozycyjną była wtedy marksistowsko-islamistyczna Organizacja Mudżahedinów Chalk (MKO).

Dwóch bliskich współpracowników Chomeiniego, Akbar Haszemi Rafsandżani i Ali Chamenei, przeżyło zamachy na swoje życie. Ali Chamenei ma jednak do dziś sparaliżowaną prawą rękę.

1980 – wojna irańsko-iracka

Kilka miesięcy po irańskiej rewolucji Saddam Husajn – który władał Irakiem już od prawie dekady – został oficjalnie prezydentem kraju. W 1975 roku Saddam został zmuszony przez szacha do uznania granicy z Iranem.

Po zdobyciu władzy Chomeini zapowiedział eksport rewolucji i wezwał muzułmanów na całym świecie do powstania przeciw rządzącym nimi despotom. W otoczeniu Chomeiniego było wielu Irakijczyków zmuszonych do emigracji, którzy występowali przeciw Saddamowi Husajnowi i wypowiadali się krytycznie o traktowaniu szyitów w Iraku. Gdy reżim irański skłócił się z Zachodem, a w samym Iranie pojawiła się silna opozycja, Saddam Husajn doszedł do wniosku, że nadeszła odpowiednia chwila, by odnowić spór graniczny z Iranem, a przy okazji położyć kres władzy Chomeiniego.

Wojska irackie zaatakowały Iran we wrześniu 1980 roku. Saddam Husajn był zaskoczony solidarnością Irańczyków, mających różne poglądy polityczne, w sprawie obrony ojczyzny. Po niecałych dwóch latach wycofał się z większości zajętych terenów, choć nie zakończyło to wojny. Natomiast dla Chomeiniego była to znakomita okazja, by jeszcze mocniej uchwycić władzę i zgnieść opozycję. Wojska irańskie zdobyły z czasem pewne terytoria irackie, a wojna na wyniszczenie ciągnęła się przez osiem lat.

1981–1989 – prezydentura Alego Chameneiego, Mir Hossejn Musawi premierem

Po pozbawieniu władzy jednego prezydenta i zamordowaniu drugiego, w październiku 1981 prezydentem Iranu został Ali Chamenei. Ten duchowny o konserwatywnych poglądach był zwolennikiem Chomeiniego od wczesnych lat sześćdziesiątych. W kręgach rządowych uważany był za jednego z najbliższych współpracowników Chomeiniego i reprezentanta umiarkowanej frakcji w islamskim reżimie. Dlatego Chomeini kazał mu mianować premierem przedstawiciela frakcji bardziej radykalnej, Musawiego, który pełnił tę funkcję aż do 1989 roku. Ich współpraca nie układała się jednak najlepiej i często dochodziło między prezydentem i premierem do ostrych sporów.

Chamenei reprezentował prawicowy, konserwatywny odłam rewolucjonistów, którzy popierali własność prywatną i bardziej umiarkowaną retorykę. Musawi uważany był za lewicowca, przedstawiciela bardziej radykalnej grupy w kręgach władzy, zwolennika większej dawki socjalizmu w gospodarce i udziału państwa w życiu obywateli. Chomeini nigdy nie opowiadał się jednoznacznie za którąś z tych frakcji, ale w jego otoczeniu więcej było

lewicowców niż prawicowców. Często mediował w sporach między prezydentem i premierem, stając zazwyczaj po stronie Musawiego, który stał się znany jako „premier imama”. Najsilniejszym sojusznikiem Chameneiego był w tym czasie przewodniczący Madżlesu, Akbar Haszemi Rafsandżani, najbliższy człowiek Chomeiniego.

1988 – koniec wojny irańsko-irackiej, zbrodnie przeciw ludzkości

Po ośmiu latach okrucieństw popełnianych przez obie strony morale wojsk irańskich osłabło, a na arenie międzynarodowej wciąż naciskano na Iran, by zakończył wojnę. W sierpniu 1988 roku Chomeini zgodził się na zawieszenie broni. Porównał swoje odczucia do wypicia „kielicha trucizny”. W wojnie tej zginęło albo odniosło rany milion ludzi, w większości Irańczyków. Żadnemu z narodów nie przyniosła ona korzyści, a jedynie rządy w obu krajach stały się jeszcze bardziej tyrańskie.

Jeszcze przed końcem tej wojny, w 1986 roku, terroryści z MKO przenieśli swoją kwaterę główną do Iraku. Po zamordowaniu tysięcy zwykłych Irańczyków i czołowych funkcjonariuszy reżimu, a także po uwięzieniu i straceniu tysięcy własnych członków MKO stało się częścią walczącej z Iranem armii Saddama Husajna. Pod koniec wojny przywódca MKO, Masud Radżawi, powiedział swoim ludziom, że reżim Chomeiniego już ledwie dyszy i że MKO może zdobyć Teheran w ciągu mniej niż tygodnia. Prawie siedem tysięcy członków MKO wkroczyło więc na irańskie terytorium i doznało kompletnej klęski z rąk armii irańskiej i Strażników Rewolucji. Liczbę ofiar po obu stronach ocenia się na cztery do dziesięciu tysięcy rannych i zabitych.

Atak ten dał Chomeiniemu znakomity pretekst do wzmocnienia swojej słabnącej pod koniec wojny władzy. Kazał przeprowadzić masakrę członków MKO i innych grup opozycyjnych. W ciągu niecałych sześciu miesięcy stracono prawie pięć tysięcy ludzi, w tym wielu więźniów. Masakra ta jest największą zorganizowaną rzezią opozycji w nowożytnej historii Iranu. Po ponad dwudziestu latach od tej zbrodni wielu zaangażowanych w nią ludzi wciąż sprawuje władzę, a inni przeszli do szeregów opozycji.

Żaden z wysoko postawionych funkcjonariuszy nie śmiał sprzeciwić się działaniom Chomeiniego, oprócz ajatollaha Hossejna Alego Montazeriego, którego od początku rewolucji Chomeini uważał za swojego naturalnego następcę. Montazeri był jego bliskim współpracownikiem już w latach czterdziestych, ale po potępieniu zamordowania tysięcy młodych mężczyzn i kobiet wypadł całkowicie z łask najwyższego przywódcy i musiał spędzić resztę życia w areszcie domowym.

1989 – śmierć Ruhollaha Chomeiniego, Ali Chamenei zostaje najwyższym przywódcą

Chomeini zmarł 3 czerwca 1989 roku, po jedenastu dniach pobytu w szpitalu. Przyczyną śmierci okazał się wewnętrzny krwotok. Jego pogrzeb był największym zgromadzeniem publicznym w historii Iranu.

Po śmierci Chomeiniego Zgromadzenie Ekspertów, które wybiera najwyższego przywódcę i kontroluje jego działalność, zebrało się, by wyznaczyć jego następcę. Rafsandżani lobbował za wyborem Alego Chameneiego. Wielu podejrzewało, iż działał tak dlatego, że widział w Chameneim słaby charakter – najwyższego przywódcę, którego sam będzie mógł kontrolować. Rafsandżani został prezydentem, urząd premiera zniesiono, a Musawi wycofał się z polityki i kontynuował pracę jako artysta i architekt, a wreszcie przewodniczący Irańskiej Akademii Sztuk.

1989–1997 – prezydentura Akbara Haszemi Rafsandżaniego

Rafsandżani nazwał swoją kadencję „epoką odbudowy” i pracował nad usunięciem zniszczeń po wojnie z Irakiem. Pozwalał sektorowi prywatnemu na angażowanie się w przemysł, poprawił stosunki z Zachodem. Stał się znany jako „Akbar Szach”, gdyż styl jego prezydentury przypominał rządy szacha: tak samo zależało mu na industrializacji Iranu i podobnie lekceważył swoich krytyków i swobodę wypowiedzi. Stworzył setki nowych zakładów przemysłowych i wybudował tysiące mil dróg, ale w tym samym czasie do więzień trafiły setki działaczy studenckich i opozycyjnych, a wielu intelektualistów straciło życie w tajemniczych okolicznościach.

Korzystając z kanałów nieoficjalnych, Rafsandżani prezentował się jako człowiek, z którym Zachód może współpracować. Jego rząd rozpoczął zmianę kursu wobec Zachodu i dawnych wrogów Iranu w regionie, zwłaszcza Arabii Saudyjskiej. Rafsandżani starał się też zmienić ksenofobiczną i socjalistyczną politykę gospodarczą Chomeiniego, otwierając rynek irański dla reszty świata i zachęcając do zagranicznych inwestycji. Jednakże prywatyzacja i wolny rynek przyniosły korzyści jedynie ograniczonej grupie obywateli, którą zaczęto nazywać irańską mafią gospodarczą. Jednym z najważniejszych osiągnięć Rafsandżaniego było powstanie w 1982 roku Wolnego Uniwersytetu. Ta częściowo prywatna uczelnia wykształciła miliony Irańczyków, którzy chcieli kontynuować naukę, ale nie zdołali zdać niezwykle trudnych egzaminów wstępnych na uniwersytety państwowe. Pomogło to w stworzeniu generacji uświadomionych politycznie i wyedukowanych Irańczyków, którzy po 2009 roku zaczęli się upominać o swoje prawa obywatelskie.

Epoka Rafsandżaniego była też okresem powrotu do konsumpcjonizmu,

który zastąpił idealizm lat rewolucji. O ile jednak część technokratów i dawnych Strażników Rewolucji, którzy objęli intratne stanowiska rządowe albo zajęli się własnym biznesem, doszła do wielkiego bogactwa, wielu weteranów wojennych czuło się pokrzywdzonych i zepchniętych na boczny tor. Aby wzmocnić swoją władzę, Chamenei odwołał się do nastrojów tej grupy i zrobił z niej swoją polityczną bazę, umacniającą się przez następne dwie dekady.

1997 – Mohammad Chatami, prezydent reformista

Radykalni zwolennicy Chomeiniego, w tym wielu studentów, którzy uczestniczyli w okupacji ambasady amerykańskiej, zostali odsunięci od władzy za prezydentury Rafsandżaniego. W nowej sytuacji studiowali i krytykowali swoje dawne poczynania, a w końcu utworzyli irański ruch reformistyczny. W wyborach prezydenckich 1997 roku poparli Mohammada Chatamiego, odrzucając kandydata Chameneiego, Alego Akbara Nateqą Nouriego. Większość Irańczyków miała nadzieję, że uczciwszy, niepowiązany tak z establishmentem Chatami zakończy ośmioletni okres korupcji, charakteryzującej rząd Rafsandżaniego.

Chatami obiecał stworzyć społeczeństwo obywatelskie, w którym tolerowane są debaty i w którym ludzie o różnych poglądach i pochodzeniu będą mogli swobodnie się wypowiadać. Niemal trzy lata później zwolennicy Chatamiego uzyskali przewagę w Madżlesie. Właśnie z pomocą parlamentu Chatami próbował zwiększać zakres swojej odpowiedzialności kosztem uprawnień najwyższego przywódcy. Jednak do tego czasu Chamenei zdążył zbudować dla siebie szeroką bazę poparcia wśród religijnych Irańczyków, uważających go nie tylko za przywódcę politycznego, ale i za przedstawiciela Allaha na ziemi. Chamenei miał też pod swoją kontrolą sądownictwo i armię. Gdy rząd Chatamiego próbował przekształcić Iran w społeczeństwo bardziej otwarte, sędziowie i służby bezpieczeństwa tłumiły wszelkie głosy niezgodne z linią najwyższego przywódcy. Zamykano gazety, a wielu reformistów uwięziono pod sfabrykowanymi zarzutami.

Gdy latem 1999 roku grupa studentów zaprotestowała przeciw zamknięciu pewnej gazety, została brutalnie pobita przez bojówkę zwolenników Chameneiego. Wielu studentów było wówczas rozczarowanych asekurancką postawą Chatamiego.

Prezydentura Chatamiego zbiegła się z obniżką cen ropy naftowej na rynku międzynarodowym, co mocno uderzyło w irańską gospodarkę. Irańczycy zbiednieli, a twardogłowi obwiniali rząd za nieumiejętną walkę z kryzysem i ubożeniem społeczeństwa.

Za prezydentury Chatamiego Stany Zjednoczone wraz z sojusznikami najechały na Afganistan i Irak. Chatami namawiał do dialogu między cywilizacjami, ale jego wysiłki, by poprawić stosunki z USA, były sabotowane

przez ludzi Chameneiego. Irańscy twardogłowi uważali, że wznowienie stosunków ze Stanami osłabi ich pozycję. W tym samym czasie amerykańscy neokonserwatyści opowiadali się za zmianą reżimu irańskiego. Sądziło się, że po amerykańskich sukcesach w Iraku i Afganistanie Iran może być skutecznie powstrzymany, a nawet zdominowany militarnie przez USA. W styczniu 2002 roku prezydent George W. Bush zaliczył Iran do „osi zła”, razem z Koreą Północną i Irakiem.

Połączenie dyplomatycznej nieskuteczności z marną sytuacją gospodarczą i niepowodzeniem w realizacji zasad społeczeństwa otwartego doprowadziło do spadku poparcia dla ruchu reformistycznego. Jednak osiem lat prezydentury Chatamiego, cechującej się względną demokratyzacją życia politycznego i kulturalnego, zmieniło Iran na zawsze i sprawiło, że zwykli Irańczycy stali się bardziej świadomi swoich praw obywatelskich.

Z drugiej strony twardogłowi zwiększyli swoją determinację, by już nigdy nie pozwolić na powrót reformistów do władzy.

2005 – wybór Ahmadineżada

W czerwcu 2005 roku były prezydent Rafsandżani, były przewodniczący Madżlesu Mehdi Karrubi, były dowódca Strażników Rewolucji Mohammad Bagher Qalibaf, burmistrz Teheranu Mahmud Ahmadineżad oraz trzech innych kandydatów wzięło udział w ostatecznej fazie walki wyborczej o fotel prezydenta Islamskiej Republiki Iranu.

Kontynuacja linii reformistycznej oznaczała rządy bardziej przewidywalne, z tendencją do ograniczenia panowania Chameneiego, który po szesnastu latach sprawowania swojego urzędu wciąż nie potrafił zyskać władzy absolutnej przy takich prezydentach jak Rafsandżani i Chatami. Najwyższy przywódca potrzebował więc kogoś całkowicie mu podporządkowanego. Tego samego chcieli ludzie z otoczenia Chameneiego, pragnący zachować swe wpływy.

Naczelne pytanie przed wyborami z 2005 roku brzmiało: Kogo z kandydatów poprze Chamenei? Karrubi, plemienny lider z zachodniej prowincji Lorestan, wykazywał się niezależnością w parlamencie, ale był zbyt blisko reformistów. Powtórka prezydentury Rafsandżaniana oznaczała, że Chamenei będzie musiał współpracować z politykiem, którego rewolucyjna przeszłość i znaczenie polityczne nie ustępowały, a nawet górowały nad jego własnymi. Z początku Chamenei opowiadał się za Qalibafem, który przez lata był jego zagorzałym zwolennikiem i który podczas studenckich demonstracji z 1999 roku podpisał wraz z dwudziestoma trzema innymi dowódcami Strażników list oskarżający Chatamiego o spychanie kraju w przepaść anarchii. Jednak podczas swojej kampanii Qalibaf unikał ideologicznej retoryki, która byłaby na rękę

Chameneiemu. Zamiast munduru nosił modny biały garnitur i przedstawiał się jako nowoczesny i niezależny lider. Głośne było jego stwierdzenie, że chce być „islamskim Rezą Chanem”.

Ahmadineżad tymczasem karciał pozostałych kandydatów za zapomnienie o ideałach rewolucji i wypominał im zepsucie władzą i pieniędzmi. Jako były członek Korpusu Strażników Rewolucji obiecywał oczyszczenie Iranu z korupcji i podniesienie poziomu życia zwykłych obywateli. W odróżnieniu od swych rywali, którzy prowadzili kampanie z przepychem, nie szczędząc pieniędzy na dobrze zrobione, efektowne filmy, Ahmadineżad postawił na bezpośrednie rozmowy z wyborcami i wyprodukował niskobudżetowy film dokumentalny o swoim prostym życiu i osiągnięciach. Na miesiąc przed wyborami było jasne, że ma poparcie większości biednych i prostych zwolenników Chameneiego.

Kilka tygodni przed wyborami wielu członków Basidżu i Strażników otrzymało od swoich zwierzchników informację, że Ahmadineżad jest kandydatem najwyższego przywódcy. W pierwszej turze wyborów nikt nie odniósł decydującego zwycięstwa. Najwięcej głosów zebrali Rafsandżani (21,13%) i Ahmadineżad (19,43%).

Mehdi Karrubi, który był trzeci (17,24%), oskarżył syna Chameneiego, Strażników Rewolucji i Basidż o manipulowanie głosowaniem na korzyść Ahmadineżada. Jego protest został zlekceważony, a gazetom nie wolno było publikować jego listu do najwyższego przywódcy, w którym zgłaszał swoje zastrzeżenia. W drugiej turze wyborów Rafsandżani otrzymał tylko 35% głosów. Ahmadineżad z 61% głosów został prezydentem.

2005–2009 – prezydentura Ahmadineżada

Korzystając ze szczęśliwego trafu, jakim okazała się zwyżka cen ropy naftowej, Ahmadineżad kierował państwem tak, jakby to była instytucja dobroczynna. W trakcie comiesięcznych podróży po kraju rozdzielał pieniądze z ropy wedle swojego widzimisię. Niepowodzenia Amerykanów w dwóch przeciągających się wojnach – w Iraku i Afganistanie – pozwoliły Ahmadineżadowi na prowadzenie bardziej bojowej polityki zagranicznej. Z poparciem Chameneiego gwałtownie rozwinął irański program nuklearny i zwiększył pomoc irańską dla regionalnych zwolenników: Hezbollahu w Libanie i Hamasu w Strefie Gazy.

Za rządów Ahmadineżada trwało tłumienie opozycji wewnętrznej, aresztowania działaczy studenckich, zamykanie gazet, a na czele instytucji kulturalnych stanęli twardogłowi. Na kluczowe stanowiska desygnował byłych członków Korpusu Strażników Rewolucji, a wiele lukratywnych kontraktów dostało się przedsiębiorstwom należącym do Strażników. Sojusz Chameneiego

ze Strażnikami i Ahmadineżadem objął kontrolę nad wszystkimi aspektami życia w Iranie. Większość reformistycznych urzędników została albo zwolniona, albo przeniesiona na niższe stanowiska. Władza Chameneiego stała się niemal absolutna. Nawet jeśli wielu ludzi z jego otoczenia narzekało na niekonsekwentną politykę Ahmadineżada, to Chamenei raz po raz wyrażał swoje zadowolenie z rządu i osobiście zabraniał innym twardego ataków na Ahmadineżada.

Chcąc wrócić do władzy, czołowi reformiści zgodzili się wystawić jednego kandydata, który mógłby pokonać Ahmadineżada. W lutym 2009 roku swój zamiar ubiegania się o kolejną prezydenturę zgłosił Mohammad Chatami. Chamenei przesłał mu jednak prywatną radę, żeby zrezygnował. Chatami był także zastraszany prywatnie i publicznie. Miesiąc później, 16 marca 2009 roku, istotnie zrezygnował na korzyść dawnego premiera Mir Hossejna Musawiego, który przez dwie dekady nie angażował się w politykę.

Wielu młodych Irańczyków nie pamiętało Musawiego, więc potrzebował dwóch miesięcy, by przedstawić siebie i swój program. Mniej więcej w tym czasie zgłosił swoją kandydaturę Karrubi, ale ze względu na jego impulsywne zachowanie i niewielkie wykształcenie wielu ludzi nie traktowało go poważnie. Musawi, główny kandydat reformistyczny, obiecał naprawić zniszczenia wyrządzone podczas czteroletniej kadencji Ahmadineżada. Zadeklarował, że chce, by Iran stał się krajem przyjaznym wobec reszty świata i aby w życiu wewnętrznym kraju więcej było wolności, swobody wypowiedzi i szacunku dla praw człowieka. Miliony młodych, wykształconych Irańczyków prowadziło kampanię na rzecz Musawiego w całym kraju. Tajne badanie opinii, przeprowadzone przez ministerstwo wywiadu i bezpieczeństwa na trzy tygodnie przed wyborami, wskazywało na wyraźną przewagę Musawiego nad Ahmadineżadem.

SŁOWNIK TERMINÓW

Aszura – rocznica męczeńskiej śmierci Hossejna, trzeciego imama szyickiego i syna Alego, w bitwie z sunnickim kalifem w 680 roku. Aszura to dosłownie dziesiąty dzień miesiąca – bitwa Hossejna z Jazydem rozegrała się dziesiątego dnia miesiąca Moharram. Podobnie jak katolicyzm, islam szyicki jest religią rytuałów i wizerunków świętych. Obrzędy odbywające się podczas Aszury i w poprzedzający ją dzień Tasu'a obejmują samobiczowanie i inscenizacje pasyjne, symbolizujące ucisk, którego szyici doświadczali w przeszłości, oraz konieczność walki o sprawiedliwość. Święto Aszura dostarczało Irańczykom wielu okazji do demonstracji przeciw okrucieństwu władzy.

Ajatollah – wysokiej rangi duchowny szyicki. „Wielki ajatollah” to najwyższa ranga duchownego szyickiego, który może interpretować naukę islamu dla swoich współwyznawców.

Basidż – skrót od *niru-je moqawemat basidż* (siły oporu „mobilizacja”). Basidż powstał na początku rewolucji, by prorzadowi ochotnicy mogli poświęcać część swojego czasu na ochronę rewolucji. W każdym urzędzie państwowym, placówce edukacyjnej i w okolicy każdego meczetu istnieje komórka Basidżu. Członkowie Basidżu otrzymują dyrektywy z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Choć są ochotnikami i większość z nich nie otrzymuje żołdu, przynależność do Basidżu pociąga za sobą różne korzyści. Członkowie organizacji mają pierwszeństwo w przyjęciu na uniwersytety i mogą łatwiej niż inni obywatele otrzymać pożyczkę bankową. Wielu członków Basidżu ma pozwolenie na broń i pilnuje bezpieczeństwa swoich dzielnic albo innych obszarów, gdy Korpus Strażników Rewolucji widzi taką potrzebę. Basidżowcy byli wykorzystywani do tłumienia protestów po wyborach z 2009 roku, za co otrzymali nagrody pieniężne.

Czador – obszerna peleryna noszona przez muzułmańskie kobiety, mająca szczelnie okryć ich ciała. Kobiety wybierają różne materiały na czadory, w zależności od swojego pochodzenia społecznego, upodobań i sytuacji materialnej. Mogą to być tkaniny cienkie lub grube, jednobarwne lub wzorzyste.

Czadory bywają też noszone na różne sposoby – blisko ciała lub luźno, z szalem lub bez.

Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej – najpotężniejsza i najbardziej wpływowa część irańskich sił zbrojnych. Korpus założony został po rewolucji 1979 roku, gdy nowy reżim dokonał egzekucji dziesiątków oficerów Armii Królewskiej, którym nie ufał. Z biegiem lat Korpus Strażników Rewolucji stał się potężną siłą zbrojną, a także konglomeratem przemysłowym. Brak danych statystycznych co do liczebności Korpusu, ale ocenia się, że służy w nim około 200 tysięcy żołnierzy ze wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Dowódcy Strażników miewają różne zapatrywania polityczne, ale wszyscy oddani są Republice Islamskiej i jej najwyższemu przywódcy, który osobiście ich mianuje. Powszechnie uważa się, że w Korpusie istnieje podział na starą gwardię, mniej zideologizowaną i bardziej pragmatyczną, oraz młodą gwardię – bardziej ekstremistyczną i mocniej zideologizowaną. Obecny dowódca Korpusu, Mohammad Ali Dżafari, należy do młodej gwardii.

Imam Mahdi – dwunasty imam szyitów. Urodził się w 869 roku i w wieku lat pięciu wszedł w stan ukrycia, gdy jego ojciec, jedenasty imam Hassan al Askari, poniósł śmierć męczeńską. Szyici wierzą, że imam Mahdi nie umarł i powróci jakiś czas przed Sądnym Dniem, by zaprowadzić sprawiedliwość, równość i szczęście na całym świecie.

Mardża – szyici uważają, że pod nieobecność Imama Mahdiego wspólnoty muzułmańskie mogą być prowadzone przez mardżów („wzory do naśladowania”). Jedynie wielcy ajatollahowie mogą być mardżami (ale nie wszyscy wielcy ajatollahowie są mardżami). Szyici mogą dowolnie wybierać sobie mardżów, którzy w zależności od swoich religijnych i politycznych poglądów mogą być bardziej konserwatywni bądź liberalni.

Ministerstwo Wywiadu i Bezpieczeństwa Islamskiej Republiki Iranu – irański odpowiednik CIA i FBI. Zostało utworzone w 1984 roku, by zbierać informacje o wewnętrznych i zewnętrznych zagrożeniach dla dziedzictwa Rewolucji Islamskiej oraz samej Islamskiej Republiki Iranu. Ponieważ pojęcie zagrożenia jest obszerne, ministerstwo od samego początku wychodziło poza swój ustawowy zakres działania. W latach 80. i 90. (za prezydentur Chameneiego

i Rafsandżaniego) ministerstwo włączyło się w działalność gospodarczą i wielu jego wyższych urzędników zdobyło znaczne majątki, eliminując konkurencję w imię bezpieczeństwa narodowego. Jednocześnie ministerstwo angażowało się w zamachy na członków irańskiej opozycji przebywających w Europie. W okresie 1994–1999 osiemdziesięciu intelektualistów, pisarzy i zwykłych Irańczyków poniosło śmierć z rąk – jak się przypuszcza – przestępców na żołądź ministerstwa. Ujawnienie sprawców tych zabójstw w 1999 roku (za prezydentury Chatamiego), dokonane przez reformistycznych i byłych pracowników ministerstwa, doprowadziło do skandalu, po którym Ministerstwo Wywiadu przestało prowadzić działalność gospodarczą, a kilku jego skorumpowanych urzędników straciło stanowiska. Mniej więcej w tym samym czasie, z błogosławieństwem Chameneiego, utworzono równoległą instytucję wywiadowczą. Jej pierwszymi pracownikami byli zweryfikowani dawni funkcjonariusze i agenci służby wywiadowczej Strażników Rewolucji. Podczas powyborczych protestów zwolennicy Chameneiego i Ahmadineżada oskarżyli ministerstwo o współpracę z opozycją. Na rozkaz Chameneiego ta równoległa instytucja wywiadowcza i służba wywiadowcza Strażników przejęły cały aparat wywiadu. Dziesiątki urzędników ministerstwa zmuszono do rezygnacji, agenci zaś przeszli pod komendę Strażników.

Mulla – duchowny, ktoś kto studiuje albo studiował teologię. Słowo samo w sobie nie ma wydźwięku negatywnego, ale bywa używane w negatywnym kontekście – na przykład w stwierdzeniu o „reżimie mullów w Iranie”.

Szyizm, islam szyicki – drugie pod względem liczby wiernych wyznanie islamskie. W odróżnieniu od większości muzułmanów (sunitów), którzy uważają, że pierwszych czterech kalifów (przywódców muzułmanów) pochodziło z wyboru ludzkiego, szyici wierzą, że czwarty kalif Ali, bratanek i zięć Mohammada, był bezpośrednim i z boskiej woli wybranym następcą Proroka. Szyici uważają Alego i jedenastu jego sukcesorów za swoich imamów. Imamowie to nieomylni i nieskazitelni przywódcy, ukazujący wspólnotom muzułmańskim właściwą drogę we wszystkich ziemskich i duchowych aspektach życia i śmierci.

Początki islamu szyickiego wywodzą się z politycznych różnic pomiędzy zwolennikami Proroka należącymi do różnych wspólnot muzułmańskich z VII wieku i czasów późniejszych. Jako mniejszość szyici uważali się zawsze za prześladowaną i szczególną grupę muzułmanów. Przyjęli różne obrzędy i święta upamiętniające tragiczne momenty w dziejach szyizmu.

W Iranie szyizm nie jest tylko wyznaniem religijnym, ale też istotną częścią

narodowej kultury i tożsamości od czasu, gdy dynastia Safawidów uczyniła z niego w XVI wieku oficjalną religię państwową, aby wyraźniej się odróżnić od sąsiedniego sunnickiego imperium otomańskiego.

Najwyższy przywódca – duchowy przywódca Republiki Islamskiej i człowiek, do którego należy ostatnie słowo we wszystkich sprawach państwowych; obecnie funkcję tę pełni ajatollah Ali Chamenei. Termin „najwyższy przywódca” wywodzi się z perskiego terminu *walī faqih*, oznaczającego dosłownie „strażnik jurysprudencji”. Koncepcję tę opracował ajatollah Chomeini w latach 60.; zgodnie z nią podczas nieobecności dwunastego imama jakiś wysokiej rangi duchowny (ale niekoniecznie mardża) powinien wziąć na siebie odpowiedzialność za wszystkie sprawy państwa. Większość teologów szyickich nie podziela koncepcji *welejat-e faqih* (zwierzchnictwa znawcy muzułmańskiego prawa). Sądzą raczej, że odpowiedzialność mardży powinna się ograniczać do opieki nad najsłabszymi członkami społeczeństwa, jak sieroty czy wdowy. Zgodnie z artykułem 109 konstytucji Iranu najwyższy przywódca powinien być uczony, sprawiedliwy, pobożny, mieć wycucie spraw politycznych i społecznych, a nadto być roztropny i odważny. Ponieważ żaden pojedynczy mężczyzna (przywódca nie może być kobietą) nie ma aż tylu przymiotów jednocześnie, zasada *welejat-e faqih* w dzisiejszym Iranie oznacza w gruncie rzeczy religijną dyktaturę.

Tudeh – irańska partia komunistyczna, utworzona w 1941 roku. Na początku swojego istnienia Tudeh utrzymywał, że jest partią uciskanych ludzi i walczy o pomyślność wszystkich Irańczyków, dlatego wstąpiło do niego wiele osób wykształconych, a nawet religijnych. Wkrótce jednak, po eliminacji różnych frakcji, Tudeh stał się partią czysto komunistyczną. W 1949 roku partię zdelegalizowano, a wielu jej członków stracono lub prześladowano od lat 50. aż do 70. Większość przywódców Tudehu wyemigrowała do państw bloku wschodniego, pod skrzydła Moskwy. Po Rewolucji Islamskiej z 1979 roku wrócili do Iranu i odbudowali partię, która stała się znów jednym z najbardziej wpływowych ugrupowań politycznych w kraju. Tudeh popierał antyamerykańską politykę ajatollaha Chomeiniego, a nawet bronił niektórych okrucieństw popełnianych przez reżim w imię sprawiedliwości rewolucyjnej. W 1983 roku rząd islamski ogłosił, że Tudeh próbował w tajemnicy przeprowadzić zamach stanu. Chomeini kazał aresztować przywódców partii, w tym wojskowych. Większość z nich stracono w latach 1983–1987; wielu innych spędziło kilkanaście lat w więzieniu. Obecnie aktywność Tudehu w Iranie prawie całkowicie wygasła. Przetrwała tylko nazwa i garść zwolenników.

Spis treści

PROLOG CZĘŚĆ PIERWSZA. TUNEL NA KOŃCU ŚWIATŁA ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2 ROZDZIAŁ 3 ROZDZIAŁ 4 ROZDZIAŁ 5 ROZDZIAŁ 6 CZĘŚĆ
DRUGA. NI TO ŻYCIE, NI TO ŚMIERĆ ROZDZIAŁ 7 ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9 ROZDZIAŁ 10 ROZDZIAŁ 11 ROZDZIAŁ 12 ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14 ROZDZIAŁ 15 ROZDZIAŁ 16 ROZDZIAŁ 17 CZĘŚĆ
TRZECIA. OCALENIE ROZDZIAŁ 18 ROZDZIAŁ 19 ROZDZIAŁ 20 EPILOG
PODZIĘKOWANIA SŁOWNIK OSÓB CHRONOLOGIA WYDARZEŃ
SŁOWNIK TERMINÓW